

KOSOGŁOS

Część I

Popioły

1.

Gapię się na swoje buty i patrzę jak cienka warstwa popiołu osiada na wytartej skórze. Tu stało łóżko, które dzieliłam z moją siostrą, Prim. Tam dalej stał kuchenny stół. Osmalony stos cegieł, które kiedyś były kominkiem, jest moim punktem odniesienia. Jak inaczej mogłabym ustalić swoje położenie w tym morzu szarości?

Niemal nic nie pozostało z Dwunastego Dystryktu. Miesiąc temu ogniowe bomby Kapitolu unicestwiły domy ubogich górników ze Złożyska, sklepy w mieście, nawet Pałac Sprawiedliwości. Spalenia uniknęła jedynie Wioska Zwycięzców. Może dlatego, by ludzie zmuszeni do przybycia tutaj w interesie Kapitolu mogli zatrzymać się w jakimś przyzwoitym miejscu. Pracujący dorywczo dziennikarz. Komitet oceniający stan kopalni. Oddział Strażników Pokoju poszukujący powracających uciekinierów.

Ale nie wraca nikt oprócz mnie. A to jedynie krótka wizyta. Władze Trzynastego Dystryktu sprzeciwiały się mojemu powrotowi. Wydał im się kosztownym i niepotrzebnym ryzykiem, jako że przynajmniej tuzin niewidzialnych poduszkowców krąży nade mną, czuwając nad moim bezpieczeństwem, i nie ma tu żadnych nowych wiadomości wartych zdobycia. Mimo tego, musiałam to zobaczyć. Tak bardzo, że ustanowiłam to warunkiem mojej współpracy.

W końcu Plutarch Heavensbee, główny organizator igrzysk, który zorganizował buntowników w Kapitolu, wyrzucił ręce w górę. „Pozwólcie jej iść. Lepiej stracić dzień niż kolejny miesiąc. Może mała wycieczka po Dwunastce jest właśnie tym, czego ona potrzebuje, by przekonać się, że jesteśmy po tej samej stronie.”

Po tej samej stronie. Ból kłuje moją lewą skroń i przyciskam do niej dłoń. Dokładnie w miejscu, w które Johanna Mason uderzyła mnie zwojem drutu. Wspomnienia kłębią się, a ja próbuję rozróżnić co jest prawdą, a co kłamstwem. Jakie wydarzenia doprowadziły do tego, że stoję na ruinach mojego miasta? To trudne, bo skutki wstrząsu przez nią spowodowanego nie całkiem zniknęły i moje myśli wciąż mają skłonności do gmatwania się. Poza tym, leki, których używają, by uśmierzyć mój ból i wpływać na nastrój czasami sprawiają, że mam omamy. Tak myślę. Wciąż nie jestem całkowicie przekonana, że miałam halucynacje tej nocy, kiedy podłoga mojej szpitalnej sali zmieniała się w dywan wijących się węży.

Używam techniki zaproponowanej mi przez jednego z lekarzy. Zaczynam od najprostszych rzeczy, których jestem pewna, że są prawdziwe, i stopniowo dodaję te bardziej skomplikowane. Lista zaczyna rozwijać się w mojej głowie...

Nazywam się Katniss Everdeen. Mam siedemnaście lat. Moim domem jest Dwunasty Dystrykt. Byłam trybutem w Igrzyskach Śmierci. Uciekłam. Kapitol mnie nienawidzi. Peeta został więźniem. Jest uważany za martwego. Najprawdopodobniej jest martwy. Prawdopodobnie byłoby najlepiej, gdyby był martwy...

— Katniss, mam zejść na dół?

Głos mojego najlepszego przyjaciela, Gale'a, dociera do mnie przez słuchawki, które buntownicy nakazali mi założyć. Jest w jednym z poduszkowców i obserwuje mnie uważnie, gotowy wkroczyć, jeżeli cokolwiek pójdzie źle. Zauważam, że kulę się w sobie z łokciami na udach i ściskam głowę dłońmi. Muszę wyglądać jakbym była na skraju załamania. Tak być nie może. Nie, kiedy w końcu odstawiają mi leki.

Prostuję się i macham do niego, odrzucając jego ofertę.

— Nie, wszystko w porządku.

By go w tym upewnić, zaczynam oddalać się od mojego starego domu i idę w stronę miasta. Gale poprosił o wizytę w Dwunastce ze mną, ale nie zszedł do mnie, kiedy zrezygnowałam z jego towarzystwa. Rozumie, że nie chcę nikogo przy mnie dzisiaj. Nawet jego. Czasami musisz wędrować samotnie.

Lato było nieznośnie gorące i suche jak pieprz. Nie było prawie żadnego deszczu, który mógłby naruszyć sterty popiołu, które pozostały po ataku. Przemieszczają się tu i tam w odpowiedzi na moje kroki. Nie ma wiatru, który mógłby je rozwiać. Zatrzymuję wzrok na czymś, co pamiętam jako drogę, bo kiedy pierwszy raz wylądowałam na łące, nie byłam dość ostrożna i weszłam prosto na kamień. Tylko że to nie był kamień — to była czyjaś czaszka. Kręciła się i kręciła aż zatrzymała się twarzą w górę. Przez długi czas nie mogłam przestać patrzeć na zęby, zastanawiając się do kogo należały, myśląc, że moje wyglądałyby prawdopodobnie dokładnie tak samo w podobnych okolicznościach.

Wbrew naturze, trzymam się drogi, ale to zły wybór, bo jest pełna szczątków tych, którzy próbowali uciec. Niektórzy spłonęli w całości. Ale inni, prawdopodobnie oświeceni przez dym, uciekli najgorszym płomieniom i teraz leżą w różnych stopniach rozkładu, i cuchną, pokarm dla padlinożerców, przykryty dywanem much. Zabiłam cię, myślę, kiedy mijam jeden stos. I ciebie. I ciebie.

Bo zabiłam. To moja strzała wycelowana w szczelinę w polu siłowym otaczającym arenę spowodowała tę karną ogniową burzę. I pogrążyła całe Panem w chaosie.

W głowie dźwięczą mi słowa prezydenta Snowa, wypowiedziane w dniu rozpoczęcia Tournée Zwycięzców. „Katniss Everdeen, dziewczyno, która igrałaś z ogniem, wznieciłaś iskrę, która, nieugaszona, może zamienić się w piekło i zniszczyć Panem.” Okazuje się, że wcale nie przesadzał ani nie próbował mnie wystraszyć. Próbował, być

może, szczerze uzyskać moją pomoc. Jednak ja już wprawiłam w ruch coś, nad czym nie mam żadnej kontroli.

Pali się. Ciągłe się pali, myślę z odrętwieniem. Ogień w kopalniach wyrzuca dym na odległość. Nie został jednak nikt, kto by się tym przejmował. Więcej niż dziewięćdziesiąt procent mieszkańców dystryktu nie żyje. Pozostałe osiemset, czy coś koło tego, żyje jako uciekinierzy w Trzynastym Dystrykcie, co, jeśli o mnie chodzi, równa się pozostaniu bezdomnym na zawsze.

Wiem, że nie powinnam tak myśleć; wiem, że powinnam być wdzięczna za sposób, w jaki nas powitano. Chorych, rannych, umierających z głodu i nie oferujących nic w zamian. Jednak nie potrafię zignorować faktu, że Trzynasty Dystrykt odegrał znaczną rolę w zniszczeniu Dwunastki. To nie zwalnia mnie z poczucia winy — mam sporo do ignorowania. Ale bez nich nie byłabym częścią większego spisku, który ma na celu obalenie Kapitolu albo zgromadzenie środków, by to umożliwić.

Mieszkańcy Dwunastego Dystryktu nie zorganizowali ruchu oporu na własną rękę. Nie było o tym mowy. Po prostu mieli pecha, że mieli mnie. Niektórzy z ocalałych myślą jednak, że to szczęście w końcu uwolnić się od Dwunastego Dystryktu. Uciec od niekończącego się głodu i opresji, niebezpiecznych kopalni, od bata naszego ostatniego Głównego Strażnika Pokoju, Romulusa Threada. Znalezienie nowego domu wydaje się cudem, jako że do niedawna nie wiedzieliśmy nawet, że Trzynasty Dystrykt istnieje.

Ucieczkę ocalałych przypisać należy całkowicie Gale'owi, aczkolwiek przyznaje się do tego niechętnie. Kiedy tylko Ćwierćwiecze Poskromienia się skończyło — jak tylko zabrano mnie z areny — odcięto prąd w Dwunastym Dystrykcie, telewizory wyłączyły się i Złożysko stało się tak ciche, że ludzie mogli usłyszeć bicie serc innych. Nikt nie zaprotestował ani nie świętował tego, co zaszło na arenie. A mimo tego w ciągu piętnastu minut niebo pokryło się poduszkowcami i bomby zaczęły spadać na ziemię.

To Gale pomyślał o Łące, jednym z niewielu miejsc bez starych drewnianych domów przymocowanych pyłem węglowym. Poprowadził tych, których mógł, w tamtym kierunku, włączając w to moją mamę i Prim. Zorganizował ekipę, która zburzyła ogrodzenie — w tej chwili jedynie nieszkodliwą metalową barierę z wyłączonym prądem — i wprowadził ludzi do lasu. Zabrał ich do jedyne miejsce, które przyszło mu do głowy — jeziora, które mój ojciec pokazał mi w dzieciństwie. Stamtąd patrzyli jak odległe płomienie pochłaniają wszystko, co do tej pory znali.

O świcie bombowce dawno odleciały, ogień dogasał, ostatni maruderzy dołączyli. Mama i Prim zorganizowały miejsce dla rannych i próbowały leczyć ich tym, co udało im się znaleźć w lesie. Gale miał dwa komplety łuków i strzał, jeden nóż myśliwski, jedną sieć rybacką i ponad osiemset przerażonych ludzi do wykarmienia. Dzięki pomocy co silniejszych udało im się przeżyć trzy dni. Wtedy nagle pojawił się poduszkowiec, który ewakuował ich do Trzynastego Dystryktu, gdzie było więcej niż wystarczająco dużo

czystych, białych siedzib, mnóstwo ubrań i trzy posiłki dziennie. Siedziby miały nieszczęście znajdować się pod ziemią, ubrania były identyczne, a jedzenie raczej bez smaku, ale dla uciekinierów z Dwunastki były to mało ważne niedogodności. Byli bezpieczni. Opiekowano się nimi. Byli żywi i ochoczo przywitani.

Entuzjazm interpretowano jako życzliwość. Jednak człowiek imieniem Dalton, uciekinier z Dziesiątego Dystryktu, któremu udało się dotrzeć do Trzynastki pieszo kilka lat temu, zdradził mi prawdziwy powód. „Potrzebują was. Mnie. Potrzebują nas wszystkich. Jakiś czas temu była tu epidemia kiły, która zabiła wielu z nich, a mnóstwo innych uczyniła bezpłodnymi. Nowe było rozplodowe. Tak nas widzą.” W Dziesiątce pracował w gospodarstwie zajmującym się hodowlą bydła mięsnego utrzymując genetyczną różnorodność stada poprzez implantację głęboko zmrożonych krowich embrionów. Najprawdopodobniej ma rację co do Trzynastki, bo nie widuje się tu zbyt wielu dzieci. Ale co z tego? Nie trzymają nas w zagrodach, szkolą nas do pracy, dzieci są kształcone. Te powyżej czternastu lat otrzymały podstawowy stopień w wojsku i zwraca się do nich per „Żołnierzu”. Każdemu uciekinierowi władze Trzynastki automatycznie nadały obywatelstwo.

Mimo tego, nienawidzę ich. Ale, oczywiście, nienawidzę teraz prawie wszystkich. Siebie najbardziej.

Powierzchnia pod moimi stopami twardnieje i pod dywanem popiołów wyczuwam kamienie brukowe placu. Otacza go niewielka obwódka śmieci w miejscu, gdzie stały sklepy. Sterta poczerniałych gruzów zastąpiła Pałac Sprawiedliwości. Idę mniej więcej w kierunku piekarni, której właścicielem była rodzina Peety. Nie zostało nic poza roztopioną płytą piekarnika. Rodzice Peety, jego dwaj starsi bracia — żadne z nich nie dotarło do Trzynastki. Niewiele ponad tuzin tych, którzy uchodzili za zamożnych w Dwunastym Dystrykcie, uciekło od ognia. Peeta nie będzie miał do czego wracać. Poza mną...

Odchodzę od piekarni i wpadam na coś, tracę równowagę i zastaję siebie siedzącą na kawałku rozgrzanego przez słońce metalu. Łamię sobie głowę co to może być i wtedy przypominam sobie ostatnie ulepszenia placu wprowadzone przez Threada. Dyby, słupy do biczowania i to, pozostałości po szubienicy. Żle. Bardzo źle. Moje myśli zalewa strumień obrazów, które dręczą mnie, we śnie czy na jawie. Obrazy torturowanego Peety — podtapianego, palonego, kaleczonego, rażonego prądem, rozrywanego, bitego — gdy Kapitol próbuje uzyskać o rebelii informacje, których on nie posiada. Zaciskam powieki i próbuję dosięgnąć go poprzez setki kilometrów, przesłać myśli do jego umysłu, dać mu do zrozumienia, że nie jest sam. Ale jest. A ja nie mogę mu pomóc.

Biegnę. Uciekam od placu i zmierzam do jedyne miejsca, którego ogień nie zniszczył. Mijam gruzы domu burmistrza, gdzie mieszkała moja przyjaciółka, Madge. Nic nie wiadomo o niej ani o jej rodzinie. Czy zostali ewakuowani do Kapitolu z uwagi na

pozycję jej ojca, czy pozostawieni płomieniom? Popiół unosi się wokół mnie i naciągam brzeg koszuli na usta. To nie myśl o tym co wdycham, a kogo, grozi zadławieniem.

Trawa została wypalona i szary śnieg leży także tutaj, ale dwanaście pięknych domów Wioski Zwycięzców pozostaje nietkniętych. Wślizguję się do domu, w którym żyłam przez ostatni rok, zatrzaskuję drzwi i opieram się o nie plecami. Miejsce wydaje się nietknięte. Czyste. Potwornie ciche. Po co wróciłam do Dwunastki? Jak ta wizyta może pomóc mi odpowiedzieć sobie na pytanie, od którego nie mogę uciec?

— Co mam zrobić? — szepczę do ścian. Bo naprawdę nie wiem.

Ludzie wciąż mówią do mnie, mówią, mówią, mówią. Plutarch Heavensbee. Jego asystentka, Fulvia Cardew. Mieszanka przywódców dystryktu. Oficerowie wojska. Ale nie Alma Coin, prezydent Trzynastki, która jedynie obserwuje. Ma około pięćdziesięciu lat i siwe włosy, które opadają jej na ramiona bez najmniejszego załamania. Jej włosy fascynują mnie w pewien sposób, jako że są tak jednolite, bez skazy, odstającego kosmyka, czy choćby rozdwojonej końcówki. Jej oczy są szare, ale nie takie, jak u ludzi ze Złożyska. Są bardzo blade, jakby niemal cały kolor został z nich wyspany. Koloru brudnego śniegu, który chcesz, by się roztopił.

Chcę, bym w pełni podjęła się roli, którą dla mnie przeznaczyli. Symbolu rebelii. Kosogłosa. Nie wystarczy to, co już zrobiłam, przeciwstawiając się Kapitolowi w Igrzyskach, dostarczając punktu wyjścia. Teraz muszę się stać prawdziwą przywódczynią, twarzą, głosem, uosobieniem powstania. Osobą, która wskaże dystryktom — których większość jest w stanie otwartej wojny z Kapitołem — drogę ku zwycięstwu. Nie będę musiała robić tego sama. Mają cały zespół ludzi, który mnie odnowi, ubierze, napisze przemowy, pokieruje wystąpieniami — jakby to nie brzmiało przerażająco znajomo — i wszystko, co muszę zrobić, to odegrać swoją rolę. Czasami ich słucham, a czasami po prostu obserwuję idealną linię włosów Coin i próbuję zgadnąć czy to peruka. Ostatecznie wychodzę z sali, bo moja głowa zaczyna boleć albo jest pora posiłku, albo jeśli nie wydostanę się na powierzchnię, mogę zacząć krzyczeć. Nie zawracam sobie głowy mówieniem czegokolwiek. Po prostu wstaję i wychodzę.

Wczoraj popołudniu, kiedy drzwi zamykały się za mną, usłyszałam jak Coin mówi: „Mówiłam wam, że powinniśmy najpierw uratować chłopca.” Miała na myśli Peetę. Nie mogłabym się nie zgodzić. Byłby wspaniałym rzecznikiem rebelii.

A kogo wyłowili z areny zamiast niego? Mnie, a ja nie współpracuję. Beeteego, starszego wynalazcę z Trójki, którego widuję rzadko, ponieważ został zaangażowany w rozwój broni w chwili, w której tylko mógł siedzieć prosto. Dosłownie, zawieźli go na szpitalnym łóżku do jakiegoś ściśle tajnego miejsca i teraz pojawia się jedynie okazjonalnie podczas posiłków. Jest bardzo bystry i bardzo chce pomóc sprawie, ale nie bardzo nadaje się na podżegacza. Jest jeszcze Finnick Odair, symbol seksu z dystryktu specjalizującego się w połowie ryb, który utrzymywał Peetę przy życiu na arenie, kiedy ja

nie mogłam. Również Finnicka chcą przekształcić w przywódcę buntowników, ale najpierw będą musieli utrzymać jego uwagę dłużej niż przez pięć minut. Nawet kiedy jest przytomny, trzeba powtarzać mu wszystko trzy razy, by dotarło to do jego mózgu. Lekarze mówią, że to skutek porażenia prądem, którego doznał na arenie, ale ja wiem, że to dużo bardziej skomplikowane. Wiem, że Finnick nie może się skupić na niczym w Trzynastce, ponieważ usilnie próbuje dostrzec co się dzieje w Kapitolu z Annie, szaloną dziewczyną z jego dystryktu, która jest jedyną osobą na świecie, którą on kocha.

Pomimo sporych zastrzeżeń, muszę wybaczyć Finnickowi jego udział w konspiracji, która sprowadziła mnie tutaj. On ma przynajmniej jakieś pojęcie o tym, przez co przechodzę. A poza tym, zbyt wiele energii pochłania złość na kogoś, kto ciągle płacze.

Poruszam się cicho jak myśliwy, próbując nie wydawać żadnych dźwięków. Zabieram kilka pamiątek: ślubne zdjęcie rodziców, niebieską wstążkę do włosów dla Prim, rodzinną książkę leczniczych i jadalnych roślin. Książka otwiera się na stronie z żółtymi kwiatami i zamykam ją szybko, bo to pędzel Peety je namalował.

Co mam zrobić?

Czy w ogóle jest jakiś cel robienia czegokolwiek? Moja mama, siostra i rodzina Gale'a wreszcie są bezpieczne. Co do reszty ludzi z Dwunastki, są albo martwi, czego nie da się odwrócić, albo chronieni w Trzynastce. To pozostawia buntowników w dystryktach. Oczywiście nienawidzę Kapitolu, ale nie mam pewności, że gdy zmienię się w Kosogłosa, pomogę tym, którzy próbują go obalić. Jak mogę pomóc dystryktom, jeśli moje ruchy powodują jedynie cierpienie i utratę życia? Starzec zastrzelony w Jedenastce za gwizdanie. Rygor wprowadzony w Dwunastce po tym, jak przeszkodziłam w biczowaniu Gale'a. Mój stylistka, Cinna, wywleczony — zakrwawiony i nieprzytomny — z Sali Ekspedycyjnej przed Poskromieniem. Źródła Plutarcha potwierdzają, że został zabity podczas przesłuchania. Genialny, tajemniczy, kochany Cinna jest martwy przeze mnie. Odpycham tę myśl, bo jest zbyt bolesna, by się nad nią rozwodzić bez całkowitej utraty mojej kruchej kontroli nad sobą.

Co mam zrobić?

Stać się Kosogłosem... czy jakiegokolwiek dobro, które spowoduję, może przeważać szkody? Czyjej odpowiedzi na to pytanie mogę zaufać? Na pewno nie zespołu z Trzynastki. Przysięgam, teraz, kiedy rodziny moja i Gale'a są bezpieczne, mogłabym uciec. Tyle że pozostaje jeszcze jedna część układanki. Peeta. Gdybym wiedziała na pewno, że jest martwy, mogłabym po prostu zniknąć w lesie i nigdy nie oglądać się za siebie. Ale dopóki się nie dowiem, utknęłam.

Obracam się na pięcie, kiedy słyszę syczenie. W drzwiach kuchni, z wygiętym grzbietem i położonymi po sobie uszami, stoi najbrzydszy kot świata.

— Jaskier — mówię.

Tysiące ludzi zginęło, ale on przeżył i nawet wygląda na dobrze odżywionego. Czym? Może wejść i wyjść z domu przez okno w spiżarni, które zawsze zostawiamy uchylone. Musiał się żywić polnymi myszami. Odrzucam rozważenie alternatywy.

Przykucam i wyciągam rękę.

— Chodź tu, kolego.

Nie ma mowy. Jest zły, że go opuszczono. Poza tym, nie proponuję jedzenia, a moja zdolność zapewnienia mu resztek zawsze była dla niego moją najbardziej odkupieńczą cechą. Przez jakiś czas, kiedy spotykaliśmy się w starym domu, bo oboje nie polubiliśmy nowego, wydawaliśmy się zacieśniać więzi. Najwyraźniej to się skończyło. Mruży te swoje nieprzyjemne żółte oczy.

— Chcesz zobaczyć Prim? — pytam.

Jej imię zwraca jego uwagę. Poza jego własnym, to jedyne słowo, które coś dla niego znaczy. Miauczy cicho i podchodzi do mnie. Podnoszę go za futro, po czym podchodzę do szafy i wyciągam z niej moją torbę myśliwską, i bezceremonialnie wpycham go do środka. Nie ma innego sposobu, by przenieść go do poduszkowca, a znaczy bardzo dużo dla mojej siostry. Jej koza, Dama, zwierzę o realnej wartości, niestety się nie pokazała.

Słyszę w słuchawce głos Gale'a, który mówi mi, że musimy wracać. Jednak torba myśliwska przypomina mi o jeszcze jednej rzeczy, którą chcę zabrać. Zawieszam pasek torby na oparciu krzesła i biegnę po schodach do sypialni. W szafie wisi kurtka myśliwska mojego ojca. Przed Ćwierćwieczem Poskromienia przyniosłam ją tutaj ze starego domu, myśląc, że może być ona pocieszeniem dla mojej mamy i siostry, kiedy będę martwa. Dzięki Bogu, bo inaczej zmieniłaby się w popiół.

Delikatna skóra zdaje się uspokajać mnie, przez moment nachodzą mnie kojące wspomnienia godzin, które spędziłam otulona nią. Wtedy, bez powodu, moje dłonie zaczynają się pocić. Dziwne wrażenie skrada się w górę mojego karku. Obracam się twarzą do pokoju, który okazuje się pusty. Uporządkowany. Wszystko na swoim miejscu. Żaden dźwięk mnie nie zaalarmował. Co w takim razie?

Marszczę nos. To zapach. Mdły i sztuczny. Odrobina bieli wygląda z wazonu zwiędłych kwiatów na szafce. Podchodzę do niego ostrożnie. Przycmiona przez swoich zakonserwowanych kuzynów, w wazonie stoi świeża biała róża. Idealna. Do ostatniego kolca i jedwabnego płatka.

Natychmiast wiem kto mi ją przysłał.

Prezydent Snow.

Kiedy zaczynam dławić się jej smrodem wycofuję się i wychodzę z pokoju. Jak długo tu była? Dzień? Godzinę? Buntownicy dokładnie sprawdzili Wioskę Zwycięzców — w poszukiwaniu ładunków wybuchowych, pluskw, czegokolwiek niezwykłego — zanim

pozwolono mi tu przyjść. Może jednak róża nie wydała im się warta uwagi. Ale mnie owszem.

Na dole zdejmuję torbę z krzesła, uderzając nią o podłogę dopóki nie przypominam sobie, że jest zajęta. Na trawniku gorączkowo daję znaki poduszkowcowi, podczas gdy Jaskier załatwia swoje potrzeby. Dźgam go łokciem, ale to go jedynie rozwściecza. Poduszkowiec pojawia się nagle i drabina spada na dół. Wchodzę na nią i strumień prądu unieruchamia mnie do czasu aż znajduję się na pokładzie.

Gale pomaga mi z drabiną.

— Wszystko w porządku?

— Taa — mówię, wycierając rękawem pot z twarzy.

Zostawił mi różę! Mam ochotę krzyczeć, ale to nie jest coś, czym mogłabym się podzielić z kimś takim jak przyglądający mi się Plutarch. Po pierwsze, to zabrzmiałoby jak bełkot szaleńca. Jakbym sobie to wyobraziła, co jest całkiem możliwe, albo jakby moja reakcja była mocno przesadzona, czym wykupiłabym sobie podróż powrotną do wywołanej przez leki baśniowej krainy, z której tak bardzo próbuję się wyrwać. Nikt nie zrozumie tego w pełni — że to nie tylko kwiat, nie nawet kwiat prezydenta Snowa, ale obietnica zemsty — bo nikt poza mną nie siedział z nim w gabinecie, kiedy groził mi przed Tournée Zwycięzców.

Pozostawiona na szafce, ta biała-jak-śnieg róża jest wiadomością dla mnie. Przypomina o niedokończonych sprawach. Szepcze, Mogę cię znaleźć. Mogę cię dosięgnąć. Być może właśnie cię obserwuję.

2.

Czy poduszkowce Kapitolu spieszą za nami, by zdmuchnąć nas z nieba? Podczas podróży nad Dwunastym Dystryktem z niepokojem wyczekuję znaków oznaczających atak, ale nic nas nie goni. Po kilku minutach, kiedy słyszę wymianę zdań między Plutarchem a pilotem, potwierdzającą, że przestrzeń powietrzna jest czysta, nieco się uspokajam.

Gale kiwa głową w kierunku skowytu dochodzącego z mojej torby myśliwskiej.

— Teraz już wiem dlaczego musiałaś wrócić.

— Jeśli był choćby cień szansy na jego odzyskanie. — Zrzucam torbę na siedzenie, a to wstrętne stworzenie zaczyna wydawać z siebie niski gardłowy pomruk. — Och, zamknij się — mówię do torby i siadam na wyłożonym poduszkami siedzeniu przy oknie.

Gale siada przy mnie.

— Bardzo źle tam na dole?

— Nie mogłoby być gorzej — odpowiadam.

Patrzę mu w oczy i widzę, że odbija się w nich moja własna żałoba. Nasze dłonie znajdują się nawzajem i trzymają się mocno aż do części Dwunastki, której jakimś cudem nie udało się Snowowi zniszczyć. Siedzimy w milczeniu przez resztę podróży do Trzynastki, która trwa jedynie około czterdziestu pięciu minut. Zaledwie tydzień pieszej wędrówki. Bonnie i Twill, uciekinierki z Ósmego Dystryktu, które spotkałam w lesie ostatniej zimy nie były więc wcale tak daleko od miejsca przeznaczenia. Najwyraźniej jednak nie udało im się do niego dotrzeć. Kiedy pytałam o nie w Trzynastce, nikt nie wydawał się wiedzieć o kim mówię. Zmarły w lesie, tak myślę.

Z powietrza Trzynastka wygląda równie radośnie co Dwunastka. Gruzy nie dymią tak, jak Kapitol pokazuje to w telewizji, ale nad ziemią nie ma prawie żadnych oznak życia. Przez siedemdziesiąt pięć lat od Mrocznych Dni — kiedy wmawiano ludziom, że Trzynastka została zmieciona z powierzchni ziemi w wojnie między Kapitołem i dystryktami — niemal wszystkie nowe budynki powstawały pod ziemią. Były tam już spore podziemne udogodnienia, rozwinięte na przestrzeni wieków albo jako tajna kryjówka przywódców rządu na czas wojny, albo jako ostatnie schronienie dla ludzkości, gdyby życie na powierzchni stało się niemożliwe. Najważniejsze dla Trzynastki jest to, że było to centrum kapitolińskiego programu rozwoju broni nuklearnej. Podczas Mrocznych Dni rebelianci z Trzynastki przejęli kontrolę nad siłami rządowymi, wycelowali nuklearne pociski w Kapitol i zawarli z nim umowę: będą udawali martwych, jeśli pozostawi się ich w spokoju. Kapitol miał jeszcze jedną fabrykę broni nuklearnej na wschodzie, ale atak na Trzynastkę groził odwetem. Zmuszony był więc zaakceptować umowę. Kapitol zburzył widoczne pozostałości dystryktu i odciął dostęp z zewnątrz. Być może przywódcy Kapitolu myśleli, że, pozbawiona pomocy, Trzynastka umrze śmiercią naturalną. Kilka razy prawie

do tego doszło, ale zawsze udało jej się jakoś wylizać dzięki surowemu podziałowi środków, ciężkiej dyscyplinie i ciągłej czujności w sprawie potencjalnych ataków Kapitolu.

Teraz obywatele żyją niemal wyłącznie pod ziemią. Można wyjść na zewnątrz w celach ćwiczeniowych i dla światła słonecznego, ale jedynie w ściśle określonych godzinach oznaczonych w indywidualnym planie dnia. Nie można pominąć planu dnia. Codziennie powinno się przyłożyć prawe ramię do urządzenia wbudowanego w ścianę. Ono tatuuje plan dnia na przedramieniu bladopurpurowym atramentem. 7:00 — Śniadanie. 7:30 — Obowiązki w kuchni. 8:30 — Centrum Szkolenia, Sala 17. I tak dalej. Atrament jest niezmywalny aż do 22:00 — Kąpiel. Wtedy cokolwiek sprawia, że jest wodoodporny, przestaje działać i cały plan spływa. Zgaśnięcie światła o 22:30 oznacza, że wszyscy poza nocną wartą powinni być w łóżkach.

Początkowo, kiedy leżałam chora w szpitalu, mogłam zapomnieć o naznaczaniu. Ale kiedy przeniosłam się do Oddziału 307 z mamą i siostrą, spodziewano się, że dołączę do programu. Jednak poza pojawianiem się na posiłkach, niemal całkowicie ignoruję słowa wybite na moim ramieniu. Po prostu wracam do naszej siedziby albo włączę się po Trzynastce, albo zasypiam w jakimś ukrytym miejscu. W opuszczonym kanale wentylacyjnym. Za rurami kanalizacji w pralni. Jest też schowek w Centrum Szkolenia, który wydaje się świetny, bo nikt nie zdaje się potrzebować szkolnych przyborów. Są tutaj tak potwornie oszczędni; marnotrawstwo jest traktowane niemal jak zbrodnia. Na szczęście ludzie z Dwunastki nigdy nie należeli do rozrzutnych. Ale kiedyś zobaczyłam jak Fulvia Cardew zgniata kartkę papieru z jedynie kilkoma słowami zapisanymi na niej i można by pomyśleć, że kogoś zamordowała, wnioskując ze spojrzeń, którymi ją obdarzono. Zaczerwieniła się jak burak, sprawiając, że inkrustowane na jej pulchnych policzkach srebrne kwiaty stały się jeszcze bardziej widoczne. Żywy portret przesady. Jedną z moich niewielu rozrywek w Trzynastce jest obserwowanie jak garstka kapitolieńskich „rebeliantów” wije się, próbując się dostosować.

Nie wiem jak długo uda mi się uniknąć odpowiedzialności za mój całkowity brak poważania dla dokładnie wyliczonego planu zajęć, w których wymagane jest uczestnictwo. Na chwilę obecną zostawiają mnie w spokoju, bo zostałam sklasyfikowana jako mentalnie zdezorientowana — tak twierdzi moja plastikowa medyczna bransoletka — i wszyscy muszą tolerować moje rozbicie. Ale to nie potrwa wiecznie. Tak jak i ich cierpliwość w sprawie Kosogłosa.

Gale i ja schodzimy z lądowiska po serii schodów do Oddziału 307. Mogliśmy jechać windą, tylko że za bardzo mi ona przypomina tę, która wyniosła mnie na arenę. Ciężko mi się przystosować do przebywania tak długo pod ziemią. Ale po surrealistycznym spotkaniu z różą, po raz pierwszy czuję się bezpiecznie po zejściu pod ziemię.

Waham się przed drzwiami oznaczonymi numerem 307, zastanawiając się o co może zapytać moja rodzina.

— Co mam im powiedzieć o Dwunastce? — pytam Gale'a.

— Wątpię, by pytały o szczegóły. Widziały jak płonie. Będą bardziej zmartwione tym, jak ty sobie z tym radzisz. — Gale dotyka mojego policzka. — Jak i ja się martwię.

Przez moment przyciskam twarz do jego dłoni.

— Przeżyję.

Biorę głęboki oddech i otwieram drzwi. Moja mama i siostra są w domu na 18:00 — Zadumę, pół godziny przerwy przed kolacją. Widzę troskę na ich twarzach, kiedy próbują ocenić mój stan emocjonalny. Zanim ktokolwiek o coś spytał, opróżniam torbę myśliwską i zaczyna się 18:00 — Podziwianie kota. Prim po prostu siedzi na podłodze, szlochając i kołysząc tego wstrętnego Jaskra, który przerywa mruczenie jedynie po to, by czasami na mnie prychnąć. Obdarza mnie wyjątkowo zadowolonym spojrzeniem, kiedy Prim zawiązuje mu wokół szyi niebieską wstążkę.

Mama przyciska mocno do piersi swoje ślubne zdjęcie i kładzie je, razem z księgą roślin, na naszej przydzielonej przez rząd komodzie. Wieszam kurtkę ojca na oparciu krzesła. Przez chwilę to miejsce niemal przypomina dom. Wydaje się więc, że wycieczka do Dwunastki nie była całkowitą stratą czasu.

Udajemy się do jadalni na 18:30 — Kolację, kiedy komunikator Gale'a zaczyna wydawać sygnał. Wygląda jak za duży zegarek, ale odbiera drukowane wiadomości. Posiadanie komunikatora jest przywilejem zarezerwowanym dla tych, którzy są istotni dla sprawy; Gale uzyskał ten status ratując mieszkańców Dwunastki.

— Potrzebują nas oboje w Centrum Dowodzenia — mówi.

Wlokąc się kilka kroków za Gale'em, próbuję zebrać się w sobie zanim zostanę zapoznana z kolejnymi planami dotyczącymi Kosogłosa. Przystaję w drzwiach Centrum Dowodzenia, wysoko wyspecjalizowanej sali spotkań rady wojennej ze skomputeryzowanymi mówiącymi ścianami, elektronicznymi mapami ukazującymi posunięcia wojsk w dystryktach i ogromnym prostokątnym stołem z panelem kontrolnym, którego nie powinnam dotykać. Nikt jednak nie zwraca na mnie uwagi, ponieważ wszyscy zebrali się przed ekranem telewizora w dalekim końcu sali, który na okrągło pokazuje transmisje z Kapitolu. Zaczynam myśleć, że będę mogła umknąć, kiedy Plutarch, którego szeroka postura blokowała widok telewizora, napotyka mój wzrok i macha do mnie gorączkowo, chcąc sprawić, bym do nich dołączyła. Niechętnie ruszam do przodu, nie potrafiąc sobie wyobrazić, by pokazywali coś, co mogłoby mnie zainteresować. Zawsze jest to samo. Materiał z wojny. Propaganda. Odtwarzanie na nowo bombardowania Dwunastego Dystryktu. Złowroga wiadomość od prezydenta Snowa. Niemal zabawnie jest więc zobaczyć Caesara Flickermana, odwiecznego gospodarza Igrzysk Śmierci, z jego wymalowaną twarzą i błyszczącym garniturem, przygotowującego się do poprowadzenia

wywiadu. Przynajmniej dopóki kamera się nie wycofuje, a ja nie zauważam, że jego gościem jest Peeta.

Wydaję z siebie dźwięk. Taką samą mieszaninę dyszenia i jęku, jaką wydobywają z siebie zanurzeni w wodzie, pozbawieni tlenu do takiego stopnia, że aż boli. Odpycham ludzi aż znajduję się naprzeciwko niego z ręką na ekranie. Przeszukuję jego oczy w poszukiwaniu oznak bólu, jakiegokolwiek odbicia cierpienia spowodowanego torturami. Nic nie znajduję. Peeta wygląda zdrowo, krzepko. Jego skóra błyszczący, nieskazitelna, jakby wypolerowano mu całe ciało. Jest opanowany, poważny. Nie potrafię pogodzić tego obrazu ze sponiewieranym, zakrwawionym chłopcem, który nawiedza moje sny.

Caesar rozsiada się wygodnie na krześle naprzeciwko Peety i obdarza go długim spojrzeniem.

— Więc... Peeta... witaj ponownie.

Peeta uśmiecha się delikatnie.

— Założę się, że myślałeś, że przeprowadziłeś ze mną ostatni wywiad, Caesarze,

— Przyznaję, że tak właśnie myślałem — mówi Caesar. — Nocą przed Igrzyskami Ćwierćwiecza... cóż... kto by pomyślał, że znowu się zobaczymy?

— Taki był mój plan, zapewniam — mówi Peeta, marszcząc brwi.

Caesar pochyla się ku niemu nieznacznie.

— Myślę, że dla wszystkich było oczywiste jaki był twój plan. Poświęcić siebie na arenie, by Katniss Everdeen i wasze dziecko mogli przetrwać.

— Właśnie tak. Jasny i prosty. — Palce Peety błędzą po tapicerowanym wzorze na ramieniu krzesła. — Ale inni ludzie też mieli plany.

Tak, inni ludzie mieli plany, myślę. Czy Peeta odgadł zatem, że rebelianci posłużyli się nami niczym pionkami w grze? Że mój ratunek był zaplanowany od samego początku? I w końcu, że nasz mentor, Haymitch Abernathy, zdradził nas oboje dla sprawy, którą zdawał się całkowicie ignorować?

W ciszy, która nastaje, zauważam linie między brwiami Peety. Odgadł lub powiedziano mu. Ale Kapitol gonię zabił ani nawet nie ukarał. Na chwilę obecną, to przerasta moje najśmielsze nadzieje. Pochłaniam jego całość, zdrowie ciała i umysłu. Przepływa to przeze mnie jak morfalina, którą podają mi w szpitalu, tłumiąc ból ostatnich tygodni.

— Opowiedz nam o tej ostatniej nocy na arenie — prosi Caesar. — Pomóż nam rozwikłać kilka spraw.

Peeta przytakuje, ale nie spieszy się z rozpoczęciem.

— Tej ostatniej nocy... opowiedzieć o ostatniej nocy... cóż, po pierwsze, musicie sobie wyobrazić jak człowiek czuje się na arenie. Zupełnie jak owad uwięziony w misce z parującym powietrzem. Wszystko wokół was, dżungla... zielone, żywe i tykające. Ogromny zegar odmierzający czas waszego życia. Każda godzina obiecująca nowy horror.

Musicie sobie wyobrazić, że przez dwa ostatnie dni zginęło szesnaścioro ludzi — niektórzy z nich w waszej obronie. W takim tempie pozostałych ośmioro będzie martwych przed rankiem. Ocalcie jednego z nich. Zwycięzcę. A wasz plan zakłada, że to nie wy nim zostanieie.

Moje ciało zaczyna się pocić na wspomnienie tamtych wydarzeń. Dłoń zjeżdża z ekranu i zwisa bezwładnie u mojego boku. Peeta nie potrzebuje pędzla, by malować obrazy z Igrzysk. Równie dobrze idzie mu ze słowami.

— Kiedy jesteście na arenie, reszta świata staje się niezwykle odległa — ciągnie. — Wszyscy ludzie, których kochaliście lub na których wam zależało niemal przestają istnieć. Różowe niebo i potwory z dżungli, i trybuci pragnący waszej krwi stają się waszą ostateczną rzeczywistością, jedynym, co kiedykolwiek się liczyło. Choć to sprawia, że czujecie się bardzo źle, musicie zabijać, bo na arenie chcecie tylko jednego. A to bardzo kosztowne.

— Odbiera życie — mówi Caesar.

— Och nie. To odbiera zdecydowanie więcej niż życie. Mordowanie niewinnych ludzi? — mówi Peeta. — Odbiera wszystko to, czym jesteś.

— Wszystko czym jesteś — powtarza cicho Caesar.

Cisza zapanowała w pokoju i czuję jak rozprzestrzenia się na całe Panem. Cały naród pochylający się w kierunku ekranów telewizorów. Bo jeszcze nikt wcześniej nie opowiadał o tym, jak to naprawdę jest być na arenie.

Peeta kontynuuje:

— Więc czepiasz się tego pragnienia. Tej ostatniej nocy, tak, moim pragnieniem było ocalić Katniss. Ale nawet bez wiedzy o buntownikach, czułem się źle. Wszystko było zbyt skomplikowane. Żałowałem, że nie uciekłem z nią wcześniej, jak mi zaproponowała. Ale nie było już jak uciec w tym momencie.

— Za bardzo zaangażowaliście się w plan Beetee'ego, by porazić prądem słone jezioro, mówi Caesar.

— Zbyt zajęci graniem sprzymierzeńców z innymi. Nie powinienem nigdy pozwolić im nas rozdzielić! — wybucha Peeta. — Wtedy ją straciłem.

— Kiedy zatrzymaliście się przy drzewie, a ona z Johanną Mason zabrały zwój drutu do wody — wyjaśnia Caesar.

— Nie chciałem tego! — Peeta rumieni się z emocji. — Ale nie mogłem klócić się z Beetee'm bez ujawnienia, że mamy zamiar złamać sojusz. Kiedy przewód został odcięty, wszystko nagle zaczęło wariować. Pamiętam tylko skrawki. Jak próbuję ją znaleźć. Jak Brutus zabija Chaffa. Jak sam zabijam Brutusa. Wiem, że krzyczała moje imię. Potem piorun uderzył w drzewo, a pole siłowe wokół areny... eksplodowało.

— Katniss je wysadziła, Peeta — mówi Caesar. — Widziałeś materiał filmowy.

— Nie wiedziała, co robi. Żadne z nas nie nadało za planem Beetee'ego. Widać, że zastanawia się, co zrobić z tym drutem — przerywa mu Peeta.

— W porządku. Ale to wygląda podejrzanie — mówi Caesar. — Jakby była częścią planu buntowników od samego początku.

Peeta wstaje, pochyla się nad twarzą Caesara i opiera dłonie na ramionach jego krzesła.

— Naprawdę? A czy częścią jej planu było niemal umrzeć z rąk Johanny? Zostać sparaliżowaną przez prąd? Dać sygnał bombardowaniu? — wrzeszczy. — Nie wiedziała, Caesarze! Żadne z nas nie wiedziało nic poza tym, że próbowaliśmy utrzymać się nawzajem przy życiu!

Caesar kładzie dłoń na klatce piersiowej Peety, jednocześnie w geście samoobrony i współczucia.

— W porządku, Peeta, wierzę ci.

— To dobrze. — Peeta wycofuje się, zabierając dłonie, zatapiając je we włosach, niszcząc pieczołowicie ułożone blond loki. Osuwa się na krzesło, niemal szalony.

Caesar oczekuje chwilę, obserwując Peetę.

— A co z waszym mentorem, Haymitchem Abernathym?

Twarz Peety tężeje.

— Nie wiem, co Haymitch wiedział.

— Czy mógł brać udział w konspiracji? — pyta Caesar.

— Nigdy o tym nie wspomniał — mówi Peeta.

Caesar naciska na niego.

— A co ci mówi serce?

— Że nie powinienem być mu wierzyć — mówi Peeta. — To wszystko.

Nie widziałam Haymitcha odkąd zaatakowałam go w poduszkowcu, zostawiając na jego twarzy długie ślady po zadrapaniu. Wiem, że ciężko znosi życie tutaj. Trzynasty Dystrykt ściśle zakazuje produkcji i spożywania toksycznych napojów i nawet szpitalny spirytus trzymany jest pod kluczem. W końcu Haymitch zmuszony jest do bycia trzeźwym, pozbawiony tajnych zapasów tłoczonego domowymi sposobami bimbrowi, który pomógłby mu znieść ten przeskok. Trzymają go w odosobnieniu do czasu, kiedy będzie czysty i uważa się go za nieodpowiedniego do publicznego pokazywania się. To musi być przerażające, ale straciłam całe współczucie dla Haymitcha, kiedy zdałam sobie sprawę, że nas oszukał. Mam nadzieję, że ogląda transmisję z Kapitolu i widzi, że i Peeta go odrzucił.

Caesar klepie Peetę po ramieniu.

— Możemy już przestać, jeśli chcesz.

— A czy jest jeszcze o czym rozmawiać? — Peeta krzywi się.

— Chciałem dowiedzieć się, co myślisz o wojnie, ale jeśli jesteś zbyt zdenerwowany... — zaczyna Caesar.

— Och, nie jestem zbyt zdenerwowany, by odpowiedzieć na to pytanie. — Peeta bierze głęboki oddech, po czym patrzy prosto w kamerę. — Chcę, by wszyscy, którzy to oglądają — nieważne czy jesteście po stronie Kapitolu, czy rebeliantów — poświęcili moment i pomyśleli o tym, co ta wojna może znaczyć. Dla ludzkości. Prawie wyginęliśmy walcząc poprzednim razem. Teraz nasze szeregi są jeszcze bardziej przerzedzone. Warunki mniej sprzyjające. Czy tego właśnie chcemy? Powybijają się nawzajem? W nadziei, że... co? Jakież przyzwoite gatunki odziedziczą płonące szczątki ziemi?

— Nie do końca... Nie jestem pewien czy dobrze rozumiem... — mówi Caesar.

— Nie możemy ze sobą walczyć, Caesarze — wyjaśnia Peeta. — Zostanie nas zbyt mało, by dalej funkcjonować. Jeżeli wszyscy nie odłożą broni — i to bardzo szybko — to i tak będzie koniec.

— Więc... apelujesz o zawieszenie broni? — pyta Caesar.

— Tak. Apeluję o zawieszenie broni — mówi Peeta zmęczonym głosem. — A teraz może poprosimy strażników, by odprowadzili mnie do moich kwater, bym mógł zbudować kolejne sto domków z kart?

Caesar odwraca się do kamery.

— W porządku. Myślę, że to wszystko. Wracamy do naszego zaplanowanego programu.

Muzyka rozbrzmiewa, gdy wywiad się kończy i pojawia się kobieta, która odczytuje listę spodziewanych cięć w Kapitolu — świeże owoce, baterie słoneczne, mydło. Obserwuję ją z nienaturalnym zaangażowaniem, bo wiem, że wszyscy będą oczekiwać mojej reakcji. Ale nie ma mowy, bym przyswoiła to sobie tak szybko — radość na widok Peety żywego i nie skrzywdzonego, obrona mojej niewinności w sprawie współpracy z rebeliantami i jego niezaprzeczalna współpraca z Kapitołem, skoro zaapelował o zawieszenie broni. To zabrzmiało tak, jakby potępiał obie walczące strony. Ale w tej chwili, z jedynie niewielkimi zwycięstwami na koncie rebeliantów, zawieszenie broni byłoby powrotem do sytuacji sprzed wybuchu wojny. Albo jeszcze gorzej.

Za mną słyszę kierowane pod adresem Peety oskarżenia. Zdrajca, kłamca i wróg odbijają się od ścian. Jako że nie mogę przyłączyć się do obrażania go z rebeliantami ani sprzeciwić się im, decyduję, że najlepiej będzie się ulotnić. Kiedy docieram do drzwi, głos Coin dociera do mnie ponad innymi.

— Nie zostałaś zwolniona, Żołnierzu Everdeen.

Jeden z ludzi Coin kładzie dłoń na moim ramieniu. To nie jest agresywny ruch, naprawdę, ale po przeżyciach z areny, reaguję defensywnie na każdy nieznany dotyk. Wyszarpuję ramię z uścisku i zaczynam biec korytarzami w dół. Słyszę odgłosy przepychanki, ale się nie zatrzymuję. Przeglądam w myślach zbiór moich dziwnych

kryjówek i zamykam się w schowku z zaopatrzeniem, skulona naprzeciwko skrzynki kredy.

— Żyjesz — szepczę, przyciskając dłonie do policzków, czując, że moje usta formują się w uśmiech tak szeroki, że musi wyglądać jak grymas. Peeta żyje. I zdradził. Ale w tej chwili wcale mnie to nie obchodzi. Nieważne co powiedział lub do kogo, ale że w ogóle może jeszcze mówić.

Po chwili drzwi się otwierają i ktoś wślizguje się do środka. Gale osuwa się obok mnie, z jego nosa cieknie krew.

— Co się stało? — pytam.

— Stałem na drodze Boggsowi — odpowiada, wzruszając ramionami. — Wycieram jego nos swoim rękawem. — Uważaj!

Próbuję być łagodniejsza. Poklepywanie, nie wycieranie.

— Który z nich to Boggs?

— Och, no wiesz. Prawa ręka Coin. Ten, który próbował cię zatrzymać. — Odpycha moją rękę. — Przestań! Sprawisz, że wykrwawię się na śmierć.

Struga krwi zmieniła się w nieprzerwany potok. Rezygnuję z prób udzielenia pierwszej pomocy.

— Walczyłeś z Boggsem?

— Nie, jedynie zablokowałem drzwi, kiedy chciał za tobą pójść. Jego łokieć uderzył mnie w nos — mówi Gale.

— Prawdopodobnie cię ukarzą — mówię.

— Już to zrobili. — Podnosi nadgarstek. Gapię się na niego nic nie rozumiejąc. — Coin zabrała mi komunikator.

Przygryzam wargę, starając się zachować powagę. Ale to wydaje się tak potwornie śmieszne.

— Przepraszam, Żołnierzu Gale'u Hawthorne.

— Nie ma za co, Żołnierzu Katniss Everdeen. — Szczerzy się. — Czułem się jak palant włączając się z tym wszędzie. — Oboje zaczynamy się śmiać. — Myślę, że to było coś jak degradacja.

To jedna z niewielu dobrych rzeczy w Trzynastce. Odzyskałam Gale'a. Kiedy wizja wymuszonego przez Kapitol mojego małżeństwa z Peetą rozwiązała się, udało nam się odzyskać naszą przyjaźń. On nie próbuje na mnie naciskać, byśmy zrobili jeszcze jeden krok — nie całuje mnie ani nie mówi o miłości. Albo ja byłam zbyt chora, albo on chciał mi dać więcej przestrzeni, albo wie, że to zbyt okrutne wobec więzionego przez Kapitol Peety. Jakkolwiek by nie było, znowu mam komu się zwierzać.

— Kim są ci ludzie? — pytam.

— To my. Gdybyśmy mieli broń atomową zamiast kopalni węgla — odpowiada.

— Wolę myśleć, że Dwunastka nie opuściłaby reszty rebeliantów podczas Mrocznych Dni — mówię.

— Moglibyśmy to zrobić. Gdybyśmy mieli wybór: poddać się albo rozpocząć wojnę atomową — mówi Gale. — W pewien sposób to niesamowite, że w ogóle przetrwali.

Może dlatego, że wciąż mam na butach popiół z mojego dystryktu, po raz pierwszy czuję wobec ludzi z Trzynastki coś, czego im odmawiałam: podziw. Za pozostanie przy życiu pomimo przeciwności. Ich wczesne lata musiały być straszne, kiedy tłoczyli się w grotach pod ziemią po tym, jak ich miasto zostało zmiecione z powierzchni ziemi. Ludność zdziesiątkowana, żadnych potencjalnych sojuszników, do których można by się zwrócić o pomoc. Przez ostatnie siedemdziesiąt pięć lat nauczyli się samowystarczalności, zmienili ludność w armię i zbudowali nowe społeczeństwo bez niczyjej pomocy. Byliby jeszcze silniejsi, gdyby ta epidemia kiły nie zmniejszyła wskaźnika urodzeń i nie sprawiła, że tak bardzo pragnęli nowego basenu genów i reproduktorów. Może mają wojskowe obycie, są przeprogramowani i nieco brakuje im poczucia humoru. Ale są tutaj. I chcą obalić Kapitol.

— Wciąż uważam, że sporo czasu zajęło im ujawnienie się — mówię.

— To nie było łatwe. Musieli zbudować podstawy rebelii w Kapitolu, zorganizować podziemie w dystryktach — mówi Gale. — Później potrzebowali kogoś, kto wprowadziłby mechanizm w ruch. Potrzebowali ciebie.

— Potrzebowali również Peety, ale zdaje się, że o tym zapomnieli.

Gale zasępia się.

— Peeta mógł wyrządzić wiele szkód dzisiejszego wieczoru. Większość rebeliantów natychmiast odrzuci to, o co apelował. Ale w niektórych dystryktach opór jest nikły. Zawieszenie broni to najpewniej pomysł prezydenta Snowa. Ale brzmi tak rozsądnie w ustach Peety.

Boję się odpowiedzi Gale'a, ale i tak pytam:

— Jak myślisz, dlaczego to powiedział?

— Mogli go torturować. Albo przekonać go. Mam wrażenie, że zawarł jakiś rodzaj ugody, by cię chronić. On zaproponuje zawieszenie broni, jeśli Snow pozwoli mu zaprezentować cię jako zagubioną dziewczynę w ciąży, która nie miała pojęcia co się dzieje, kiedy rebelianci porwali ją z areny. W ten sposób, jeśli dystrykty przegrają, wciąż będzie szansa na potraktowanie cię pobłażliwie. Jeśli dobrze to rozegrasz. — Muszę wyglądać na zakłopotaną, bo Gale wypowiada kolejne słowa bardzo wolno: — Katniss, on wciąż próbuje utrzymać cię przy życiu.

Utrzymać mnie przy życiu? Nagle zaczynam rozumieć. Igrzyska wciąż trwają. Opuściliśmy arenę, ale skoro i Peeta, i ja wciąż żyjemy, jego ostatnie pragnienie ocalenia mnie jest wciąż aktualne. Chce, bym leżała spokojnie, bezpieczna i uwięziona, podczas gdy wojna rozegra się sama. Wtedy żadna ze stron nie będzie miała powodu, by mnie

zabić. A Peeta? Jeśli zwyciężą buntownicy, skutki będą dla niego katastrofalne. Jeśli wygra Kapitol... kto wie? Może pozwolą nam obojgu żyć — jeśli dobrze to rozegram — by patrzeć na kolejne Igrzyska...

Obrazy przemykają przez mój umysł: oszczep przebijający ciało Rue na arenie, Gale zwisający bezwładnie przy słupie do biczowania, zaśmiecone zwłokami pustkowie mojego domu. I po co to wszystko? Po co? Krew burzy się we mnie, a ja przypominam sobie kolejne rzeczy. Pierwsze spojrzenie na powstanie w Ósmym Dystrykcie. Zwycięzcy trzymający się za ręce w noc przed Ćwierćwieczem Poskromienia. I że to nie był przypadek, że moja strzała trafiła w pole siłowe areny. Jak usilnie pragnęłam posłać ją głęboko w serce wroga.

Podnoszę się, przewracając pudełko z setką ołówków, rozrzucając je po podłodze.

— Co się dzieje? — pyta Gale.

— Nie będzie zawieszenia broni. — Pochylam się i wkładam słupki z ciemnym granitem z powrotem do pudełka. — Nie możemy zawrócić.

— Wiem. — Gale zgarnia garść ołówków i układa je na podłodze w równym rzędzie.

— Jakikolwiek powód miał Peeta, by to powiedzieć, myli się. — Głupie słupki nie chcą się zmieścić w pudełku i sfrustrowana łamię kilka z nich.

— Wiem. Daj to. Połamiesz je na kawałki. — Zabiera pudełko z moich rąk i wypełnia je szybkimi, sprawnymi ruchami.

— Nie wie co zrobili Dwunastce. Gdyby mógł zobaczyć jak tam wygląda... — zaczynam.

— Katniss, ja się z tobą nie kłócę. Gdybym mógł nacisnąć przycisk, który zabiłby wszystkich pracujących dla Kapitolu ludzi, zrobiłbym to. Bez wahania. — Wkłada ostatni ołówek do pudełka i zamyka pokrywkę. — Pytanie jest takie: co zrobisz?

Okazuje się, że pytanie, które zjadało mnie od środka, zawsze miało tylko jedną odpowiedź. Ale potrzebna mi była sztuczka Peety, bym to dostrzegła.

Co zrobię?

Biorę głęboki oddech. Moje ramiona unoszą się delikatnie — jakby przywołując czarno-białe skrzydła, które dostałam od Cinny — po czym opadają swobodnie.

— Zostanę Kosogłosem.

Oczy Jaskra odbijają słaby blask światła bezpieczeństwa ponad drzwiami, kiedy leży w zgięciu ramienia Prim. Wrócił do pracy, znów ochrania ją przed nocą. Prim tuli się do mamy. Wyglądają zupełnie tak samo, jak rankiem w dzień dożynek, kiedy po raz pierwszy wylądowałam w Igrzyskach. Ja mam własne łóżko, bo wciąż dochodzę do siebie i ponieważ i tak nikt nie chciałby ze mną spać, z moimi koszmarami i rzucaniem się na boki.

Pokaszuję i przewracam się na bok już kolejny raz w ciągu kilku godzin, i w końcu akceptuję fakt, że to będzie bezsenna noc. Pod czujnym okiem Jaskra, skradam się na palcach przez wyłożoną zimnymi kafelkami podłogę do szafki.

W środkowej szufladzie leży przyznane mi przez rząd ubranie. Wszyscy noszą takie same szare spodnie i koszulę podwiniętą w nadgarstkach. Pod ubraniem kryje się kilka przedmiotów, które miałam przy sobie, kiedy zabierano mnie z areny. Broszka z kosogłosem. Podarunek od Peety, złoty medalion ze zdjęciami mojej mamy, Prim i Gale'a w środku. Srebrny spadochron, w którym jest sączone i perła, którą Peeta dał mi kilka godzin przed tym, jak wysadziłam w powietrze pole siłowe. Trzynasty Dystrykt skonfiskował tubkę z maścią na skórę do użytku szpitalnego oraz mój łuk i strzały, bo tylko strażnicy mają pozwolenie na noszenie broni. Są przechowywane w zbrojowni.

Szukam spadochronu i przesuwam po nim palcami aż zamykają się na perle. Siadam z powrotem na łóżku ze skrzyżowanymi nogami, przesuwając delikatną opalizującą powierzchnię perły w tę i z powrotem po moich ustach. Z jakiegoś powodu mnie to uspokaja. Chłodny pocałunek ofiarodawcy.

— Katniss? — szepcze Prim. Nie śpi i przygląda mi się badawczo, wytyczając wzrok w mroku. — Co się dzieje?

— Nic. To tylko zły sen. Śpij dalej. — Robię to automatycznie. Odcinam mamę i Prim od własnych spraw, by je chronić.

Ostrożnie, by nie obudzić mamy, Prim ześlizguje się z łóżka, zgarnia Jaskra i siada obok mnie. Dotyka dłoni, która zamknęła w sobie perłę.

— Zimno ci. — Chwyta zapasowy koc leżący w nogach łóżka i owija nim całą naszą trójkę, dzieląc się ze mną swoim ciepłem i grzejącym futrem Jaskra. — Możesz mi powiedzieć, wiesz? Umiem strzec tajemnic. Nawet przed mamą.

A więc zupełnie zniknęła. Mała dziewczynka z koszulą wystającą z tyłu jak kaczy ogon, która potrzebowała pomocy w osiągnięciu talerzy i która usilnie chciała zobaczyć ozdobione ciasta na wystawie piekarni. Czas i zmartwienia zmusiły ją, by zmieniła się zbyt szybko, przynajmniej jak dla mnie, w młodą kobietę, która zszywa krwawiące rany i wie, że mama nie może usłyszeć wszystkiego.

— Jutro rano zgodzę się zostać Kosogłosem — mówię jej.

— Bo tego chcesz czy czujesz się do tego zmuszona? — pyta.

Śmieję się krótko.

— I to, i to, jak sędzę. Nie, chcę tego. Muszę to zrobić, jeśli to pomoże rebeliantom pokonać Snowa. — Jeszcze mocniej ściskam perłę w dłoni. — Tylko że... Peeta. Boję się, że jeśli zwyciężymy, buntownicy stracą go jak zdrajcę.

Prim zastanawia się nad tym przez chwilę.

— Katniss, myślę, że nie zdajesz sobie sprawy jak ważna jesteś dla całego przedsięwzięcia. Ważni ludzie zwykle dostają to, czego chcą. Jeśli chcesz zagwarantować Peecie bezpieczeństwo, to możesz to zrobić.

Pewnie rzeczywiście jestem ważna. Zadali sobie wiele trudu, by mnie uratować. Zabrali mnie do Dwunastki.

— Mówisz... że mogłabym zażądać nietykalności dla Peety? I że musieliby się na to zgodzić?

— Myślę, że mogłabyś zażądać niemal wszystkiego i musieliby się zgodzić. — Prim marszczy brwi. — Tylko skąd będziesz wiedziała, że dotrzymają słowa?

Pamiętam wszystkie kłamstwa jakich Haymitch naopowiadał Peecie i mnie, by skłonić nas do zrobienia tego, czego on chciał. Co powstrzyma rebeliantów od odstąpienia od umowy? Ustna obietnica za zamkniętymi drzwiami czy nawet spisana na papierze mogłyby zostać łatwo unieważnione po wojnie. Ich istnienie lub ważność zaprzeczone. Świadkowie z Centrum Dowodzenia na nic się nie zdadzą. Prawdopodobnie to oni wydaliby na Peetę wyrok śmierci. Potrzebuję szerszego grona świadków. Potrzebuję każdego, kogo uda się zgromadzić.

— Musieliby ogłosić to publicznie — mówię. Jaskier macha ogonem, co biorę za potwierdzenie. — Zmuszę Coin, by ogłosiła to przed całą społecznością Trzynastki.

Prim się uśmiecha.

— To mi się podoba. Nie jest to żadna gwarancja, ale sprawi, że bardzo ciężko będzie im cofnąć dane słowo.

Odczuwam pewien rodzaj ulgi, która pojawia się wraz z rozwiązaniem.

— Powinnam częściej cię budzić, kacuszko.

— Chciałabym, byś to robiła — mówi Prim. Całuje mnie. — Spróbuj zasnąć, dobrze?

I tak właśnie robię.

Rano spostrzegam, że 7:00 — Śniadanie jest tuż przed 7:30 — Centrum Dowodzenia, co wydaje się dobrym rozwiązaniem; mogę wprawić mechanizm w ruch jak najszybciej. W jadalni podświetlam czytnikiem plan dnia, który zawiera w sobie pewnego rodzaju numer identyfikacyjny. Kiedy przesuwam tacę wzdłuż metalowej półki przed pojemnikami z żywnością, dostrzegam, że śniadanie składa się ze zwykłych niezawodnych składników: miski gorącej owsianki, kubka mleka i niewielkiej porcji

owoców lub warzyw. Dzisiaj gnieciona rzepa. Wszystko to pochodzi z podziemnych farm Trzynastki. Siadam przy stole przeznaczonym dla Everdeenów i Hawthornów, i kilku innych uciekinierów, pochłaniam jedzenie z nadzieją na dokładkę, ale tu nigdy nie ma dokładek. Doprowadzili system odżywiania do perfekcji. Opuszczasz jadalnię z ilością kalorii wystarczającą do kolejnego posiłku, nie większą ani mniejszą. Porcje ustalane są na podstawie wieku, wzrostu, budowy, stanu zdrowia i ilości fizycznej pracy wpisanej w planie dnia. Ludzie z Dwunastki i tak dostają większe porcje niż mieszkańcy Trzynastki, by przybrali na wadze. Pewnie kościści żołnierze zbyt szybko się męczą. Muszę jednak przyznać, że to działa. Po upływie zaledwie miesiąca zaczynamy wyglądać zdrowiej, szczególnie dzieci.

Gale stawia swoją tacę obok mnie, a ja próbuję nie gapić się żałośnie na jego rzepę, bo naprawdę mam ochotę na więcej, a on zbyt łatwo oddaje mi swoje jedzenie. Mimo że poświęcam całą uwagę starannemu składaniu serwetki, łyżka rzepy ląduje w mojej misce.

— Musisz przestać to robić — mówię. Ale jako że już zaczynam pochłaniać jego porcję, nie brzmię zbyt przekonująco. — Naprawdę. To pewnie nielegalne albo coś.

Mają tu bardzo surowe reguły dotyczące jedzenia. Na przykład, jeśli nie dokończysz czegoś i chcesz zachować to na później, nie możesz wynieść tego z jadalni. Najwyraźniej w przeszłości był jakiś incydent z gromadzeniem żywności. Dla paru ludzi, jak Gale i ja, którzy dbali o zaopatrzenie rodziny w jedzenie, nie brzmi to najlepiej. Wiemy co to znaczy głodować, ale nie jesteśmy przyzwyczajeni, by ktoś nam mówił, co zrobić z nadwyżkami. W niektórych sprawach Trzynasty Dystrykt kontroluje nas jeszcze bardziej niż Kapitol.

— Co mogą zrobić? Już zabrali mój komunikator — mówi Gale.

Kiedy zeskrobuję resztki z miski, wpada mi do głowy pewien pomysł.

— Może powinnam ustanowić to warunkiem mojej przemiany w Kosogłosa.

— Żebyś mógł karmić cię rzepą? — pyta.

— Nie, żebyśmy mogli polować. — To przyciąga jego uwagę. — Musielibyśmy oddawać wszystko do kuchni. Ale mimo tego moglibyśmy...

Nie muszę kończyć, bo on rozumie. Moglibyśmy być nad ziemią. W lesie. Moglibyśmy znowu być sobą.

— Zrób tak — mówi. — To odpowiedni moment. Mogłabyś zażądać księżycy, a oni musieliby wymyślić jakiś sposób, by go zdobyć.

Nie wie, że już mam zamiar poprosić o księżyc, żądając oszczędzenia Peecie życia. Zanim decyduję czy mu o tym powiedzieć, czy nie, rozbrzmiewa dzwonek sygnalizujący koniec naszej zmiany w jadalni. Myśl o stawieniu czoła Coin w pojedynkę niepokoi mnie.

— Co masz zaplanowane?

Gale sprawdza swoje ramię.

— Lekcję historii nuklearnej. Gdzie, tak w ogóle, odnotowano twoją nieobecność.

— Muszę iść do Centrum Dowodzenia. Idziesz ze mną? — pytam.

— W porządku. Ale mogli mnie wczoraj wyrzucić. — Kiedy idziemy odnieść nasze tace, mówi: — Wiesz, lepiej umieścić też Jaskra na swojej liście żądań. Nie sądzę, by idea bezużytecznych zwierząt domowych była tu powszechnie znana.

— Na pewno znajdą mu jakieś zajęcie. Wytatuują je na jego łapie każdego ranka — mówię. Ale postanawiam dołączyć go do listy dla dobra Prim.

Kiedy docieramy do Centrum Dowodzenia okazuje się, że Coin, Plutarch i ich ludzie już się w nim zebrali. Widok Gale'a sprawia, że kilka brwi wędruje do góry, ale nikt go nie wyrzuca. Moje myśli zaczęły się zbyt mocno gmatwać, więc natychmiast proszę o kartkę papieru i ołówek. Moje jawne zainteresowanie — pierwsze od czasu, kiedy się tu zjawiłam — jest dla nich niespodzianką. Wymienione zostaje kilka spojrzeń. Prawdopodobnie przygotowali dla mnie jakieś super-specjalne kazanie. Ale zamiast tego Coin osobiście wręcza mi przybory i wszyscy czekają w ciszy, podczas gdy ja siadam przy stole i gryzmolę swoją listę. Jaskier. Polowanie. Nietykalność Peety. Ogłoszona publicznie.

To tyle. Prawdopodobnie to moja jedyna szansa na zawarcie umowy. Myśl. Czego jeszcze chcesz? Wyczuwam go jak stoi przy mnie. Gale, dodaję do listy. Nie sądzę, by udało mi się to zrobić bez niego.

Nadchodzi ból głowy i moje myśli zaczynają się plątać. Zamykam oczy i zaczynam cicho recytować:

Nazywam się Katniss Everdeen. Mam siedemnaście lat. Moim domem jest Dwunasty Dystrykt. Byłam trybutem w Igrzyskach Śmierci. Uciekłam. Kapitol mnie nienawidzi. Peeta został więźniem. Żyje. Zdradził, ale żyje. Muszę utrzymać go przy życiu...

Lista. Wciąż wydaje się zbyt krótka. Powinnam spróbować myśleć szerzej, wyjść myślami poza aktualną sytuację, kiedy jestem bardzo ważna, do przyszłości, kiedy mogę nie znaczyć nic. Czy nie powinienam prosić o więcej? Dla mojej rodziny? Dla tej resztki moich ludzi? Skóra swędzi mnie od prochów umarłych. Czuję przerażające zderzenie czaszki z moim butem. Woń krwi i róż wywołuje pieczenie w nosie.

Ołówek sam porusza się po kartce. Otwieram oczy i patrzę na koślawe litery. JA ZABIJĘ SNOWA. Jeśli zostanie złapany, chcę mieć ten przywilej.

Plutarch delikatnie pokasłuje.

— Zbliżasz się już do końca?

Podnoszę wzrok i dostrzegam zegar. Siedzę tu już dwadzieścia minut. Nie tylko Finnick ma problemy z koncentracją.

— Taa — mówię. Mój głos brzmi chrapliwie, więc odchrząkuję. — Taa, więc układ jest taki. Będę waszym Kosogłosem.

Czekam aż wydadzą z siebie odgłosy ulgi, gratulacje, aż poklepią się wzajemnie po plecach. Coin pozostaje niewzruszona jak zawsze, obserwując mnie; nie zrobiłam na niej wrażenia.

— Ale mam kilka warunków. — Wyglądam listę i zaczynam. — Moja rodzina będzie mogła zatrzymać kota.

Moje najmniejsze żądanie rozpoczyna kłótnię. Rebelianci z Kapitolu nie widzą żadnego problemu — oczywiście, że mogę zatrzymać zwierzaka — jednak ci z Trzynastki zaczynają wyliczać ogromne trudności jakie to sprawi. W końcu decydują przenieść nas na najwyższy poziom, który posiada tę zaletę, że ma dwudziestocentymetrowe okno umieszczone nad ziemią. Jaskier może wychodzić za potrzebą i wracać. Sam będzie musiał się żywić. Jeśli opuści godzinę policyjną, nie zostanie wpuszczony do środka. Jeśli stworzy jakiekolwiek zagrożenie dla bezpieczeństwa, zostanie natychmiast zastrzelony.

To brzmi dobrze. Nie odbiega za bardzo od warunków, w których żył odkąd zostawiliśmy go w Dwunastce. Nie licząc strzelania. Jeśli będzie zbyt wychudzony, mogę zostawić mu gdzieś wnętrzności zwierząt, jeśli przystaną na moje kolejne żądanie.

— Chcę polować. Z Gale'em. W lesie — mówię. To sprawia, że wszyscy milkną.

— Nie odejdziemy za daleko. Będziemy używać własnych łuków. Zostawimy mięso w kuchni — dodaje Gale.

Szybko mówię dalej, nie dając im szansy na odmowę.

— Po prostu... Duszę się zamknięta tutaj jak... Wydobrzeję szybciej, jeśli... będę mogła polować.

Plutarch zaczyna wyliczać trudności: niebezpieczeństwo, dodatkowa ochrona, ryzyko zranienia; ale Coin ucina dyskusję:

— Nie, niech polują. Dajcie im na to dwie godziny dziennie potrącone z czasu przeznaczonego na szkolenie. W promieniu pół kilometra. Z komunikatorami i lokalizatorami. Co jeszcze?

Skanuję moją listę.

— Gale. Będę go potrzebowała, by się z tym uporać.

— Potrzebowała w jaki sposób? Poza kamerą? Wciąż u twojego boku? Chcesz go przedstawić jako twojego nowego kochanka? — pyta Coin.

Nie powiedziała tego złośliwie — wręcz przeciwnie, jej słowa są bardzo rzeczowe. Ale moje usta i tak otwierają się w wyrazie zdumienia.

— Co?

— Wydaje mi się, że powinniśmy kontynuować obecny romans. Szybkie odrzucenie Peety mogłoby spowodować utratę sympatii do niej — mówi Plutarch. — Szczególnie, że myślą, że jest z nim w ciąży.

— Zgoda. Czyli na ekranie Gale może być przedstawiony jedynie jako kolega rebeliant. Czy to ci pasuje? — pyta Coin. Ja tylko się na nią gapię. Powtarza się niecierpliwie: — Co do Gale’a. Czy to wystarczy?

— Zawsze możemy przedstawić go jako twojego kuzyna — mówi Fulvia.

— Nie jesteśmy kuzynami — mówię razem z Gale’em.

— Zgoda, ale prawdopodobnie powinniśmy tak zrobić dla utrzymania pozorów przed kamerą — mówi Plutarch. — Poza kamerą jest cały twój. Coś jeszcze?

Jestem zszokowana tym, jak potoczyła się rozmowa. Aluzje, że tak łatwo mogłabym pozbyć się Peety, że jestem zakochana w Gale’u, że wszystko było tylko grą. Moje policzki zaczynają płonąć. Sam pomysł, że poświęcam myśli komuś, kto nie został przedstawiony jako mój ukochany, w obecnej sytuacji jest poniżający. Pozwalam, by złość popchnęła mnie do wypowiedzenia największego żądania.

— Kiedy wojna się skończy, jeżeli ją wygramy, Peeta zostanie ułaskawiony.

Martwa cisza. Czuję jak ciało Gale’a sztywnieje. Chyba powinnam powiedzieć mu wcześniej, ale nie byłam pewna jak by zareagował. Skoro to dotyczy Peety.

— Żadna kara nie będzie mu wymierzona — ciągnę. Nowa myśl pojawia się w mojej głowie. — To samo tyczy się innych schwytanych trybutów, Johanny i Enobarrii.

Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie los Enobarrii, okrutnej trybutki z Drugiego Dystryktu. Tak naprawdę nie lubię jej, ale wykluczenie jej z umowy nie wydaje się uczciwe.

— Nie — mówi stanowczo Coin.

— Tak — odparowuję. — To nie ich wina, że opuściliście ich na arenie. Kto wie, co Kapitol im robi?

— Będą sądzeni na równi z innymi wojennymi zbrodniarzami i potraktowani tak, jak trybunał uzna za stosowne — odpowiada Coin.

— Zapewnicie im nietykalność! — Czuję jak wstaję z krzesła i mówię mocnym i dźwięcznym głosem: — Osobiście ogłosi to pani przed wszystkimi mieszkańcami Trzynastego Dystryktu i uciekinierami z Dwunastki. Wkrótce. Dzisiaj. Zostanie to zachowane dla przyszłych pokoleń. Ustanowi pani siebie i rząd odpowiedzialnymi za ich bezpieczeństwo, albo znajdzie sobie pani innego Kosogłosa!

Moje słowa przez moment wiszą w powietrzu.

— To ona! — słyszę jak Fulvia mówi cicho do Plutarcha. — Właśnie tam. W kostiumie, na tle strzelanina, odrobina dymu...

— Tak, tego właśnie chcemy — mówi Plutarch bez tchu.

Mam ochotę spiorunować ich spojrzeniem, ale czuję, że błędem byłoby utracić kontakt wzrokowy z Coin. Widzę jak szacuje skutki mojego ultimatum, ocenia, czy mogę być aż tak przydatna.

— Co pani powie, pani prezydent? — pyta Plutarch. — Mogłaby pani wymóc ułaskawienie w tych okolicznościach. Chłopiec... nawet nie jest pełnoletni.

— W porządku — mówi w końcu Coin. — Ale lepiej, żebyś dobrze spełniła swoją rolę.

— Zacznę, kiedy pani to ogłosi — mówię.

— Zwołać zebranie w sprawie bezpieczeństwa narodowego dzisiaj podczas Zadumy — rozkazuje. — Wtedy to ogłoszę. Czy zostało jeszcze coś na twojej liście, Katniss?

Kartka jest aktualnie zgnieciona w kulkę w mojej prawej pięści. Rozprostowuję ją na stole i odczytuję chwiejne litery.

— Tylko jedno. Chcę zabić Snowa.

Po raz pierwszy w życiu widzę cień uśmiechu na twarzy pani prezydent.

— Kiedy nadejdzie czas, rzucimy o to monetą.

Może ma rację. Oczywiście jest, że nie mam wyłącznego prawa do rozporządzania życiem Snowa. I myślę, że mogę liczyć na to, że i ona dobrze wykona to zadanie.

— W porządku.

Coin zerknęła na swoje ramię, a potem na zegar. Ona też musi się trzymać swojego planu dnia.

— Zostawiam ją w twoich rękach, Plutarch.

Wychodzi z sali, a za nią podąża jej zespół, pozostawiając jedynie Plutarcha, Fulwię, Gale'a i mnie.

— Wspaniale. Wspaniale. — Plutarch pochyla się nad stołem, opierając na nim łokcie, i przeciera oczy. — Wiesz czego mi brak? Bardziej niż czegokolwiek innego? Kawy. Czy naprawdę byłoby to takie niedorzeczne mieć czym zmyć zmęczenie i rzepe?

— Nie sądziliśmy, że wszystko będzie tu tak ściśle kontrolowane — wyjaśnia Fulvia rozmasowując ramiona Plutarcha. — Nie na wyższych stanowiskach.

— Albo że przynajmniej będzie możliwość małej akcji dywersyjnej — mówi Plutarch. — To znaczy... Nawet w Dwunastce mieliście czarny rynek, prawda?

— Taa, Ćwiek — mówi Gale. — Tam handlowaliśmy.

— No właśnie, widzicie? A zobaczcie jak bardzo wy dwoje jesteście uczciwi! Praktycznie nieprzekupni. — Plutarch wzdycha. — No cóż, wojny nie trwają wiecznie. Cieszę się, że mam was w zespole. — Wyciąga rękę w stronę wyjętego przez Fulwię dużego szkicownika obitego czarną skórą. — Wiesz mniej więcej o co cię prosimy, Katniss. Wiem, że masz mieszane uczucia co do twojego udziału w tym przedsięwzięciu. Mam nadzieję, że to ci pomoże.

Plutarch podsuwa mi szkicownik. Przez chwilę patrzę na niego podejrzliwie. Jednak ciekawość bierze górę. Otwieram szkicownik i widzę siebie stojącą prosto i zdecydowanie w czarnym mundurze. Tylko jedna osoba mogła zaprojektować ten strój, na pierwszy

rzut oka po prostu funkcjonalny, na drugi, dzieło sztuki. Projekt hełmu, linia napierśnika, delikatne wypełnienie rękawów pozwalające dostrzec białe zgięcia pod ramionami. W jego rękach znów jestem kosogłosem.

— Cinna — szepczę.

— Tak. Wymógł na mnie obietnicę, że nie pokażę ci tej książki dopóki sama nie zdecydujesz, że zostaniesz Kosogłosem. A uwierz mi, kusilo mnie — mówi Plutarch. — Dalej. Przejrzyj ją.

Powoli przewracam strony, przyglądając się każdemu szczegółowi munduru. Starannie dopasowane warstwy pancerza, ukryta broń w butach i pasku, specjalne wzmocnienia w okolicy serca. Na ostatniej stronie pod szkicem mojej broszki z kosogłosem Cinna napisał: Wciąż stawiam na ciebie.

— Kiedy on... — Głos mnie zawodzi.

— Hm... Po ogłoszeniu Ćwierćwiecza Poskromienia. Może kilka tygodni przed Igrzyskami? Jest więcej niż tylko szkice. Mamy twój mundur. Och, a Beete ma dla ciebie coś specjalnego na dole w zbrojowni. Ale nie zepsuję ci niespodzianki — mówi Plutarch.

— Będiesz najlepiej ubranym rebeliantem w historii — mówi z uśmiechem Gale. Nagle zdaję sobie sprawę, że ukrywał to przede mną. Jak Cinna, chciał, bym sama podjęła decyzję.

— Nasz plan to atak na transmisje telewizyjne — mówi Plutarch. — Zrobimy serię czegoś, co nazywamy proposami — to skrót od propagandowych spotów — z tobą w roli głównej i pokażemy je całej społeczności Panem.

— Jak? Wyłączyć kontrolę nad przekazami telewizyjnymi ma Kapitol — mówi Gale.

— Ale my mamy Beete'ego. Jakies dziesięć lat temu praktycznie przeprojektował podziemną sieć, która nadaje wszystkie programy. Myśli, że jest duża szansa, by to osiągnąć. Ale będziemy oczywiście potrzebować czegoś, co warto pokazać. Więc, Katniss, studio niecierpliwie cię wyczekuje. — Plutarch zwraca się do swojej asystentki. — Fulvia?

— Plutarch i ja zastanawialiśmy się jak, u licha, tego dokonać. Myślimy, że najlepiej będzie sportretować cię, naszą przywódczynię rebeliantów, od zewnątrz... do wewnątrz. To znaczy... pokażmy najbardziej olśniewająco wyglądającego Kosogłosa, a później popracujmy nad jego osobowością, by wygląd wydał się zasłużony! — mówi pogodnie.

— Macie już jej mundur — zauważa Gale.

— Tak, ale czy ona jest zakrwawiona i pokryta bliznami? Czy płonie ogniem rebelii? Jak bardzo możemy ją pobrudzić, by nie odstraszyć ludzi? W każdym razie, musi być kimś. Mam na myśli, że to oczywiście — Fulvia podchodzi do mnie szybko i obejmuje moją twarz dłońmi — nie zadziała. — Odruchowo wyszarpuję głowę z uścisku, ale ona już wydaje się zajęta swoimi sprawami. — Tak więc, mając to na uwadze, mamy dla ciebie jeszcze jedną małą niespodziankę. Chodźcie, chodźcie.

Fulvia macha do nas, więc Gale i ja wychodzimy za nią i Plutarchem na korytarz.

— Tyle dobrych chęci, a jakie to było obraźliwe — szepcze mi Gale do ucha.

— Witamy w Kapitolu — odpowiadam.

Jednak słowa Fulvii nie wywołują we mnie żadnej reakcji. Ciasno obejmuję ramionami szkicownik i pozwalam sobie być dobrej myśli. To musiał być dobry wybór. Skoro Cinna tego chciał.

Wchodzimy do windy i Plutarch sprawdza coś w swoich notatkach.

— Zobaczmy... Oddział Trzy-Dziewięć-Zero-Osiem.

Naciska przycisk oznaczony numerem 39, ale nic się nie dzieje.

— Pewnie trzeba przekręcić klucz — mówi Fulvia.

Plutarch wyjmuje spod koszuli zawieszony na cienkim łańcuchu klucz i wkłada go w szczelinę, której wcześniej nie zauważyłam. Drzwi się zamykają.

— Ach, proszę bardzo.

Winda zjeżdża dziesięć, dwadzieścia, ponad trzydzieści poziomów w dół; nie wiedziałam, że Trzynasty Dystrykt sięga tak głęboko pod ziemię. Drzwi otwierają się ukazując szeroki biały korytarz z czerwonymi drzwiami, które wyglądają niemal dekoracyjnie, porównując je z szarymi odpowiednikami na wyższych poziomach. Każde są wyraźnie oznaczone numerem. 3901, 3902, 3903...

Kiedy wychodzimy z windy, spoglądam za siebie i widzę, jak winda zamyka się, a metalowa krata zastępuje zwykle drzwi. Kiedy się odwracam, z sali na dalekim końcu korytarza wychodzi strażnik. Drzwi zamykają się za nim cicho, kiedy zmierza w naszym kierunku.

Plutarch wychodzi mu na spotkanie, unosząc dłoń w geście powitania; podążamy za nim. Mam złe przeczucie co do tego miejsca. To nie tylko dodatkowe zabezpieczenia windy albo klaustrofobiczny strach przed przebywaniem tak głęboko pod ziemią, albo nieprzyjemny zapach antyseptyków. Jedno spojrzenie na twarz Gale'a upewnia mnie, że i on czuje to samo.

— Dzień dobry, szukamy... — zaczyna Plutarch.

— Jesteście na złym piętrze — przerywa mu oschle strażnik.

— Naprawdę? — Plutarch ponownie sprawdza swoje notatki. — Mam tu zapisane Trzy-Dziewięć-Zero-Osiem. Może mógłby pan po prostu zadzwonić do...

— Obawiam się, że muszę was poprosić o opuszczenie tego miejsca. Pomyłki w oznaczeniach można zgłaszać w Kwaterze Głównej — mówi strażnik.

Jest naprzeciwko nas. Oddział 3908. Odległy jedynie o kilka kroków. Drzwi — właściwie wszystkie drzwi — wydają się wybrakowane. Nie ma klamek. Muszą bujać się bez przeszkód na zawiasach, jak te, zza których wyłonił się strażnik.

— A gdzie to jest? — pyta Fulvia.

— Znajdziecie Kwaterę Główną na Siódmym Poziomie — mówi strażnik, zagarniając nas z powrotem do windy swoimi rozciągniętymi ramionami.

Zza drzwi z numerem 3908 słysząc jakiś odgłos. Delikatne skomlenie. Coś, co mógłby z siebie wydać bity pies próbujący uniknąć ciosu, tyle że zbyt ludzkie i znajome. Moje oczy napotykają oczy Gale'a jedynie na moment, ale tyle wystarczy dla dwojga ludzi, który działają tak, jak my. Z głośnym trzaskiem upuszczam szpicownik Cinny na stopy strażnika. Chwilę po tym, jak ten schyla się, by go podnieść, Gale również się nachyla i specjalnie zderza się z nim głową.

— Och, przepraszam — mówi, śmiejąc się lekko i chwytając strażnika za ramiona, jakby chciał go podtrzymać, delikatnie odciągając go ode mnie.

To moja szansa. Obiegam rozkojarzonego strażnika, popycham drzwi oznaczone numerem 3908 i znajduję ich. Półnagich, posiniaczonych, przykutych do ściany.

Członków mojej ekipy przygotowawczej.

Smród niemytych ciał, stęchłego moczu i zakażenia przebija się przez antyseptyczną chmurę. Trzy postaci rozpoznawalne są jedynie dzięki niecodziennym modowym upodobaniom: złote tatuaże na twarzy Venii. Pomarańczowe sprężynki loków Flaviusa. Błada groszkowozielona skóra Octavii, która teraz zwisa zbyt luźno, jakby jej ciało było balonem powoli wypuszczającym powietrze.

Na mój widok Flavius i Octavia kurczą się pod wykafelkowanymi ścianami, jakby w oczekiwaniu na atak, chociaż nigdy ich nie skrzywdziłam. Największą zbrodnią przeciwko nim były nieprzychylnie myśli, a te zostawiłam dla siebie, więc dlaczego się odsuwają?

Strażnik nakazuje mi wyjść, ale odgłosy przepychanki sugerują, że Gale'owi udało się go zatrzymać. By uzyskać odpowiedzi, podchodzę do Venii, która zawsze była najsilniejsza. Kucam przy niej i chwytam jej zimne dłonie, które mocno zaciskają się na moich.

— Co się stało, Venia? — pytam. — Co wy tutaj robicie?

— Zabrali nas. Z Kapitolu — mówi chrapliwie.

Plutarch pojawia się tuż za mną.

— Co, u licha, się tu dzieje?

— Kto was zabrał? — naciskam.

— Ludzie — mówi ogólnikowo. — W noc twojej ucieczki.

— Pomyśleliśmy, że podniesie cię na duchu, jeśli będziesz miała przy sobie swoją zwykłą ekipę — mówi Plutarch za moimi plecami. — Cinna tego zażądał.

— Cinna zażądał tego? — warczę na niego. Bo jeśli coś wiem na pewno, to to, że Cinna nigdy nie zaakceptowałby maltretowania tych trojga, których zawsze traktował z łagodnością i cierpliwością. — Dlaczego traktuje się ich jak przestępców?

— Naprawdę nie wiem.

Jest w jego głosie coś, co sprawia, że mu wierzę, a bladość twarzy Fulvii zdaje się to potwierdzać. Plutarch zwraca się do strażnika, który właśnie pojawił się na progu, a zaraz za nim Gale.

— Powiedziano mi tylko, że trzymani są w odosobnieniu. Za co są ukarani?

— Za kradzież jedzenia. Musieliśmy zatrzymać ich po kłótni o chleb — mówi strażnik.

Venia marszczy brwi, jakby wciąż próbowała odnaleźć w tym sens.

— Nikt by nic nie powiedział. Byliśmy tacy głodni. Wzięła tylko kawałek.

Octavia zaczyna szlochać, tłumiąc odgłosy swoją modną tuniką. Przypominam sobie jak, kiedy pierwszy raz wyszłam cało z walki na arenie, podsunęła mi pod stołem rogala, bo nie mogła znieść mojego głodu. Podpełzam do jej trzęsącego się ciała.

— Octavia? — Dotykam jej, a ona się wzdryga. — Octavia? Będzie dobrze. Wyciągnę was stąd.

— To wydaje się przesadą — mówi Plutarch.

— I wszystko przez to, że zabrała kawałek chleba? — pyta Gale.

— Powtarzające się naruszenia prawa do tego doprowadziły. Zostali ostrzeżeni. A jednak wzięli więcej chleba. — Strażnik milknie na moment, jakby zaskoczony naszą powagą. — Nie można zabierać chleba.

Nie potrafię przekonać Octavii, by pokazała swoją twarz, ale delikatnie unosi głowę. Kajdany na jej nadgarstkach opadają o kilka centymetrów i ukazują brzydkie rany pod nimi.

— Zabieram was do mojej mamy. — Zwracam się do strażnika: — Rozkuj ich.

Strażnik kręci głową.

— Nie zostałem do tego upoważniony.

— Rozkuj ich! Natychmiast! — wrzeszczę.

To burzy jego spokój. Przeciężni obywatele tak się do niego nie zwracają.

— Nie otrzymałem rozkazu uwolnienia ich. A ty nie masz żadnego prawa, by...

— Zrób to na moją odpowiedzialność — wtrąca Plutarch. — W końcu przyszliśmy tu po tych troje. Są potrzebni w Obronie Wyjątkowej. Przyjmuję na siebie całą odpowiedzialność.

Strażnik wychodzi wykonać telefon. Wraca z pękiem kluczy. Członkowie mojej ekipy przygotowawczej byli tak długo zmuszani do przyjmowania skurczonych pozycji, że nawet po uwolnieniu od kajdan mają problemy z chodzeniem. Gale, Plutarch i ja musimy im pomóc. Stopa Flaviusa zahacza o metalową kratę nad okrągłym otworem w podłodze i wnętrzości skracają mi się na myśl o tym, po co w tej sali ściek. Plamy ludzkiego nieszczęścia, które musiały zostać zmywane z białych kafelków...

W szpitalu odnajduję mamę, jedyną osobę, której mogę powierzyć opiekę nad nimi. Sporo czasu zajmuje jej rozpoznanie tej trójki, zważywszy na ich obecny stan, ale już dostrzegam na jej twarzy konsternację. I wiem, że to nie przez widok z maltretowanych ciał, bo to był dla niej chleb powszedni w Dwunastym Dystrykcie, ale zdanie sobie sprawy, że takie rzeczy dzieją się również w Trzynastce.

Mamę przywitano w szpitalu z otwartymi ramionami, ale uważa się ją bardziej za pielęgniarkę niż lekarza pomimo jej życiowego doświadczenia w leczeniu. Jednak nikt nie protestuje, kiedy wprowadza trio do sali badań, by ocenić stopień zranienia. Lokuję się na ławce w korytarzu przed wejściem do szpitala w oczekiwaniu na diagnozę. Będzie potrafiła wyczytać w ich ciałach zadany im ból.

Gale siada obok mnie i obejmuje mnie ramieniem.

— Wyleczy ich.

Przytakuję, zastanawiając się czy myśli o bezlitosnej chłości, której został poddany w Dwunastce.

Plutarch i Fulvia zajmują ławkę naprzeciwko nas, ale nie komentują stanu mojej ekipy przygotowawczej. Jeżeli nie wiedzieli nic o ich złym traktowaniu, to jakie wnioski wyciągają z tego posunięcia prezydent Coin? Decyduję się im w tym pomóc.

— Wygląda na to, że zostaliśmy ostrzeżeni — mówię.

— Co? Nie. O co ci chodzi? — pyta Fulvia.

— Ukaranie mojej ekipy przygotowawczej to ostrzeżenie — mówię jej. — Nie tylko dla mnie. Dla was też. Mówi o tym, kto tu naprawdę rządzi i co się dzieje, jeśli ktoś się nie podporządkuje. Jeżeli macie jeszcze jakiekolwiek złudzenia, że przejmiecie władzę, raczej bym się ich już pozbyła. Najwyraźniej kapitołińskie pochodzenie nie gwarantuje tutaj ochrony. Może nawet przeszkadza.

— Nie można porównywać Plutarcha, który wyreżyserował wybuch rebelii, i tych troje upiększaczy — mówi chłodno Fulvia.

Wzruszam ramionami.

— Skoro tak mówisz, Fulvio. Ale co by się stało, gdybyście nadepnęli Coin na odcisk? Moja ekipa przygotowawcza została porwana. Mogą przynajmniej mieć nadzieję, że któregoś dnia wrócą do Kapitolu. Gale i ja możemy żyć w lesie. Ale wy? Gdzie byście uciekli?

— Być może jesteśmy bardziej potrzebni w tej wojnie niż jesteś skłonna przyznać — mówi Plutarch, bez cienia zainteresowania.

— Oczywiście, że jesteście. Trybuci też byli potrzebni w Igrzyskach. Dopóki przestali być — mówię. — I łatwo można było nas wymienić, prawda, Plutarch?

To kończy dyskusję. Siedzimy w milczeniu aż do nadejścia mamy.

— Wyliż się — oznajmia. — Żadnych trwałych urazów.

— Dobrze. Cudownie — mówi Plutarch. — Kiedy mogą przystąpić do pracy?

— Prawdopodobnie jutro — odpowiada mama. — Musicie być przygotowani na pewną emocjonalną chwiejność po tym, co przeszli. Zostali bardzo źle przygotowani do zmiany warunków życia po luksusach Kapitolu.

— A czy to nie dotyczy nas wszystkich? — pyta Plutarch.

Albo z powodu niedyspozycji mojej ekipy przygotowawczej, albo dlatego, że ja znajduję się na skraju załamania, Plutarch zwalnia mnie z obowiązków Kosogłosa do końca dnia. Schodzę z Gale'em na obiad, gdzie serwują nam gulasz z fasoli i cebuli, gruby kawałek chleba i szklankę wody. Po opowieści Venii chleb staje mi w gardle, więc oddaję resztę Gale'owi. Nie rozmawiamy za wiele podczas posiłku, ale kiedy nasze miski są już puste, Gale podwija rękaw, ukazując plan dnia.

— Teraz mam szkolenie.

Również podciągam rękaw i przykładam swoje ramię do jego.

— Ja też.

Przypominam sobie, że szkolenie równa się teraz polowaniu.

Podniecenie spowodowane ucieczką do lasu — nawet jeśli tylko na dwie godziny — umniejsza moje aktualne zmartwienia. Zanurzenie się w zieleni i światło słoneczne na pewno pomogą mi poradzić sobie z moimi myślami. Kiedy wydostajemy się już z głównych korytarzy, Gale i ja zaczynamy się ścigać jak uczniacy do zbrojowni, a kiedy do niej docieramy, brak mi tchu i kręci mi się w głowie. Małe przypomnienie, że jeszcze w pełni nie wydobrzałam. Strażnicy dają nam naszą starą broń, a także noże i konopiany worek, który ma zastąpić torbę myśliwską. Toleruję obecność lokalizatora na mojej kostce i staram się wyglądać, jakbym ich słuchała, kiedy objaśniają działanie przenośnego komunikatora. Jedyne, co do mnie dociera, to to, że ma wbudowany zegar i musimy wrócić przed wyznaczoną godziną albo nasze łowieckie przywileje zostaną cofnięte. To jedyna reguła, której mam zamiar się podporządkować.

Wychodzimy na zewnątrz na rozległą, ogrodzoną arenę ćwiczeniową przy lesie. Strażnicy otwierają dobrze naoliwione bramy bez dalszych komentarzy. Ciężko byłoby nam sforsować to ogrodzenie na własną rękę — wysokie na dziesięć metrów i zawsze pod napięciem, wykończone ostrymi jak brzytwa zwojami stali. Wchodzimy głębiej w las, aż ogrodzenie znika nam z oczu. Zatrzymujemy się na niewielkiej polanie i odchylamy głowy, wystawiając się na światło słoneczne. Obracam się wkoło z wyciągniętymi ramionami i wiruję — powoli, by świat nie zaczął kręcić się razem ze mną.

Brak deszczu, który zaobserwowałam w Dwunastce, również i tutaj nie wpłynął dobrze na rośliny, wysuszając im liście, rozkładając pod naszymi stopami chrupiący dywan. Zdejmujemy buty. Moje i tak nie pasują na mnie idealnie, jako że w duchu niemarnuj-niechcianego, który panuje w Trzynastce, przydzielono mi parę, z której ktoś wyrósł. Najwyraźniej któreś z nas porusza się zabawnie, bo są bardzo zniszczone.

Polujemy, jak za dawnych czasów. W milczeniu, bez potrzeby komunikowania się ze sobą, ponieważ tu w lesie poruszamy się jak dwie części tego samego mechanizmu. Przewidujemy ruchy partnera, osłaniamy się nawzajem. Jak dużo czasu już minęło? Osiem miesięcy? Dziewięć? Kiedy po raz ostatni czuliśmy tę swobodę? To niedokładnie to samo, z uwagi na wszystko, co zaszło, i przyczepione do naszych kostek lokalizatory, i na to, że muszę tak często odpoczywać. Ale jestem tak blisko szczęścia, jak tylko mogę się w tej chwili znaleźć.

Tutejsze zwierzęta nie są zbyt podejrzliwe. Zanim zdążą jakoś umiejscowić nasz nieznany im zapach, już są martwe. W półtorej godziny udaje nam się upolować mieszany tuzin — króliki, wiewiórki i indyki — i decydujemy zakończyć na dzisiaj, by spędzić pozostałe pół godziny przy stawie, który musi być zasilany przez podziemne źródło, ponieważ woda jest chłodna i słodka.

Kiedy Gale proponuje, że oczyści zwierzynę, nie oponuję. Kładę kilka liści mięty na języku, zamykam oczy i opieram się plecami o skałę, zatapiając się w dźwiękach, pozwalając palącemu popołudniowemu słońcu ogrzewać moją skórę w prawie całkowitej ciszy, dopóki nie przerywa jej głos Gale'a:

— Katniss, dlaczego tak bardzo przejmujesz się losem swojej ekipy przygotowawczej?

Otwieram oczy, by sprawdzić, czy żartuje, ale on marszczy brwi nad obdzieranym ze skóry królikiem.

— A nie powinnam?

— Hm... Pomyślmy. Może niekoniecznie, skoro spędzili ostatni rok strojąc cię na rzeź — sugeruje.

— To bardziej skomplikowane. Znam ich. Nie są źli czy okrutni. Nie są nawet mądrzy. Krzywdzenie ich to jak krzywdzenie dzieci. Nie dostrzegają... To znaczy, nie wiedzą... — Sama się zaplątałam we własnych słowach.

— Czego nie wiedzą, Katniss? — pyta mnie. — Że trybuci, którzy rzeczywiście są dziećmi, nie jak to twoje dziwaczne trio, są zmuszani do walki na śmierć i życie? Że umieścili cię na tej arenie, by ludzie mieli rozrywkę? Czy to była wielka tajemnica Kapitolu?

— Nie. Ale oni widzieli to całkiem inaczej — mówię. — Zostali tak wychowani i...

— Ty naprawdę ich bronis? — Zrywa skórę z królika jednym szybkim ruchem.

To zabolalo, bo rzeczywiście ich bronię, a to przecież śmieszne. Z trudem znajduję jakąś rozsądną odpowiedź.

— Wydaje mi się, że bronię każdego, kto jest tak traktowany z powodu kawałka chleba. Może za bardzo mi to przypomina to, co się stało z tobą z powodu indyka!

Wciąż jednak to on ma rację. To naprawdę wydaje się dziwne, mój poziom zaniepokojenia stanem ekipy przygotowawczej. Powinnam ich nienawidzić i żądać ich powieszenia. Ale są tacy nieświadomi, no i należeli do Cinny, a on był po mojej stronie, prawda?

— Nie chcę się kłócić — mówi Gale. — Ale nie wydaje mi się, by ukaranie ich za złamanie zasad było dla ciebie jakąś wielką wiadomością od Coin. Myślała pewnie, że wyświadcza ci przysługę. — Wkłada królika do worka i podnosi się. — Lepiej już chodźmy, jeśli chcemy zdążyć na czas.

Ignoruję jego wyciągniętą w moją stronę dłoń i niepewnie staję na nogi.

— W porządku.

Żadne z nas nie mówi nic podczas drogi powrotnej, ale kiedy jesteśmy już za bramą, coś przychodzi mi do głowy:

— Podczas Ćwierćwiecza Poskromienia Octavia i Flavius musieli zrezygnować, bo nie mogli przestać opłakiwać mojego powrotu na arenę. A Venii ledwo udało się pożegnać.

— Postaram się mieć to na uwadze, kiedy będą... cię przerabiać — mówi Gale.

— Tak zrób — odpowiadam.

W kuchni przekazujemy mięso Śliskiej Sae. Całkiem podoba jej się w Trzynastym Dystrykcie, nawet pomimo przekonania o całkowitym braku wyobraźni kucharzy. Kobieta, która stworzyła gulasz z dzikiego psa i rabarbaru, może się tu czuć, jakby miała związane ręce.

Wyczerpana polowaniem i brakiem snu, wracam do mojej siedziby, by zastać ją ogołoconą i wtedy przypominam sobie, że zostaliśmy przeniesieni ze względu na Jaskra. Wspinam się na górne piętro i odnajduję Oddział E. Wygląda dokładnie tak samo, jak Oddział 307, tylko że ma okno — szerokie na sześćdziesiąt centymetrów i wysokie na dwadzieścia — umieszczone na środku górnej części szczytowej ściany. Przymocowane jest klapą z ciężkiego metalu, ale w tej chwili jest uchylone, a pewnego kota nigdzie nie widać. Wyciągam się na łóżku, a promienie popołudniowego słońca tańczą na mojej twarzy. Następną rzeczą, którą pamiętam, jest moja siostra budząca mnie na 18:00 — Zadumę.

Prim mówi, że ogłaszali zebranie od obiadu. Wymagana jest obecność wszystkich mieszkańców, z wyjątkiem tych wykonujących ważne zadania. Podążamy za wskazówkami do Sali Zebrań, ogromnego pomieszczenia, które może z łatwością pomieścić tysiące pojawiających się ludzi. Widać, że zbudowano ją z myślą o większych zebraniach i może takie miały miejsce przed epidemią kiły. Prim cicho wskazuje mi na daleko idące skutki tej katastrofy — blizny na ludzkich ciałach, zwyrodnienia u dzieci.

— Bardzo cierpieli — mówi.

Po zdarzeniach dzisiejszego poranka nie jestem w nastroju, by współczuć Trzynastce.

— Nie bardziej niż my w Dwunastce — mówię.

Dostrzegam mamę przewodzącą grupie mobilnych pacjentów, wciąż w szpitalnych koszulkach nocnych i piżamach. Finnick stoi pomiędzy nimi, wyglądając na oszołomionego, ale wciąż jest boski. W dłoniach trzyma kawałek cienkiego sznurka, niecałe trzydzieści centymetrów, nawet dla niego zbyt krótki, by wymodelować go w użyteczną pętlę. Jego palce poruszają się szybko, bezwiednie wiążąc i rozplątując supełki, podczas gdy on sam rozgląda się dookoła. To pewnie część jego terapii. Podchodzę do niego i mówię:

— Hej, Finnick. — Wydaje się, że mnie nie dostrzegł, więc szturcham go, by zwrócić na siebie jego uwagę. — Finnick! Jak się czujesz?

— Katniss — mówi, ściskając moją dłoń. Odczuwa ulgę na widok znajomej twarzy. Tak myślę. — Dlaczego się tu spotykamy?

— Powiedziałam Coin, że będę jej Kosogłosem. Ale wymusiłam na niej obietnicę, że zapewni pozostałym trybutom nietykalność, jeśli rebelianci zwyciężą — mówię mu. — I ogłosi to publicznie przy wielu świadkach.

— Och, to dobrze. Bo tak się martwię o Annie. Że nieświadomie powie coś, co zostanie uznane za zdradzieckie — mówi Finnick.

Annie. O-o. Zupełnie o niej zapomniałam.

— Nie martw się, już się tym zajęłam.

Ściskam dłoń Finnicka i kieruję się prosto w stronę podium na przedzie sali. Coin, która przegląda tekst swojego wystąpienia, unosi brwi na mój widok.

— Musi pani dodać Annie Crestę do listy nietykalnych — mówię jej.

Pani prezydent delikatnie marszczy brwi.

— Kto to?

— Jest ważna dla Finnicka Odaira. To jego... — Jego co? Zupełnie nie wiem jak ją nazwać. — To przyjaciółka Finnicka Odaira. Z Czwartego Dystryktu. Kolejna zwyciężczyni. Została aresztowana i zabrana do Kapitolu, kiedy arena wybuchła.

— Och, szalona dziewczyna. To naprawdę niepotrzebne — mówi. — Nie mamy w zwyczaju wymierzać kar takim słabym ludziom.

Myślę o scenie, której byłam świadkiem dziś rano. O skulonej pod ścianą Octavii. O tym, że Coin i ja mamy zdecydowanie różne poglądy na temat słabości. Ale mówię tylko:

— Nie? W takim razie dodanie Annie do listy nie powinno być problemem.

— W porządku — mówi pani prezydent, dopisując imię Annie. — Chcesz zostać tu ze mną na górze podczas ogłoszenia? — Kręcę głową. — Tak myślałam. Lepiej zmykaj i wmieszaj się w tłum. Zaraz zacznę.

Wracam do Finnicka.

Słowa to kolejna rzecz, której nie marnuje się w Trzynastce. Coin prosi widownię o uwagę i mówi, że zgodziłam się zostać Kosogłosem, jeżeli inni zwycięzcy — Peeta, Johanna, Enobaria i Annie — zostaną całkowicie uwolnieni od winy za jakiegokolwiek szkody wyrządzone rebeliantom podczas wojny. W szemraniu tłumy słyszę głosy sprzeciwu. Przypuszczam, że nikt nie wątpił, że zostanę Kosogłosem. Określenie ceny — co być może ocali potencjalnych wrogów — złości ich. Stoję obojętna na rzucane w moją stronę wrogie spojrzenia.

Pani prezydent pozwala na chwilowe zamieszanie, a później mówi dalej w swoim energicznym stylu. Tylko że teraz słowa, które wydobywają się z jej ust, są dla mnie nowością:

— Jednak w zamian za to bezprecedensowe żądanie Żołnierz Everdeen obiecała całkowicie oddać się naszej sprawie. W związku z tym każda szkoda przyniesiona misji, słowem lub czynem, będzie postrzegana jako złamanie tej umowy. Nietykalność zostanie

cofnięta, a los czworga zwycięzców zostanie określony przez prawo Trzynastego Dystryktu. Jej własny również. Dziękuję.

Innymi słowy, jeden zły ruch i wszyscy jesteśmy martwi.

Kolejna siła, z którą muszę walczyć. Kolejny gracz u władzy, który postanowił użyć mnie jako pionka w swojej grze, chociaż wszystko zawsze zdaje się iść niezgodnie z planem. Najpierw byli organizatorzy Igrzysk, którzy zrobili ze mnie gwiazdę, a potem próbowali dojść do siebie po wyciągniętej przeze mnie garści zatrutych jagód. Później był prezydent Snow, próbujący wykorzystać mnie do stłumienia ognia rebelii tylko po to, by przekonać się, że każdy mój ruch raczej go podsycił. Następnie rebelianci chwytający mnie w metalowe kleszcze, które wydostały mnie z areny, przeznaczili mnie na swojego Kosogłosa, a później musieli radzić sobie z faktem, że być może nie będę chciała rozwinąć skrzydeł. A teraz Coin z jej garścią cennych pocisków jądrowych i dobrze naoliwionym mechanizmem działania dystryktu przekonuje się, że wytresowanie Kosogłosa może być trudniejsze niż złapanie go. Ona jednak najszybciej z nich wszystkich stwierdziła, że mam własne plany i w związku z tym nie powinno mi się ufać. Jako pierwsza publicznie nazaczyła mnie jako zagrożenie.

Przesuwam palce po grubej warstwie bąbelków w wannie. Czyszczenie mnie jest jedynie wstępnym krokiem do określenia mojego nowego wyglądu. Ze względu na moje zniszczone kwasem włosy, spaloną słońcem skórę i brzydkie blizny zespół przygotowawczy musi mnie najpierw upiększyć, by później uszkodzić, spalić i pokiereszować mnie w bardziej atrakcyjny sposób.

— Doprowadźcie ją do Zerowego Poziomu Piękna — zarządziła Fulvia tego ranka.
— Od tego zaczniemy pracę.

Zerowy Poziom Piękna okazał się tym, jak mogłabym wyglądać po wstaniu z łóżka — nieskazitelnie, a jednak naturalnie. To znaczy, że moje paznokcie są idealnie spiłowane, ale nie pomalowane. Moje włosy miękkie i błyszczące, ale nie wystylizowane. Moja skóra gładka i czysta, ale bez upiększeń. Depilacja ciała woskiem i pozbycie się ciemnych kółek, ale żadnych widocznych ulepszeń. Przypuszczam, że Cinna zarządził to samo pierwszego dnia, kiedy przybyłam do Kapitolu jako trybut. Tyle że to było coś innego, jako że występowałam w roli zawodnika. Myślałam, że jako rebeliantka będę bardziej przypominała siebie. Okazuje się jednak, że filmowana rebeliantka ma własne standardy, którym musi sprostać.

Po spłukaniu piany z ciała, zwracam się do Octavii w oczekiwaniu na ręcznik. Tak bardzo różni się ona od kobiety, którą poznałam w Kapitolu, odarta z krzykliwych ubrań, mocnego makijażu, kolorów i biżuterii, i drobiazgów, którymi ozdabiała włosy. Pamiętam jak pewnego dnia pojawiła się w intensywnie różowych warkoczach wysadzanych świecącymi kolorowymi światełkami w kształcie myszy. Powiedziała mi, że trzyma w domu kilka udomowionych myszy. Odrzuciła mnie wtedy ta myśl, jako że uważamy je za szkodniki, chyba że są ugotowane. Może jednak Octavia polubiła je, bo były małe,

delikatne i piszczące. Jak ona. Kiedy mnie osusza, próbuję zaznajomić się z Octavią z Trzynastego Dystryktu. Jej prawdziwe włosy okazują się mieć ładny, kasztanowy kolor. Ma pospolitą twarz, której jednak nie sposób odmówić słodczy. Jest młodsza niż mi się zdawało. Może mieć niewiele ponad dwadzieścia lat. Pozbawione swoich siedmioipółcentymetrowych ozdobnych paznokci, jej palce wydają się niemal grube i nie przestają się trząść. Chcę jej powiedzieć, że już w porządku, że dopilnuję, by Coin nigdy więcej jej nie skrzywdziła. Ale wielokolorowe siniaki pod jej zieloną skórą przypominają mi jedynie o tym, jak bardzo jestem bezsilna.

Flavius również wydaje się nijaki bez swojej fioletowej szminki i jaskrawych ubrań. Udało mu się jednak w pewien sposób uporządkować pomarańczowe sprężynki loków. Venia zmieniła się najmniej. Jej wodniste włosy są wyprostowane zamiast układać się w szpikulce i można dostrzec siwe odrosty. Jednakże tatuaże zawsze były jej najbardziej uderzającą cechą i są równie złote i szokujące co zawsze. Podchodzi i zabiera ręcznik z rąk Octavii.

— Katniss nas nie skrzywdzi — mówi cicho, ale stanowczo do Octavii. — Katniss nie wiedziała nawet, że tu jesteśmy. Teraz będzie już lepiej.

Octavia przytakuje delikatnie, ale nie ma odwagi, by spojrzeć mi w oczy.

Przywracanie mnie do Zerowego Poziomu Piękna nie jest łatwym zadaniem, nawet z rozbudowanym zasobem produktów, narzędzi i gadżetów, które Plutarch przezornie zabrał z Kapitolu. Członkowie mojej ekipy przygotowawczej radzą sobie całkiem nieźle dopóki nie zabierają się za miejsce na moim ramieniu, z którego Johanna wyciągnęła lokalizator. Lekarze nie skupiali się na wyglądzie, kiedy łątali otwartą ranę. Teraz mam nierówną, wystrzępioną bliznę wielkości jabłka. Zwykle jest zasłonięta rękawem, ale w zaprojektowanym przez Cinnę kostiumie rękawy kończą się tuż nad łokciem. Okazuje się to być tak wielkim problemem, że Plutarch i Fulvia wzywani są na pomoc. Przysięgam, widok rany przyprawia Fulwię o odruch wymiotny. Jak na kogoś kto pracuje z Organizatorem Igrzysk, jest okropnie wrażliwa. Zgaduję jednak, że przyzwyczała się do widoku nieprzyjemnych rzeczy jedynie na ekranie.

— Wszyscy wiedzą, że mam tam bliznę — mówię ponuro.

— Wiedzieć o niej i widzieć ją to dwie różne sprawy — mówi Fulvia. — Jest wręcz odpychająca. Pomyślimy nad tym z Plutarchem podczas obiadu.

— Będzie dobrze — dodaje Plutarch, lekceważąco machając ręką. — Może jakaś opaska...

Zdegustowana ubieram się, by udać się do jadalni. Moja ekipa przygotowawcza tłoczy się w niewielką grupkę przy drzwiach.

— Czy przynoszą wam jedzenie tutaj? — pytam.

— Nie — odpowiada Venia. — Powinniśmy iść do jadalni.

Wzdycham w duchu, kiedy wyobrażam sobie wmaszerowanie do jadalni wraz z tą trójką. Ludzie jednak i tak zawsze się na mnie gapią. Nie robi to wielkiej różnicy.

— Pokażę wam gdzie to jest — mówię. — Chodźcie.

Potajemne spojrzenia i ciche szemranie, które zwykle wywołuję, są niczym w porównaniu z reakcją na widok mojej dziwacznie wyglądającej ekipy przygotowawczej. Rozdziawione usta, wytykanie palcami, krzyki.

— Po prostu ich ignorujcie — mówię mojemu zespołowi.

Ze spuszczonego wzrokiem, w naturalnym odruchu, idą za mną do kolejki, przyjmują miski szarawej ryby i duszonej okry i szklanki wody.

Zajmujemy miejsca przy moim stole obok mieszkańców Złożyska. Okazują nieco więcej powściągliwości niż ludzie z Trzynastki, chociaż może to po prostu wynikać z zakłopotania. Leevy, mój sąsiad z Dwunastki, wita się ostrożnie z ekipą przygotowawczą, a mama Gale'a, Hazelle, która musiała się dowiedzieć o ich uwięzieniu, podnosi łyżkę duszonej okry.

— Bez obaw — mówi. — Smakuje lepiej niż wygląda.

Jednak to Posy, pięcioletnia siostra Gale'a, pomaga najbardziej. Przesuwa się na ławce do Octavii i dotyka palcem jej skóry.

— Jesteś zielona. Czy jesteś chora?

— To taka moda, Posy. Jak malowanie ust — mówię.

— To miało być ładne — szepcze Octavia, a ja dostrzegam łzy grożące upadkiem z jej rzęs.

Posy rozważa to i mówi rzeczowo:

— Myślę, że byłoby ci ładnie w każdym kolorze.

Niewielki uśmiech pojawia się na ustach Octavii.

— Dziękuję.

— Jeżeli naprawdę chcesz zaimponować Posy, będziesz musiała przefarbować się na jaskrawy róż — mówi Gale, uderzając swoją tacą o stół i siadając obok mnie. — To jej ulubiony kolor. — Posy chichocze i przesuwa się z powrotem w stronę matki. Gale wskazuje głową miskę Flaviusa. — Na twoim miejscu nie pozwoliłbym temu wystygnać. To wcale nie poprawia konsystencji.

Wszyscy pochylają się nad jedzeniem. Duszona okra nie smakuje źle, ale jest w niej coś śluzowatego, co ciężko przeoczyć. Jakby trzeba było połykać każdy kęs trzykrotnie zanim połknie się go do końca.

Gale, który zwykle nie rozmawia za wiele podczas posiłków, wysila się, by podtrzymać konwersację pytaniami o stylizację. Wiem, że próbuje załagodzić sytuację. Pokłóciliśmy się wczorajszej nocy po tym, jak zasugerował, że nie pozostawiłam Coin innego wyboru, jak tylko przeciwstawić mojemu żądaniu bezpieczeństwa dla zwycięzców jej własne żądanie.

— Katniss, ona rządzi tym dystryktem. Nie mogłaby tego robić, jeśli ludziom wydawałoby się, że ugina się pod twoimi żądaniami.

— Chcesz powiedzieć, że ona nie znosi żadnej różnicy poglądów, nawet jeśli jest uzasadniona — odparowałam.

— Chcę powiedzieć, że postawiłaś ją w złej sytuacji przez wymuszenie na niej zapewnienia Peecie i innym nietykalności, kiedy nie wiemy nawet jakie szkody może nam przynieść ich działanie — powiedział Gale.

— Więc powinnam po prostu trzymać się ustaleń i zostawić innych trybutów na pastwę losu? Nie żeby to miało znaczenie, bo przecież i tak wszyscy wciąż to robimy!

Wtedy zatrzasnęłam mu drzwi przed nosem. Nie usiadłam z nim podczas śniadania, a kiedy Plutarch wysłał go rano na szkolenie, pozwoliłam mu odejść nie zamieniwszy z nim słowa. Wiem, że jego słowa wynikały z troski o mnie, ale naprawdę potrzebuję, by bronił mnie, a nie Coin. Jak może o tym nie wiedzieć?

Po obiedzie Gale i ja mamy zaplanowane odwiedziny Beetee'ego w Obronie Specjalnej. Kiedy zjeżdżamy windą na niższe poziomy, Gale w końcu mówi:

— Wciąż jesteś zła.

— A tobie wciąż nie jest przykro — odpowiadam.

— Nadal wierzę w to, co powiedziałem. Chcesz, żebym kłamał? — pyta.

— Nie, chcę, byś to przemyślał i doszedł do właściwych wniosków — mówię mu.

To tylko doprowadza go do śmiechu. Muszę odpuścić. Bezcelowe są próby narzucenia Gale'owi cudzego sposobu myślenia. To dlatego mu ufam, jeśli mam być szczerą.

Poziom Obrony Specjalnej jest niemal tak głęboko pod ziemią jak lochy, w których znaleźliśmy ekipę przygotowawczą. Jest tu cała sieć pomieszczeń pełnych komputerów, laboratoriów, sprzętu badawczego i poligonów.

Kiedy pytamy o Beetee'ego, zostajemy pokierowani przez ten labirynt aż docieramy do wielkiego okna z płaskiego szkła. W środku znajduje się pierwsza piękna rzecz jaką widziałam w podziemnej części Trzynastego Dystryktu: replika łąki, wypełniona prawdziwymi drzewami i kwitnącymi roślinami, ożywiona kolibrami. Beetee siedzi bez ruchu w wózku inwalidzkim na środku łąki, obserwując soczyście zielonego ptaka unoszącego się w powietrzu w trakcie spijania nektaru z dużego pomarańczowego kwiatu. Podąża wzrokiem za znikającym ptakiem i wtedy nas dostrzega. Macha do nas przyjaźnie, byśmy do niego dołączyli.

Powietrze jest chłodne i przyjemne, a nie wilgotne i parne, jak się spodziewałam. Ze wszystkich stron dociera do nas trzepot malutkich skrzydeł, który zwykłam mylić z dźwiękiem wydawanym przez owady w lesie w Dwunastce. Zastanawiam się co za szczęśliwy przypadek doprowadził do zbudowania tu tak przyjemnego miejsca.

Beetee wciąż objawia bladość osoby na rekonwalescencji, jego oczy błyszczą podnieceniem znad źle dopasowanych okularów.

— Czyż nie są wspaniałe? Trzynastka obserwuje ich powietrzne ruchy przez lata. Lot w przód i w tył, i przyspieszenie do stu kilometrów na godzinę. Gdybym tylko mógł ci zbudować takie skrzydła, Katniss!

— Obawiam się, że bym im nie podołała, Beetee — śmieję się.

— W jednej chwili są, a w następnej znikają. Zestrzełabyś kolibra strzałą z łuku? — pyta.

— Nigdy nie próbowałam. Niewiele na nich mięsa — odpowiadam.

— Nie. A ty nie jesteś z tych, co zabijają dla sportu — mówi. — Myślę jednak, że ciężko byłoby je zestrześć.

— Może dałoby się je usidlić — mówi Gale. Na jego twarzy pojawia się ten nieobecny wyraz, który przybiera, kiedy próbuje coś rozgryźć. — Przy pomocy siatki z bardzo niewielkimi oczkami. Ogrodzić nią teren i zostawić otwór wielkości paru metrów kwadratowych. Zwabić je nektarem kwiatowym. Gdy będą się posilać, zatrzaskać otwór. Odleciałyby od źródła hałasu, ale napotkałyby jedynie dalszy koniec siatki.

— To by zadziałało? — pyta Beetee.

— Nie wiem. To tylko pomysł — mówi Gale. — Mogłyby nas przechytryć.

— Mogłyby. Ale bazujesz na ich naturalnych instynktach ucieczki od niebezpieczeństwa. Kiedy myślisz jak zwierzyna... wtedy znajdujesz jej słabe strony — mówi Beetee.

Przypominam sobie coś, o czym nie lubię myśleć. Gdy przygotowywałam się do Poskromienia, widziałam kasety, na której Beetee — wtedy tylko chłopiec — połączył dwa przewody, które poraziły prądem grupę tropiących go dzieciaków. Konwulsyjne ruchy ciał, groteskowe wyrazy twarzy. Beetee, w chwilach, które doprowadziły do jego zwycięstwa w tych odległych Igrzyskach Śmierci, patrzył jak inni umierają. Nie jego wina. Działał w obronie własnej. Wszyscy działaliśmy w obronie własnej...

Nagle mam ochotę opuścić kolibrową salę zanim ktokolwiek zacznie zastawiać sidła.

— Beetee, Plutarch powiedział, że masz coś dla mnie.

— Racja. Mam. Twój nowy łuk. — Naciska panel kontrolny na ramieniu swojego wózka i wyjeżdża z sali. Kiedy podążamy za nim poprzez liczne zakręty Obrony Specjalnej, mówi nam o wózku. — Mogę już trochę chodzić. Tylko że za szybko się męczę. Łatwiej mi jest przemieszczać się w ten sposób. Jak sobie radzi Finnick?

— On... on ma problemy z koncentracją — odpowiadam.

Nie chcę mówić, że kompletnie się rozkleił.

— Problemy z koncentracją, tak? — Beetee uśmiecha się ponuro. — Gdybyś wiedziała przez co Finnick przechodził przez ostatnie kilka lat, wiedziałabyś jak bardzo

niezwykle jest to, że wciąż z nami jest. Powiedz mu, że pracuję nad nowym trójzębem dla niego, dobrze? To go trochę rozkojarzy.

Rozkojarzenie wydaje się ostatnim, czego Finnick potrzebuje, ale obiecuję przekazać wiadomość.

Czterech żołnierzy strzeże wejścia do pomieszczenia oznaczonego jako Broń Specjalna. Sprawdzenie planów dnia na naszych przedramionach to tylko pierwszy krok. Skanują też nasze odciski palców, siatkówki i DNA i musimy przejść przez specjalne wykrywacze metalu. Beete musi pozostawić swój wózek na zewnątrz, jednak zapewniają mu inny po całej procedurze bezpieczeństwa. Wszystko to wydaje mi się dziwaczne, bo nie potrafię sobie wyobrazić, by jakikolwiek wychowanek Trzynastego Dystryktu mógł stanowić zagrożenie, przed którym rząd musiałby się strzec. Czy te zabezpieczenia zostały wprowadzone z uwagi na ostatni napływ imigrantów?

W drzwiach zbrojowni napotykamy drugą turę sprawdzania tożsamości — jakby moje DNA mogło się zmienić w czasie, jaki zabrało przejście dwudziestu metrów korytarzem — i w końcu możemy obejrzeć kolekcję broni. Muszę przyznać, że arsenał zapiera dech w piersiach. Rząd za rządem broni palnej, wyrzutni rakiet, materiałów wybuchowych, uzbrojonych pojazdów.

— Oczywiście Dywizja Powietrzna znajduje się w innym miejscu — mówi nam Beete.

— Oczywiście — mówię, jakby to się rozumiało samo przez się.

Nie wiem gdzie prosty łuk i strzały mogłyby znaleźć miejsce pośród tego wysoko wyspecjalizowanego sprzętu, ale w końcu natykamy się na ścianę śmiercionośnej broni łuczniczej. Używałam wielu rodzajów kapitolińskiej broni na szkoleniach, ale żadna z nich nie była przeznaczona do walki zbrojnej. Skupiam uwagę na zabójczo wyglądającym łuku, tak naładowanym funkcjami i gadżetami, że nawet nie mogłabym go unieść, a co dopiero z niego strzelać.

— Gale, może chciałbyś wypróbować niektóre z nich? — mówi Beete.

— Poważnie? — pyta Gale.

— Broń zostanie ci przyznana przed walką, oczywiście. Ale skoro będziesz się pojawiał jako część ekipy Katniss w proposach, jeden z tych będzie wyglądał nieco bardziej efektownie. Pomyślałem sobie, że mógłbyś chcieć znaleźć jakiś, który by ci pasował — mówi Beete.

— Taa, mógłbym.

Dłonie Gale'a zaciskają się na tym samym łuku, który przed chwilą zwrócił moją uwagę, i bierze go w swoje ramiona. Celuje z niego dookoła sali, wypatrując celu.

— To nie wydaje się sprawiedliwe wobec jeleni — mówię.

— Nie będę strzelał do jeleni, prawda? — odpowiada.

— Zaraz wracam — mówi Beete.

Przyciska łokciem panel i otwiera się niewielkie wejście. Obserwuję go dopóki nie znika, a drzwi się nie zatraskują.

— Czyli to będzie dla ciebie proste? Strzelanie z niego do ludzi? — pytam.

— Tego nie powiedziałem. — Gale opuszcza łuk. — Ale gdybym miał broń, która mogłaby zatrzymać to, co stało się w Dwunastce... gdybym miał broń, która utrzymałaby cię z dala od areny... użyłbym jej.

— Ja też — przyznaję.

Ale nie wiem co mu powiedzieć o skutkach zabicia człowieka. O tym, jak nigdy cię nie opuszczają.

Beetee wraca z wysoką prostokątną walizką ustawioną niezręcznie pomiędzy podnóżkiem a jego ramieniem. Zatrzymuje się i nachyla ją w moją stronę.

— Dla ciebie.

Ustawiam walizkę płasko na podłodze i odpinam zatraski. Góra otwiera się cicho na zawiasach. W walizce na posłaniu z pogniecionego brązowego aksamitu, leży oszałamiający czarny łuk.

— Och — szepczę w zachwycie.

Unoszę go ostrożnie w powietrze, by podziwiać doskonale wyważenie, elegancki projekt i linię gałęzi, które w jakiś sposób przypominają skrzydła ptaka rozpostarte w locie. Jest coś jeszcze. Muszę pozostać bez ruchu, by upewnić się, że sobie tego nie wymyśliłam. Nie, łuk ożywa w moich rękach. Przykładam go do policzka i czuję delikatne mrowienie w kościach mojej twarzy.

— Co on robi? — pytam.

— Wita się — wyjaśnia Beetee z szerokim uśmiechem. — Usłyszał twój głos.

— Rozpoznaje mój głos? — pytam.

— Tylko twój głos — mówi mi. — Widzisz, chcieli, bym zaprojektował łuk, w którym ważny jest wygląd. Jako część twojego przebrania, wiesz? Ale wciąż myślałem, że to wielkie marnotrawstwo. To znaczy... Co jeśli kiedyś naprawdę byś go potrzebowała? Bardziej niż jako modny dodatek? Więc pozostawiłem zewnętrzną część prostą, a w wewnętrzną włożyłem trochę wyobraźni. Lepiej jednak wytłumaczyć to na przykładzie. Chcecie je wypróbować?

Chcemy. Cele zostały już dla nas wcześniej przygotowane. Zaprojektowane przez Beetee'ego strzały są nie mniej godne uwagi niż łuk. Pozwalają mi na precyzyjne strzały na ponad sto metrów. Różnorodność strzał — ostre jak brzytwa, ogniowe i wybuchowe — zmienia łuk w broń wielozadaniową. Każdy rodzaj jest rozpoznawalny przez odpowiednio pomalowane drzewce. Mam możliwość zatrzymania reakcji na mój głos, choć nie wiem po co miałabym to robić. By dezaktywować specjalne właściwości łuku, muszę jedynie powiedzieć „dobranoc”. Później łuk zasypia dopóki dźwięk mojego głosu nie obudzi go ponownie.

Jestem w dobrym nastroju kiedy wracam do ekipy przygotowawczej, zostawiając Beete'eego z Gale'em. Siedzę cierpliwie podczas dalszej części malowania, ubieram kostium, który teraz zawiera również krwawy bandaż przykrywający bliznę na moim ramieniu, by pokazać, że niedawno walczyłam. Venia przypina mi nad sercem broszkę z kosogłosem. Podnoszę łuk i kołczan ze zwyczajnymi strzałami stworzonymi przez Beete'eego, wiedząc, że nie pozwoliliby mi szwendać się z tymi specjalnymi. Później wchodzimy na scenę, gdzie zdaje mi się, że stoję godzinami, podczas gdy reszta poprawia mój makijaż i światła, i ilość dymu. W końcu rozkazy od niewidzialnych ludzi w tajemniczej przeszklonej kabinie wydawane przez interkom stają się coraz rzadsze i rzadsze. Fulvia i Plutarch spędzają więcej czasu obserwując niż poprawiając mnie. W końcu na planie zapada cisza. Przez całe pięć minut jestem po prostu obserwowana. Potem Plutarch mówi:

— Myślę, że to wystarczy.

Pojawiam się na monitorze. Cofają ostatnie kilka minut nagrania i obserwuję kobietę na ekranie. Wydaje się wyższa, o bardziej imponującej sylwetce niż moja. Twarz ma przybrudzoną, ale pociągającą. Jej brwi są czarne i wygięte buntowniczo. Smugi dymu — sugerujące, że albo właśnie się z nich wydostała, albo zaraz stanie w płomieniach — unoszą się z jej ubrania. Nie wiem kim jest ta osoba.

Finnick, który włóczył się po planie przez kilka godzin, staje za mną i mówi ze śladem dawnego humoru:

— Albo będą chcieli cię zabić, albo pocałować, albo być tobą.

Wszyscy są podnieceni, zadowoleni z własnej pracy. Już prawie czas na kolację, ale nalegają, by kontynuować. Jutro skupimy się na przemowach i wywiadach, i udawaniu, że jestem w środku rebelianckich walk. Dziś chcą tylko jednego sloganu, jednej linijki, którą mogliby przerobić na krótki propos i pokazać Coin.

— Mieszkańcy Panem, walczymy, rzucamy wyzwanie, kończymy z głodem sprawiedliwości!

To ten slogan. Ze sposobu, w jaki go prezentują, wnioskuję, że spędzili miesiące, może lata, nad wymyśleniem go i są z niego naprawdę dumni. Mnie się wydaje trudny do wymówienia. I sztywny. Nie potrafię sobie wyobrazić, bym miała tak powiedzieć w prawdziwym życiu — chyba że nabijałabym się z tego z kapitołińskim akcentem. Jak wtedy, kiedy Gale i ja mieliśmy w zwyczaju udawać Effie Trinket i jej „I niech los zawsze wam sprzyja!”. Ale Fulvia stoi tuż przede mną, opisując bitwę, w której właśnie brałam udział i mówiąc, że moi towarzysze broni leżą martwi wokół mnie i że, aby zjednoczyć żywych, muszę obrócić się w stronę kamery i wykrzyczeć slogan!

Popychają mnie z powrotem na miejsce i maszyny wywołujące dym zaczynają działać. Ktoś prosi o ciszę, kamery zaczynają nagrywać i słyszę „akcja!”. Więc trzymam łuk nad głową i krzyczę z całą złością, jaką udaje mi się zgromadzić:

— Mieszkańcy Panem, walczymy, rzucamy wyzwanie, kończymy z głodem sprawiedliwości!

Na planie zapada martwa cisza. Trwa. I trwa.

W końcu interkom ożywa z trzaskiem i cierpki śmiech Haymitcha wypełnia studio. Powstrzymuje się jedynie na tyle długo, by powiedzieć:

— I tak, moi mili, umiera rewolucja.

Byłam w szoku po usłyszeniu wczoraj głosu Haymitcha, po zdaniu sobie sprawy, że nie tylko był pomocny, ale znowu zyskał pewną kontrolę nad moim życiem; rozwścieczyło mnie to. Natychmiast opuściłam studio i odmówiłam przyjęcia do wiadomości jego komentarzy dochodzących dzisiaj z kabiny. Mimo tego, od razu wiedziałam, że ma rację co do mojego występu.

Cały dzisiejszy ranek zabrało mu przekonanie innych o moich ograniczeniach. Że tak nie potrafię. Nie mogę stać w telewizyjnym studio w kostiumie i pełnym makijażu i w chmurze dymu poprowadzić dystrykty do walki. To zadziwiające, naprawdę, że przetrwałam tyle występów przed kamerami. To wszystko jest, oczywiście, zasługą Peety. Samotnie nie mogę być Kosogłosem.

Zbieramy się wokół ogromnego stołu w Centrum Dowodzenia. Coin i jej ludzie. Plutarch, Fulvia i moja ekipa przygotowawcza. Grupa ludzi z Dwunastki, która obejmuje Haymitcha i Gale'a, ale także kilkoro innych, których obecności nie rozumiem, jak Leevy'ego czy Śliską Sae. W ostatniej chwili Finnick wwozi na salę Beetee'ego, a towarzyszy im Dalton, znawca bydła z Dziesiątki. Przypuszczam, że Coin zebrała tych wszystkich dziwnych ludzi jako świadków mojej porażki.

Jednakże to Haymitch wszystkich wita, a z jego słów wnioskuję, że przybyli tu na jego prośbę. Po raz pierwszy jesteśmy w tym samym pomieszczeniu od czasu, kiedy go podrapałam. Unikam patrzenia prosto na niego, ale dostrzegam jego odbicie w jednej ze świecących kontrolerek na ścianie. Jego skóra ma delikatnie żółty kolor, a on sam stracił sporo na wadze, przez co wygląda, jakby się skurczył. Przez moment boję się, że umiera. Muszę sobie przypomnieć, że wcale mnie to nie obchodzi.

Pierwszą rzeczą, którą Haymitch robi, jest odtworzenie materiału, który właśnie nakręciliśmy. Wydaje się, że osiągnęłam jakiś nowy poziom dna pod kierownictwem Plutarcha i Fulvii. Mój głos jest urywany, a ruchy chaotyczne, jakbym była marionetką manipulowaną przez niewidzialne siły.

— W porządku — mówi Haymitch, kiedy materiał się kończy. — Czy ktoś ma zamiar się ze mną kłócić, że to przyda nam się w wygraniu wojny? — Nikt tego nie robi. — To nam oszczędzi czas. Pomilczmy przez moment. Chcę, by każdy pomyślał o chwili, w której Katniss Everdeen autentycznie was poruszyła. Nie takiej, w której zazdrościliście jej fryzury albo kiedy jej sukienka stanęła w płomieniach, albo kiedy wykonała choć w połowie przyzwoity strzał z łuku. Nie takiej, w której to Peeta zmuszał was, byście ją polubili. Chcę usłyszeć o jednej chwili, w której sprawiła, że poczuliście coś prawdziwego.

Cisza przeciąga się i zaczynam wierzyć, że nigdy się nie skończy, kiedy Leevy się odzywa:

— Kiedy zajęła miejsce Prim na dożynkach. Bo jestem pewien, że myślała, że umrze.

— Dobrze. Świetny przykład — mówi Haymitch. Wyjmuje fioletowy pisak i zapisuje w notatniku: — „Zajmuje miejsce siostry na dożynkach”. — Haymitch rozgląda się wokół stołu. — Kto teraz?

Jestem zaskoczona, że kolejny zabiera głos Boggs, o którym myślę jak o umięśnionym robocie, który wykonuje rozkazy Coin.

— Kiedy zaśpiewała piosenkę. Kiedy dziewczynka umarła.

Gdzieś w mojej głowie pojawia się obraz Boggsa z młodym chłopcem siedzącym mu na kolanach. W jadalni, tak mi się zdaje. Może jednak wcale nie jest robotem.

— Kogóż to nie uderzyło, prawda? — mówi Haymitch, zapisując to w notesie.

— Płakałam, kiedy odurzyła Peetę, by pójść po lekarstwo dla niego, i kiedy pocałowała go na pożegnanie — wyznaje Octavia. Później zakrywa usta, jakby była pewna, że popełniła błąd.

Ale Haymitch jedynie przytakuje.

— O tak. Odurza Peetę, by uratować mu życie. Bardzo dobrze.

Ludzie wymieniają sytuacje coraz częściej i szybciej, i bez żadnego konkretnego porządku. Kiedy zgodziłam się być sojuszniczką Rue. Wyciągnęłam rękę w stronę Chaffa w wieczór wywiadów. Próbowalam nieść Mags. I znowu, i znowu kiedy wyciągnęłam jagody, które znaczyły tyle różnych rzeczy dla tylu różnych ludzi. Miłość do Peety. Odmowę złamania się pod wpływem niemożliwych wymagań. Sprzeciw wobec nieludzkich działań Kapitolu.

Haymitch unosi notatnik.

— Więc pytanie jest takie: Co to wszystko ma ze sobą wspólnego?

— To były gesty Katniss — mówi cicho Gale. — Nikt nie mówił jej co ma robić albo mówić.

— Nie reżyserowane, racja! — mówi Beetee. Wyciąga rękę i klepie mnie po dłoni.
— Więc powinniśmy po prostu zostawić cię w spokoju, prawda?

Ludzie się śmieją. Nawet ja się lekko uśmiecham.

— Cóż, to wszystko jest bardzo miłe, ale nieszczególnie pomocne — mówi rozzłoszczona Fulvia. — Niestety jej możliwości bycia cudowną są raczej ograniczone tu w Trzynastce. Więc jeśli nie sugerujecie, by podrzucić ją w sam środek walki...

— Ale ludzie myślą, że jest w ciąży — zauważa Gale.

— Rozprzestrzenimy wiadomość, że straciła dziecko po porażeniu prądem na arenie — odpowiada Plutarch. — Bardzo smutne. Bardzo niefortunne.

Pomysł wysłania mnie do walki jest kontrowersyjny. Jednak dla Haymitcha to jedyny scenariusz. Jeżeli gram dobrze jedynie w okolicznościach przypominających prawdziwe życie, to powinnam się w takich znaleźć.

— Za każdym razem kiedy ją szkolimy albo dyktujemy co ma mówić najlepszy materiał na jaki możemy liczyć jest co najwyżej niezły. To musi wyjść od niej. Na to ludzie odpowiadają.

— Nawet jeśli będziemy ostrożni, nie możemy zagwarantować jej bezpieczeństwa — mówi Boggs. — Będzie celem każdego...

— Chcę iść — wtrącam się. — Tutaj nie jestem pomocna rebeliantom.

— A jeśli cię zabiją? — pyta Coin.

— Upewnijcie się, że to nagraliście. Później będziecie mogli tego użyć — odpowiadam.

— W porządku — mówi Coin. — Ale po kolei. Znajdźcie możliwie najmniejsze zagrożenie, które uwolni nieco twoją spontaniczność. — Chodzi wokół Centrum Dowodzenia, studiując podświetlone mapy dystryktów, które wskazują obecne pozycje wojsk. — Zabierzcie ją do Ósemki dziś popołudniu. Było tam rano ciężkie bombardowanie, ale wydaje się, że nalot już się skończył. Chcę, by była uzbrojona i pod opieką grupy ochroniarzy. Z ekipą filmową na ziemi. Haymitch, ty będziesz w powietrzu i w stałym kontakcie z nią. Zobaczymy co się stanie. Komentarze?

— Umyjcie jej twarz — mówi Dalton. Wszyscy zwracają się w jego stronę. — To wciąż tylko dziewczyna, a wy sprawiliście, że wygląda na trzydzieści pięć lat. Coś tu nie gra. To coś jak robota Kapitolu.

Kiedy Coin zawiesza zebranie, Haymitch prosi ją o prywatną rozmowę ze mną. Wychodzą wszyscy oprócz Gale'a, który niepewnie pozostaje u mojego boku.

— Czym się martwisz? — pyta go Haymitch. — To ja tu potrzebuję ochrony.

— W porządku — mówię Gale'owi i chłopak wychodzi. W ciszy słysząc brzęczenie mechanizmów, cichy warkot systemu wentylacyjnego.

Haymitch siada naprzeciwko mnie.

— Znowu będziemy musieli razem pracować. Więc po prostu to powiedz. No dalej.

Myślę o warkliwej, okrutnej wymianie zdań w poduszkowcu. O wywołanym przez nią rozgoryczeniu. Ale mówię tylko:

— Nie mogę uwierzyć, że nie uratowałeś Peety.

— Wiem — odpowiada.

Czegoś wydaje się brakować. I nie dlatego, że nie przeprosił. Dlatego, że byliśmy zespołem. Zawarliśmy umowę, że zapewnimy Peecie bezpieczeństwo. Mało realistyczną umowę zawartą po pijanemu w ciemnościach nocy, ale wciąż umowę. I w głębi serca wiem, że oboje zawiedliśmy.

— Teraz ty — mówię mu.

— Nie mogę uwierzyć, że spuściłaś go z oczu tamtej nocy — mówi Haymitch.

Przytakuję. To właśnie to.

— Odtwarzam to sobie wciąż od nowa w głowie. Co mogłam zrobić, by zatrzymać go przy sobie bez złamania warunków przymierza. Ale nie mogę nic wymyślić.

— Nie miałaś wyboru. A gdybym zmusił Plutarcha, by został i ratował go tamtej nocy, cały poduszkowiec by się rozbił. I tak ledwo uciekliśmy. — W końcu patrzę Haymitchowi w oczy. Oczy ze Złóżyska. Szare i głębokie, otoczone ciemnymi obwódkami bezsennych nocy. — Jeszcze nie jest martwy, Katniss.

— Wciąż jesteśmy w grze. — Próbuję powiedzieć to optymistycznie, ale mój głos się łamie.

— Wciąż w grze. A ja wciąż jestem twoim mentorem. — Haymitch celuje we mnie swoim pisakiem. — Kiedy będziesz na dole, pamiętaj, że ja jestem w powietrzu. Będę miał lepszy widok, więc rób, co ci powiem.

— Zobaczmy — odpowiadam.

Wracam do Sali Przeróbek i patrzę jak smugi makijażu znikają w odpływie, kiedy zmywam twarz. Osoba w lustrze wygląda niechlujnie ze swoją nierówną cerą i zmęczonymi oczami, ale przynajmniej przypomina mnie. Zdzieram bandaż z ramienia, ukazując brzydką bliznę po lokalizatorze. To też wygląda jak ja.

Jako że będę w strefie walk, Beetee pomaga mi z zaprojektowaną przez Cinnę bronią. Hełm z jakiegoś stopu metalu, który pasuje idealnie do mojej głowy. Materiał jest elastyczny, jak tkanina, i można go odrzucić do tyłu jak kaptur, gdybym nie chciała mieć go na głowie przez cały czas. Kamizelka ochraniająca moje najważniejsze organy. Mała, biała słuchawka, która łączy się przewodem z moim kołnierzem. Beetee przyczepia do mojego paska maskę, której nie muszę nosić, chyba że będzie atak gazowy.

— Jeśli zobaczysz, że ktoś upada bez wyraźnej przyczyny, załóż ją natychmiast — mówi. W końcu mocuje na moich plecach kołczan ze strzałami, podzielony na trzy części. — Zapamiętaj: z prawej — ogniowe, z lewej — wybuchowe, środek — zwyczajne. Raczej nie będziesz musiała ich używać, ale przezorny zawsze ubezpieczony.

Pojawia się Boggs, by eskortować mnie na dół do Dywizji Powietrznej. Jak tylko przyjeżdża winda, pojawia się Finnick w stanie wzburzenia.

— Katniss, oni nie chcą pozwolić mi iść! Mówiłem im, że ze mną w porządku, ale nie pozwalają mi nawet lecieć poduszkowcem!

Obejmuję Finnicka wzrokiem — jego gołe nogi wystające spod szpitalnej koszuli, plątaninę włosów, owinięty wokół jego palców sznurek do połowy zawiązany supełkami, dziki wyraz jego oczu — i wiem, że jakkolwiek apel z mojej strony byłby bezcelowy. Nawet ja uważam zabranie go ze sobą za zły pomysł. Uderzam więc dłonią w czoło i mówię:

— Och, zapomniałam. To przez ten głupi wstrząs. Miałam powiedzieć ci, byś zgłosił się u Beetee'ego w oddziale Broni Specjalnej. Zaprojektował dla ciebie nowy trójząb.

Brzmienie słowa „trójząb” powoduje, że stary Finnick niemal powraca.

— Naprawdę? Jakie ma funkcje?

— Nie wiem. Ale jeśli to coś podobnego do mojego łuku i strzał, na pewno go pokochasz — mówię. — Będziesz musiał go jednak wypróbować.

— Pewnie. Oczywiście. Chyba najlepiej będzie, jak od razu tam zejdę — mówi.

— Finnick? — mówię. — Może jakieś spodnie?

Spogląda w dół na swoje nogi, jakby po raz pierwszy dostrzegł swój strój. Nagle zrzuca z siebie szpitalną koszulę i zostaje jedynie w bieliźnie.

— Dlaczego? Przyprawiam cię o... — przybiera niedorzecznie prowokacyjną pozę — rozkojarzenie?

Nie potrafię powstrzymać się od śmiechu, bo to jest zabawne, nawet bardziej zabawne przez zakłopotany wyraz twarzy Boggsa, i jestem szczęśliwa, bo Finnick w końcu brzmi jak facet, którego poznałam na Ćwierćwieczu Poskromienia.

— Jestem tylko człowiekiem, Odaire. — Wsiadam do windy zanim drzwi się zamykają. — Przepraszam — mówię do Boggsa.

— Nie ma za co. Myślę, że... dobrze sobie poradziłaś — mówi. — W każdym razie lepsze to, niż gdybym musiał go aresztować.

— Taa — mówię.

Spoglądam na niego ukradkiem. Prawdopodobnie ma około czterdziestu pięciu lat, ostrzyżone tuż przy skórze siwe włosy i niebieskie oczy. I imponującą posturę. Już dwa razy dzisiaj odezwał się do mnie w sposób, który pozwala mi w nim widzieć raczej przyjaciela niż wroga. Może powinnam dać mu szansę. Wydaje się jednak tak ślepo podążać za Coin...

Następuje seria głośnych kliknięć. Winda zatrzymuje się na moment i nagle zaczyna poruszać się poziomo w lewo.

— Jeździ we wszystkie strony? — pytam.

— Tak. Pod Trzynastką jest cała sieć szybów dla wind — odpowiada. — Ta znajduje się tuż nad szybem prowadzącym na piątą platformę powietrzną. Zabiera nas do Hangaru.

Hangar. Lochy. Obrona Specjalna. Miejsce, w którym hoduje się żywność. W którym wytwarzana jest moc. Oczyszczane są woda i powietrze.

— Trzynastka jest jeszcze większa niż mi się zdawało.

— Nie możemy sobie przypisać za to zasługi — mówi Boggs. — Praktycznie odziedziczyliśmy to miejsce. Robimy jedynie wszystko, by wciąż działało jak należy.

Klikanie ustaje. Znowu krótko spadamy w dół — jedynie o kilka poziomów — i drzwi otwierają się na Hangar.

— Och — wymyka mi się na widok wojennej floty powietrznej. Rząd za rzędem różnych rodzajów poduszkowców. — To też odziedziczyliście?

— Niektóre wyprodukowaliśmy. Niektóre były częścią kapitołińskiej siły powietrznej. Oczywiście zostały unowocześnione — mówi Boggs.

Znowu czuję ukłucie nienawiści do Trzynastki.

— Więc mieliście to wszystko i zostawiliście resztę dystryktów bezbronnymi przeciwko Kapitolowi?

— To nie takie proste — odparowuje. — Nie byliśmy w stanie rozpocząć kontrataku aż do niedawna. Ledwo udało nam się przeżyć. Kiedy pokonaliśmy i straciliśmy kapitołińskich ludzi, niewielu z nas miało jakiegokolwiek pojęcie o pilotowaniu. Mogliśmy zbombardować ich pociskami atomowymi, prawda. Ale zawsze pozostaje pytanie: Czy jakiegokolwiek ludzkie życie zostanie ocalone, jeśli zaangażujemy się w tego typu walkę z Kapitołem?

— To brzmi jak to, co powiedział Peeta. A wszyscy nazwaliście go zdrajcą — zauważam.

— Ponieważ zaapelował o zawieszenie broni — mówi Boggs. — Zauważ, że żadna ze stron nie użyła pocisków atomowych. Rozwiązujemy problem w stary, sprawdzony sposób. Tutaj, Żołnierzu Everdeen. — Wskazuje mi jeden z mniejszych poduszkowców.

Wspinam się po schodach i znajduję w środku ekipę telewizyjną wraz ze sprzętem. Cała reszta jest ubrana w ciemnoszare spadochroniarskie mundury Trzynastki, nawet Haymitch, który jednak nie wydaje się uszczęśliwiony stanem swojego kołnierza.

Fulvia Cardew przepycha się w moją stronę i wydaje z siebie odgłos frustracji na widok mojej czystej twarzy.

— Cała ta praca spłynęła w umywalce. Nie obwiniam cię, Katniss. Niestety jednak niewielu ludzi rodzi się z twarzami, które kamery lubią. Jak on. — Zaczepia Gale'a, który rozmawia z Plutarchem, i obraca go w naszą stronę. — Czyż nie jest przystojny?

Gale rzeczywiście wygląda imponująco w mundurze, tak myślę. Jednak pytanie zawstydza nas oboje, biorąc pod uwagę naszą historię. Próbuję wymyślić jakąś inteligentną odpowiedź, kiedy Boggs mówi nagle:

— Nie oczekuj, że wywrze na nas zbyt wielkie wrażenie. Właśnie widzieliśmy Finnicka Odaire'a w bieliźnie.

Decyduję się zaryzykować i polubić Boggsa.

Słychać ostrzeżenie szybkiego startu i przypinam się pasem na siedzeniu obok Gale'a, twarzą do Haymitcha i Plutarcha. Szybujemy przez labirynt tuneli, który kończy się platformą. Pewien rodzaj windopodobnego urządzenia powoli unosi samolot przez różne poziomy. Nagle znajdujemy się na zewnątrz, na rozległym polu otoczonym lasami, a potem unosimy się z platformy i zostajemy pochłonięci przez chmury.

Teraz, kiedy sekwencja zdarzeń, które doprowadziły do tej misji, skończyła się, zdaję sobie sprawę, że tak naprawdę nie wiem z czym mam się zmierzyć w tej podróży

do Dystryktu Ósmego. Wiem bardzo mało o aktualnym przebiegu wojny. Albo o tym, co będzie potrzebne do zwycięstwa. Albo o tym, co się stanie, jeśli zwyciężymy.

Plutarch próbuje mi to wytłumaczyć prostymi słowami. Po pierwsze, każdy dystrykt jest obecnie w stanie wojny z Kapitołem oprócz Dwójki, która zawsze utrzymywała dobre stosunki z wrogiem pomimo udziału w Igrzyskach Śmierci. Dostają więcej jedzenia i mają lepsze warunki życiowe. Po Mrocznych Dniach i rzekomemu zniszczeniu Trzynastki, Drugi Dystrykt stał się nowym kapitołińskim centrum obrony, chociaż jest powszechnie znany z wydobycia kamieni, w ten sam sposób, w który Trzynastka znana była z wydobycia grafitu. Drugi Dystrykt nie tylko produkuje broń, ale także szkoli i wyposaża Strażników Pokoju.

— Masz na myśli... niektórzy Strażnicy Pokoju urodzili się w Dwójce? — pytam. — Myślałam, że wszyscy pochodzą z Kapitolu.

Plutarch przytakuje.

— Oczekuje się, że właśnie tak będziesz myślała. Niektórzy rzeczywiście pochodzą z Kapitolu. Ale jego społeczeństwo nie mogłoby utrzymać tak dużej siły zbrojnej. Pojawiają się też problemy przy rekrutowaniu wychowanych w Kapitolu ludzi do spędzenia nudnego i mało wystawnego życia w dystryktach. Dwudziestoletnie zobowiązanie do służby, brak pozwolenia na małżeństwo czy dzieci. Niektórzy chcą się tym zajmować ze względu na honorowość, inni wybierają takie życie jako alternatywę kary. Na przykład: zostać Strażnikiem Pokoju, to umorzemy ci długi. Wielu ludzi w Kapitolu zadłuża się po uszy, ale nie wszyscy nadają się do służby wojskowej. Więc to właśnie w Drugim Dystrykcie szukamy dodatkowych oddziałów. To dla ich ludzi sposób na ucieczkę od biedy i życia w wykopaliskach. Wychowywani są jako wojownicy. Widziałas jak chętnie ich dzieci zostają trybutami.

Cato i Clove. Brutus i Enobaria. Widziałam ich entuzjazm, a także żądzę krwi.

— Ale pozostałe dystrykty są po naszej stronie?

— Tak. Naszym celem jest przejęcie dystryktów, jeden po drugim, kończąc na Drugim Dystrykcie i odcinając w ten sposób łańcuch zaopatrzenia Kapitolu. Wtedy, kiedy już będzie osłabiony, zaatakujemy sam Kapitol — mówi Plutarch. — To będzie zupełnie nowy rodzaj wyzwania. Ale przekroczymy ten most, kiedy do tego dojdzie.

— Jeśli zwyciężymy, kto będzie rządził państwem? — pyta Gale.

— Wszyscy — mówi mu Plutarch. — Zamierzamy ustanowić republikę, w której ludzie z każdego dystryktu i z Kapitolu będą mogli wybrać swoich reprezentantów, którzy będą ich rzecznikami w scentralizowanym rządzie. Nie patrzcie na mnie tak podejrzliwie; to się wcześniej sprawdzało.

— W książkach — mamrocze Haymitch.

— Historycznych — mówi Plutarch. — I skoro nasi przodkowie dali sobie z tym radę, to i my damy.

Szczerze mówiąc nasi przodkowie nie wydają się za bardzo warci wychwalania. To znaczy... wystarczy spojrzeć na to, co nam zostawili: wojny i zniszczoną planetę. Najwyraźniej wcale nie przejmowali się tym, co stanie się z ludźmi, którzy zajmą ich miejsce. Jednak pomysł ustanowienia republiki wydaje się lepszym rozwiązaniem niż nasz obecny system rządów.

— A jeśli przegramy? — pytam.

— Jeśli przegramy? — Plutarch spogląda na chmury na zewnątrz, a na jego ustach pojawia się ironiczny uśmiech — Wtedy następne Głodowe Igrzyska będą niezapomniane. A propos. — Wyjmuje z kamizelki buteleczkę, wysypuje kilka fioletowych kapsułek na dłoń i podaje nam. — Nazwaliśmy je „uścisk nocy” na twoją cześć, Katniss. Nie możemy sobie pozwolić, by którekolwiek z nas zostało teraz schwytane. Ale obiecuję, że to będzie zupełnie bezbolesne.

Biorę kapsułkę do ręki, niepewna gdzie ją umieścić. Plutarch poklepuje miejsce na moim ramieniu z przodu mojego lewego rękawa. Przyglądam się mu i odnajduję małą kieszeń, która jednocześnie podtrzymuje i ukrywa kapsułkę. Nawet gdybym miała związane ręce, mogłabym nachylić głowę i swobodnie ją ugryźć.

Wygląda na to, że Cinna pomyślał o wszystkim.

7.

Poduszkowiec szybko opada spiralnymi ruchami na szeroką drogę na obrzeżach Ósemki. Niemal natychmiast drzwi się otwierają, schody wysuwają i zostajemy wypłuci na asfalt. W chwili, w której ostatnia osoba opuszcza samolot, sprzęt wsuwa się z powrotem. Poduszkowiec unosi się i znika. Zostawiono mnie z ochroną, którą tworzą Gale, Boggs i dwóch innych żołnierzy. Ekipa telewizyjna składa się z dwóch przysadzistych kapitołińskich kamerzystów z ciężkimi przenośnymi kamerami przysłaniającymi ich ciała jak pancerze owadów, kobiety o imieniu Cressida z ogoloną głową pokrytą tatuażami zielonej winorośli i jej asystenta, Messallii, szczupłego młodego mężczyznę z kilkoma kompletami kolczyków. Po bliższej obserwacji zauważam, że również w języku ma kolczyk — srebrną kulkę wielkości dziecięcych kulek do gry.

Boggs popycha nas w stronę rzędu magazynów, ponieważ kolejny poduszkowiec podchodzi do lądowania. Ten przywozi skrzynki zaopatrzenia medycznego i ekipę sześciu lekarzy — można ich rozróżnić po specyficznych białych ubraniach. Wszyscy podążamy za Boggsem w dół alei, która ciągnie się pomiędzy dwoma nieciekawymi szarymi magazynami. Jedynie sporadyczne drabiny zapewniające dostęp na dach urozmaicają porysowane metalowe ściany. Wyjście na ulicę okazuje się dla nas przeniesieniem do innego świata.

Ranni w porannym bombardowaniu są tu przynoszeni. Na własnej roboty noszach, na taczkach, wozach, przewieszeni przez barki i w zaciśniętych ramionach innych. Krwawiący, pozbawieni kończyn, nieprzytomni. Przenoszeni przez zdesperowanych ludzi do magazynu z niezgrabnie namalowaną literą H nad drzwiami. To scena z mojej starej kuchni, kiedy mama leczyła umierających, tylko że pomnożona dziesięć, pięćdziesiąt, sto razy. Oczekiwałam zniszczonych przez bomby budynków, a zamiast tego będę musiała zmierzyć się z połamanymi ludzkimi ciałami.

Tu właśnie zamierzają mnie filmować? Zwracam się w stronę Boggsa.

— To nie zadziała — mówię. — Niewiele będzie ze mnie tutaj pożytku.

Musi dostrzegać panikę w moich oczach, bo zatrzymuje się na chwilę i kładzie ręce na moich barkach.

— Dasz radę. Tylko pozwól, by cię zobaczyli. To im pomoże bardziej, niż jakikolwiek lekarz na świecie.

Kobieta kierująca napływem pacjentów dostrzega nas, spogląda ponownie z niedowierzaniem i rusza w naszą stronę. Jej ciemnobrązowe oczy są opuchnięte ze zmęczenia i śmierdzi metalem i potem. Bandaż wokół jej gardła powinien zostać zmieniony jakieś trzy dni temu. Pasek broni automatycznej przewieszony przez jej plecy wżyna jej się w szyję, więc potrząsa ramieniem, by przesunąć go z powrotem na miejsce. Ruchem kciuka wskazuje lekarzom drogę do magazynu. Podporządkowują jej się bez sprzeciwu.

— To dowódca Ósemki, Paylor — mówi Boggs. — Dowódco, Żołnierz Katniss Everdeen.

Wygląda młodo jak na dowódcę. Może mieć niewiele ponad trzydzieści lat. Ale jest w jej głosie autorytatywny ton, który pozwala wierzyć, że mianowanie jej na to stanowisko nie było dziełem przypadku. Przy niej, w moim nowiusieńkim stroju, czystym i lśniącem, czuję się jak niedawno wyklute pisklę, niedoświadczone i dopiero poznające świat.

— Taa, wiem kim ona jest — mówi Paylor. — Żyjesz zatem. Nie byliśmy tego pewni.

Może się mylę, ale chyba słyszę oskarżającą nutę w jej głosie.

— Sama wciąż nie jestem tego pewna — odpowiadam.

— Dochodziła do siebie — Boggs stuka się w głowę. — Poważny wstrząs. — Na moment zniża głos. — Poroniła. Ale nalegała, by tu przybyć i zobaczyć się z rannymi.

— Cóż, tych nam nie brakuje — mówi Paylor.

— Myślisz, że to dobry pomysł? — pyta Gale i marszczy brwi patrząc na szpital. — Zebranie rannych w ten sposób.

Ja myślę, że nie. Każda zaraźliwa choroba rozprzestrzeniłaby się tu z prędkością światła.

— Myślę, że to nieco lepsze wyjście niż pozostawienie ich na pewną śmierć — odpowiada Paylor.

— Nie o to mi chodziło — mówi jej Gale.

— Cóż, jak na razie taka jest moja alternatywa. Ale jeśli dostrzeżesz trzecią opcję i zdobędziesz poparcie Coin, zamienię się w słuch. — Paylor wskazuje mi drogę do drzwi. — Wejdź do środka, Kosogłosie. I oczywiście weź ze sobą przyjaciół.

Spoglądam w tył na paradę dziwaków, jaką jest moja ekipa, przygotowuję się na to, co mogę zastać, i podążam za nią do szpitala. Pewien rodzaj ciężkiej, przemysłowej zasłony wisi wzdłuż budynku, formując spory korytarz. Ciała leżą obok siebie, zasłona muska ich włosy, biały materiał zasłania twarze.

— Zaczęliśmy kopać masowy grób kilka przecznic na zachód, ale nie mogę się pozbyć zbyt wielu ludzi, by ich stąd wynieśli — mówi Paylor. Znajduje szczelinę w zasłonie i szeroko ją rozsuwa.

Moje palce zamykają się wokół nadgarstka Gale'a.

— Nie odchodź ode mnie — mówię pod nosem.

— Jestem tutaj — odpowiada cicho.

Przechodzę przez zasłonę i moje zmysły zostają zaatakowane. W pierwszym odruchu chcę zakryć nos, by zablokować smród brudnego płótna, gnijącego mięsa i wymiotów dojrzewający w cieple magazynu. Uchylono okna przecinające metalowy dach, ale dostające się do środka powietrze nie potrafi się przebić przez chmurę smrodu

poniżej. Słabe promienie słońca są jedynym oświetleniem i kiedy moje oczy przyzwyczajają się do tego, dostrzegam rząd za rzędem rannych: w kołyskach, na pryczach, na podłodze, bo wielu chce tam znaleźć miejsce. Brzęczenie czarnych much, jęki bólu ludzi oraz szlochy ich bliskich połączyły się w przeraźliwy chór.

W dystryktach nie ma prawdziwych szpitali. Umieramy w domu, co w tej chwili wydaje mi się pożądaną alternatywą tego, co widzę przed sobą. Nagle przypominam sobie, że wielu z tych ludzi prawdopodobnie straciło domy podczas bombardowania.

Pot zaczyna spływać mi po plecach, wypełnia dłonie. Oddycham przez usta, próbując zmniejszyć wdychany smród. Ciemne plamy płyną mi przed oczami i myślę, że jest duża szansa, że zemdleję. Ale wtedy spoglądam na Paylor, która obserwuje mnie uważnie, by sprawdzić z czego jestem zrobiona i czy naprawdę mogą na mnie liczyć. Więc zostawiam Gale'a i zmuszam się do zagłębienia się w magazyn, do przejścia wąską przestrzenią między dwoma rzędami łóżek.

— Katniss? — skrzeczący głos dochodzi z mojej lewej strony, przebijając się przez hałas. — Katniss?

Ręka sięga w moją stronę poprzez opary. Czepiam się jej w odruchu wsparcia. Przyczepiona do ręki jest młoda kobieta ze zranioną nogą. Krew przecieka przez grube bandaże, po których pełzają muchy. Jej twarz odzwierciedla ból, ale też co innego, coś, co wydaje się zupełnie niezgodne z jej sytuacją.

— To naprawdę ty?

— Taa, to ja — mówię.

Radość. To odbija się na jej twarzy. Na dźwięk mojego głosu rozjaśnia się, momentalnie wymazując ból.

— Żyjesz! Nie wiedzieliśmy. Ludzie mówili, że żyjesz, ale my nie wiedzieliśmy! — mówi podnieconym głosem.

— Dostałam nieźle w kość. Ale już wydobrałam — mówię. — Ty też wydobrejesz.

— Muszę powiedzieć bratu! — Kobieta wysila się, by usiąść i woła kogoś oddalonego o kilka łóżek. — Eddy! Eddy! Ona tu jest! Katniss Everdeen!

Chłopiec, prawdopodobnie około dwunastoletni, zwraca się w naszą stronę. Bandaże zakrywają połowę jego twarzy. Widoczna dla mnie część jego ust otwiera się, jakby chciał wydać z siebie okrzyk. Idę do niego i odgarniam mu z czoła wilgotne brązowe loki. Witam się cicho. Nie może mówić, ale jego zdrowe oko wpatruje się we mnie tak intensywnie, jakby próbował zapamiętać każdy szczegół mojej twarzy.

Słyszę swoje imię falujące w gorącym powietrzu, rozprzestrzeniające się na cały szpital. „Katniss! Katniss Everdeen!”. Odgłosy bólu i żałoby powoli zastępowane są słowami pełnymi oczekiwania. Głosy przywołują mnie ze wszystkich stron. Zaczynam się poruszać, klaszcząc w wyciągnięte w moją stronę dłonie, dotykając zdrowych części ciała

tych, którzy nie mogą ruszyć kończynami, witając się, wypytując o ich samopoczucie. To nic ważnego, żadne natchnione słowa. To jednak nieważne. Boggs ma rację. To mój widok, żywej, jest dla nich pocieszeniem.

Niecierpliwe palce pochłaniają mnie, spragnione mojego ciała. Kiedy ranny mężczyzna chwyta moją twarz w swoje dłonie, wysyłam Daltonowi ciche podziękowania za sugestię zmycia makijażu. Jak niedorzecznie, jak przewrotnie bym się czuła, pokazując tym ludziom tę wymalowaną kapitolijną maskę. Zranienia, zmęczenie, niedoskonałości. To dzięki nim mnie rozpoznają, dzięki nim należę do nich.

Pomimo kontrowersyjnego wywiadu Peety, wielu pyta o niego, zapewnia mnie, że wie, że mówił pod przymusem. Robię co mogę, by brzmieć optymistycznie na temat naszej przyszłości, ale ludzie są naprawdę zmartwieni, kiedy dowiadują się, że straciłam dziecko. Chcę wszystko wyjaśnić i powiedzieć jednej płaczącej kobiecie, że to była jedynie mistyfikacja, ruch w grze, ale ukazanie Peety jako kłamcy w tym momencie nie poprawiłoby jego wizerunku. Albo mojego. Albo całej sprawy.

Zaczynam w pełni rozumieć jak daleko posunęli się ludzie, by mnie chronić. Co znaczą dla rebeliantów. Moja walka przeciwko Kapitolowi, która tak często wydawała się być samotną podróżą, nie została podjęta samotnie. Miałam i mam po swojej stronie tysiące ludzi z dystryktów. Byłam ich Kosogłosem długo przed przyjęciem na siebie tej roli.

Nowe uczucie zaczyna we mnie kiełkować. Ale dopiero kiedy stoję na stole, machając na pożegnanie ochrypłemu skandowaniu mojego imienia, potrafię je zdefiniować. Moc. Mam w sobie rodzaj mocy, której istnienia nigdy nie podejrzewałam. Snow wiedział, że ją mam, kiedy tylko wyciągnęłam jagody. Plutarch wiedział, kiedy uratował mnie z areny. I Coin teraz wie. Tak bardzo jest jej świadoma, że musi publicznie przypominać swoim ludziom, że to nie ja rządę.

Kiedy znów znajdujemy się na zewnątrz, opieram się o magazyn, chwytając oddech, akceptując menażkę z wodą podaną mi przez Boggsa.

— Świetnie się spisałaś — mówi.

Cóż, nie zemdlałam ani nie zwymiotowałam, ani nie uciekłam stamtąd z krzykiem. Głównie dałam się ponieść fali emocji przetaczającej się przez to miejsce.

— Nagraliśmy tam całkiem niezły materiał — mówi Cressida.

Patrzę na owadopodobnych kamerzystów, pot spływa spod ich sprzętu. Messalla bazgroli jakieś notatki. Zapomniałam, że w ogóle mnie filmowali.

— Nie zrobiłam wiele, naprawdę — mówię.

— Musisz trochę bardziej w siebie uwierzyć, biorąc pod uwagę wszystko, co do tej pory zrobiłaś — mówi Boggs.

Wszystko, co do tej pory zrobiłam? Myślę o spowodowanym przeze mnie łańcuchu nieszczęść — moje kolana słabną i osuwam się na ziemię do pozycji siedzącej.

— To mieszany zbiór.

— Cóż, nie jesteś doskonała. Ale nadeszły takie czasy, w których będziesz musiała sobie poradzić — mówi Boggs.

Gale kuca obok mnie, kręcąc głową.

— Nie mogę uwierzyć, że pozwoliłaś dotykać się tym wszystkim ludziom. Tylko czekałem aż rzucisz się do wyjścia.

— Zamknij się — mówię ze śmiechem.

— Twoja mama będzie bardzo dumna, kiedy zobaczy materiał — mówi.

— Moja mama nawet nie zauważy, że na nim jestem. Będzie zbyt przerażona panującymi w środku warunkami. — Zwracam się do Boggsa i pytam: — Czy tak jest w każdym dystrykcie?

— Tak. Większość jest atakowana. Próbuje przyjąć z pomocą gdzie tylko możemy, ale to nie wystarcza. — Na chwilę milknie, rozkojarzony czymś, co usłyszał w swojej słuchawce. Zdaję sobie sprawę, że ani razu nie słyszałam głosu Haymitcha i manipuluję przy swojej, zastanawiając się czy jest zepsuta. — Mamy się udać na lądowisko. Natychmiast — mówi Boggs, stawiając mnie na nogi jedną ręką. — Mamy problem.

— Jaki problem? — pyta Gale.

— Nadlatują bombowce — odpowiada Boggs. Sięga za moją szyję i zakłada mi na głowę hełm Cinny. — Ruszamy!

Niepewna tego, co się dzieje, zaczynam biec wzdłuż przedniej części magazynu, kierując się w stronę alei, która prowadzi na lądowisko. Ale nie wyczuwam natychmiastowego zagrożenia. Czyste i bezchmurne niebo ma kolor błękitu. Na ulicy nie ma nikogo oprócz ludzi znoszących rannych do szpitala. Nie ma wroga, nie ma alarmu. Nagle syreny zaczynają wyć. W przeciągu kilku sekund nisko lecąca V-kształtna formacja kapitolinśkich poduszkowców pojawia się nad nami i bomby zaczynają spadać. Zostaję ścięta z nóg i rzucona na frontową ścianę magazynu. Czuję przenikliwy ból z tyłu prawego kolana. Coś wbiło się też w moje plecy, ale chyba nie zdołało przebić kamizelki. Próbuję wstać, ale Boggs popycha mnie z powrotem na ziemię, osłaniając moje ciało swoim. Ziemia trzęsie się pode mną, kiedy bomba za bombą spada z samolotu i wybucha.

To okropne uczucie być przypartym do muru, kiedy bomby spadają na ziemię. Jakiego wyrażenia używał mój tata dla łatwych celów? Jak strzelanie do ryb w beczce. My jesteśmy rybami, ulica beczką.

— Katniss! — zostaję zaskoczona przez głos Haymitcha w moim uchu.

— Co? Tak, co jest? Jestem tutaj! — odpowiadam.

— Posłuchaj mnie. Nie możemy lądować podczas bombardowania, ale konieczne jest, byś ty nie została podziurawiona — mówi.

— Więc nie wiedzą, że tu jestem? — Założyłam, że, jak zwykle, to moja obecność sprowadziła karę.

— Nasi szpiedzy twierdzą, że nie. Że ten atak był już wcześniej zaplanowany — mówi Haymitch.

Teraz słyszę głos Plutarcha, spokojny, ale silny. Głos Głównego Organizatora Igrzysk, przyzwyczajonego do wydawania poleceń pod presją.

— Trzy ulice od was znajduje się jasnoniebieski magazyn. Ma schron w odległym północnym rogu. Dacie radę tam dotrzeć?

— Damy z siebie wszystko — odpowiada Boggs.

Plutarch musi mówić do wszystkich, bo moja ochrona i ekipa telewizyjna podnoszą się z ziemi. Instynktownie szukam wzrokiem Gale'a i widzę, że stoi na nogach, najwyraźniej nie zraniony.

— Macie może czterdzieści pięć sekund do następnej fali — mówi Plutarch.

Wydaję z siebie odgłos bólu, kiedy przenoszę ciężar ciała na prawą nogę, ale idę dalej. Nie ma czasu na zbadanie rany. I tak lepiej na nią teraz nie patrzeć. Na szczęście mam na sobie zaprojektowane przez Cinnę buty. Mocno przyczepiają się do asfaltu, kiedy stawiam na nim stopę i łatwo się od niego odrywają. Nie dałabym rady w tej źle dopasowanej parze butów, którą przeznaczyli dla mnie w Trzynastce. Boggs prowadzi, ale nikt poza nim mnie nie wyprzedza. Zamiast tego zrównują się ze mną, chronią mnie od boku, od tyłu. Czas upływa, a ja zmuszam się do szybkiego biegu. Mijamy drugi szary magazyn i biegniemy wzdłuż brudnego brązowego budynku. Przed nami widzę wyblakłą niebieską fasadę budynku. Magazyn ze schronem. Właśnie dotarliśmy do kolejnej alei, musimy ją tylko przeciąć, by dotrzeć do drzwi, kiedy rozpoczyna się kolejna fala bombardowań. Instynktownie nurkuję w dół alei i przetaczam się w stronę niebieskiej ściany. Tym razem to Gale rzuca się na mnie, by zapewnić mi jeszcze jedną warstwę ochronną przed bombardowaniem. Wydaje się, że bomby spadają dłużej niż poprzednio, ale my jesteśmy od nich dalej.

Zmieniam pozycję i nagle patrzę prosto w oczy Gale'a. Przez moment świat się nie liczy i widzę jedynie jego zaczerwienioną twarz, żyłę wyraźnie pulsującą na skroni, jego usta delikatnie rozchylone, kiedy próbuje złapać oddech.

— W porządku? — pyta. Jego słowa zostały niemal zagłuszone przez odgłos eksplozji.

— Ta. Myślę, że mnie nie widzieli — odpowiadam. — Mam na myśli, że nie śledzą nas.

— Nie. Celują w coś innego — mówi Gale.

— Wiem, ale nie ma tam niczego poza... — Uświadamiamy sobie to w tym samym momencie.

— Szpital. — Nagle Gale podnosi się i krzyczy do pozostałych. — Celują w szpital!

— Nie twoja sprawa — mówi stanowczo Plutarch. — Wejdźcie do schronu.

— Ale tam nie ma niczego poza rannymi! — mówię.

— Katniss. — Słyszę ostrzegawczą nutę w głosie Haymitcha i wiem co teraz nastąpi. — Nawet nie myśl o...

Wyszarpuję słuchawkę z ucha i pozwalam jej wisieć na przewodzie. Kiedy pozbywam się tego dodatkowego bodźca słyszę kolejny dźwięk. Ogień z broni maszynowej oddawany z dachu brudnego brązowego magazynu po przeciwnej stronie alei. Ktoś odpowiada na ogień. Zanim ktokolwiek może mnie zatrzymać, pędzę w kierunku drabiny i zaczynam się po niej wspinać. Wspinaczka. To jedna z tych rzeczy, które robię najlepiej.

— Nie zatrzymuj się! — słyszę jak Gale mówi za mną. Nagle słyszę jak uderza butem w czyjaś twarz. Jeśli Boggsa, Gale słono za to później zapłaci. Docieram do poziomu dachu i wdrapuję się na niego. Zatrzymuję się jedynie tak długo, by wciągnąć Gale'a, i natychmiast ruszamy w stronę rzędu broni maszynowej umieszczonego od strony ulicy. Każdą operuje kilku buntowników. Wślizgujemy się na stanowisko zajmowane przez dwóch żołnierzy skulonych za barierką.

— Boggs wie, że tu jesteście?

Po lewej stronie dostrzegam Paylor za jedną z broni, patrzącą na nas ze zdziwieniem. Próbuję odpowiedzieć wymijająco, bez uciekania się do kłamstwa.

— Wie dobrze gdzie jesteście.

Paylor się śmieje.

— Założę się, że wie. Zostaliście przeszkoleni jak to obsługiwać? — Poklepuje swoją broń.

— Ja zostałem. W Trzynastce — mówi Gale. — Ale wolałbym używać własnej broni.

— Tak, mamy swoje łuki. — Unoszę swój i zdaję sobie sprawę jak przesadnie ozdobnie musi on wyglądać. — Jest bardziej śmiercionośny, niż na to wygląda.

— Będzie musiał być — mówi Paylor. — W porządku. Spodziewamy się jeszcze co najmniej trzech fal. Będą musieli opuścić swoje tarcze zanim upuszczą bomby. To nasza szansa. Pozostańcie nisko.

Ustawiam się do strzału, przyklękając na jedno kolano.

— Lepiej zacznij od ogniowych — mówi Gale.

Przytakuję i wyciągam strzałę z prawego kołczanu. Jeśli chybimy, te strzały gdzieś wylądują — prawdopodobnie na magazynach po drugiej stronie ulicy. Ogień może zostać ugaszony, ale szkody wyrządzone przez wybuchowe strzały mogą być nieodwracalne.

Nagle pojawiają się na niebie, dwie przecznice stąd, około stu metrów nad nami. Siedem małych bombowców w formacji w kształcie litery V.

— Gęsi! — krzyczę do Gale'a.

Będzie doskonale wiedział o co mi chodzi. W porze migracji, kiedy polujemy na ptactwo, używamy opracowanego przez siebie systemu podziału ptaków, byśmy oboje nie celowali w tego samego. Ja zajmuję się dalszą częścią V, Gale bliższą i strzelamy na przemian do ptaków na przedzie. Nie ma czasu na dłuższą dyskusję. Próbuję wybrać odpowiedni moment i pozwalam strzale lecieć w kierunku poduszkowca. Trafiam w wewnętrzne skrzydło jednego z nich, sprawiając, że staje w płomieniach. Gale nie trafia w pierwszy samolot. Ogień rozprzestrzenia się na pustym dachu magazynu naprzeciwko nas. Gale klnie pod nosem.

Poduszkowiec, którego trafiłam, wyłamuje się z formacji, ale i tak upuszcza swoje bomby. Nie znika jednak. Tak samo jak i jeden z tych, które uznałam za trafione z broni palnej. Uszkodzenie musi uniemożliwić reaktywację tarczy ochronnej.

— Niezły strzał — mówi Gale.

— Nawet w niego nie celowałam — mruczę. Celowałam w samolot przed nim. — Są szybsze niż nam się zdaje.

— Pozycje! — krzyczy Paylor. Pojawia się kolejna fala poduszkowców.

— Ogień nic nie zdziała — mówi Gale.

Przytakuje i oboje zakładamy na cięciwy wybuchowe strzały. Magazyny z przeciwka i tak wyglądają na opuszczone.

Kiedy samoloty cicho podlatują, podejmuję kolejną decyzję

— Wstaję! — krzyczę do Gale'a i podnoszę się na nogi.

Z tej pozycji oddaję najcelniejsze strzały. Wypuszczam strzałę wcześniej i trafiam dokładnie w pierwszy samolot, wysadzając mu dziurę w brzuchu. Gale wysadza ogon drugiego. Koziołkuje i rozbija się na ulicy, wywołując serię eksplozji, kiedy ładunek wybucha.

Bez ostrzeżenia pojawia się trzecia V-kształtna formacja. Tym razem Gale trafia prosto w pierwszy samolot. Ja rozsadzam skrzydło drugiego bombowca, sprawiając, że wpada na tego za sobą. Razem rozbijają się na dachu magazynu naprzeciwko szpitala. Czwarty zostaje zestrzelony z broni palnej.

— W porządku, to by było na tyle — mówi Paylor.

Płomienie i ciężki czarny dym z rozbitego samolotu przesłaniają nam widok.

— Trafili w szpital?

— Na pewno — mówi ponuro.

Kiedy spieszę w kierunku drabiny na drugim końcu magazynu, zaskakuje mnie widok Messallii i jednego z owadów wynurzających się zza kanału wentylacyjnego. Myślałam, że wciąż kulą się przy ziemi w alei.

— Robią na mnie coraz większe wrażenie — mówi Gale.

Schodzę w dół po drabinie. Kiedy moje stopy dotykają ziemi, zastaję moją ochronę, Cressidę i drugiego owada czekających na mnie. Oczekuję oporu, ale Cressida jedynie wskazuje mi ręką drogę w stronę szpitala. Krzyczy:

— Nie obchodzi mnie to, Plutarch! Daj mi jeszcze pięć minut!

Nikt nie zagraża mi drogi, kiedy zaczynam iść ulicą.

— Och, nie — szepczę, kiedy dostrzegam szpital. Albo to, co było szpitalem.

Przechodzę nad rannymi, nad płonącymi wrakami samolotów, wytrzeszczając oczy na katastrofę naprzeciwko mnie. Ludzie krzyczą, biegają gorączkowo wokół, ale nie potrafią pomóc. Bomby sprawiły, że dach szpitala zapadł się, a budynek stanął w płomieniach; pacjenci zostali w nim skutecznie uwięzieni. Zebrała się grupa ratowników, próbujących oczyścić drogę do środka. Ale ja już wiem co tam znajdują. Jeśli upadający gruz i ogień ich nie dopadły, dym to zrobił.

Gale stoi przy mnie. To, że nic nie robi, jedynie potwierdza moje podejrzenia. Górnicy nie opuszczają miejsca wypadku dopóki jest jakaś nadzieja.

— Chodź, Katniss. Haymitch mówi, że mogą nam przysłać poduszki — mówi mi. Ale nie wydaje mi się, bym potrafiła się ruszyć.

— Dlaczego to zrobili? Dlaczego wycelowali w ludzi, którzy i tak umierali? — pytam go.

— By odstraszyć innych. Nie pozwolić rannym na otrzymanie pomocy — mówi Gale. — Ci ludzie, których spotkałaś, byli zbyt tacy. Dla Snowa, w każdym razie. Gdyby Kapitol zwyciężył, co by zrobił z grupą rannych niewolników?

Pamiętam wszystkie te lata w lesie, słuchając jak Gale wygłasza tyrady przeciwko Kapitolowi. Ja nie zwracałam na nie najmniejszej uwagi. Zastanawiałam się po co w ogóle analizuje ich motyw. Do czego miałyby się przydać myślenie jak wróg. Najwyraźniej dzisiaj mogło się przydać. Kiedy Gale zakwestionował istnienie szpitala, nie myślał o chorobie, ale o tym. Ponieważ nigdy nie lekceważy okrucieństwa, tych, z którymi mamy się zmierzyć.

Powoli obracam się plecami do szpitala i napotykam Cressidę wspieraną przez owady, stojącą kilka metrów przede mną. Zachowuje się, jakby jej to nie poruszyło. Niemal chłodno.

— Katniss — mówi. — Prezydent Snow nakazał transmitować bombardowanie na żywo. Później wystąpił i powiedział, że to jest jego sposób na wysłanie wiadomości rebeliantom. Co ty na to? Chciałabyś coś powiedzieć buntownikom?

— Tak — szepczę. Mrugająca czerwona lampka na jednej z kamer przyciąga mój wzrok. Wiem, że mnie filmują. — Tak — mówię nieco mocniej. Wszyscy się ode mnie odsuwają — Gale, Cressida, owady — ustępując mi pola. Ale ja skupiam się na czerwonej lampce. — Chcę powiedzieć rebeliantom, że żyję. Że jestem tu, w Ósmym Dystrykcie, gdzie Kapitol właśnie zbombardował szpital pełen bezbronných mężczyzn, kobiet i dzieci.

Nie będzie ocalałych. — Szok, który odczuwałam, zaczyna ustępować miejsca wściekłości. — Chcę powiedzieć ludziom, że jeśli myślą, że Kapitol potraktuje nas sprawiedliwie po zawieszeniu broni, to sami siebie oszukują. Ponieważ wiecie kim są i co robią. — Bezwiednie wystawiam ręce na boki, jakbym chciała ukazać cały horror dookoła mnie. — To właśnie robią! I musimy odpowiedzieć na atak!

Poruszam się teraz w stronę kamery, niesiona wściekłością.

— Prezydent Snow mówi, że przesyła nam wiadomość? Cóż, ja mam jedną dla niego. Możesz nas torturować i bombardować, i równać nasze dystrykty z ziemią, ale widzisz to? — Jedna z kamer podąża za mną, kiedy wskazuję samoloty płonące na dachu magazynu naprzeciwko nas. Pieczęć Kapitolu na skrzydle błyszczy wyraźnie pomiędzy płomieniami. — Ogień jest zaraźliwy! — krzyczę, zdeterminowana, by nie uronił ani słowa. — I jeśli my płoniemy, ty płoniesz razem z nami.

Moje ostatnie słowa zawisają w powietrzu. Czuję się zawieszona w czasie. Uwięziona w chmurze gorąca, które pochodzi nie z otoczenia, ale z mojego wnętrza.

— Cięcie! — Głos Cressidy przywraca mnie do rzeczywistości, gasi mnie. Potakuje z aprobatą. — Koniec zdjęć.

Pojawia się Boggs i zdecydowanie chwyta mnie za ramię, ale ja nie mam zamiaru uciekać. Spoglądam na szpital — w samą porę, by zauważyć jak reszta konstrukcji się wali — i cała waleczność mnie opuszcza. Wszyscy ci ludzie, setki rannych, ich krewni, lekarze z Trzynastki, już nie istnieją. Odwracam się z powrotem do Boggsa i dostrzegam na jego twarzy obrzęk po uderzeniu butem Gale’a. Nie jestem ekspertem, ale jestem niemal pewna, że ma złamany nos. W jego głosie bardziej jednak słyszę zrezygnowanie niż złość.

— Wracamy na lądowisko.

Posłusznie robię krok w przód i krzywię się, kiedy staję się świadoma bólu z tyłu mojego prawego kolana. Przyływ adrenaliny, który zagłuszył uczucie, minął i teraz części mojego ciała łączą się w chórze narzekania. Jestem ranna i zakrwawiona i ktoś zdaje się od środka uderzać młotkiem w moją lewą skroń. Boggs szybko bada moją twarz, podnosi mnie i biegnie w stronę pasa startowego. W połowie drogi wymiotuję na jego kuloodporną kamizelkę. Ciężko mi to stwierdzić, bo ma krótki oddech, ale wydaje mi się, że wzdycha.

Mały poduszkowiec, inny niż ten, który przetransportował nas tutaj, czeka na lądowisku. W chwili, kiedy cała moja ekipa znajduje się na pokładzie, startujemy. Żadnych wygodnych siedzeń ani okien tym razem. Zdaje się, że jesteśmy w jakimś dostawczym samolocie. Boggs udziela ludziom niezbędnej pierwszej pomocy, by jakoś wytrwali do powrotu do Trzynastki. Chcę zdjąć moją kamizelkę, jako że i na niej wylądowała spora część wymiocin, ale jest na to zbyt zimno. Kładę się na podłodze z głową na kolanie Gale’a. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, jest Boggs rozkładający nade mną parę konopianych worków.

Kiedy się budzę, leżę połatana w moim starym ciepłym łóżku szpitalnym. Moja mama tam jest; sprawdza moje funkcje życiowe.

— Jak się czujesz?

— Nieco poobijana, ale w porządku — mówię.

— Nikt nam nawet nie powiedział, że gdzieś lecisz, dopóki nie zniknęłaś — mówi.

Mam wyrzuty sumienia. Jeśli twoja rodzina już dwukrotnie wysyłała cię na Igrzyska Śmierci, nie powinienes przeoczyć takiego szczegółu.

— Przykro mi. Nie spodziewali się ataku. Miałam jedynie odwiedzić pacjentów — wyjaśniam. — Następnym razem zmuszę ich, by wszystko ci wyjaśnili.

— Katniss, nikt mi niczego nie wyjaśnia — mówi.

To prawda. Nawet ja tego nie robię. Nie odkąd zmarł mój ojciec. Po co udawać?

— Cóż, i tak zmuszę ich, by cię... powiadomili.

Na stoliku obok łóżka leży niewielki odłamek, który usunęli mi z nogi. Lekarze są bardziej zaniepokojeni urazem, jakiego mógł doznać mój mózg w wyniku eksplozji, jako że skutki wstrząsu wciąż jeszcze całkowicie nie ustąpiły. Nie widzę jednak podwójnie i mogę dość jasno myśleć. Przespałam dobrze całe późne popołudnie i noc, a teraz umieram z głodu. Moje śniadanie jest rozczarowująco skromne. Jedynie kilka sześcianników chleba zamoczonych w gorącym mleku. Wezwano mnie na dół do Centrum Dowodzenia na poranne zebranie. Zaczynam się podnosić, kiedy orientuję się, że mają zamiar przewieźć mnie tam na łóżku. Chcę iść, ale to jest wykluczone, więc negocjuję przewiezienie na wózku inwalidzkim. Czuję się dobrze, naprawdę. Poza głową i nogą, i bolącymi siniakami, i mdłościami, których dostałam kilka minut po jedzeniu. Może wózek to jednak dobry pomysł.

Kiedy zwożą mnie na dół, zaczynam się niepokoić tym, z czym przyjdzie mi się zmierzyć. Gale i ja bezpośrednio zlekceważyliśmy wczoraj rozkazy, a Boggs ma uraz, który może to potwierdzić. Na pewno będą jakieś konsekwencje, ale czy Coin posunie się aż tak daleko i unieważni naszą umowę o nietykalności zwycięzców? Czy odarłam Peetę z tej niewielkiej ochrony, którą mogłam mu zapewnić?

Kiedy docieram do Centrum Dowodzenia, jedynymi, którzy już się pojawili, są Cressida, Messalla i owady. Messalla uśmiecha się szeroko i mówi:

— Oto nasza mała gwiazda!

Inni uśmiechają się tak autentycznie, że odwzajemniam uśmiech. Zaimponowali mi w Ósemce, kiedy podążyli za mną na dach podczas bombardowania, sprawiając, że Plutarch się wycofał, by mogli nagrać potrzebny materiał. Więcej niż wykonują swoją pracę, są z niej dumni. Jak Cinna.

Mam dziwne uczucie, że gdybyśmy byli razem na arenie, wybrałabym ich na swoich sojuszników. Cressidę, Messallę i... i...

— Muszę przestać nazywać was owadami — wyrzucam z siebie w stronę kamerzystów.

Wyjaśniam im, że nie znam ich imion, ale ich ubrania przywiodły mi na myśl opancerzone stworzenia. To porównanie zdaje się im wcale nie przeszkadzać. Nawet bez swoich skorup bardzo się nawzajem przypominają. Te same piaskowe włosy, rude brody i niebieskie oczy. Ten z krótko obciętych paznokciami przedstawia siebie jako Castora i drugiego z nich, swojego brata, jako Polluxa. Czekam aż Pollux powie mi cześć, ale on tylko kiwa głową. Początkowo myślę, że jest nieśmiały albo niewiele mówi. Ale coś przyciąga mój wzrok — układ jego ust, dodatkowy wysięk, który wkłada w przełykanie śliny — i wiem zanim Castor mi o tym mówi. Pollux jest awoksem. Obcięto mu język i już nigdy nie przemówi. I nie muszę już dłużej zastanawiać się co skłoniło go do zaryzykowania wszystkiego, byleby tylko pomóc obalić Kapitol.

Podczas gdy sala się wypełnia, przygotowuję się na mniej przyjemne powitania. Jednak negatywnie nastawieni są jedynie Haymitch, który zawsze jest w złym humorze, i Fulvia Cardew z kwaśnym wyrazem twarzy. Boggs ma na twarzy cielistą maskę sięgającą od jego górnej wargi do łuku brwiowego — miałam rację co do złamanego nosa — więc ciężko coś z niej wyczytać. Coin i Gale są w środku jakiejś wymiany zdań, która wydaje się przyjacielska.

Kiedy Gale osuwa się na krzesło obok mojego wózka, pytam:

— Zdobywasz nowych przyjaciół?

Jego wzrok przenosi się szybko na panią prezydent i z powrotem.

— Cóż, jedno z nas musi być przystępne. — Delikatnie dotyka mojej skroni. — Jak się czujesz?

Musieli podać duszony czosnek i kabaczek na śniadanie. Im więcej ludzi się gromadzi, tym silniejsza woń. Ściska mnie w żołądku i światła nagle wydają się zbyt jasne.

— Nieco niepewnie — mówię. — A jak ty się czujesz?

— Dobrze. Wydobyli ze mnie kilka odłamków. Nic wielkiego — mówi.

Coin przywołuje zebranych do porządku.

— Nasz atak na transmisje telewizyjne oficjalnie się rozpoczął. Dla każdego, kto ominął wczorajszą transmisję o dwudziestej naszego pierwszego propoza — i siedemnaście powtórek, które udało się Beetee'emu wyemitować jak do tej pory — odtworzymy go teraz.

Odtworzymy? Więc nie tylko udało im się nagrać materiał, który można wykorzystać, ale już go zmontowali i wielokrotnie wyemitowali. Moje dłonie robią się wilgotne w oczekiwaniu na moje pojawienie się w telewizji. Co jeśli wciąż jestem straszna? Co jeśli jestem równie sztywna i banalna co w studio, a oni po prostu zrezygnowali z prób uzyskania czegoś lepszego? Indywidualne ekrany zsuwają się ze stołu, światła delikatnie przygasają i w sali zapada cisza.

W pierwszej chwili mój ekran jest czarny. Później na środku pojawia się maleńka migocząca iskierka. Rozwija się, rozrasta, w milczeniu pochłaniając czerń aż w końcu cała rama płonie ogniem tak rzeczywistym i intensywnym, że wydaje mi się, że czuję emanujące z niego ciepło. Pojawia się obraz mojej broszki z wizerunkiem kosogłosa, lśniącej czerwienią i złotem. Głęboki, dźwięczny głos, który nawiedza moje sny zaczyna mówić. Claudius Templesmith, oficjalny komentator Igrzysk Śmierci, mówi:

— Katniss Everdeen, dziewczyna, która igrała z ogniem, płonie.

Nagle pojawia się ja, zastępując kosogłosa. Stoję przed prawdziwym ogniem i dymem Ósmego Dystryktu.

— Chcę powiedzieć rebeliantom, że żyję. Że jestem tu, w Ósmym Dystrykcie, gdzie Kapitol właśnie zbombardował szpital pełen bezbronných mężczyzn, kobiet i dzieci.

Nie będzie ocalałych. — Ujęcie zapadającego się szpitala, desperacja obserwujących, kiedy kontynuuję spoza kadru: — Chcę powiedzieć ludziom, że jeśli myślą, że Kapitol potraktuje nas sprawiedliwie po zawieszeniu broni, to sami siebie oszukują. Ponieważ wiecie kim są i co robią. — Znowu ukazuję się na ekranie. Mam uniesione ręce ukazujące skutki ataku wokół mnie. — To właśnie robią! I musimy odpowiedzieć na atak! — Teraz czas na naprawdę fantastyczny montaż bitwy. Upadek pierwszych bomb, nasz bieg, rzucenie się na ziemię — zbliżenie mojej rany, która wygląda dobrze i krwawo — wspinaczka na dach, nurkowanie na pozycję, a później kilka wspaniałych strzałów rebeliantów, Gale’a i przede wszystkim mnie, mnie, mnie strącającej samoloty z nieba. I powrót do mnie podchodzącej do kamery. — Prezydent Snow mówi, że przesyła nam wiadomość? Cóż, ja mam jedną dla niego. Możesz nas torturować i bombardować, i równać nasze dystrykty z ziemią, ale widzisz to? — Kamera podąża za moim gestem i filmuje samoloty płonące na dachu magazynu. Zbliżenie na pieczęć Kapitolu na skrzydle, które przechodzi z powrotem w obraz mojej twarzy, kiedy krzyczę do prezydenta: — Ogień jest zaraźliwy! I jeśli my płonimy, ty płoniesz razem z nami!

Płomienie znowu pochłaniają ekran. Nałożono na nie czarne solidne litery:

JEŚLI MY PŁONIEMY TY

PŁONIESZ RAZEM Z NAMI

Słowa pochłaniają ogień i ekran pogrąża się w czerni.

Zapada przyjemna cisza, a później rozlegają się oklaski wraz z żądaniami obejrzenia propoza jeszcze raz. Coin wyrozumiale wciska replay i tym razem, jako że wiem co się stanie, próbuję udawać, że oglądam to przed telewizorem w Złożysku. Antykapitolińskie wystąpienie. Nigdy wcześniej nie było czegoś takiego w telewizji. Nie za mojego życia w każdym razie.

Kiedy ekran po raz drugi robi się czarny, chcę wiedzieć więcej.

— Czy pokazaliście to w całym Panem? Czy w Kapitolu to widzieli?

— W Kapitolu nie — mówi Plutarch. — Nie mogliśmy obejść ich systemu, chociaż Beete wciąż próbuje go rozpracować. Pokazaliśmy to jednak w każdym dystrykcie. Nawet w Dwójce, co może się okazać bardziej wartościowe niż pokazanie tego w Kapitolu, w tym punkcie wojny.

— Czy Claudius Templesmith jest po naszej stronie? — pytam.

To wywołuje u Plutarcha wybuch śmiechu.

— Tylko jego głos. Przywłaszczylimy go sobie. Nie musieliśmy go nawet specjalnie edytować. Powiedział dokładnie te słowa podczas twoich pierwszych Igrzysk. —

Uderza dłonią w stół. — Co powiecie na kolejne oklaski dla Cressidy, jej wspaniałego zespołu i, oczywiście, naszego telewizyjnego talentu?

Również biję brawo dopóki nie zdaję sobie sprawy, że to ja jestem tym telewizyjnym talentem i być może oklaskiwanie samej siebie jest nieco obraźliwe, ale nikt nie zwraca na to uwagi. Nie mogę jednak zignorować napięcia na twarzy Fulvii. Myślę, że to musi być dla niej bardzo trudne, kiedy patrzy jak pomysł Haymitcha pod reżyserią Cressidy okazał się strzałem w dziesiątkę, podczas gdy studyjne próby Fulvii były taką klapą.

Zdaje się, że Coin osiągnęła szczyt tolerancji dla składanych sobie gratulacji.

— Tak, dobrze zasłużone. Wyszło lepiej niż oczekiwaliśmy. Muszę jednak zakwestionować spory margines ryzyka, które zdecydowaliście się podjąć. Wiem, że nalot nie został przewidziany. Jednak, w obecnych okolicznościach, myślę, że powinniśmy przedyskutować decyzję o wysłaniu Katniss do prawdziwej walki.

Decyzję? O wysłaniu mnie do walki? Więc ona nie wie, w jak rażący sposób zignorowałam rozkazy, wyrwałam z ucha słuchawkę i uciekłam ochronie? Czego jeszcze jej nie powiedzieli?

— To była trudna decyzja — mówi Plutarch, marszcząc brwi. — Ale doszliśmy do wspólnych wniosków, że nie uda się nam nagrać nic wartościowego, jeśli zaczniemy zamykać ją w bunkrze za każdym razem, kiedy rozpocznie się zbrojny atak.

— A ty nie masz z tym problemu? — pyta pani prezydent.

Gale musi kopnąć mnie pod stołem, bym zorientowała się, że ona mówi do mnie.

— Och! Nie, nie mam z tym żadnego problemu. Czułam się dobrze. Robiąc coś wreszcie, dla odmiany.

— Cóż, bądźmy jednak nieco bardziej rozsądni w kwestii narażania jej na niebezpieczeństwo. Szczególnie teraz, kiedy Kapitol wie do czego jest zdolna — mówi Coin.

Przez stół przetacza się pomruk akceptacji.

Nikt nie wydał Gale'a ani mnie. Ani Plutarch, którego autorytet został zignorowany. Ani Boggs ze swoim złamanym nosem. Ani owady, które poprowadziliśmy w ogień. Ani Haymitch... nie, chwila. Haymitch uśmiecha się do mnie morderczo i mówi słodko:

— Taa, nie chcielibyśmy stracić naszego małego Kosogłosa, kiedy wreszcie zaczął śpiewać.

Obiecuję sobie, że postaram się nie zostać z nim sam na sam w jednym pomieszczeniu, bo najwyraźniej ma mściwe myśli dotyczące tej głupiej słuchawki.

— Więc, co jeszcze macie zaplanowane? — pyta pani prezydent.

Plutarch skłania głowę w stronę Cressidy, która sprawdza coś w swoich notatkach.

— Mamy kilka świetnych ujęć Katniss w szpitalu w Ósemce. Powinien z tego powstać kolejny propoz z tematem przewodnim „Ponieważ wiecie kim są i co robią.” Skupimy się na interakcjach Katniss z pacjentami, w szczególności dziećmi, bombardowaniu szpitala i gruzach. Messalla już to wszystko montuje. Myślimy też nad projektem Kosogłosa. Naświetlimy najlepsze chwile Katniss i posklejamy je ze scenami rosnących w siłę rebeliantów i materiałem z wojny. Nazwiemy go „Ogień jest zaraźliwy”. A oprócz tego Fulvia wpadła na naprawdę genialny pomysł.

Wyraz twarzy Fulvii jakby-zjadła-kwaśne-winogrona zniknął i kobieta powoli dochodzi do siebie.

— Cóż, nie wiem czy to jest takie genialne, ale myślałam, że moglibyśmy wyemitować serię propozów „Pamiętamy”. W każdym z nich przedstawimy jednego ze zmarłych trybutów. Małą Rue z Jedenastki albo starą Mags z Czwórki. Pomysł jest taki, by uderzyć każdy dystrykt bardzo osobistym materiałem.

— Taki prawdziwy trybut dla trybutów — mówi Plutarch.

— To jest genialne, Fulvia — mówię szczerze. — To idealny sposób, by przypomnieć ludziom dlaczego walczą.

— Myślę, że to mogłoby się udać — mówi. — Pomyślałam, że moglibyśmy zaangażować Finnicka do nagrania wstępu i narracji w spotach. Jeśli byłby tym zainteresowany.

— Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, by propozów z tej serii mogło być zbyt wiele — mówi Coin. — Możecie zacząć tworzyć je już dzisiaj?

— Oczywiście — mówi Fulvia, wyraźnie uspokojona życzliwym przyjęciem jej pomysłu.

Cressidzie udało się załagodzić napiętą sytuację w ekipie przez ten gest. Chwaląc Fulwię za coś, co rzeczywiście jest naprawdę dobrym pomysłem, oczyściła sobie drogę do kontynuowania własnej pracy nad przedstawieniem Kosogłosa na wizji. Ciekawe jest, że Plutarch nie pragnie, by przypisano mu jakiegokolwiek zasługi. Chce tylko, by atak na transmisję telewizyjną odniósł pożądaný skutek. Przypominam sobie, że Plutarch jest Głównym Organizatorem Igrzysk, a nie członkiem ekipy. Nie jest pionkiem w Igrzyskach. W związku z tym, jego wartości nie ustala się na podstawie pojedynczego elementu, ale na podstawie całościowego sukcesu produkcji. Jeśli wygramy wojnę, wtedy Plutarch się pokłoni. I będzie oczekiwał nagrody.

Pani prezydent odsyła wszystkich do swoich zajęć, więc Gale odwozi mnie do szpitala. Śmiejemy się trochę z przykrywki. Gale mówi, że nikt nie chciał źle wypaść przyznając, że nie ma nad nami kontroli. Ja staram się być miłsza i mówię, że prawdopodobnie nie chcieli stracić szansy ponownego zabrania nas w teren, kiedy już udało się nagrać przyzwoity materiał. Prawdopodobnie oboje mamy rację. Gale musi iść na spotkanie Beetee’ego w Broni Specjalnej, a ja zasypiam.

Wydaje się, że zamknęłam oczy jedynie na kilka minut, ale kiedy je otwieram, wzdrzgam się na widok Haymitcha siedzącego mniej więcej w odległości metra od mojego łóżka. Wyczekującego. Prawdopodobnie przez kilka godzin, jeśli wierzyć zegarowi. Zastanawiam się nad wezwaniem jakiegoś świadka, ale prędzej czy później i tak będę musiała się z nim zmierzyć.

Haymitch nachyla się w moją stronę i wymachuje mi przed nosem przedmiotem zawieszonym na cienkim białym przewodzie. Ciężko mi się na nim skupić, ale nietrudno zgadnąć co to jest. Upuszcza przedmiot na pościel.

— To twoja słuchawka. Dam ci jeszcze dokładnie jedną szansę na jej noszenie. Jeśli znowu wyjmiesz ją z ucha, przymocuję ci na stałe to. — Wyciąga jakiś rodzaj metalowego nakrycia głowy, które natychmiast nazywam kajdanami na głowę. — To alternatywny mechanizm dźwiękowy, który zaciska się na czaszce i pod policzkami dopóki ktoś nie otworzy go kluczem. Ja będę miał jedyny klucz. Jeśli okażesz się na tyle sprytna, by się go pozbyć — Haymitch upuszcza kajdany na głowę na łóżko i wyciąga mały srebrny chip — upoważnię ich do operacyjnego wszczępienia tego nadajnika w twoje ucho, bym mógł mówić do ciebie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Haymitch na okrągło w mojej głowie. Przeróżające.

— Zostawię słuchawkę w uchu — mruczę.

— Słucham? — pyta.

— Zostawię słuchawkę w uchu! — mówię, wystarczająco głośno, by obudzić pół szpitala.

— Jesteś pewna? Bo każda z trzech opcji wydaje mi się równie dobra — mówi mi.

— Jestem pewna — odpowiadam. Zaciskam słuchawkę w pięści, a wolną ręką rzucam kajdany na głowę w twarz Haymitcha, ale łapie je z łatwością. Pewnie spodziewał się, że nimi rzuć. — Coś jeszcze?

Haymitch podnosi się.

— Podczas czekania... zjadłem twój obiad.

Obejmuję wzrokiem pustą miskę po gulaszu i tacę na moim stoliku.

— Zgłoszę to — mamrocze do poduszki.

— Zrób tak, kochanie.

Wychodzi; wie dobrze, że nie jestem typem donosiciela.

Chcę znowu zasnąć, ale jestem zbyt zdenerwowana. Obrazy wczorajszego dnia zaczynają przesączać się do teraźniejszości. Bombardowanie, upadek płonącego samolotu, twarze rannych, którzy już nie istnieją. Wyobrażam sobie śmierć ze wszystkich punktów widzenia. Przeżywam ostatnie chwile przed zawaleniem się konstrukcji, czuję jak wybucha skrzydło mojego samolotu i nurkuję w zawrotnym tempie ku zapomnieniu, dach magazynu wali się na mnie, kiedy leżę bezradnie przypięta do kołyski. Rzeczy, które

widziałam, osobiście lub na taśmie. Które spowodowałam po naciągnięciu cięciwy. Których nigdy nie będę w stanie wymazać z mojej pamięci.

Na kolacji Finnick przynosi swoją tacę do mojego łóżka, byśmy mogli razem obejrzeć najnowszy propoz w telewizji. Przyznano mu kwatery na moim starym piętrze, ale jego stan umysłowy tak często się pogarsza, że wciąż praktycznie mieszka w szpitalu. Rebelianci emitują propoz „Ponieważ wiecie kim są i co robią”, który zmontował Messalla. Materiał poprzecinany jest krótkimi fragmentami studyjnymi z udziałem Gale’a, Boggsa i Cressidy, opisujących całe zajście. Ciężko jest oglądać przyjęcie mnie w szpitalu w Ósemce, kiedy wiem co się stanie. Kiedy bomby spadają na dach, zanurzam twarz w poduszce, patrząc dopiero na krótki fragment ze mną na końcu, kiedy już wszystkie ofiary są martwe.

Na szczęście Finnick nie klaszcze ani nie eksploduje radością, kiedy propoz się kończy. Mówi tylko:

— Ludzie powinni wiedzieć, że to się stało. I teraz już wiedzą.

— Wyłączmy telewizor, Finnick, zanim zaczną to powtarzać — poganiam go. Ale kiedy ręka Finnicka sięga w stronę pilota, wrzeszczę: — Czekaj!

Kapitol prezentuje specjalny program i coś wydaje mi się w nim znajome. Tak, to Caesar Flickerman. I mogę łatwo odgadnąć kto będzie jego gościem.

Fizyczna zmiana Peety szokuje mnie. Zdrowy chłopak o klarownym spojrzeniu, którego widziałam kilka dni temu, stracił przynajmniej siedem kilogramów, a jego ręce zaczęły się nerwowo trząść. Wciąż jednak wygląda schludnie. Ale pod warstwą makijażu, któremu nie udaje się ukryć worków pod jego oczami, i eleganckich ubrań, które nie dają rady ukryć bólu odczuwanego przy poruszaniu się, Peeta jest człowiekiem potwornie zniszczonym.

Moje myśli płaczą się, próbując wyłowić z tego jakiś sens. Przecież dopiero co go widziałam! Cztery — nie, pięć — myślę, że to było pięć dni temu. Jakim cudem tak szybko mu się pogorszyło? Co mogli mu zrobić w tak krótkim czasie? Wtedy to do mnie dociera. Odtwarzam sobie w myśli to, co mogę sobie przypomnieć z jego pierwszego wywiadu z Caesarem, szukając czegoś, co mogłoby umieścić go w czasie. Nic nie znajduję. Mogli nagrać ten wywiad dzień lub dwa po tym, jak wysadziłam w powietrze arenę i od tej pory mogli go torturować w jakikolwiek sposób chcieli.

— Och, Peeta... — szepczę.

Caesar i Peeta wymieniają parę pustych słów zanim Caesar pyta go o plotki, według których nagrywam propozy dla dystryktów.

— Wykorzystują ją, to oczywiste — mówi Peeta. — By zagrzewać rebeliantów do walki. Wątpię, by w ogóle wiedziała cokolwiek o przebiegu wojny. O co toczy się gra.

— Czy chciałbyś jej coś powiedzieć? — pyta Caesar.

— Tak — mówi Peeta. Spogląda w kamerę, prosto w moje oczy. — Nie bądź głupia, Katniss. Myśl za siebie. Zmienili cię w broń, która może okazać się kluczowa w zniszczeniu ludzkości. Jeśli masz jakiś realny wpływ na sytuację, użyj go, by to wszystko przerwać. Użyj go, by zakończyć wojnę zanim będzie za późno. Zastanów się czy na pewno ufasz ludziom, z którymi pracujesz. Czy rzeczywiście wiesz, co się dzieje? A jeśli nie... dowiedz się.

Czarny ekran. Pieczęć Panem. Koniec przedstawienia.

Finnick wyłącza pilotem telewizor. W przeciągu chwili pojawiają się tu ludzie, którzy oceniają stan fizyczny Peety i przeanalizują słowa, które padły z jego ust. Będę musiała się ich wyprzeć. Ale prawda jest taka, że nie ufam rebeliantom ani Plutarchowi, ani Coin. Nie jestem przekonana, że mówią mi prawdę. Nie będę w stanie tego zataić. Kroki się zbliżają.

Finnick chwyta mnie mocno za ramiona.

— Nie widzieliśmy tego.

— Co? — pytam.

— Nie widzieliśmy Peety. Tylko propos z Ósemki. Później wyłączyliśmy telewizor, bo materiał zasmucił cię. Łapiesz? — pyta. Przytakuję. — Skończ kolację.

Zbieram się w sobie na tyle, że kiedy Plutarch i Fulvia się pojawiają, mam usta pełne chleba i kapusty. Finnick mówi o tym, jak dobrze Gale wypadł przed kamerą. Gratulujemy im proposa. Dajemy im jasno do zrozumienia, że poruszył nas tak bardzo, że wyłączyliśmy telewizor zaraz po jego emisji. Wygląda na to, że im ulżyło. Wierzą nam.

Nikt nie mówi o Peecie.

Nie staram się już dłużej zasnąć po tym, jak kilka moich pierwszych prób zostaje zakłóconych przez niewytłumaczalne koszmary. Leżę więc tylko nieruchomo i udaję, że oddycham głęboko, kiedy tylko ktoś pojawia się, by mnie skontrolować. Rano zostaję zwolniona ze szpitala z nakazem odpoczynku. Cressida prosi mnie o nagranie kilku wersów do nowego proposa o Kosogłosie. Na obiedzie czekam aż ktoś poruszy temat występu Peety, ale nikt tego nie robi. Ktoś musiał go widzieć poza Finnickiem i mną.

Mam w planie szkolenie, ale Gale oczekiwany jest u Beetee'ego; mają pracować nad bronią albo czymś w tym stylu, więc dostaję pozwolenie, by zabrać do lasu Finnicka. Włóczymy się wkoło przez jakiś czas, a później zostawiamy komunikatory pod krzakiem. Kiedy jesteśmy w bezpiecznej odległości od nich, siadamy i omawiamy występ Peety.

— Nie słyszałem o tym ani słowa. Nikt ci nic nie mówił? — pyta Finnick. Potrząsam głową. Waha się chwilę zanim zadaje kolejne pytanie. — Nawet Gale? — Chwytam się resztek nadziei, że Gale naprawdę nie wie nic o wiadomości Peety. Ale mam złe przeczucie, że wie. — Może czeka na odpowiedni moment, by powiedzieć ci na osobności.

— Może — odpowiadam.

Siedzimy w milczeniu tak długo, aż w zasięgu wzroku pojawia się jeleni. Powalam go strzałą. Finnick wlecze go w stronę ogrodzenia.

Na obiad mamy zmieloną dziczyznę w gulaszu. Po posiłku Gale odprowadza mnie do Oddziału E. Kiedy pytam go o to, co się dzieje, znowu nie wspomina o Peecie. Jak tylko moja mama i siostra zasypiają, wydobywam perłę z szuflady i spędzam drugą bezsenłą noc kurczowo zaciskając ją w dłoni, odtwarzając w myśli słowa Peety: „Zastanów się czy na pewno ufasz ludziom, z którymi pracujesz. Czy rzeczywiście wiesz, co się dzieje? A jeśli nie... dowiedz się.” Dowiedzieć się. Czego? Od kogo? I jak Peeta może wiedzieć coś poza tym, co mówią mu w Kapitolu? To tylko propos Kapitolu. Ma narobić zamieszania. Ale jeśli Plutarch uważa, że to tylko narzucone przez Kapitol słowa, to dlaczego mi o tym nie powiedział? Dlaczego nikt nie wtajemniczył mnie i Finnicka?

Pod tą debatą leży prawdziwy powód mojego niepokoju: Peeta. Co oni mu zrobili? I co mu robią teraz? Najwyraźniej Snow nie uwierzył w to, że ani Peeta, ani ja nie wiedzieliśmy nic o rebelii. Umocnił się w podejrzaniach teraz, kiedy ukazałam się jako Kosogłos. Peeta może jedynie domyślać się jaka jest taktyka rebeliantów albo opowiadać swoim oprawcom zmyślane historyjki. Kiedy kłamstwa zostają odkryte, są zapewne surowo karane. Jak bardzo opuszczony przeze mnie musi się czuć. Podczas pierwszego wywiadu usiłował uchronić mnie zarówno przed Kapitołem jak i przed rebeliantami, a ja nie tylko nie potrafiłam zapewnić mu ochrony, ale sprowadziłam na niego jeszcze więcej nieszczęść.

Następnego ranka przystawiam ramię do ściany i gapię się nieprzytomnie na plan dnia. Natychmiast po śniadaniu jestem oczekiwana w Produkcji. W jadalni, kiedy pochłaniam moją gorącą owsiankę i mleko, i papkowate buraki, dostrzegam komunikator na nadgarstku Gale'a.

— Kiedy ci go zwrócili, Żołnierzu Hawthorne? — pytam.

— Wczoraj. Pomyśleli, że jeśli mam być z tobą na polu walki, to będzie zapasowy system komunikacji.

Nikt nigdy nie zaoferował mi komunikatora. Zastanawiam się czy, jeśli bym o taki poprosiła, to by mi go dali.

— Cóż, chyba jedno z nas musi być przystępne — mówię poirytowana.

— O co ci chodzi? — pyta Gale.

— O nic. Powtarzam tylko twoje słowa — mówię mu. — I zgadzam się całkowicie, że to ty powinieneś być tym przystępnym. Mam tylko nadzieję, że ja wciąż mam dostęp do ciebie.

Nasze spojrzenia się krzyżują i zdaję sobie sprawę jak bardzo zła jestem na Gale'a. Że nawet przez chwilę nie wierzyłam, że nie widział proposa z Peetą. Że czuję się całkowicie zdradzona przez to, że mi o nim nie powiedział. Znamy się zbyt dobrze, by nie potrafił odczytać mojego nastroju i odgadnąć jego powodu.

— Katniss... — zaczyna. Już słyszę poczucie winy w jego głosie.

Chwytam tacę, idę do punktu oddawania naczyń i z trzaskiem rzucam je na półkę. Kiedy jestem już na korytarzu, Gale mnie dogania.

— Dlaczego nic nie powiedziałaś? — pyta, chwytając mnie za ramię.

— Dlaczego ja nie powiedziałam? — Wrywam ramię z jego uścisku. — Dlaczego ty nie powiedziałeś, Gale? Tak w ogóle, to powiedziałam; wczoraj, kiedy pytałam co się dzieje!

— Przepraszam. W porządku? Nie wiedziałem co robić. Chciałem ci powiedzieć, ale wszyscy bali się, że obejrzenie proposa Peety załamie cię — mówi.

— Mieli rację. Tak właśnie było. Nie załamało mnie to jednak aż tak bardzo jak twoje okłamywanie mnie dla Coin. — W tej właśnie chwili jego komunikator zaczyna wydawać dźwięki. — To ona. Lepiej się pospiesz. Musisz jej sporo opowiedzieć.

Przez moment jego twarz wyraża prawdziwe cierpienie. Później zastąpione zostaje przez zimną złość. Obraca się na pięcie i odchodzi. Być może byłam zbyt złośliwa, nie dałam mu czasu na wyjaśnienia. Może wszyscy próbują mnie chronić okłamując mnie. Nie obchodzi mnie to. Mam dość ludzi okłamujących mnie dla mojego dobra. Ponieważ robią to głównie we własnym interesie. Okłamiemy Katniss w sprawie rebelii, żeby czasem nie zrobiła niczego głupiego. Wyślemy ją na arenę bez wiedzy na ten temat, byśmy mogli ją z niej wyłowić. Nie powiemy jej o propositie Peety, bo to mogłoby ją załamać, a i tak już ciężko uzyskać jakiś przyzwoity materiał filmowy z jej udziałem.

Rzeczywiście czuję się źle. Boli mnie serce. I jestem zbyt zmęczona na granie Kosogłosa. Ale jestem już w Sali Przeróbek, więc wchodzę do środka. Odkrywam, że dzisiaj wrócimy do Dwunastki. Cressida chce przeprowadzić spontaniczne wywiady z Gale'em i ze mną, rzucając nieco światła na nasze zdemolowane miasto.

— Jeżeli oboje jesteście na to gotowi — mówi Cressida, przyglądając się z bliska mojej twarzy.

— Ja się na to piszę — odpowiadam.

Stoję sztywno i bez słowa, jak manekin, kiedy moja ekipa przygotowawcza ubiera mnie, czesze i delikatnie nakłada makijaż na moją twarz. Nie tyle, by zrobić ze mnie przedstawienie, jednak wystarczająco dużo, by nieco przykryć obwódki wokół moich oczu, które dawno nie zaznały snu.

Boggs eskortuje mnie do Hangaru, ale poza wymianą grzeczności nie rozmawiamy ze sobą. Cieszę się, że zostanie mi oszczędzona kolejna wymiana zdań na temat mojego nieposłuszeństwa w Ósemce, szczególnie, że jego maska wygląda tak niewygodnie.

W ostatniej chwili przypominam sobie o poinformowaniu mamy o opuszczaniu Trzynastki i zaznaczam, że to nie będzie niebezpieczne. Wchodzimy na pokład poduszkowca na krótką podróż do Dwunastki i zostaję pokierowana do siedzenia przy stole, gdzie Plutarch, Gale i Cressida ślęczą nad mapą. Plutarch z satysfakcją pokazuje mi efekty przed i po pierwszych kilku propozycji. Rebelianci, którzy ledwo utrzymywali się w niektórych dystryktach, odżyli. Praktycznie zajęli Trójkę i Jedenastkę — ten drugi tak istotny, jako że jest źródłem zaopatrzenia w żywność całego Panem — i zaatakowali również w kilku innych dystryktach.

— Obiecujące. Bardzo obiecujące w rzeczy samej — mówi Plutarch. — Fulvia dzisiaj skończy pracę nad pierwszą serią spotów „Pamiętamy”, więc zaatakujemy poszczególne dystrykty ich zmarłymi. Finnick jest absolutnie cudowny.

— Tak naprawdę, to ciężko je oglądać — mówi Cressida. — Znał tylu z nich osobiście.

— Właśnie to sprawia, że są takie efektywne — mówi Plutarch. — Prosto z serca. Wszyscy spisujecie się wspaniale. Coin nie mogłaby być bardziej zadowolona.

Więc Gale im nie powiedział. O moim udawaniu, że nie widziałam Peety i złości za ukrywanie prawdy. Trochę za późno jednak, bo wciąż nie potrafię odpuścić. To bez znaczenia. On też ze mną nie rozmawia.

Dopiero kiedy lądujemy na Łące orientuję się, że Haymitcha nie ma wśród nas. Kiedy pytam Plutarcha o jego nieobecność, jedynie potrząsa głową i mówi:

— Nie mógł się z tym zmierzyć.

— Haymitch? Niezdolny do zmierzenia się z czymś? Bardziej prawdopodobne, że poprosił o dzień wolnego — mówię.

— Myślę, że jego dokładne słowa brzmiały: „Nie mógłbym się z tym zmierzyć bez butelki” — odpowiada Plutarch.

Przewracam oczami. Straciłam cierpliwość dla mojego mentora, jego słabości do kieliszka i tego z czym może, a z czym nie może się zmierzyć. Ale jakieś pięć minut po powrocie do Dwunastki sama chciałabym mieć przy sobie butelkę. Myślałam, że pogodziłam się ze zniszczeniem Dwunastki — słyszałam o nim, widziałam z powietrza i włączyłam się wśród popiołu. Więc dlaczego to wszystko wywołuje nowe ukłucie bólu? Czy wcześniej byłam za bardzo odurzona, by w pełni zarejestrować utratę własnego świata? Czy to wyraz twarzy Gale’a, kiedy pieszo przedziera się przez zniszczenia, sprawia, że odczuwam okropność czynu na nowo?

Cressida prowadzi zespół na początek do mojego starego domu. Pytam ją czego ode mnie oczekuje.

— Czegokolwiek na co masz ochotę — mówi.

Kiedy stoję znowu w kuchni, nie mam ochoty na robienie niczego. Tak naprawdę przyłapuję się na wpatrywaniu się w niebo — jedyny dach, który pozostał — bo zbyt wiele wspomnień mnie zalewa. Po chwili Cressida mówi:

— W porządku Katniss. Chodźmy dalej.

Gale’owi nie udaje się tak łatwo wywinąć w jego starym domu. Cressida filmuje go w milczeniu przez kilka minut, ale kiedy tylko wyciąga on z popiołów jedną z pozostałości po jego dawnym życiu — skręcony metalowy pogrzebacz — zaczyna go wypytywać o jego rodzinę, pracę, życie w Złożysku. Zmusza go do powrotu do nocy bombardowania i odegrania go, poczynawszy od jego domu, poprzez łąkę i las aż do jeziora. Wlokę się za ekipą filmową i ochroniarzami, czując jakby ich obecność była pogwałceniem mojego ukochanego lasu. To prywatne miejsce, sanktuarium, już przeżarte przez zło Kapitolu. Mimo że zostawiliśmy za sobą osmalone pnie blisko ogrodzenia, wciąż przechodzimy nad rozkładającymi się ciałami. Czy naprawdę musimy to nagrywać, by wszyscy mogli to zobaczyć?

Kiedy jednak docieramy do jeziora, zdaje się, że Gale utracił zdolność mówienia. Wszyscy oczekamy potem — szczególnie Castor i Pollux w swoich owadzych skorupach — i Cressida zarządza przerwę. Nabieram w dłonie wodę z jeziora, pragnąc zanurzyć się w nim samotnie, nago, bez świadków. Włóczę się przez jakiś czas wzdłuż linii wody. Kiedy wracam do małego betonowego domku przy jeziorze, zatrzymuję się w progu i patrzę jak Gale opiera ocalony wykrzywiony pogrzebacz o ścianę przy palenisku. Przez chwilę wyobrażam sobie samotnego wędrowca, daleko w przyszłości, błądzącego na tym odludziu i napotykającego to małe schronienie ze stosem porąbanego drewna, paleniskiem, pogrzebaczem. Zastanawiającego się jak się tu znalazły. Gale obraca się i napotyka moje spojrzenie; wiem, że myśli o naszym ostatnim spotkaniu tutaj. Kiedy

myśleliśmy nad tym czy uciec, czy zostać. Czy gdybyśmy uciekli Dystrykt Dwunasty wciąż by tu był? Myślę, że tak. Ale Kapitol wciąż rządziłby Panem.

Przekazujemy sobie kanapki z serem i jemy je w cieniu drzew. Specjalnie siadam na dalekim końcu grupy, obok Polluxa, bym nie musiała rozmawiać. Tak naprawdę nikt wiele nie mówi. We względnej ciszy ptaki odzyskują panowanie nad lasem. Trącam łokciem Polluxa i wskazuję małego czarnego ptaka w koronie. Przeskakuje na nową gałąź, na moment rozpościera skrzydła i ukazuje ich białe miejsca. Pollux wskazuje na moją broszkę i pytająco unosi brwi. Przytakuję, potwierdzając, że to kosogłos. Unoszę palec, jakbym chciała powiedzieć „poczekaj, pokażę ci” i gwizdzą ptasie wezwanie. Kosogłos unosi głowę i odgwiszduje tę samą melodię. Wtedy, ku mojemu zaskoczeniu, Pollux wygwizduje kilka swoich dźwięków. Ptak natychmiast mu odpowiada. Na twarzy Polluxa pojawia się wyraz rozkoszy i wymienia serię melodyjnych dźwięków z kosogłosem. Zgaduję, że to jego pierwsza rozmowa od wielu lat. Muzyka przyciąga kosogłosy jak kwiaty przyciągają pszczoły, więc w krótkim czasie udaje mu się zgromadzić pół tuzina ptaków uczepionych gałęzi nad naszymi głowami. Chwyta mnie za ramię i używa gałęzi, by napisać na piasku jedno słowo. ZAŚPIEWASZ?

Normalnie bym odmówiła, ale to prawie niemożliwe odmówić Polluxowi w tych okolicznościach. Poza tym, śpiew kosogłosów różni się od ich gwizdów i chciałabym, by go usłyszał. Więc, zanim zdaję sobie sprawę z tego, co robię, wyśpiewuję cztery nuty Rue, których używała jako sygnału dla zakończenia dnia pracy w Jedenastce. Nuty, które rozlegały się w tle podczas jej śmierci. Te ptaki o tym nie wiedzą. Podejmują prostą melodię i przekazują ją sobie w słodkiej harmonii. Tak jak to robiły podczas Igrzysk Śmierci zanim zmieszanie wypadły spomiędzy drzew, zagoniły nas do Rogu Obfitości i powoli zmieniły Cato w krwawą miazgę...

— Chcesz usłyszeć jak śpiewają prawdziwą piosenkę? — wypalam.

Wszystko, byle tylko zatrzymać potok wspomnień. Wstaję, podchodzę do drzewa, opieram dłoń o chropowaty pień klonu, na którym przysiadły ptaki. Nie śpiewałam „Wisielczego Drzewa” na głos od dziesięciu lat, bo to zakazane, ale pamiętam każde słowo. Zaczynam delikatnie, miękko, jak mój ojciec:

— Czy ty, czy ty

Przy drzewie się pojawisz

Gdzie powiesili mężczyznę

Co troje ludzi zabił

Dziwne rzeczy się tu zdarzyły

Przed obcymi obaw nie miej

Spotkajmy się o północy

Na wisielczym drzewie.”

Kosogłoty wymieniają się piosenkami, kiedy dociera do nich moja nowa propozycja.

— Czy ty, czy ty
Przy drzewie się pojawisz
Skąd martwy mężczyzna
Miłość swą odprawił
Dziwne rzeczy się tu zdarzyły
Przed obcymi obaw nie miej
Spotkajmy się o północy
Na wisielczym drzewie.

Udało mi się teraz przyciągnąć uwagę ptaków. Po kolejnej zwrotce na pewno załapią melodię, bo przecież jest prosta i powtarza się cztery razy z niewielkimi zmianami.

— Czy ty, czy ty
Przy drzewie się pojawisz
Gdzie kazałem ci biec
By oboje nas wybawić
Dziwne rzeczy się tu zdarzyły
Przed obcymi obaw nie miej
Spotkajmy się o północy
Na wisielczym drzewie.

Cisza na drzewach. Słyszać jedynie szelest liści na wietrze. Ale żadnego ptaka, kosogłosa lub innego. Peeta miał rację. One naprawdę milkną, kiedy śpiewam. Tak jak to robiły dla mojego ojca.

— Czy ty, czy ty
Przy drzewie się pojawisz
Założysz naszyjnik z liny
I już mnie nie zostawisz
Dziwne rzeczy się tu zdarzyły
Przed obcymi obaw nie miej
Spotkajmy się o północy
Na wisielczym drzewie.

Ptaki czekają na ciąg dalszy. Ale to wszystko. Ostatnia zwrotka. W ciszy przypominam sobie pewną scenę. Wróciłam do domu po spędzeniu dnia w lesie z moim ojcem. Siedziałam na podłodze z Prim, która była wtedy jeszcze małym brzdącem, i śpiewałam „Wisielcze Drzewo”. Robiłam nam naszyjniki ze strzępów starych lin, jak w piosence, nie znając prawdziwego znaczenia słów. Melodia była jednak prosta i łatwa do przyswojenia, a wtedy potrafiłam zapamiętać wszystko, co dotyczyło muzyki, po

usłyszeniu tego raz czy dwa. Nagle mama wyrwała mi z rąk naszyjnik z liny i zaczęła krzyczeć na tatę. Rozpłakałam się, bo mama nigdy nie krzyczała, później Prim też zaczęła płakać, a ja uciekłam, by się gdzieś schować. Jako że miałam dokładnie jedną kryjówkę — na łące pod krzakiem wiciokrzewu — mój ojciec natychmiast mnie znalazł. Uspokoił mnie i powiedział, że wszystko jest w porządku, tylko raczej nie powinniśmy już dłużej śpiewać tej piosenki. Mama chciała, bym ją zapomniała. Więc, oczywiście, każde słowo zostało natychmiast nieodwołalnie wyryte w moim umyśle.

Nie śpiewaliśmy już tego, tata ani ja, ani nawet o tym nie mówiliśmy. Po jego śmierci piosenka często do mnie wracała. Kiedy stałam się starsza, zaczęłam rozumieć słowa. Na początku to brzmi tak, jakby jakiś mężczyzna chciał namówić swoją dziewczynę do potajemnego spotkania o północy. Ale to dziwne miejsce na schadzkę, wisielcze drzewo, gdzie powieszono mężczyznę za morderstwo. Ukochana mordercy musiała mieć coś wspólnego z zabójstwem albo może i tak zamierzali ją ukarać, bo jego ciało kazało jej uciekać. To oczywiście dziwne, sprawa mówiących zwłok, ale dopiero trzecia zwrotka „Wisielczego Drzewa” staje się niepokojąca. Nagle zdajesz sobie sprawę, że to zmarły morderca śpiewa piosenkę. Wciąż jest na wisielczym drzewie. I chociaż odprawił swoją ukochaną, wciąż pyta ją czy przyjdzie na spotkanie z nim. Zdanie: „Gdzie kazałem ci biec, by oboje nas wybawić” jest najbardziej kłopotliwe, bo początkowo wydaje ci się, że on mówi o chwili, w której kazał jej uciekać, zapewne w bezpieczne miejsce. Ale później zaczynasz się zastanawiać czy nie miał na myśli tego, by przybiegła do niego. Do śmierci. W ostatniej zwrotce staje się jasne, że właśnie na to czeka. Na swoją ukochaną, z naszyjnikiem z liny, wiszącą na drzewie tuż obok niego.

Kiedyś myślałam, że morderca to najbardziej przerażający facet, jakiego tylko mogłabym sobie wyobrazić. Teraz, z kilkoma wycieczkami na Igrzyska Śmierci za pasem, decyduję się nie oceniać go przed poznaniem szczegółów. Być może jego ukochana już została skazana na śmierć, a on próbował jej wszystko ułatwić. Zapewnić, że będzie na nią czekał. Albo może myślał, że miejsce, w którym ją zostawia, jest gorsze od śmierci. Czy ja nie chciałam zabić Peety tą strzykawką, by uchronić go od Kapitolu? Czy to rzeczywiście była moja jedyna opcja? Prawdopodobnie nie, ale nie mogłam wtedy myśleć o niczym innym.

Myślę jednak, że mamie cała sprawa wydawała się zbyt pokręcona jak na siedmioletnią dziewczynkę. Szczególnie taką, która robiła swoje własne naszyjniki z liny. To nie tak, że wieszanie zdarzało się jedynie w piosence. Mnóstwo ludzi było w ten sposób straconych w Dwunastce. Mogę się założyć, że nie chciała, bym zaśpiewała tę piosenkę na muzyce. Prawdopodobnie nie spodobałoby jej się to, że robię to tutaj przed Polluxem, ale przynajmniej mnie nie... Nie, chwila. Jestem w błędzie. Kiedy rozglądałam się na boki, dostrzegam, że Castor mnie nagrywał. Wszyscy patrzą na mnie uważnie. A po twarzy Polluxa spływają łzy, bo bez wątpienia moja pokręcona piosenka przywiodła mu

na myśl jakiś przerażający epizod z jego życia. Świetnie. Wzdycham i opieram się o pień. Wtedy kosogłasy zaczynają odtwarzać „Wisielcze Drzewo”. W ich wykonaniu piosenka wydaje się piękna. Świadoma tego, że jestem nagrywana, stoję w milczeniu dopóki Cressida nie mówi „cięcie!”.

Plutarch podchodzi do mnie ze śmiechem.

— Skąd tyś to wzięła? Nikt by nam nie uwierzył, gdybyśmy sami to wymyślili! — Obejmuje mnie ramieniem i całuje w czubek głowy z głośnym cmoknięciem. — Jesteś wspaniała!

— Nie zrobiłam tego dla kamer — mówię.

— Więc dobrze, że tu były — odpowiada. — Chodźcie wszyscy, wracamy do miasteczka!

Kiedy wlecemy się z powrotem przez las, docieramy do głazu i oboje z Gale’em odwracamy głowy w tym samym kierunku, jak para psów wyczuwających zapach w powietrzu. Cressida to dostrzega i pyta nas co znajduje się w tamtym miejscu. Przyznajemy, bez ustalania tego między sobą, że to stare miejsce naszych łowieckich spotkań. Ona chce je zobaczyć, nawet po tym, jak przekonujemy ją, że tak naprawdę nic tam nie ma.

Nic, poza miejscem, w którym byłam szczęśliwa, myślę.

Nasza skalna półka wznosi się ponad doliną. Jest być może nieco mniej zielona niż zazwyczaj, ale krzewy jeżyn uginają się pod ciężarem owoców. Tu zaczęły się niezliczone dni polowania i zakładania sideł, i łapania ryb, i zbieractwa, wspólnego wędrowania po lesie, dzielenia się przemyśleniami podczas napełniania toreb myśliwskich. W ten sposób udawało nam się utrzymać i nie stracić zmysłów. Byliśmy sobie nawzajem potrzebni.

Teraz już nie ma Dwunastego Dystryktu, z którego można by uciec, Strażników Pokoju, których można by przechytryć, żadnych wygłodniałych gęb do wykarmienia. Kapitol zabrał mi to wszystko i jestem bliska utraty również Gale’a. Wiążę wzajemnej potrzeby, która tak ciasno nas ze sobą związała przez te wszystkie lata, teraz zaczyna zanikać. Ciemność zamiast światła pojawia się między nami. Jak to się stało, że dzisiaj, kiedy stoimy naprzeciw przeraźliwie zniszczonej Dwunastki, jesteśmy na siebie zbyt wściekli, by się do siebie odezwać?

Gale właściwie mnie okłamał. To było nie do przyjęcia, nawet jeśli miał na uwadze moje dobro. Jednak jego przeprosiny wydawały się szczere. A ja rzuciłam mu je w twarz, znieważyłam go, by upewnić się, że go to zabolalo. Co się z nami dzieje? Dlaczego wciąż się kłócimy? Mamy niezły bałagan, ale w jakiś sposób czuję, że gdybym doszukała się źródeł naszych problemów, to moje zachowanie leżałoby u ich podstaw. Czy naprawdę chcę go odtrącać?

Moje palce obejmują jeżynę i zrywają ją. Delikatnie toczę ją pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym. Nagle obracam się w jego stronę i rzucam mu ją.

— I niech los... — mówię.

Wyrzucam jeżynę wysoko, więc Gale ma dużo czasu, by zdecydować czy ją odrzuci, czy przyjmie.

Wzrok Gale'a koncentruje się na mnie, nie na jeżynie, ale w ostatniej chwili otwiera usta i łapie ją. Rozgryza ją, połyka i długo milczy przed odpowiedzią.

— ...zawsze wam sprzyja. — W końcu jednak się odzywa.

Cressida usadza nas w jednym miejscu na skale, gdzie niemożliwe jest, byśmy się nie dotykali, i nakłania nas do rozmowy o polowaniu. Co skłoniło nas do ucieczki do lasu, jak się poznaliśmy, ulubione chwile. Miękniemy, śmiejemy się trochę, kiedy opowiadamy o nieszczęśliwych wypadkach z pszczołami, dzikimi psami i skunksem. Kiedy mamy opowiedzieć o tym, jak się czuliśmy wykorzystując nasze zdolności posługiwania się bronią w Ósemce, milknę. Gale mówi jedynie:

— Bardzo spóźnieni.

Kiedy docieramy do placu miejskiego, popołudnie zmienia się w wieczór. Prowadzę Cressidę na gruzy piekarni i proszę ją o sfilmowanie czegoś. Jedynym uczuciem, które potrafię w sobie zgromadzić, jest wyczerpanie.

— Peeta, to twój dom. Nikt nie słyszał o którymkolwiek z członków twojej rodziny po bombardowaniu. Dwunastki już nie ma. A ty apelujesz o zawieszenie broni? — Wpatruję się w pustkę. — Nie ma nikogo, kto by cię wysłuchał.

Kiedy stoimy na kawałku metalu, który był kiedyś szubienicą, Cressida pyta czy którekolwiek z nas było kiedyś torturowane. W odpowiedzi Gale ściąga koszulkę i obraca się plecami do kamery. Gapię się na blizny po chłóście i znowu słyszę świst uderzeń bata, widzę jego zakrwawioną postać wiszącą nieprzytomnie na nadgarstkach.

— Mam dość — ogłaszam. — Spotkam się z wami w Wiosce Zwycięzców. Coś dla... mojej mamy.

Musiałam tu przyjść, ale następną rzeczą, której jestem świadoma, jest siedzenie na podłodze naprzeciwko kuchennych szafek w naszym domu w Wiosce Zwycięzców. Ostrożnie wkładam ceramiczne słoje i szklane butelki do pudełka. Układam między nimi czyste bandaże, by zapobiec ich rozbiciu. Pakuję bukiet suchych kwiatów.

Nagle przypominam sobie różę na mojej szafce. Czy była prawdziwa? Jeśli tak, czy wciąż tu jest? Muszę się oprzeć chęci sprawdzenia. Jeśli tam jest, tylko mnie znowu przerazi. Przyspieszam pakowanie.

Kiedy szafki są już puste, podnoszę się i zauważam, że w kuchni pojawił się Gale. To niepokojące jak bezszelestnie może się poruszać. Pochyla się nad stołem z palcami szeroko rozstawionymi między słojami w drewnie. Stawiam pudło między nami.

— Pamiętasz? — pyta. — To tu mnie pocałowałaś.

Więc spora dawka morfaliny, którą otrzymał po chłóście nie wystarczyła, by wymazać to z jego świadomości.

— Nie sądziłam, że będziesz o tym pamiętać — mówię.

— Musiałbym być martwy, by zapomnieć. Może nawet to by nie wystarczyło — odpowiada. — Może będę jak ten mężczyzna z „Wisielczego Drzewa”. Wciąż w oczekiwaniu na odpowiedź.

Gale, którego nigdy nie widziałam jak płacze, ma łzy w oczach. By powstrzymać je przed wydostaniem się, podchodzę i przyciskam swoje usta do jego warg. Smakujemy gorąca, prochów i nieszczęścia. To zadziwiający smak jak na tak łagodny pocałunek. Pierwszy się odsuwa i uśmiecha się do mnie krzywo.

— Wiedziałem, że mnie pocałujesz.

— Skąd? — pytam. Bo sama tego nie wiedziałam.

— Bo cierpię — odpowiada. — To jedyny sposób, w jaki udaje mi się przyciągnąć twoją uwagę. — Podnosi pudełko. — Nie przejmuj się, Katniss. To minie.

Wychodzi zanim mogę odpowiedzieć.

Jestem zbyt wyczerpana, by przeanalizować jego ostatni zarzut. Spędzam krótką podróż do Trzynastki skulona na siedzeniu, próbując ignorować Plutarcha i jego paplaninę na jeden z jego ulubionych tematów — broni, której ludzkość już nie ma do swojej dyspozycji. Wysoko latające samoloty, wojskowe satelity, dezintegratory komórek, zdalnie sterowane bezzałogowe samoloty, broń biologiczna z datą przydatności. Doprowadzone do upadku przez zniszczenie atmosfery albo brak środków, albo moralną wrażliwość. Można usłyszeć żal w głosie Głównego Organizatora Igrzysk, który o takich zabawkach może jedynie pomarzyć, który musi się zadowolić poduszkowcami, pociskami ziemia-ziemia i nudną starą bronią.

Po zrzuceniu kostiumu Kosogłosa, idę prosto do łóżka bez jedzenia. Mimo tego Prim musi potrząsnąć mną, bym rano wstała. Po śniadaniu ignoruję plan dnia i robię sobie drzemkę w schowku zaopatrzeniowym. Kiedy się budzę, wyczołgując się spomiędzy pudełek kredy i ołówków, znowu jest pora kolacji. Dostaję superdużą porcję grochówki i kieruję się z powrotem do Oddziału E, kiedy Boggs mnie przechwytuje.

— Jest zebranie w Centrum Dowodzenia. Zignoruj następny punkt w rozkładzie twojego dnia — mówi.

— Zrobione — odpowiadam.

— Postępowałaś zgodnie z nim przez cały dzień? — pyta poirytowany.

— Kto wie? Jestem mentalnie zdezorientowana. — Unoszę nadgarstek, by pokazać mu moją bransoletkę i orientuję się, że zniknęła. — Widzisz? Nie pamiętam nawet, że zdjęli mi bransoletkę. Po co potrzebują mnie w Centrum Dowodzenia? Czy coś opuściłam?

— Cressida chciała ci chyba pokazać propozy z Dwunastki. Ale pewnie zobaczysz je w czasie emisji — mówi.

— Po to potrzebny mi plan dnia. By wiedzieć, kiedy puszczają propozy — mówię.

Piorunuje mnie spojrzeniem, ale powstrzymuje się od komentarzy.

Ludzie stłoczyli się w Centrum Dowodzenia, ale zarezerwowali mi miejsce między Finnickiem a Plutarchem. Ekrany leżą już na stole, ukazując zwyczajną gadkę Kapitolu.

— Co się dzieje? Nie będziemy oglądać propozycji z Dwunastki? — pytam.

— Och, nie — odpowiada Plutarch. — To znaczy, możliwe. Nie wiem dokładnie jakiego materiału ma zamiar użyć Beetee.

— Beetee uważa, że znalazł sposób, by włamać się do sieci narodowej — mówi Finnick. — By nasze propozycje emitowano również w Kapitolu. Pracuje nad tym teraz w Obronie Specjalnej. Dzisiaj ma być program na żywo. Snow ma wystąpić, czy coś w tym stylu. Chyba się zaczyna.

Pojawia się pieczęć Kapitolu, wzmocniona hymnem. Nagle patrzę prosto w węzowe oczy prezydenta Snowa, kiedy wita naród. Wydaje się zabarykadowany za swoim podium, ale biała róża w jego butonierce jest w pełni widoczna. Kamera odsuwa się i obejmuje Peetę, który znajduje się przed wyświetloną mapą Panem. Siedzi na wysokim krześle i opiera buty na metalowym szczeblu. Wystukuje swoją protezą dziwny, nieregularny rytm. Krople potu przedostały się przez warstwę pudru na jego górnej wardze i czole. Ale to wyraz jego oczu — zagniewany, ale nieobecny — przeraża mnie najbardziej.

— Gorzej z nim — szepczę. Finnick chwyta moją dłoń, by mnie pocieszyć, a ja staram się jakoś trzymać.

Peeta zaczyna mówić sfrustrowanym głosem o potrzebie zawieszenia broni. Wskazuje szkody wyrządzone kluczowej infrastrukturze w różnych dystryktach, a kiedy mówi, różne części mapy rozświetlają się, pokazując obrazy destrukcji. Przerwana tama w Siódemce. Wykolejony pociąg z toksycznymi odpadami wyciekającymi z cystern. Walący się pod wpływem ognia spichlerz. Wszystko to przypisuje działaniom rebeliantów.

Bam! Bez ostrzeżenia pojawia się nagle w telewizji, stojąc na gruzach piekarni.

Plutarch zrywa się na równe nogi.

— Udało mu się! Beetee się przedał!

Sala brzęczy od reakcji, kiedy Peeta powraca, zdezorientowany. Widział mnie na ekranie. Próbuje podjąć mowę, poprzez przejście dalej do zbombardowania oczyszczalni ścieków, kiedy zastępuje go fragment z Finnickiem opowiadającym o Rue. A później wszystko zmienia się w transmisyjną wojnę, kiedy kapitołińscy technolodzy próbują odeprzeć atak Beetee'ego. Ale nie są na to przygotowani, a Beetee, najwyraźniej przewidując, że nie utrzyma zbyt długo kontroli, ma zasób pięcio- i dziesięciosekundowych fragmentów, które może wykorzystać. Widzimy jak oficjalna prezentacja pogarsza się, usiana wybranymi ujęciami z propozycji.

Plutarchem targają spazmy rozkoszy i niemal wszyscy kibicują Beetee'emu, ale Finnick pozostaje bez ruchu i bez słowa tuż obok mnie. Napotykam spojrzenie Haymitcha po drugiej stronie sali i widzę moje własne przerażenie odzwierciedlone w jego oczach.

Zdajemy sobie sprawę, że z każdym okrzykiem radości Peeta coraz bardziej wymyka nam się z rąk.

Pieczeń Kapitolu powraca w towarzystwie monotonnego dźwięku. Po około dwudziestu sekundach Snow i Peeta wracają na wizję. Na planie panuje zamęt. Słychać gorączkowe wymiany zdań w ich kabinach. Snow brnie dalej, mówiąc, że najwyraźniej rebelianci próbują teraz zakłócić rozpowszechnianie informacji, które uważają za obciążające, ale prawda i sprawiedliwość i tak zatriumfują. Transmisja zostaje wznowiona, kiedy przywrócone zostaje bezpieczeństwo sieci. Snow pyta Peetę czy, biorąc pod uwagę dzisiejszą demonstrację, ma jakieś pożegnalne słowa dla Katniss Everdeen.

Na dźwięk mojego imienia, twarz Peety wykrzywia się w wysiłku.

— Katniss... myślisz, że jak to się skończy? Co pozostanie? Nikt nie jest bezpieczny. Nie w Kapitole. Ani w dystryktach. A ty... w Trzynastce... — Oddycha ciężko, jakby walczył o powietrze, w jego oczach widać szaleństwo. — Umrzesz zanim nastanie nowy dzień..

Spoza kamery Snow rozkazuje:

— Zakończyć to!

Beetee pogrąża wszystko w chaosie, emitując ujęcie mnie stojącej przed szpitalem w trzysekundowych odstępach. Jednak pomiędzy obrazami, zostajemy wtajemniczeni w prawdziwe wydarzenia, które rozgrywają się poza planem. Peeta próbujący mówić dalej. Kamera przewrócona tak, że pokazuje wykafelkowaną na białą podłogę. Szuranie butami. Odgłos uderzenia nierozłączny z okrzykiem bólu Peety.

I jego krew rozbryzgująca się na kafelkach.

Część II

Atak

10.

Krzyk rozpoczyna się w dolnej części moich pleców i toruje sobie drogę przez całe ciało, by w końcu utknąć w moim gardle. Przez chwilę jestem awoksa, dławię się swoim żalem. Nawet gdybym potrafiła uwolnić mięśnie mojej szyi, pozwolić głosowi przedrzeć się przez przestrzeń, czy ktoś by zauważył? W sali aż huczy. Pytania i żądania odbijają się od ścian, kiedy próbują odszyfrować słowa Peety. „A ty... w Trzynastce... umrzesz zanim nastanie nowy dzień!” Nikt jednak nie przejmuje się posłańcem, którego krew na ekranie zastąpiły zakłócenia.

Jakiś głos prosi wszystkich o uwagę.

— Cisza! — Wszyscy wpatrują się w Haymitcha. — To żadna wielka tajemnica. Chłopak mówi nam, że zostaniemy zaatakowani. Tutaj. W Trzynastce.

— Jak udałooby mu się zdobyć taką informację?

— Dlaczego mamy mu wierzyć?

— Skąd wiesz?

Haymitch wydaje z siebie pomruk frustracji.

— Biją go do krwi, kiedy my tu sobie rozmawiamy. Czego więcej potrzebujecie? Katniss, pomóż mi!

Muszę mocno sobą potrząsnąć, by uwolnić słowa.

— Haymitch ma rację. Nie wiem skąd Peeta zdobył tę informację. Albo czy jest prawdziwa. Ale on wierzy w to, że jest. A oni...

Nie potrafię wypowiedzieć na głos tego, co Snow mu robi.

— Nie znasz go — mówi Haymitch do Coin. — My tak. Przygotuj ludzi.

Pani prezydent nie wydaje się zaniepokojona, a jedynie nieco zakłopotana takim rozwojem wypadków. Rozmyśla nad słowami, delikatnie stukając palcem w krawędź panelu kontrolnego przed sobą. Kiedy decyduje się przemówić, zwraca się do Haymitcha spokojnym głosem.

— Oczywiście jesteśmy przygotowani na taką ewentualność. Choć przez dekady utwierdzano nas w przekonaniu, że dalsze bezpośrednie ataki na Trzynastkę tylko Kapitolowi zaszkodzą. Pociski atomowe uwolniłyby promieniowanie do atmosfery, a to wiązałoby się z niezliczonymi szkodami wyrządzonymi środowisku. Nawet zwykłe bombardowanie może bardzo uszkodzić nasze militarne zaplecze, o którym wiemy, że chcą je odzyskać. I, oczywiście, muszą się liczyć z kontratakiem. Niewykluczone jednak, że, ze względu na nasz obecny sojusz z rebeliantami, wyda im się to wartym podjęcia ryzykiem.

— Tak myślisz? — pyta Haymitch. Cień w jego głosie jest bardzo wyraźny, ale w Trzynastce subtelne ironie są zwykle niedostrzegane.

— Tak. W każdym razie, już za późno na procedurę bezpieczeństwa Poziomu Piątego — mówi Coin. — Przejdźmy do fazy zamknięcia.

Zaczyna szybko pisać na klawiaturze, autoryzując swoją decyzję. W chwili, w której unosi głowę, zaczyna się.

Były dwa alarmy bezpieczeństwa odkąd przybyłam do Trzynastki. Niewiele pamiętam z pierwszego. Byłam na intensywnej terapii w szpitalu i wydaje mi się, że pacjenci byli z niego zwolnieni, jako że komplikacje wyciągnięcia nas na ćwiczenia przeważały nad korzyściami. Byłam ledwie świadoma mechanicznego głosu nakazującego ludziom zebrać się w żółtych strefach. Podczas drugiego, procedury Poziomu Drugiego dla mniejszych zagrożeń — jak czasowa kwarantanna, podczas gdy obywatele byli badani na obecność choroby podczas wybuchu epidemii grypy — mieliśmy powrócić do naszych kwater mieszkalnych. Schowałam się wtedy za rurą w pralni, zignorowałam pulsujące brzęczenie wydobywające się z systemu dźwiękowego i patrzyłam jak pająk buduje swoją sieć. Żadne z tych doświadczeń nie przygotowało mnie na nieme, drażniące bębny uszne, wywołujące strach syreny alarmowe, które teraz przenikają Trzynastkę. Ten dźwięk nie może zostać zlekceważony; wydaje się zaprojektowany po to, by doprowadzić całą populację do szaleństwa. Ale to jest Trzynastka i takie rzeczy nie mają tu miejsca.

Boggs wyprowadza Finnicka i mnie z Centrum Dowodzenia, wzdłuż korytarza aż do drzwi i szerokiej klatki schodowej. Strumienie ludzi łączą się tworząc rzekę i płyną jedynie w dół. Nikt nie wrzeszczy, nikt nikogo nie popycha. Nawet dzieci nie protestują. Schodzimy coraz niżej, bezgłośnie, bo żadne słowo nie zostałoby usłyszane ponad tym ogłuszającym dźwiękiem. Szukam mamy i Prim, ale niemożliwe jest dojrzenie kogokolwiek poza tymi, którzy bezpośrednio mnie otaczają. Jednak obie pracują dzisiaj w szpitalu, więc niemożliwe, by opuściły procedurę.

Uszy mi pękają, a oczy robią się ciężkie. Jesteśmy na głębokości kopalni węgla. Jedyną zaletą jest to, że im głębiej schodzimy pod ziemię, tym mniej przenikliwe stają się syreny. Tak jakby miały dosłownie wygonić nas z wyższych poziomów, co, jak przypuszczam, jest prawdopodobne. Grupy ludzi zaczynają przedzierać się do oznaczonych drzwi, a Boggs wciąż prowadzi mnie w dół dopóki schody nie kończą się wreszcie na brzegu ogromnej jaskini. Zaczynam iść prosto w jej stronę, kiedy Boggs zatrzymuje mnie i pokazuje, że muszę machnąć planem dnia przed czytnikiem, by mnie policzyli. Bez wątplenia informacja przekazywana jest do jakiegoś komputera, by upewnić się, że nikt się nie zgubił.

To miejsce wydaje się samo nie wiedzieć czy jest naturalne, czy stworzone przez człowieka. Niektóre części ścian są z kamienia, podczas gdy stalowe belki i beton

wzmacniają inne. Łóżka są wykute w skalnej ścianie. Jest też kuchnia, łazienki i punkt medyczny. To miejsce zostało zaprojektowane na dłuższy pobyt.

Białe znaki z literami lub liczbami są zamieszczone w odstępach dookoła jaskini. Kiedy Boggs mówi mnie i Finnickowi, że mamy się zgłosić w strefie, która odpowiada przyznanym nam kwaterom — w moim przypadku E jak Oddział E — podchodzi do nas Plutarch.

— Ach, tu jesteś — mówi.

Ostatnie wydarzenia wywarły na nim małe wrażenie. Wciąż promieniuje szczęściem po sukcesie Beetee'ego w ataku na transmisje telewizyjne. Oczy skierowane na las, nie na drzewa. Nie na ukaranie Peety ani nadchodzące bombardowanie Trzynastki.

— Katniss, to na pewno jest dla ciebie zły czas, z całym tym pogorszeniem się Peecie, ale musisz być świadoma tego, że inni będą cię obserwować.

— Co? — pytam. Nie mogę uwierzyć, że naprawdę zdegradował fatalne położenie Peety do zwykłego pogorszenia.

— Inni ludzie w bunkrze będą brać przykład z twojego zachowania. Jeśli będziesz spokojna i dzielna, inni też spróbują. Jeśli zaczniesz panikować, to się rozprzestrzeni z prędkością światła — wyjaśnia Plutarch. Jedynie gapię się na niego. — Ogień jest zaraźliwy, że tak powiem — kontynuuje, jakbym wolno rozumiała.

— Dlaczego po prostu nie zacząć udawać, że jestem nagrywana, Plutarch? — mówię.

— Tak! Wspaniale. Człowiek zawsze jest odważniejszy przed publicznością — mówi. — Spójrz na odwagę, którą Peeta właśnie zademonstrował! — Z trudem powstrzymuję się przed uderzeniem go w twarz. — Muszę wrócić do Coin przed zamknięciem. Zachowuj się dobrze — mówi i ulatnia się.

Idę do wielkiej litery E wymalowanej na ścianie. Nasza przestrzeń to trzy i pół na trzy i pół metra kamiennej podłogi wyznaczona malowanymi liniami. Wykute w ścianie są dwa łóżka — jedna z nas będzie spać na podłodze — i sześcienna przestrzeń magazynowa na poziomie ziemi. Kartka białego papieru laminowana w przezroczystym plastiku, głosi: PROTOKÓŁ BUNKRA. Gapię się nieruchomo na małe czarne plamki na kartce. Przez jakiś czas zasłaniają je kropelki krwi, których nie potrafię się pozbyć sprzed moich oczu. Powoli słowa stają się bardziej wyraźne. Pierwsza część zatytułowana jest „Po przybyciu”.

- 1. Upewnij się, że wszyscy członkowie Twojego Oddziału są na miejscu.

Mama i Prim jeszcze nie dotarli, ale ja byłem jedną z pierwszych, którzy pojawili się w bunkrze. Prawdopodobnie obie pomagają przemieścić pacjentów.

- 2. Zgłoś się w Zaopatrzeniu i pozyskaj jeden plecak na każdego członka Twojego Oddziału. Przygotuj swój Obszar Życiowy. Zwróć plecak(i).

Skanuję wzrokiem jaskinię aż udaje mi się zlokalizować Zaopatrzenie, głęboki pokój z ladą na przedzie. Ludzie ustawiają się za nią, ale nie ma jeszcze zbyt wielkiego ruchu. Podchodzę, podaję literę oddziału i proszę o trzy plecaki. Mężczyzna sprawdza listę, zdejmując odpowiednie plecaki z półek i wymachuje nimi przed licznikiem. Zsuwam jeden na plecy, chwytam dwa pozostałe w dłonie i obracam się, by zastać szybko formującą się za mną grupę.

— Przepraszam — mówię, kiedy próbuję wydostać się z zaopatrzeniem.

Czy to kwestia zgrania w czasie? Czy Plutarch ma rację? Czy ci ludzie dostosowują swoje zachowanie do mojego?

Z powrotem w naszej przestrzeni, otwieram jeden z plecaków, by znaleźć w nim cienki materac, pościel, zestawy szarego ubrania, szczoteczkę do zębów, grzebień i latarkę. Kiedy przeglądam pozostałe plecaki, okazuje się, że jedyną widoczną różnicą są dołączone do szarych białe zestawy ubrań. Te muszą być dla mamy i Prim, w razie gdyby miały jakieś medyczne obowiązki. Po pościeleniu łóżek, ułożeniu ubrań i zwróceniu plecaków, nie mam do roboty nic poza wpatrywaniem się w ostatnie polecenie.

- 3. Oczekuj dalszych instrukcji.

Siadam na podłodze ze skrzyżowanymi nogami i czekam. Stały strumień ludzi zaczyna wypełniać pomieszczenie; zajmują pozycje, domagają się zaopatrzenia. Zapełnienie całego miejsca nie zajmie dużo czasu. Zastanawiam się czy mama i Prim zostaną na noc w miejscu, w które zabrano pacjentów. Ale nie, nie wydaje mi się. Były na liście tutaj. Zaczynam się już niepokoić, kiedy pojawia się mama. Spoglądam za nią na morze obcych.

— Gdzie Prim? — pytam.

— Nie ma jej tu? — dziwi się kobieta. — Miała zejść tutaj prosto ze szpitala. Wyszła dziesięć minut przede mną. Gdzie ona jest? Gdzie mogła pójść?

Przez chwilę zaciskam mocno powieki, obserwując ją jak zdobycz na polowaniu. Widzę jej reakcję na syreny, jak spieszy na pomoc pacjentom, przytakuje, gdy gestem nakazują jej zejść do bunkra, a później waha się przy schodach. Rozdarta przez moment. Ale dlaczego?

Gwałtownie otwieram oczy.

— Kot! Wróciła po niego!

— Och, nie — mówi mama.

Obie wiemy, że mam rację. Przepychamy się przez napływającą falę ludzi, próbując wydostać się z bunkra. Widzę jak przygotowują się do zamknięcia grubych metalowych drzwi przed nami. Powoli obracają do środka metalowe kółka po obu stronach. Coś mi mówi, że kiedy tylko drzwi zostaną zapieczętowane, nic nie przekona żołnierzy do otwarcia ich. Być może nie będzie to leżało w ich gestii. Niewybrednie odpycham ludzi i kiedy krzyczę do nich, by poczekali. Przestrzeń między drzwiami a

futryną kurczy się do metra, pół; pozostało jedynie kilkanaście centymetrów, kiedy wciskam dłoń w szczelinę.

— Otwórzcie! Wypuście mnie! — wrzeszczę.

Konsternacja pojawia się na twarzach żołnierzy, kiedy obracają koła w drugą stronę. Nie na tyle, by mnie przepuścić, ale wystarczająco, by uniknąć zmiżdżenia mi palców. Wykorzystuję okazję i wciskam ramię w szczelinę.

— Prim! — krzyczę w stronę schodów. Mama tłumaczy sytuację strażnikom, kiedy próbuję się wyrwać. — Prim!

Nagle coś słyszę. Cichy odgłos kroków na schodach.

— Idziemy! — słyszę wołanie mojej siostry.

— Przytrzymajcie drzwi! — To Gale.

— Idą! — mówię strażnikom i wtedy otwierają drzwi na jakieś trzydzieści centymetrów. Ale nie ośmielam się poruszyć — z obawy, że zamkną nas tu wszystkich — dopóki nie pojawia się Prim z zarumienionymi od biegu policzkami, wlokąc ze sobą Jaskra. Wciągam ją do środka, a Gale podąża za nami z ramionami pełnymi pakunków, które wnosi do bunkra. Drzwi zamykają się z głośnym i ostatecznym szczękiem.

— Co ty sobie myślałaś? — Ze złością potrząsam Prim, a zaraz potem przytulam ją, zgniatając Jaskra między nami.

Prim już zaczyna tłumaczyć:

— Nie mogłam go zostawić, Katniss. Nie znowu. Powinnaś była go widzieć jak włóczy się po pokoju i zawodzi. On wróciłby, żeby nas chronić.

— Dobrze. Dobrze. — Oddycham głęboko kilka razy, by się uspokoić i podnoszę Jaskra za kark. — Powinnaś była cię utopić, kiedy miałam okazję.

Kładzie uszy po sobie i unosi łapę. Prycham na niego, zanim on ma szansę to zrobić, co wydaje się go nieco irytować, jako że uważa prychanie za swój osobisty sposób wyrażania pogardy. W odwecie wydobywa z siebie bezradne kocie miauczenie, przez co moja siostra natychmiast występuje w jego obronie.

— Och, Katniss, nie dokuczaj mu — mówi, porywając go z powrotem w swoje ramiona. — Już i tak jest smutny.

Pomyśl, że zraniłam kocie uczucia tej bestii aż się prosi o dalsze drażnienie. Jednak Prim szczerze się o niego martwi. Więc zamiast tego, wyobrażam sobie Jaskra zmienionego w parę rękawiczek; ten obraz pomagał mi radzić sobie z nim przez lata.

— Dobrze, przepraszam. Jesteśmy pod wielkim E na ścianie. Lepiej idź go tam zadomowić zanim zaczniesz wariować.

Prim ulatnia się, a ja stoję twarzą w twarz z Gale'em. Trzyma pudełko z zaopatrzeniem medycznym z naszej kuchni w Dwunastce, miejsca naszej ostatniej rozmowy, pocałunku, incydentu, czegokolwiek. Przez ramię przerzucił sobie moją torbę myśliwską.

— Jeśli Peeta ma rację, nie miałyby szans przetrwania — mówi.

Peeta. Krew jak krople deszczu na szybie. Jak wilgotne błoto na butach.

— Dzięki za... wszystko. — Odbieram od niego nasze rzeczy. — Co robiłeś na górze w naszym pokoju?

— Tylko sprawdzałem — mówi. — Jesteśmy pod Czterdziestką Siódmką, gdybyś mnie potrzebowała.

Niemal każdy wycofuje się do swoich przestrzeni po zamknięciu drzwi, więc i ja zaczynam kroczyć ku mojemu nowemu domowi obserwowana przez co najmniej pięciuset ludzi. Próbuje wyglądać na spokojną, by jakoś zatrzeć złe wrażenie po gorączkowym przepychaniu się przez tłum. Jakby to mogło kogoś znieść. To by było na tyle jeśli chodzi o świecenie przykładem. Och, ale kogo to obchodzi? I tak myślą, że mam nie po kolei w głowie. Jeden mężczyzna, którego chyba powaliłam na podłogę, napotyka moje spojrzenie i pociera swój łokieć, urażony. Niemal prycham i na niego.

Prim ulokowała Jaskra na niższym łóżku i przykryła kocem tak, że widać tylko jego łeb. On lubi tak leżeć podczas burzy, jedynej rzeczy, której tak naprawdę się boi. Mama ostrożnie lokuje pudełko w sześciennym magazynie. Kucam z plecami opartymi o ścianę, by sprawdzić, co udało się Gale'owi uratować w mojej torbie myśliwskiej. Książkę z roślinami, kurtkę myśliwską, zdjęcie ślubne rodziców i osobistą zawartość mojej szuflady. Broszka z kosogłosem jest teraz razem z kostiumem od Cinny, ale w torbie znajduję złoty medalion i srebrny spadochron z sączkiem i perłą Peety. Obwiązuję perłę rogiem spadochronu i zakopuję ją głęboko w czeluściach torby, jakby to było życie Peety i nikt nie mógł mu go odebrać, dopóki ja go strzegę.

Odległy dźwięk syren nagle się urywa. Głos Coin rozbrzmiewa w systemie nagłaśniającym, dziękując nam za przykładną ewakuację wyższych poziomów. Zaznacza, że to nie są ćwiczenia, jako że Peeta Mellark, zwycięzca z Dwunastego Dystryktu, prawdopodobnie wyjawiał w telewizji zamiar planowanego na ten wieczór ataku na Trzynastkę.

I wtedy uderza pierwsza bomba. Początkowo odczuwam uderzenie, a zaraz potem następuje eksplozja, której odgłos rezonuje w każdej najmniejszej części mojego ciała, w linii moich jelit, w szpiku kości, w korzeniach zębów. Wszyscy tu zginiemy, myślę. Moje oczy wznoszą się ku górze w oczekiwaniu na widok gigantycznych szczelin pędzących po suficie, solidnych kamiennych brył pędzących prosto na nas, ale sam bunkier jedynie delikatnie drży. Światła gasną i nagle doświadczam całkowitego zagubienia w ciemnościach. Nie uformowane w słowa odgłosy ludzi — spontaniczne piski, nierówne oddechy, kwilenie dzieci, osamotniony szaleńczy śmiech — wirują w ciężkim powietrzu. Nagle słychać brzęczenie generatora i przyćmiony chwiejny blask pojawia się w miejsce jaskrawego światła, które jest normą w Trzynastce. Bliższy jest temu, co mieliśmy w

naszych domach w Dwunastce, kiedy świece i ogień w kominkach paliły się słabo w zimowe noce.

W ciemności sięgam w stronę Prim, zaciskam dłoń na jej nodze i przyciągam się do niej. Jej głos jest opanowany, kiedy mówi do Jaskra:

— Wszystko w porządku, kochanie, wszystko w porządku. Nic nam się tutaj nie stanie.

Mama obejmuje nas ramionami. Pozwalam sobie przez chwilę znowu poczuć się jak mała dziewczynka i kładę głowę na jej ramieniu.

— To nic w porównaniu z bombami w Ósemce — mówię.

— To prawdopodobnie pocisk burzący — mówi Prim, wciąż kojącym głosem dla dobra kota. — Uczyliśmy się o nich podczas wprowadzenia dla nowych obywateli. Zaprojektowane są, by przeniknąć głęboko w ziemię zanim wybuchną. Bo nie ma już sensu w bombardowaniu Trzynastki na powierzchni.

— Nuklearny? — pytam, czując jak chłodny dreszcz rozchodzi się po moim ciele.

— Niekoniecznie — mówi Prim. — Niektóre po prostu zawierają w sobie dużo materiału wybuchowego. Jednak... chyba mógł być każdego typu.

Półmrok sprawia, że ciężko jest dostrzec ciężkie metalowe drzwi na końcu bunkra. Czy mają jakieś zabezpieczenia przed atakiem nuklearnym? A nawet gdyby były całkowicie skuteczne i nie przepuszczały promieniowania, co jest raczej mało prawdopodobne, czy kiedykolwiek moglibyśmy opuścić to miejsce? Myśl o spędzeniu reszty mojego życia w tym kamiennym grobowcu przeraża mnie. Chcę biec jak oszalała do drzwi i żądać uwolnienia mnie do tego, co czeka na mnie na górze. To bez sensu. Nigdy by mnie stąd nie wypuścili, a ja mogłabym wywołać masową panikę.

— Jesteśmy bardzo głęboko, jestem pewna, że jesteśmy bezpieczni — mówi słabo mama. Czy myśli o tacie zmienionym w nicość w kopalni? — Jednak niewiele brakowało, a inaczej by się to skończyło. Dzięki Bogu, że Peeta miał potrzebne środki, by nas ostrzec.

Potrzebne środki. Ogólne pojęcie, które w jakiś sposób zawiera w sobie wszystko, czego potrzebował, by wznieść alarm. Wiedza, okazja, odwaga. I coś jeszcze, czego nie potrafię określić. Peeta wydawał się toczyć jakąś walkę w swoim umyśle; walczył, by wyrzucić z siebie wiadomość. Dlaczego? Łatwość, z jaką posługuje się słowami, jest jego największym talentem. Czy ta trudność jest skutkiem tortur? Czy czegoś więcej? Czegoś jak szaleństwo?

Głos Coin, być może nieco bardziej ponury, wypełnia bunkier, głośność zmienia się wraz z migotaniem świateł.

— Najwyraźniej wiadomość od Peety Mellarka była prawdziwa i mamy u niego dług wdzięczności. Czujniki wskazują, że pierwszy pocisk nie był nuklearny, ale bardzo

potężny. Spodziewamy się kolejnych. Na czas ataku obywatele zobowiązani są do pozostania w swoich obszarach, chyba że zarządzi się inaczej.

Żołnierz mówi mamie, że potrzebna jest w punkcie medycznym. Niechętnie nas zostawia, nawet pomimo tego, że oddali się jedynie na trzydzieści metrów.

— Nic nam nie będzie, naprawdę — mówię jej. — Myślisz, że cokolwiek mogłoby się przemknąć obok niego? — Wskazuję na Jaskra, który obdarza mnie tak beznamytnym prychnięciem, że wszystkie zaczynamy się śmiać. Nawet mnie jest go żal. Kiedy mama odchodzi, sugeruję: — Może do niego dołączysz tam na górze, Prim?

— Wiem, że to głupie... ale boję się, że łóżko mogłoby się na nas zawalić podczas ataku — mówi.

Jeśli łóżka się zawalą, cały bunkier przestanie spełniać swoją funkcję i pogrzebie nas żywcem, ale taki rodzaj logiki raczej mi się teraz nie przyda. Oczyszczam więc sześcienny magazyn i tworzę Jaskrowi legowisko w środku. Później przyciągam przed niego materac dla mnie i mojej siostry.

Dostajemy pozwolenie na skorzystanie z łazienki w małych grupach i umycie zębów, ale prysznic został dzisiaj odwołany. Kulę się z Prim na materacu pod podwójną warstwą koców, bo jaskinia emituje wilgotny chłód. Jaskier, żaloszny nawet pod ciągłą opieką Prim, kurczy się w magazynie, a ja czuję jego koci oddech na mojej twarzy.

Pomimo niesprzyjających okoliczności, cieszę się, że spędzę trochę czasu z siostrą. Odkąd tu przybyłam jestem wciąż czymś potwornie zajęta — nie, to się zaczęło wraz z pierwszymi Igrzyskami — a to zostawia mi niewiele czasu na poświęcanie jej uwagi. Nie opiekowałam się nią tak, jak powinnam, tak, jak kiedyś. Koniec końców to Gale sprawdził nasz oddział, nie ja. Muszę jej to jakoś wynagrodzić.

Zdaję sobie sprawę, że nigdy nawet nie spytałam jej jak radzi sobie z szokiem po przybyciu tutaj.

— Prim, jak ci się podoba Trzynastka? — zaczynam.

— W tej chwili? — pyta. Obie się śmiejemy. — Czasami strasznie tęsknię za domem. Ale później przypominam sobie, że nie zostało już nic, za czym mogłabym tęsknić. Tutaj czuję się bezpiecznie. Nie musimy się o ciebie martwić. Cóż, przynajmniej nie w ten sam sposób. — Milknie, a później nieśmiały uśmiech pojawia się na jej ustach. — Myślę, że wyszkoła mnie na lekarza.

Pierwszy raz o tym słyszę.

— Oczywiście, że tak. Byliby głupi, gdyby tego nie zrobili.

— Obserwowali jak pomagałam w szpitalu. Już uczęszczam na kurs medyczny. To takie podstawy dla początkujących. Wiele z tego dowiedziałam się już w domu. Jednak wciąż jest tyle do nauki — mówi mi.

— Świetnie — odpowiadam.

Prim lekarzem. W Dwunastce nie mogłaby nawet o tym marzyć. Coś małego i cichego, jak zapalona zapałka, rozświetla mrok w moim wnętrzu. To jest przyszłość, którą mogłaby przynieść rebelia.

— A co z tobą, Katniss? Jak sobie radzisz? — Krótkimi, delikatnymi ruchami głaszcząc Jaskra między oczami opuszką palca. — I nie mów mi, że dobrze.

To prawda. Jakiegokolwiek jest przeciwieństwo słowa „dobrze”, to tak właśnie się czuję. Więc opowiadam jej o Peecie, jego niszczeniu na ekranie i dzielę się z nią swoim przekonaniem, że w tej właśnie chwili na pewno go zabijają. Jaskier musi przez moment zająć się sobą, ponieważ Prim przenosi całą uwagę na mnie. Przyciąga mnie bliżej, palcami zakłada mi włosy za ucho. Przestałam mówić, bo tak naprawdę nie zostało już nic do powiedzenia, a ja czuję ten kłujący rodzaj bólu w okolicach serca. Może nawet właśnie mam atak serca, ale nie wydaje się to godne zauważenia.

— Katniss, myślę, że prezydent Snow nie zabije Peety — mówi Prim. Oczywiście, że tak mówi; myśli, że to właśnie mnie uspokoi. Ale jej kolejne słowa są dla mnie zaskoczeniem. — Jeśli to zrobi, nie zostanie mu już nikt, na kim ci zależy. Nie będzie mógł cię zranić.

Nagle przypominam sobie inną kobietę, która widziała całe zło, jakie Kapitol ma do zaoferowania. Johanna Mason, trybutka z Siódmego Dystryktu w ostatnich Igrzyskach. Chciałam powstrzymać ją przed wejściem do dżungli, gdzie głoskółki naśladowały głosy torturowanych bliskich, ale odepchnęła mnie, mówiąc:

— Nie zrobią mi krzywdy, bo nie grozi mi to, co wam. Nie został już nikt, kogo bym kochała.

I wiem, że Prim ma rację, że Snow nie może pozwolić sobie na zmarnowanie życia Peety, szczególnie teraz, kiedy Kosogłos wywołuje takie spustoszenie. Już zabił Cinnę. Zniszczył mój dom. Moja rodzina, Gale, a nawet Haymitch są poza jego zasięgiem. Pozostał mu tylko Peeta.

— Więc... jak myślisz, co mu zrobią? — pytam.

Prim brzmi o tysiąc lat starzej, kiedy się odzywa.

— Wszystko, byle tylko cię złamać.

Co mnie złamie? To pytanie, które zżera mnie od środka przez następne trzy dni, kiedy czekamy na uwolnienie z naszego więzienia bezpieczeństwa. Co rozbija mnie na milion kawałków, których nie da się już posklejać, nie da się użyć? Nie wspominam o tym nikomu, ale ta myśl pochłania mnie, kiedy tylko nie śpię i przedziera się do moich koszmarów.

Jeszcze cztery pociski burzące spadają na nas w tym czasie, wszystkie potężne, bardzo szkodliwe, ale nie widać pośpiechu w tym ataku. Bomby zrzucone są co kilka długich godzin, więc kiedy już myślisz, że nalot się skończył, kolejny wybuch wstrząsa twoimi wnętrznościami. Wydaje się, że celem jest raczej utrzymanie nas w zamknięciu niż zdziesiątkowanie Trzynastki. Okaleczyć dystrykt, tak. Zmusić ludzi do włożenia sporej pracy w odbudowanie go. Ale zniszczyć? Nie. Coin miała rację w tym względzie. Nie niszczysz tego, co chcesz w przyszłości zagarnąć. Przypuszczam, że, na krótszą metę, chcą powstrzymać atak na transmisje telewizyjne i utrzymać mnie z dala od telewizorów Panem.

Prawie nie otrzymujemy informacji o tym, co się dzieje. Nasze ekrany nigdy się nie włączają, a głos Coin przekazuje nam jedynie krótkie aktualności dotyczące rodzaju pocisków. Oczywiście wojna wciąż się toczy, ale o jej przebiegu nie wiemy nic.

W bunkrze współpraca wyznacza porządek dnia. Stosujemy się do ścisłego planu posiłków i kąpieli, ćwiczeń i snu. Niewielkie okresy uspołeczniania się mają zmniejszyć nudę. Nasza przestrzeń staje się bardzo popularna, bo i dzieci, i dorośli są zafascynowani Jaskrem. Osiąga on status gwiazdy dzięki wieczornej grze o nazwie Szalony Kot. Kilka lat temu stworzyłam ją przypadkiem podczas zimowego braku prądu. Trzeba jedynie poruszać strumieniem światła latarki dookoła podłogi, a Jaskier próbuje go złapać. Jestem na tyle małostkowa, by czerpać z tego rozrywkę, bo uważam, że robi przy tym z siebie głupka. Z jakichś dziwnych powodów wszyscy tutaj uważają, że jest mądry i zachwycający. Przyznano mi nawet dodatkowy zestaw baterii — ogromne marnotrawstwo — do wykorzystania w tym celu. Mieszkańcy Trzynastki są naprawdę spragnieni rozrywki.

Trzeciej nocy, podczas gry, odpowiadam sobie na pytanie, które zjada mnie od środka. Szalony Kot staje się metaforą mojej sytuacji. Jestem Jaskrem. Peeta jest światłem, czymś, co tak bardzo chcę ocalić. Dopóki Jaskier czuje, że ma szansę złapać nieuchwytnie światło w swoje łapy, jeży się agresywnie. (Tak się zachowywałam od czasu opuszczenia areny, myśląc, że Peeta żyje.) Kiedy światło gaśnie całkowicie, Jaskier przez chwilę szaleje i nie wie co się dzieje, ale radzi sobie z tym i w końcu zajmuje się czymś innym. (Tak by się stało, gdyby Peeta umarł.) Ale jedna rzecz prawdziwie doprowadza Jaskra do szaleństwa: kiedy światło pali się, ale jest daleko poza jego zasięgiem, wysoko na ścianie, gdzie nie jest w stanie doskoczyć. Chodzi wtedy w tę i z powrotem wzdłuż

ściany, zawodzi i nie da się go pocieszyć albo odwrócić jego uwagi. Jest bezużyteczny dopóki nie zgaszę światła. (To właśnie Snow stara się teraz zrobić mnie, nie wiem tylko jaką formę przyjmuje jego gra.)

Być może fakt, że zdałam sobie z tego sprawę, jest dla Snowa wystarczający. Wiedza, że Peeta jest w jego mocy, torturowany, by wydobyć z niego informacje o rebelii, była bolesna. Ale wiedza, że torturowany jest z mojego powodu, jest nie do zniesienia. Pod ciężarem tej wiedzy naprawdę zaczynam się łamać.

Po Szalonym Kocie zostajemy skierowani do łóżek. Elektryczność pojawia się i znika; czasami lampy palą się pełną mocą, innym razem mrużymy oczy, by dostrzec się w ciemnościach. W nocy światło przygasa niemal całkowicie i zapalają się lampki bezpieczeństwa w każdej przestrzeni. Prim, która zdecydowała, że ściany jednak wytrzymają, przytula się do Jaskra na dolnym łóżku. Mama śpi na górnym. Zaofiarowałam się, że będę spać na którymś z nich, ale każą mi się trzymać materaca na podłodze, jako że śpię tak niespokojnie.

Nie rzucam się na materacu teraz, kiedy moje mięśnie są usztywnione w próbie zebrania się w sobie. Ból serca powraca i wyobrażam sobie jak począwszy od niego po całym moim ciele rozchodzą się maleńkie pęknięcia. Poprzez tułów, w dół rąk i nóg, pozostawiając mnie poprzecinaną szczelinami. Jeden porządny wstrząs spowodowany pociskiem burzącym i mogłabym się rozpaść na dziwne, ostre jak brzytwa fragmenty.

Kiedy większość kręcących się jeszcze po bunkrze bezsennych ludzi w końcu idzie spać, ostrożnie wydostaję się spod koca i na palcach przechodzę przez jaskinię, aż znajduję Finnicka. Czuję, z jakiegoś dziwnego powodu, że on mnie zrozumie. Siedzi pod lampą bezpieczeństwa w swojej przestrzeni, zawiązując supły na swojej linie, nie udając nawet, że odpoczywa. Kiedy zwierzam mu się z mojego odkrycia prawdy o planie Snowa, wreszcie to do mnie dociera. On już dawno o tym wie. Właśnie to go złamało.

— Robią to samo tobie, używając Annie, prawda? — pytam.

— Cóż, nie schwytali jej ze względu na potencjalne informacje o rebelii, które mogłaby posiadać — odpowiada. — Wiedzą, że nigdy nie zaryzykowałbym zdradzeniem się jej z czymś takim. Dla jej własnego bezpieczeństwa.

— Och, Finnick. Tak mi przykro. Przepraszam — mówię.

— Nie, to ja przepraszam. Że jakoś cię nie ostrzegłem — odpowiada.

Nagle w mojej głowie pojawia się wspomnienie. Jestem przykuta do łóżka, szaleję z wściekłości i żalu po moim uratowaniu. Finnick próbuje pocieszyć mnie w sprawie Peety. „Szybko zorientują się, że nic nie wie. Nie zabiją go, jeśli uznają, że będą mogli wykorzystać go przeciwko tobie.”

— Ostrzegłeś mnie. W poduszku. Ale kiedy powiedziałeś, że wykorzystają Peetę przeciwko mnie, myślałam, że masz na myśli przynętę. By zwabić mnie jakoś do Kapitolu — mówię.

— Nie powinienem był mówić nawet tego. Było już za późno, by mogło ci to jakoś pomóc. Skoro nie ostrzegłem cię przed Ćwierćwieczem Poskromienia, powinienem zachować dla siebie to, jak Snow działa. — Finnick pociąga za koniec swojej liny i skomplikowany węzeł znowu staje się prostym kawałkiem sznurka. — Ja po prostu jeszcze tego nie rozumiałem, kiedy cię poznałem. Po pierwszych Igrzyskach myślałem, że cały ten romans to tylko gra z twojej strony. Wszyscy spodziewaliśmy się, że będziesz kontynuować tę strategię. I dopiero kiedy Peeta wpadł na pole siłowe i prawie umarł, zdałem sobie sprawę, że... — Finnick przerywa z wahaniem.

Wracam myślami do areny. Jak zaczęłam szlochać, kiedy Finnick ożywił Peetę. Zagadkowy wyraz twarzy Finnicka. Jak usprawiedliwił moje zachowanie, zrzucając winę na udawaną ciążę.

— Z czego zdałeś sobie sprawę?

— Z tego, że źle cię oceniłem. Że naprawdę go kochasz. Nie chcę ci sugerować w jaki sposób. Może sama siebie dobrze nie znasz. Ale każdy uważny obserwator dostrzegły, jak bardzo ci na nim zależy — mówi Finnick łagodnie.

Każdy? Kiedy Snow złożył mi wizytę przed Tournée Zwycięzców, kazał mi wymazać wszelkie wątpliwości co do mojej miłości do Peety. „Przekonaj mnie”, powiedział. Wygląda na to, że pod tym gorącym różowym niebem, kiedy życie Peety było w zawieszeniu, w końcu mi się to udało. A to dało Snowowi do ręki broń, której potrzebował, by mnie złamać.

Przez dłuższy czas siedzimy z Finnickiem w milczeniu, obserwując pojawiające się i znikające na linie węzły, zanim udaje mi się spytać:

— Jak sobie z tym radzisz?

Finnick patrzy na mnie z niedowierzaniem.

— Nie radzę sobie, Katniss! Oczywiście, że nie! Codziennie rano budzę się z koszmarów, tylko po to, by nie doświadczyć żadnej ulgi po przebudzeniu. — Coś w wyrazie mojej twarzy sprawia, że milknie. — Lepiej się jednak nie poddawać. Dziesięć razy trudniej ponownie dojść do siebie niż rozpaść się na kawałki.

Cóż, on musi to wiedzieć. Biorę głęboki oddech, zmuszając się do pozostania w jednym kawałku.

— Im bardziej możesz zająć myśli czymś innym, tym lepiej — mówi. — Pierwszą rzeczą, którą zrobimy jutro rano, będzie zorganizowanie ci własnej liny. Na razie weź moją.

Resztę nocy spędzam na materacu, obsesyjnie wiążąc węzły i pokazując je Jaskrowi, by ocenił ich jakość. Jeśli któryś wygląda podejrzanie, przywłaszcza go sobie i gryzie kilka razy, by upewnić się, że jest martwy. Rano mam obolałe palce, ale wciąż się trzymam.

Po dwudziestu czterech godzinach ciszy w eterze, Coin wreszcie oznajmia, że możemy opuścić bunkier. Nasze stare kwatery zostały zniszczone przez bombardowanie. Wszyscy muszą podążać za dokładnymi instrukcjami, by dotrzeć do nowych oddziałów. Sprzątamy nasze przestrzenie, jak nam polecono, i ustawiamy się posłusznie w kolejce do drzwi.

Mniej więcej w połowie drogi pojawia się Boggs i wyciąga mnie z szeregu. Daje znaki Gale'owi i Finnickowi, by do nas dołączyli. Ludzie rozstępują się, by nas przepuścić. Niektórzy nawet się do mnie uśmiechają, zdaje się więc, że gra w Szalonego Kota nieco ociepliła mój wizerunek. Wychodzimy za drzwi, wspinamy się po schodach, idziemy korytarzem do jednej z wielokierunkowych wind i w końcu docieramy do Obrony Specjalnej. Nic na naszej drodze tutaj nie zostało zniszczone, ale wciąż jesteśmy bardzo głęboko.

Boggs wprowadza nas do sali praktycznie identycznej co Centrum Dowodzenia. Coin, Plutarch, Haymitch, Cressida i wszyscy inni wokół stołu wyglądają na wycieńczonych. Ktoś wreszcie przyniósł kawę — choć jestem pewna, że jest uważana za środek pobudzający w sytuacji krytycznej — i Plutarch ciasno oplata swój kubek obiema dłońmi, jakby w każdej chwili ktoś mógł mu go zabrać.

Nie ma czasu na pogawędkę.

— Potrzebujemy całą waszą czwórkę w kostiumach i na powierzchni — mówi pani prezydent. — Macie dwie godziny na nagranie materiału ukazującego szkody po bombardowaniu, udowodnienie, że jednostki wojskowe Trzynastki nie tylko nie ucierpiały, ale mają przewagę nad kapitołińskimi oraz, co najważniejsze, że Kosogłos wciąż żyje. Pytania?

— Dostaniemy kawę? — pyta Finnick.

Przekazano nam parujące kubki. Gapię się niechętnie na błyszczący czarny płyn — nigdy nie byłam jego fanką — myśląc, że może pomógłby mi ustać na nogach. Finnick wlewa mi do kubka nieco śmietany i sięga do miski z cukrem.

— Masz ochotę na cukier? — pyta mnie swoim starym uwodzicielskim głosem.

Tak się poznaliśmy, kiedy zaoferował mi cukier. Otoczeni końmi i powozami, wystrojeni i wymalowani ku uciechu tłumów, zanim zawarliśmy sojusz. Zanim dowiedziałam się, co nim kieruje. To wspomnienie wymusza na mnie uśmiech.

— Masz, to poprawia smak — mówi swoim prawdziwym głosem i wrzuca trzy kostki do mojego kubka.

Kiedy odwracam się, by iść się przebrać w kostium Kosogłosa, dostrzegam, że Gale obserwuje mnie i Finnicka ze smutkiem. Co tym razem? Czy naprawdę myśli, że coś jest między nami? Może widział jak idę w nocy do Finnicka. Przechodziłam obok przestrzeni Hawthorne'ów, by tam dotrzeć. To pewnie skierowało jego myśli w złym kierunku. Szukałam towarzystwa Finnicka, a nie jego. Cóż, trudno. Mam odparzenia po

linie na palcach, ledwo mogę utrzymać powieki w górze, a ekipa telewizyjna czeka aż zrobię coś olśniewającego. A Snow ma Peetę. Gale może sobie myśleć co tylko chce.

W nowej Sali Przeróbek w Obronie Specjalnej moja ekipa przygotowawcza wciska mnie w kostium Kosogłosa, układa włosy i nakłada niewielką warstwę makijażu zanim moja kawa zdążyła wystygnać. Po upływie dziesięciu minut aktorzy i ekipa odbywają zawiłą wędrówkę na powierzchnię. Popijam swoją kawę podczas naszej wycieczki i odkrywam, że śmietana i cukier znacznie poprawiają jej smak. Kiedy na dnie filiżanki zostaje już tylko osad, czuję delikatne pobudzenie przebiegające przez moje żyły.

Po wspięciu się na ostatnią drabinę, Boggs pociąga za dźwignię, która otwiera klapę w ziemi nad nami. Do środka wpada świeże powietrze. Wdycham je głęboko i po raz pierwszy pozwalam sobie poczuć jak bardzo nienawidziłam bunkra. Wydostajemy się na powierzchnię w lesie. Dotykam dłońmi liści nad głową. Niektóre dopiero zaczynają zmieniać kolor.

— Jaki dziś dzień? — rzucam pytanie, nie kierując go do nikogo konkretnego. Boggs mówi mi, że w przyszłym tygodniu zacznie się wrzesień.

Wrzesień. To oznacza, że Snow miał Peetę w swoich rękach przez pięć, może sześć tygodni. Przyglądam się liściowi na mojej dłoni i zauważam, że się trzęsę. Nie mogę się zmusić, by przestać. Obwiniam kawę i usiłuję skupić się na spowolnieniu oddechu, który jest zdecydowanie zbyt szybki jak na tempo mojego marszu.

Gruz zaczyna zaśmieczać leśną ściółkę. Idziemy do pierwszego krateru, szerokiego na trzydzieści metrów i nie potrafię powiedzieć jak głębokiego. Bardzo. Boggs mówi, że wszyscy na pierwszych dziesięciu poziomach prawdopodobnie by zginęli. Okrążamy dziurę i idziemy dalej.

— Możecie to odbudować? — pyta Gale.

— Nie w najbliższym czasie. Ten nie uszkodził wiele. Jedynie kilka awaryjnych generatorów i fermę drobiu — mówi Boggs. — Po prostu go ogrodzimy.

Drzewa znikają, kiedy wchodzimy w obszar za ogrodzeniem. Kratery otoczone są mieszaniną starych i nowych gruzów. Przed bombardowaniem bardzo niewiele obecnej Trzynastki znajdowało się nad ziemią. Kilka wartowni. Obszar treningowy. Jakieś trzydzieści centymetrów najwyższego piętra naszego budynku — z uchylonym oknem dla Jaskra — pokryte grubą warstwą stali. Nawet to nie zostało zaprojektowane tak, by przetrzymać silniejszy atak.

— Jak dużą przewagę dało wam ostrzeżenie chłopaka? — pyta Haymitch.

— Jakieś dziesięć minut zanim nasz własny system wykryłby pociski — odpowiada Boggs.

— Ale pomógł, prawda? — pytam. Nie zniósłabym, gdyby powiedział, że nie.

— Oczywiście — odpowiada Boggs. — Ewakuacja cywili została całkowicie ukończona. Kiedy następuje atak, liczy się każda sekunda. Dziesięć minut oznacza ocalone życie.

Prim, myślę. I Gale. Dotarli do bunkra zaledwie na kilka minut przed uderzeniem pierwszego pocisku. Być może Peeta ich uratował. Dodaję ich imiona do listy rzeczy, za które nigdy nie będę w stanie mu się odwdziaczyć.

Cressida wpada na pomysł nakręcenia mnie przed ruinami dawnego Pałacu Sprawiedliwości, co jest pewnego rodzaju żartem z Kapitolu, który przez lata używał go jako tła dla swoich fałszywych transmisji, by pokazać, że dystrykt już nie istnieje. Teraz, po ostatnim ataku, Pałac Sprawiedliwości znajduje się jakieś dziesięć metrów od brzegu nowego krateru.

Kiedy zbliżamy się do czegoś, co kiedyś było głównym wejściem, Gale wskazuje na coś i wszyscy zwalnimy. Początkowo nie wiem w czym leży problem, ale nagle dostrzegam, że ziemia usłana jest świeżymi różowymi i czerwonymi różami.

— Nie ruszajcie ich! — wrzeszczę. — Są dla mnie!

Mdląco słodki zapach uderza mnie w nos i moje serce zaczyna walić jak oszalałe w mojej klatce piersiowej. Więc nie wyobraziłam sobie jej. Róży na mojej szafce. Przede mną leży druga przesyłka od Snowa. Różowe i czerwone cudeńka o długich łodygach, te same kwiaty, którymi przystrojony był plan, na którym Peeta i ja udzieliliśmy wywiadu po naszym zwycięstwie w Igrzyskach. Kwiaty nie przeznaczone dla jednego, ale dla obojga kochanków.

Tłumaczę to innym najlepiej jak potrafię. Po zbadaniu wydają się nieszkodliwymi, genetycznie zmodyfikowanymi, kwiatami. Dwa tuziny róż. Delikatnie zwiędniętych. Najprawdopodobniej zrzuconych po ostatnim bombardowaniu. Zespół w specjalnych kombinezonach zbiera je i wynosi. Jestem pewna, że nie znajdą w nich niczego nadzwyczajnego. Snow dobrze wie co robi. To jak bicie Cinny do nieprzytomności, kiedy byłam unieruchomiona w mojej kapsule trybuta. Przeznaczone po to, by wytrącić mnie z równowagi.

Jak wtedy, próbuję się pozbierać i walczyć. Ale kiedy Cressida ustawia Castora i Polluxa na miejscu, czuję jak mój niepokój rośnie. Jestem zmęczona, pobudzona i zupełnie niezdolna do myślenia o czymkolwiek innym jak tylko o Peecie od czasu, kiedy zobaczyłam róże. Kawa była ogromnym błędem. Ostatnim czego potrzebowałam było pobudzenie. Moje ciało widocznie się trzęsie i nie potrafię złapać oddechu. Po spędzeniu kilku dni w bunkrze, mrużę oczy w którąkolwiek stronę się nie obrócę, a światło boli. Nawet przy lekkim wietrze pot spływa mi po twarzy.

— Więc, jeszcze raz, czego dokładnie ode mnie chcecie? — pytam.

— Jedynie kilka szybkich zdań, które pokażą, że żyjesz i wciąż walczysz — odpowiada Cressida.

— W porządku. — Zajmuję pozycję i wpatruję się w czerwone światelko. Wpatruję się. Wpatruję się. — Przepraszam, nie potrafię.

Cressida podchodzi do mnie.

— Dobrze się czujesz? — Przytakuję. Wyjmuje z kieszeni małą chustkę i osusza mi twarz. — Może spróbujemy z P-i-O?

— Tak. To mogłoby pomóc, tak myślę. — Krzyżuję ramiona, by ukryć drżenie. Rzucam okiem na Finnicka, który unosi kciuki. Ale sam też wygląda na roztrzęsionego.

Cressida wraca na swoje miejsce.

— Więc, Katniss. Przetrwałaś bombardowanie Trzynastki przez Kapitol. Jak byś to porównała z doświadczeniami z Ósemki?

— Tym razem byliśmy głęboko pod ziemią, nie było realnego zagrożenia. Trzynastka ma się dobrze, tak samo jak... — Mój głos urywa się i zmienia w suchy, piskliwy odgłos.

— Spróbuj jeszcze raz — mówi Cressida. — Trzynastka ma się dobrze, tak samo jak ja.

Biorę głęboki oddech, próbując przepchnąć powietrze do przepony.

— Trzynastka ma się dobrze, tak samo...

Nie, źle.

Przysięgłabym, że wciąż czuję zapach tamtych róż.

— Katniss, tylko to jedno zdanie i koniec na dzisiaj. Obiecuję — mówi Cressida. — Trzynastka ma się dobrze, tak samo jak ja.

Macham ramionami, by się jakoś rozluźnić. Opieram pięści na biodrach. I opuszczam swobodnie po bokach. Ślina wypełnia moje usta w niedorzecznej ilości i czuję wymiociny z tyłu gardła. Przełykam ciężko i otwieram usta, by wydobyć z siebie to głupie zdanie i schować się w lesie, i... i wtedy zaczynam płakać.

Nie potrafię być Kosogłosem. Nie mogę nawet dokończyć tego jednego zdania. Bo teraz już wiem, że za każde moje słowo odpokutuje Peeta. Będą go przez nie torturować. Ale nie zabiją go, nie, nic tak miłościwego. Snow zagwarantuje, że jego życie stanie się dużo gorsze niż śmierć.

— Cięcie — mówi cicho Cressida.

— Co jej jest? — pyta Plutarch pod nosem.

— Domyśliła się jak Snow wykorzystuje Peetę — mówi Finnick.

Słyszę coś jak zbiorowe westchnienie współczucia od strony półkola stojących przede mną ludzi. Bo teraz już wiem. Bo nigdy już nie będę mogła wymazać tego z pamięci. Bo, pomijając militarne szkody, jakie pociągnie za sobą utrata Kosogłosa, to mnie złamało.

Zostaję przytulona przez wiele ramion. Ale tak naprawdę jedyną osobą, od której oczekuję pocieszenia, jest Haymitch, bo on też kocha Peetę. Podchodzę do niego i

wypowiadał coś na kształt jego imienia, a on jest przy mnie, obejmuje mnie i klepie po plecach.

— Już dobrze. Będzie dobrze, kochanie.

Usadza mnie na długim ułamanym marmurowym słupie i obejmuje mnie, kiedy szlocham.

— Nie mogę tego dłużej ciągnąć — mówię.

— Wiem — odpowiada.

— Potrafię tylko myśleć o tym... co robi Peecie... bo jestem Kosogłosem! — wyrzucam z siebie.

— Wiem. — Ramiona Haymitcha zaciskają się mocniej wokół mnie

— Widziałeś? Jak dziwnie się zachowywał? Co oni mu... robią? — Ledwo mogę złapać oddech, ale udaje mi się jeszcze powiedzieć: — To moja wina! — I wtedy przechodzę w stan hysterii. Jakaś igła wbija się w moje ramię i cały świat znika.

Cokolwiek mi wstrzyknęli, musiało być silne, bo mija cały dzień zanim się budzę. Nie miałam jednak spokojnych snów. Mam poczucie wyłonienia się ze świata ciemności, nawiedzonych miejsc, po których wędrowałam samotnie. Haymitch siedzi na krześle przy moim łóżku, blady, z nabiegłymi krwią oczami. Przypominam sobie o Peecie i znowu zaczynam drżeć.

Haymitch podchodzi do mnie i ściska moje ramię.

— Już w porządku. Spróbujemy wydostać Peetę.

— Co? — To nie ma sensu.

— Plutarch wysłała ekipę ratunkową. Ma ludzi wewnątrz. Myśli, że możemy odzyskać Peetę żywego — mówi.

— Dlaczego wcześniej tego nie zrobiliśmy? — pytam.

— Bo to kosztowne. Ale wszyscy się zgadzają, że to konieczne. To ta sama decyzja, którą podjęliśmy na arenie. Zrobimy wszystko, bylebyś tylko mogła dalej funkcjonować. Nie możemy sobie teraz pozwolić na utratę Kosogłosa. A ty nie możesz występować dopóki Snow może się odegrać na Peecie. — Haymitch podaje mi kubek. — Masz, wypij coś.

Powoli siadam i biorę łyk wody.

— Co masz na myśli, mówiąc, że to kosztowne?

Wzrusza ramionami.

— Szpierzy mogą zostać zdemaskowani. Ludzie mogą zginąć. Ale weź pod uwagę, że już i tak umierają powoli każdego dnia. I nie ratujemy tylko Peety; wydostaniemy też Annie dla Finnicka.

— Gdzie on jest? — pytam.

— Za tym parawanem, odsypia środek uspokajający. Stracił panowanie nad sobą zaraz po tym, jak ciebie odurzyliśmy — mówi Haymitch. Uśmiecham się delikatnie, czując

się nieco mniej słabo. — Taa, mamy z tego naprawdę niezły materiał filmowy. Wy dwoje po załamaniu nerwowym i Boggs organizujący misję ratunkową dla Peety. Puszczamy powtórki.

— Cóż, jeśli to Boggs stoi na czele, to duży plus — mówię.

— Och, on wszystkim dowodzi. Wybierali tylko ochotników, ale on udał, że nie zauważył mojej ręki wymachującej w powietrzu — mówi Haymitch. — Widzisz? Już wykazał się dobrym osądem.

Coś jest nie tak. Haymitch nieco za bardzo stara się mnie rozweselić. To nie w jego stylu.

— To kto jeszcze się zgłosił?

— Wydaje mi się, że razem było ich siedmioro — mówi wymijająco.

Czuję jak złe przeczucie kłuje mnie w dołku.

— Kto jeszcze, Haymitch? — naciskam.

Haymitch w końcu porzuca ten akt dobrej woli.

— Wiesz kto jeszcze, Katniss. Wiesz, kto pierwszy się zgłosił.

Oczywiście, że wiem.

Gale.

Dzisiaj mogę stracić ich obu.

Próbuję sobie wyobrazić świat, w którym głosy i Gale'a, i Peety byłyby uciszone. Ręce nieruchome. Oczy niezdolne do mrugania. Stoję nad ich ciałami, rzucając im ostatnie spojrzenie i wychodzę z pokoju, w którym leżą. Ale kiedy otwieram drzwi, by wrócić do świata, natrafiam jedynie na przeogromną pustkę. Wyblakłą szarą nicość, która jest wszystkim, co może mi przynieść przyszłość.

— Chcesz, żebym kazał im pozbawić cię przytomności dopóki nie będzie już po wszystkim? — pyta Haymitch.

On wcale nie żartuje. To człowiek, który spędził całe swoje dorosłe życie przykuty do dna butelki, próbując znieczulić się na zbrodnie Kapitolu. Szesnastoletni chłopak, który zwyciężył w drugim Ćwierćwieczu Poskromienia, musiał mieć wokół siebie ludzi, których kochał — rodzinę, przyjaciół, może ukochaną — do których miał nadzieję wrócić. Gdzie teraz są? Jak to się stało, że kiedy Peeta i ja zostaliśmy wepchnięci pod jego opiekę, w jego życiu nie było nikogo? Co Snow im zrobił?

— Nie — mówię. — Chcę się dostać do Kapitolu. Chcę być częścią misji ratunkowej.

— Już wyruszyli — odpowiada Haymitch.

— Jak dawno? Mogłabym ich dogonić. Mogłabym... — Co? Co mogłabym zrobić?

Haymitch potrząsa głową.

— To niemożliwe. Jesteś zbyt wartościowa i zbyt wrażliwa. Dyskutowaliśmy nad wysłaniem cię do innego dystryktu, by odwrócić uwagę Kapitolu od planowanej misji ratunkowej. Ale uznaliśmy, że nie dasz sobie rady.

— Proszę, Haymitch! — Błagam go teraz. — Muszę coś robić. Nie mogę tu po prostu siedzieć i czekać na wiadomość o ich śmierci. Musi być coś, co mogę zrobić!

— W porządku. Porozmawiam z Plutarchem. Zostań tu.

Nie potrafię. Kroki Haymitcha wciąż odbijają się echem w korytarzu na zewnątrz, kiedy przechodzę przez dzielącą mnie od sąsiedniego łóżka zasłonę i znajduję Finnica rozciągniętego na brzuchu z dłońmi okręconymi poszewką na poduszkę. Chociaż to tchórzliwe — a nawet okrutne — wyciągać go z ciemności, ze spokojnej krainy leków, do okrutnej rzeczywistości, robię to, bo nie potrafię sama się z tym zmierzyć.

Kiedy wyjaśniam mu obecną sytuację, jego początkowe poruszenie w tajemniczy sposób znika.

— Katniss, nie widzisz, że to o wszystkim zadecyduje? Wóz albo przewóz. Pod koniec dnia albo będą martwi, albo przy nas. To... to więcej niż mogliśmy sobie życzyć!

Cóż, to jest optymistyczne spojrzenie na tę sytuację. A jednak naprawdę jest coś kojącego w myśli, że te męczarnie wreszcie mogą się skończyć.

Zasłona odsuwa się i pojawia się Haymitch. Ma dla nas zadanie, jeżeli uda nam się pozbierać. Wciąż potrzebują materiału z Trzynastki po bombardowaniu.

— Jeśli uda nam się go nagrać w przeciągu kilku kolejnych godzin, Beetee mógłby go wyemitować z myślą o misji ratunkowej i może naprawdę udałoby się skierować uwagę Kapitolu w inną stronę.

— Tak, odwrócenie uwagi — mówi Finnick. — Coś jak pułapka.

— Potrzebujemy czegoś tak emocjonującego, by nawet prezydent Snow nie mógł się od tego oderwać. Macie coś takiego? — pyta Haymitch

Perspektywa udziału w czymś, co mogłoby pomóc misji, pomaga mi się skupić. Kiedy pochłaniam śniadanie i przygotowuję się, próbuję wymyślić co mogłabym powiedzieć. Prezydent Snow musi się zastanawiać jaki wpływ mają na mnie pochłapana krew podłoga i jego róże. Jeśli chce mnie widzieć w kawałkach, muszę się trzymać. Ale nie sądzę, bym mogła go o czymkolwiek przekonać wykrzykując parę wyzywających zdań w stronę kamery. Poza tym, to nie potrwa wystarczająco długo, by pomóc misji ratunkowej. Wybuchy są krótkie. To historie zabierają czas.

Nie wiem czy to podziła, ale kiedy cała ekipa telewizyjna zbiera się już na powierzchni, pytam Cressidę czy mogłaby rozpocząć wypytując mnie o Peetę. Siadam na powalonym marmurowym słupie, na którym się wcześniej załamałam, w oczekiwaniu na czerwoną lampkę i pytanie Cressidy.

— Jak poznałaś Peetę? — pyta mnie.

I wtedy robię coś, co Haymitch próbował na mnie wymóc od pierwszego wywiadu. Otwieram się.

— Kiedy poznałam Peetę, miałam jedenaście lat i niemal umierałam.

Opowiadałam o tym okropnym dniu, kiedy próbowałam sprzedawać dziecięce ubranka w deszczu, jak matka Peety wygoniła mnie przed drzwiami piekarni i jak dał się pobić, by przynieść mi bochenki chleba, które uratowały mi życie.

— Nigdy nawet nie zamieniliśmy ze sobą słowa. Pierwszy raz odezwałam się do Peety w pociągu wiozącym nas na Igrzyska Śmierci.

— Ale on był już wtedy w tobie zakochany — mówi Cressida.

— Tak myślę. — Pozwalam sobie na delikatny uśmiech.

— Jak sobie radzisz z rozdzieleniem? — pyta.

— Nie najlepiej. Wiem, że w każdej chwili Snow może go zabić. Szczególnie odkąd ostrzegł Trzynastkę przed bombardowaniem. Okropnie się z tym żyje — mówię. — Ale ze względu na to, przez co każą mu przechodzić, nie mam już żadnych zahamowań. Przed zrobieniem wszystkiego, byle tylko obalić Kapitol. Nareszcie jestem wolna. — Spoglądam w niebo i obserwuję lot jastrzębia. — Prezydent Snow przyznał kiedyś w mojej obecności, że Kapitol jest kruchy. W tamtej chwili nie wiedziałam co ma na myśli. Ciężko było wtedy o trzeźwe myślenie, bo w końcu byłam przerażona. Teraz nie jestem. Kapitol jest kruchy,

bo źródła jego potęgi pochodzą z dystryktów. Jedzenie, energia, nawet Strażnicy Pokoju, którzy pilnują porządku. Jeśli ogłosimy naszą wolność, Kapitol się zawali. Prezydencie Snow, dzięki tobie oficjalnie ogłaszam dzisiaj swoją.

Spisałam się dobrze, jeśli nie wspaniale. Wszyscy pokochali opowieść o chlebie. Ale to moja wiadomość do prezydenta Snowa porusza sprężynki w mózgu Plutarcha. Pospiesznie przywołuje do siebie Finnicka i Haymitcha i przeprowadzają krótką, ale burzliwą rozmowę, z której Haymitch jest widocznie niezadowolony. Plutarch wydaje się zwyciężać — Finnick jest blady, ale przytakuje pod koniec.

Kiedy Finnick idzie zająć moje miejsce przed kamerą, Haymitch mówi mu:

— Nie musisz tego robić.

— Owszem, muszę. Jeśli to jej pomoże. — Finnick zwija w kulkę swoją linę i zaciska ją w dłoni. — Jestem gotów.

Nie wiem czego się spodziewać. Historii miłosnej z udziałem jego i Annie? Wyliczenia nadużyć w Czwartym Dystrykcie? Ale Finnick Odair obiera zupełnie inną strategię.

— Prezydent Snow... sprzedawał mnie... to znaczy moje ciało — zaczyna Finnick płaskim, dalekim głosem. — Nie byłem jedyny. Jeśli zwycięzcę uważa się za pożądanego, prezydent oddaje go jako nagrodę albo pozwala kupić go po wygórowanej cenie. Jeśli odmówisz, zabija kogoś, kogo kochasz. Więc nie odmawiasz.

To wszystko tłumaczy. Paradę ukochanych Finnicka w Kapitolu. Nigdy nie były prawdziwymi ukochanymi. Jedynie ludźmi jak nasz stary Główny Strażnik Pokoju, Cray, który kupił sobie dwie zdesperowane dziewczyny, by pożreć je i wyrzucić, bo mógł to zrobić. Chcę przerwać nagrywanie i błagać Finnicka o przebaczenie za każdą mijającą się z prawdą myśl o nim. Ale mamy robotę do zrobienia i czuję, że występ Finnicka będzie dużo bardziej efektywny niż mój.

— Nie byłem jedyny, ale byłem najbardziej popularny — mówi. — I być może najbardziej bezbronny, bo ludzie, których kochałem, byli tacy bezbronni. By poczuć się nieco lepiej, moi patroni robili mi prezenty w postaci pieniędzy albo biżuterii, ale znalazłem dużo bardziej wartościową formę zapłaty.

Tajemnice, myślę. Finnick powiedział mi, że właśnie tym płacą mu kochanki, tylko że wtedy uważałam to za jego własny wybór.

— Tajemnice — mówi, powtarzając za moimi myślami. — Tego właśnie na pewno zechcesz posłuchać, Snow, bo tak wiele z nich dotyczyło ciebie. Ale zacznijmy od tych, dotyczących innych.

Finnick zaczyna tkąć gobelin tak bogaty w szczegóły, że nie można wątpić w jego autentyczność. Opowieści o dziwnych seksualnych upodobaniach, zdradach, bezgranicznej chciwości i krwawych intrygach. Tajemnice wyszeptane po pijanemu nad wilgotnymi poduszkami w ciemnościach nocy. Finnick był kimś, kogo się kupowało i

sprzedawało. Niewolnikiem z dystryktu. Przystojnym, oczywiście, ale w rzeczywistości nieszkodliwym. Komu mógłby powiedzieć? I kto by mu uwierzył, gdyby to zrobił? Jednak niektóre tajemnice są zbyt smakowite, by się nimi nie podzielić. Nie znam ludzi, których wymienia Finnick — wszyscy wydają się być znaczącymi obywatelami Kapitolu — ale wiem, na podstawie paplanin mojej ekipy przygotowawczej, jaką uwagę może przyciągnąć najmniejsze potknięcie. Jeśli złe ścięcie włosów może być tematem godzin plotek, do czego doprowadzą oskarżenia o kazirodztwo, wbijanie noży w plecy, szantaż i podpalenie. Nawet jeśli fale szoku i wzajemnych oskarżeń przetoczą się nad Kapitołem, ludzie będą czekać, jak ja teraz, by usłyszeć tajemnice prezydenta.

— A teraz przejdźmy do naszego kochanego prezydenta Coriolanusa Snowa — mówi Finnick. — Był takim młodym człowiekiem, kiedy doszedł do władzy. Na tyle sprytnym, by ją utrzymać. Jak, musicie się zastanawiać, mu się to udało? Jedno słowo. To wszystko co potrzebujecie wiedzieć. Trucizna.

Finnick cofa się do czasów, w których Snow wspinał się po szczeblach kariery politycznej, o czym nie wiem nic, i przedziera się do teraźniejszości, wyjawiając ofiarę za ofiarą tajemniczych śmierci przeciwników Snowa albo, jeszcze gorzej, jego sojuszników, którzy stanowili potencjalne zagrożenie na przyszłość. Ludzie umierający niespodziewanie na bankietach albo miesiącami powoli, niewytłumaczalnie zapadający się w mrok. Obwiniano nieświeże skorupiaki, nieuchwytne wirusy albo przeoczoną słabość aorty. Snow pił z zatrutych kubków, by uniknąć podejrzeń. Ale antidota nie zawsze działają. Mówią, że dlatego nosi róże śmierdzące perfumami. Mówią, że ma przytłumić woń krwi z ust pełnych ran, które nigdy się nie goją. Mówią, mówią, mówią... Snow ma listę i nikt nie wie kto będzie następny.

Trucizna. Idealna broń dla węża.

Jako że moje mniemanie o Kapitolu i jego szlachetnym prezydencie już jest bardzo niskie, nie mogę powiedzieć, by zarzuty stawiane przez Finnicka mnie szokowały. Wydają się wywierać większe wrażenie na wydartych z Kapitolu rebeliantach, jak moja ekipa i Fulvia — nawet Plutarcha udaje się czasami zaskoczyć. Być może zastanawia się jak taka smakowita plotka mogła przejść mu koło nosa. Kiedy Finnick kończy, kamery wciąż go nagrywają aż to on zostaje zmuszony do powiedzenia „cięcie”.

Ekipa spieszy do środka, by zmontować materiał, a Plutarch wyciąga Finnicka na pogawędkę. Prawdopodobnie chce sprawdzić, czy nie ma w zanadrzu jeszcze jakichś historii. Zostaję z Haymitchem na gruzach, zastanawiając się, czy przeznaczenie Finnicka byłoby pewnego dnia również moim. Dlaczego nie? Snow mógłby dostać naprawdę dobrą cenę za dziewczynę igrającą z ogniem.

— Czy to przydarzyło się też tobie? — pytam Haymitcha.

— Nie. Moja mama i młodszy brat. Dziewczyna. Wszyscy byli martwi w przeciągu dwóch tygodni od mojej zwycięskiej koronacji. Przez tę głupią sztuczkę z polem siłowym — odpowiada. — Snowowi nie został nikt, kogo mógłby użyć przeciwko mnie.

— Dziwi mnie, że po prostu cię nie zabił — mówię.

— Och, nie. Służyłem za wzór. Punkt odniesienia dla młodych Finnicków, Johann i Cashmire. Przykład tego, co może się stać ze zwycięzcą, który spowoduje problemy — mówi Haymitch. — Ale wiedział, że nie ma na mnie żadnego wpływu.

— Dopóki nie pojawiliśmy się Peeta i ja — mówię delikatnie. Nawet nie wzrusza ramionami w odpowiedzi.

Po skończonej pracy nie zostało mnie i Finnickowi już nic poza czekaniem. Próbuje jakoś wypełnić czas w Obronie Specjalnej. Wiążąc węzły. Rozpychając obiad po całej misce. Wysadzając cele na poligonie. W związku z ryzykiem wykrycia, nie ma żadnych wiadomości od członków misji ratunkowej. O piętnastej, wyznaczonej godzinie, stoimy w napięciu i ciszy na tyłach sali pełnej monitorów i komputerów i obserwujemy jak Beetee wraz z ekipą próbuje zapanować nad czasem antenowym. Jego zwykle niespokojne rozkojarzenie zastąpione jest determinacją, której nigdy u niego nie widziałam. Większość mojego wywiadu zostaje wycięta, pozostawiając jedynie tyle, by pokazać, że wciąż jestem żywa i zbuntowana. To lubieżne i krwawe sprawozdanie Finnicka o mieszkańcach Kapitolu staje się hitem dnia. Czy umiejętności Beetee'ego rosną? Czy to jego przeciwnicy w Kapitolu są nieco zbyt zafascynowani, by uciszyć Finnicka? Przez następne sześćdziesiąt minut gadka Kapitolu pojawia się naprzemiennie ze standardowym popołudniowym programem, Finnickiem i próbami całkowitego przerwania transmisji. Jednak ekipie technologicznej rebeliantów udaje się obejść nawet to ostatnie i, po mistrzowsku, utrzymać kontrolę podczas trwania niemal całego ataku na Snowa.

— Zostawcie! — mówi Beetee, wyrzucając ręce w górę, rezygnując z dalszych prób wdarcia się do sieci Kapitolu. Wyciera twarz chusteczką. — Jeżeli jeszcze się stamtąd nie wydostali, to wszyscy są martwi. — Obraca się na krześle, by zobaczyć reakcję moją i Finnicka na jego słowa. — Mimo wszystko, to był dobry plan. Czy Plutarch wam go pokazał?

Oczywiście, że nie. Beetee zabiera nas do innego pomieszczenia i pokazuje nam jak członkowie misji z pomocą rebeliantów wewnątrz spróbują — spróbowali — uwolnić zwycięzców z podziemnego więzienia. Wydaje się, że wmieszany w to został gaz usypiający rozprzestrzeniony po systemie wentylacyjnym, odcięcie zasilania, zdetonowanie bomby w budynku rządowym kilka kilometrów od więzienia, a teraz wywołanie zamieszania transmisją. Beetee cieszy się, że uważamy plan za trudny do zrozumienia, bo za taki uznają go także nasi wrogowie.

— Jak twoja elektryczna pułapka na arenie? — pytam.

— Dokładnie. I spójrz jak się wszystko udało — mówi Beetee.

Cóż... nie bardzo, myślę.

Próbujemy z Finnickiem pozostać w Centrum Dowodzenia, dokąd na pewno nadejdą pierwsze wiadomości o misji ratunkowej, ale zostajemy wyrzuceni za drzwi z powodu jakiejś ważnej wojennej sprawy. Odmawiamy opuszczenia Obrony Specjalnej i w końcu kończymy czekając na wieści w sali z kolibrami.

Wiążemy supły. Wiążemy supły. Bez słowa. Wiążemy supły. Tik-tak. To zegar. Nie myśl o Gale'u. Nie myśl o Peecie. Wiążemy węzły. Nie chcemy kolacji. Pokaleczone i krwawiące palce. Finnick w końcu daje za wygraną i przyjmuje zgarbioną pozycję, którą przyjął także na arenie podczas ataku głoskówek. Ja poprawiam swoją miniaturową pętlę. Słowa „Wisielczego Drzewa” odtwarzają się w mojej głowie. Gale i Peeta. Peeta i Gale.

— Od razu zakochałeś się w Annie, Finnick?

— Nie. — Długi czas upływa zanim dodaje: — Powoli się ku mnie zakradła.

Przeszukuję swoje serce, ale w tej chwili jedyną osobą, którą czuję, jak się ku mnie skrada, jest Snow.

Musi być już północ, musi być już jutro, kiedy Haymitch otwiera drzwi.

— Wrócili. Mamy się udać do szpitala. — Moje usta otwierają się, by zadać potok pytań, które on ucina. — Tylko tyle wiem.

Chcę biec, ale Finnick zachowuje się tak dziwacznie, jakby stracił zdolność poruszania się, więc chwytam jego dłoń i prowadzę go jak małe dziecko. Przez Obronę Specjalną, do windy, która jeździ w tę i we w tę, i do szpitalnego skrzydła. Panuje w nim zamieszanie. Lekarze wykrzykują polecenia, a ranni zostają zawożeni na wózkach w kierunku łóżek.

Zostajemy potrąceni przez nosze niosące nieprzytomną, wychudzoną młodą kobietę z ogoloną głową. Jej ciało pokryte jest siniakami i ropiejącymi strupami. Johanna Mason. Która rzeczywiście знаła tajemnice rebelii. Przynajmniej tę o mnie. I tak właśnie za to zapłaciła.

Na progu dostrzegam Gale'a, rozebranego do pasa, z potem spływającym mu po twarzy, kiedy lekarz wyciąga coś spod jego łopatki długą pęsetą. Ranny, ale żywy. Wołam go po imieniu i idę w jego stronę dopóki pielęgniarka nie odpycha mnie z krzykiem.

— Finnick! — Coś pomiędzy piskiem i okrzykiem radości. Śliczna, chociaż nieco zaniedbana młoda kobieta — poplątane czarne włosy, morskie oczy — biegnie w naszą stronę owinięta w prześcieradło. — Finnick!

I nagle tak jakby na świecie nie było nikogo poza tą dwójką, przedzierającą się przez przestrzeń, by do siebie dotrzeć. Zderzają się, obejmują, tracą równowagę i wpadają na ścianę, gdzie już zostają. Szczepiając się w jedność. Nierozdzielni.

Czuję ukłucie zazdrości. Nie o Finnicka czy Annie, ale o ich pewność. Nikt, kto ich widział, nie mógłby nie uwierzyć w ich miłość.

Boggs w poszarpanym ubraniu, ale nie ranny, odszukuje Haymitcha i mnie.

— Wszystkich stamtąd wyciągnęliśmy. Poza Enobarią. Ale skoro ona jest z Dwójki, wątpimy, że w ogóle jest więziona. Peeta jest na końcu sali. Skutki gazu właśnie ustępują. Powinnaś tam być, kiedy się obudzi.

Peeta.

Żywy i zdrowy — może nie zdrowy, ale żyje i jest tutaj. Z dala od Snowa. Bezpieczny. Tutaj. Ze mną. Za chwilę będę mogła go dotknąć. Zobaczyć jego uśmiech. Usłyszeć śmiech.

Haymitch szczyrzy się do mnie.

— No idź — mówi.

Mam lekkie zawroty głowy. Co powiem? Och, kogo obchodzi co powiem? Peeta będzie zachwycony, nieważne co zrobię. Prawdopodobnie i tak będzie mnie całował. Zastanawiam się czy będę się czuła tak, jak podczas tamtych ostatnich pocałunków na plaży na arenie, o których do tej pory nie śmiałam nawet myśleć.

Peeta już nie śpi; siedzi na skraju łóżka, wyglądając na oszołomionego, podczas gdy trio lekarzy uspokaja go, świeci mu po oczach latarką i sprawdza puls. Jestem rozczarowana, że to nie mnie ujrzał jako pierwszą po przebudzeniu, ale teraz już widzi. Jego twarz odzwierciedla niedowierzanie i coś silniejszego, czego nie potrafię do końca określić. Pożądanie? Desperację? Pewnie oba, jako że odsuwa od siebie lekarzy, zrywa się na nogi i rusza w moją stronę. Biegnę mu na spotkanie z ramionami wyciągniętymi, by go objąć. Jego ręce także sięgają w moją stronę, zapewne by pogłodzić moją twarz.

Moje usta zaczynają już wymawiać jego imię, kiedy jego palce zaciskają się na moim gardle.

Chłodny kołnierz drażni moją szyję i sprawia, że jeszcze trudniej jest mi kontrolować drżenie. Przynajmniej wyciągnęli mnie już z tej klaustrofobicznej tuby z mechanizmami trzaskającymi i warkoczającymi dookoła mnie, z mechanicznym głosem każącym mi się nie ruszać, gdy usiłowałam samą siebie przekonać, że wciąż oddycham. Nawet teraz, kiedy zapewniono mnie, że nie będzie żadnego trwałego urazu, łaknę powietrza.

Główne obawy ekipy medycznej — uraz rdzenia kręgowego, układu oddechowego, żył i tętnic — okazały się bezpodstawne. Zasinieniem, ochrypłym głosem, obolałą krtanią i tym dziwnym kaszlem nie powinnam się martwić. Wydobrzeję. Kosogłos nie straci głosu. Gdzie, pytam, lekarz, który określi, czy nie tracę zmysłów? Tyle że nie wolno mi teraz nic mówić. Nie mogę nawet podziękować Boggsowi, kiedy wpada z wizytą. Sprawdza jak się czuję i mówi mi, że widział dużo gorsze rany u żołnierzy ćwiczących duszące chwytty na szkoleniu.

To Boggs powalił Peetę jednym uderzeniem zanim doznałam jakiegokolwiek trwałego urazu. Wiem, że Haymitch przyszedłby mi z pomocą, gdyby nie był całkowicie nieprzygotowany. Zaskoczenie jednocześnie Haymitcha i mnie zdarza się niezmiernie rzadko. Tak nas jednak zżerała chęć ocalenia Peety, tak dręczyła myśl, że jest w rękach Kapitolu, że radość z odzyskania go zaślepiła nas. Gdybym spotkała się z Peetą na osobności, zabiłby mnie. Teraz, kiedy jest szalony.

Nie, nie szalony, przypominam sobie. Zawładnięty. Słyszałam jak to słowo padło w rozmowie Plutarcha z Haymitchem, kiedy przejechałam obok nich w korytarzu. Zawładnięty. Nie wiem co to znaczy.

Prim, która pojawiła się przy mnie kilka chwil po ataku i została tak blisko, jak to tylko możliwe, rozpościera nade mną kolejny koc.

— Myślę, że niedługo zdejmą ci kołnierz, Katniss. Nie będzie ci wtedy tak zimno.

Mama, która asystuje przy skomplikowanej operacji, wciąż nie została poinformowana o ataku Peety. Prim chwyta jedną z moich dłoni, zaciśniętą w pięść, i masuje ją dopóki krew znowu nie zaczyna przepływać przez moje palce. Kiedy zaczyna masaż drugiej pięści, pojawiają się lekarze, zdejmują kołnierz i dają mi coś na ból i opuchliznę. Leżę, jak mi polecono, trzymając głowę nieruchomo, nie pogarszając stanu obrażeń mojej szyi.

Plutarch, Haymitch i Beetee czekali na korytarzu, by lekarze pozwolili im się ze mną zobaczyć. Nie wiem, czy powiedzieli Gale'owi, ale skoro go tu nie ma, zakładam, że nie. Plutarch wyprowadza lekarzy i próbuje pozbyć się także Prim, ale ona mówi:

— Nie. Jeśli zmusicie mnie do wyjścia, pójdę prosto na salę operacyjną i opowiem mamie o wszystkim, co się stało. I ostrzegam, ona nie myśli za dobrze o Organizatorze Igrzysk, który igra z życiem Katniss. Szczególnie, że tak słabo się nią opiekuje.

Plutarch wygląda na obrażonego, ale Haymitch chichocze.

— Dałbym za wygraną, Plutarch — mówi. Prim zostaje.

— Cóż, Katniss, stan Peety wszystkich nas zaskoczył — mówi Plutarch. — Nie mogliśmy nie zauważyć pogorszenia jego stanu podczas dwóch ostatnich wywiadów. Był w wyraźny sposób maltretowany i temu właśnie przypisywaliśmy jego kondycję psychiczną. Teraz myślimy, że coś jeszcze miało miejsce. Że Kapitol poddał go raczej niekonwencjonalnej technice zwanej zawładnięciem. Beete?

— Przykro mi — zaczyna Beete — ale nie mogę ci podać wszystkich szczegółów, Katniss. Kapitol jest bardzo tajemniczy jeśli chodzi o tę formę tortur i myślę, że rezultaty są różne. To wiemy na pewno: jest to rodzaj warunkowania strachu. Termin „zawładnięcie” pochodzi od staro angielskiego słowa, które znaczy „schwytać” albo, nawet lepiej, „zagarnąć”. Wierzymy, że nazwa została wybrana, ponieważ ta technika obejmuje wykorzystanie jadu gończych os, a ten potrafi całkowicie zawładnąć twoim umysłem. Użądliły cię podczas twoich pierwszych Igrzysk Śmierci, więc, inaczej niż większość z nas, masz informacje z pierwszej ręki o efektach jadu.

Przerażenie. Halucynacje. Koszmarne wizje utraty ukochanych osób. Ponieważ jad celuje w część mózgu, która odpowiada za strach.

— Na pewno pamiętasz jakie to przerażające. Czy czułaś także w następstwie umysłowy zamęt? — pyta Beete. — Poczucie, że nie jesteś w stanie odróżnić co jest prawdą, a co kłamstwem? Większość ludzi, którzy przeżyli użądlenie, opowiada o czymś takim.

Tak. To spotkanie z Peetą. Nawet kiedy jad przestał już działać, nie byłam pewna czy uratował mi życie biorąc na siebie Cato, czy sobie to wyobraziłam.

— Przypominanie sobie staje się trudniejsze, ponieważ wspomnienia mogą się zmienić. — Beete puka się w czoło. — Przywołane do płata czołowego, zmienione i zapisane w innej formie. Teraz wyobraź sobie, że sprawiam, byś sobie coś przypomniała — albo przez słowną sugestię, albo zmuszając cię do obejrzenia tego na taśmie — a kiedy to doświadczenie zostaje odtworzone, wstrzykuję ci dawkę jadu gończych os. Nie tyle, by spowodować trzydniową utratę przytomności. Jednak wystarczająco dużo, by wypełnić wspomnienie strachem i wątpliwościami. I to twój mózg zachowuje w pamięci długotrwałej.

Zaczyna mi się robić niedobrze. Prim zadaje pytanie, o którym myślę.

— Czy to zrobili Peecie? Przywołali jego wspomnienia o Katniss i zniekształcili tak, by były przerażające?

Beete przytakuje.

— Tak przerażające, że mógłby ją postrzegać jako zagrożenie dla swojego życia. Że mógłby spróbować ją zabić. Tak, to nasza aktualna teoria.

Ukrywam twarz w ramionach, bo to się nie może dzieć. To niemożliwe. By ktoś sprawił, że Peeta zapomniał, że mnie kocha... nikt nie mógłby tego zrobić.

— Ale możecie to odwrócić, prawda? — pyta Prim.

— Hm... Mamy bardzo niewiele danych na ten temat — mówi Plutarch. — Prawdę mówiąc, żadnych. Jeżeli próbowano wcześniej rehabilitacji zawładniętych, to nie mamy dostępu do żadnych publikacji.

— Ale spróbujecie, prawda? — nie daje za wygraną Prim. — Nie zamkniecie go po prostu w jakimś pokoju ze ścianami wyłożonymi poduszkami i nie zostawicie go tam, by cierpieć?

— Oczywiście, że spróbujemy, Prim — mówi Beetee. — Nie wiemy tylko do jakiego stopnia nam się powiedzie. Jeżeli w ogóle. Wydaje mi się, że przerażające zdarzenia najtrudniej jest wykorzenić. W końcu właśnie takie pamiętamy najlepiej.

— Nie wiemy też przy czym jeszcze manipulowali oprócz wspomnień o Katniss — mówi Plutarch. — Zbieramy zespół lekarzy zajmujących się zdrowiem umysłowym i wojskowych fachowców, by ustalić strategię kontrataku. Osobiście uważam, że Peeta w pełni wydobrzeje.

— Naprawdę? — pyta uszczypliwie Prim. — A co ty o tym myślisz, Haymitch?

Delikatnie rozsuwam ramiona, by dojrzeć jego wyraz twarzy przez powstałą szczelinę. Jest znużony i zniechęcony, kiedy przyznaje:

— Myślę, że Peecie mogłoby się polepszyć. Ale... nie sądzę, by kiedykolwiek stał się znowu sobą.

Z powrotem zaciskam ramiona, zasłaniając szczelinę, odcinając ich wszystkich od siebie.

— Przynajmniej żyje — mówi Plutarch jakby tracił cierpliwość do większości z nas. — Snow zabił stylistkę Peety i jego ekipę przygotowawczą w programie na żywo dzisiejszego wieczoru. Nie mamy pojęcia co się stało z Effie Trinket. Peeta się zmienił, ale jest tutaj. Z nami. A to zdecydowane polepszenie jego sytuacji, jeśli porówna się ją z tą sprzed dwunastu godzin. Pamiętajmy o tym, dobrze?

Próba rozweselenia mnie podjęta przez Plutarcha — wzmocniona nowinami o kolejnych czterech, może pięciu morderstwach — odnosi odwrotny skutek. Portia. Ekipa przygotowawcza Peety. Effie. Wysilek, który wkładam w opanowanie łez, sprawia, że moje gardło zaczyna boleć, a ja znów walczę o powietrze. W końcu nie pozostaje im nic innego jak tylko podać mi środek uspokajający.

Kiedy się budzę, zastanawiam się czy tylko tak będę od teraz spać, z lekami wstrzykniętymi w moje ramię. Cieszę się, że nie wolno nic mówić przez kilka następnych dni, bo nie ma nic, co chciałabym powiedzieć. Albo zrobić. Jestem naprawdę modelowym

pacjentem; uważają moją apatię za opanowanie, posłuszeństwo wobec poleceń lekarzy. Już nie chce mi się płakać. Tak naprawdę potrafię trzymać się jedynie jednej prostej myśli: obrazu twarzy Snowa, któremu towarzyszy szept w mojej głowie. Zabiję cię.

Mama i Prim zmieniają się przy moim łóżku, namawiając mnie do przełykania kawałków lekkiego jedzenia. Ludzie wpadają od czasu do czasu, by powiadomić mnie o stanie Peety. Spore ilości jadu gończych os uchodzą z jego organizmu. Leczony jest jedynie przez nieznanym, rdzennych mieszkańców Trzynastki — nikt z domu lub z Kapitolu nie dostał pozwolenia, by się z nim zobaczyć — by zapobiec wybuchowi niebezpiecznych wspomnień. Ekipa specjalistów pracuje długimi godzinami nad strategią jego leczenia.

Gale nie może mnie odwiedzić, bo jest przykuty do łóżka ze względu na jakąś ranę ramienia. Jednak trzeciej nocy, kiedy dostałam już leki, a światła przygasły sygnalizując czas na sen, cichutko wkrada się do mojego pokoju. Nic nie mówi, jedynie przebiega palcami po zasinieniach na mojej szyi tak delikatnie, jakby to ćma muskała mnie swoimi skrzydłami, całuje mnie między oczami i znika.

Następnego ranka zostaję wypisana ze szpitala z nakazem ostrożnego poruszania się i mówienia tylko wtedy, gdy będzie to konieczne. Nie tatuują mi planu dnia, więc włóczę się bez celu aż w końcu Prim zostaje zwolniona ze swoich szpitalnych obowiązków, by zabrać mnie do naszego ostatniego oddziału. 2212. Identycznego jak ostatni, tyle że bez okna.

Jaskrowi zostały teraz przydzieloneienne porcje jedzenia i kuweta pod umywalką w łazience. Kiedy Prim pomaga mi się położyć, wskakuje na moją poduszkę, walcząc o jej uwagę. Ona kołysze go w ramionach, ale skupia się na mnie.

— Katniss, wiem, że cała ta sprawa z Peetą jest dla ciebie przerażająca. Ale pamiętaj, że Snow pracował nad nim tygodniami, a my mamy go tutaj jedynie od kilku dni. Jest szansa, że stary Peeta, ten, który cię kocha, wciąż jest gdzieś w środku. Próbuje do ciebie wrócić. Nie spisuj go na straty.

Patrzę na moją małą siostrę i myślę o tym, że odziedziczyła najlepsze cechy naszej rodziny: uzdrawiające ręce mamy, rozsądek taty i moją siłę. Jest w niej coś jeszcze, coś, co jest całkowicie jej. Zdolność patrzenia na pogmatwane życie i dostrzeganie rzeczy takimi, jakie są. Czy to możliwe, by miała rację? Czy Peeta mógłby do mnie wrócić?

— Muszę wracać do szpitala — mówi Prim, kładąc Jaskra na łóżku obok mnie. — Dotrzymajcie sobie towarzystwa, dobrze?

Jaskier zeskakuje z łóżka i podąża za nią do drzwi, głośno narzekając, kiedy zostawia go za sobą. Jesteśmy dla siebie nawzajem mniej więcej takim towarzystwem co kurz. Po upływie jakichś trzydziestu sekund wiem, że nie zniosę zamknięcia w podziemnej celi i zostawiam Jaskra jego własnym planom. Gubię się kilka razy, ale w

końcu udaje mi się dotrzeć do Obrony Specjalnej. Wszyscy, których mijam, gapią się na zasinienia i nie potrafię powstrzymać skrzepowania do tego stopnia, że naciagam kołnierz na uszy.

Gale również musiał zostać zwolniony ze szpitala dziś rano, bo znajduję go w jednej z sal badawczych z Beetee'em. Są pogrążeni w pracy, z głowami pochylonymi nad rysunkiem, odmierzając coś. Różne wersje rysunku zaśmiecają stół i podłogę. Inne projekty przypięte są do korkowych tablic na ścianie i wyświetlone na ekranach kilku komputerów. W nierównych kształtach jednego z nich rozpoznaję sidła Gale'a.

— Co robicie? — pytam chrapliwie, odwracając ich uwagę od kartki papieru.

— Ach, Katniss, nakryłaś nas — mówi wesoło Beetee.

— Co? Czy to tajemnica? — Wiem, że Gale dużo pracował tu na dole z Beetee'em, ale uznałam, że bawią się łukami i bronią.

— Nie bardzo. Ale i tak czuję się winny. W końcu tak często kradnę ci Gale'a — wyznaje Beetee.

Jako że przez większość czasu, który spędziłam w Trzynastce, byłam zdezorientowana, zmartwiona, zła, przerabiana albo hospitalizowana, nie mogę powiedzieć, że nieobecność Gale'a bardzo mi przeszkadzała. Między nami nie układało się też ostatnio najlepiej. Ale pozwalałam Beetee'emu myśleć, że ma u mnie dług.

— Mam nadzieję, że dobrze wykorzystywałeś jego czas.

— Chodź i zobacz — mówi, przywołując mnie ruchem dłoni do ekranu komputera.

Nad tym właśnie pracowali. Wykorzystywali fundamentalne pomysły Gale'a dotyczące pułapek do stworzenia broni przeciwko ludziom. Głównie bomb. Mniej w nich technologii, a więcej psychologii. Bomby-pułapki wabiące czymś niezbędnym do przeżycia. Wodą albo jedzeniem. Przestraszenie ofiary tak, by uciekła w stronę większego zniszczenia. Grożenie potomstwu w celu przyciągnięcia pożądanego celu, rodzica. Wabienie ofiary w pozornie bezpieczne schronienie, w którym czeka na nią śmierć. W którymś momencie Gale i Beetee porzucili mechanizmy działające u zwierząt i skoncentrowali się na bardziej ludzkich odruchach. Jak współczucie. Bomba wybucha. Ludzie mają czas, by pospieszyć rannym z pomocą. A wtedy druga, potężniejsza bomba, zabija również ich.

— To wydaje się przekraczać pewne granice — mówię. — Więc wszystko jest dozwolone? — Obaj patrzą na mnie, Beetee z wahaniem, Gale niemal wrogo. — Nie ma żadnego podręcznika, w którym wyszczególniono by jakie działania przeciwko drugiemu człowiekowi mogłyby być nie do przyjęcia?

— Oczywiście, że jest. Beetee i ja stosujemy ten sam podręcznik, z którego korzystał prezydent Snow, kiedy zawładnął Peetą — mówi Gale.

To było okrutne, ale trafił tym w dziesiątkę. Wychodzę bez dalszych komentarzy. Czuję, że jeśli natychmiast nie wydostanę się na zewnątrz, stracę nad sobą panowanie, jednak wciąż jestem w Obronie Specjalnej, kiedy Haymitch mnie zaczepia.

— Chodź — mówi. — Potrzebujemy cię w szpitalu.

— Po co? — pytam.

— Chcą wypróbować coś na Peecie — odpowiada. — Wysłać do niego najbardziej nieszkodliwą osobę z Dwunastki, jaką uda im się znaleźć. Odszukać kogoś, z kim Peeta mógłby dzielić wspomnienia z dzieciństwa, ale nic, co mogłoby mu za bardzo przypominać ciebie. W tej chwili sprawdzają ludzi.

Wiem, że to będzie trudne zadanie, jako że ktokolwiek, z kim Peeta mógłby dzielić wspomnienia z dzieciństwa, najprawdopodobniej mieszkał w mieście, a niemal nikt stamtąd nie umknął płomieniom. Kiedy jednak docieramy do szpitalnej sali, którą zmieniono w miejsce pracy ekipy uzdrawiającej Peetę, ona siedzi tam rozmawiając z Plutarchem. Delly Cartwright. Jak zawsze, uśmiecha się do mnie tak, jakbym była jej najlepszą przyjaciółką. Do wszystkich się tak uśmiecha.

— Katniss! — woła.

— Hej, Delly — mówię.

Słyszałam, że ona i jej młodszy brat przeżyli. Jej rodzice, którzy prowadzili sklep z butami w mieście, nie mieli tyle szczęścia. Wygląda starzej w ponurych ubraniach Trzynastki, które nie działają na korzyść nikogo, i w praktycznym warkoczu zamiast loków. Delly jest nieco chudsza niż ją zapamiętałam, ale była jednym z niewielu dzieci z Dwunastego Dystryktu, które miały kilka dodatkowych kilogramów. Tutejsza dieta, stres, żal po utracie rodziców — wszystko to razem na pewno na nią wpłynęło.

— Co u ciebie? — pytam.

— Och, dużo się naraz zmieniło. — Jej oczy wypełniają się łzami. — Ale wszyscy są naprawdę mili tutaj w Trzynastce, nie sądzisz?

Delly naprawdę tak myśli. Autentycznie lubi ludzi. Wszystkich ludzi, nie tylko wybraną garstkę, na którą zdecydowała się po latach.

— Starają się, byśmy się tu dobrze czuli — mówię. Myślę, że to sprawiedliwe postawienie sprawy bez posuwania się za daleko. — To ciebie wybrali, byś zobaczyła się z Peetą?

— Tak myślę. Biedny Peeta. Biedna ty. Nigdy nie zrozumie Kapitolu — mówi.

— Może lepiej nie rozumieć — odpowiadam.

— Delly знаła Peetę przez dłuższy czas — mówi Plutarch.

— O, tak! — Twarz Delly rozjaśnia się. — Bawiliśmy się razem, kiedy byliśmy mali. Mówiłam ludziom, że jest moim bratem.

— Co o tym myślisz? — pyta mnie Haymitch. — Coś mogłoby uruchomić wspomnienia o tobie?

— Wszyscy byliśmy w tej samej klasie. Ale nasze drogi raczej się nie krzyżowały — mówię.

— Katniss zawsze była niesamowita. Nigdy nie marzyłam o tym, że mnie zauważy — mówi Delly. — Umiała polować, chodziła na Ćwiek i w ogóle. Wszyscy bardzo ją podziwiali.

Oboje z Haymitchem musimy spojrzeć na nią uważnie, by sprawdzić, czy przypadkiem nie żartuje. Delly opisała to tak, jakbym prawie nie miała przyjaciół, bo wszystkich onieśmiałam ze względu na swoją wyjątkowość. Nieprawda. Prawie nie miałam przyjaciół, bo nie byłam przyjacielska. Wystarczy zostawić to Delly, a zmieni mnie w coś wspaniałego.

— Delly zawsze myśli o wszystkich jak najlepiej — wyjaśniam. — Nie sądzę, by Peeta mógł mieć złe wspomnienia związane z nią. — I wtedy sobie przypominam. — Chwila. W Kapitolu. Kiedy skłamałam na temat rozpoznania awoksy. Peeta krył mnie i powiedział, że wygląda jak Delly.

— Pamiętam — mówi Haymitch. — Ale nie wiem... To nie była prawda. Delly tam nie było. Nie sądzę, by to mogło współzawodniczyć z latami wspomnień z dzieciństwa.

— Szczególnie tymi, dotyczącymi tak miłej towarzyski, jaką jest Delly — mówi Plutarch. — Spróbujmy.

Idę razem z Plutarchem i Haymitchem do sali obserwacyjnej obok miejsca, w którym zamknięty jest Peeta. Tłoczy się w niej dziesięciu członków jego uzdrawiającej ekipy uzbrojonych w długopisy i podkładki. Lustro fenickie i sprzęt audio pozwalają nam obserwować Peetę w tajemnicy. Leży na łóżku, przywiązany do niego w ramionach. Nie walczy z pasami, ale dłońmi wciąż wykonuje nerwowe ruchy. Wyraz jego twarzy wydaje się jaśniejszy niż w chwili, w której próbował mnie udusić, ale wciąż nie jest tym, który należy do niego.

Kiedy drzwi otwierają się cicho, jego oczy rozszerzają się niespokojnie, a później przybierają zdezorientowany wyraz. Delly niepewnie przemierza pokój, ale kiedy do niego podchodzi, uśmiecha się zgodnie ze swoją naturą.

— Peeta? Jestem Delly. Z domu.

— Delly? — To wydaje się rozpraszać niektóre chmury. — Delly. To ty.

— Tak! — mówi z wyraźną ulgą. — Jak się czujesz?

— Okropnie. Gdzie jesteśmy? Co się stało? — pyta Peeta.

— Zaczyna się — mówi Haymitch.

— Powiedziałem jej, by trzymała się z daleka od jakiegokolwiek wspomnienia o Katniss albo Kapitolu — mówi Plutarch. — Zobaczmy ile wspomnień z domu potrafi wyczarować ta dziewczyna.

— Cóż... jesteśmy w Trzynastym Dystrykcie. Mieszkamy tu teraz — mówi Delly.

— To właśnie mówili mi ci ludzie. Ale to nie ma sensu. Dlaczego nie jesteśmy w domu? — pyta Peeta.

Delly przygryza wargę.

— Zdarzył się... wypadek. Też bardzo tęsknię za domem. Właśnie myślałam o tych kredowych rysunkach, które zostawialiśmy na płytach chodnikowych. Twoje były cudowne. Pamiętasz jak narysowałeś każdemu inne zwierzę?

— Taa. Świnie i koty, i inne — mówi Peeta. — Mówiłaś coś... o wypadku?

Dostrzegam lśniący pot na czole Delly, kiedy próbuje obejść pytanie.

— Był okropny. Nikt... nie mógł zostać — mówi niepewnie.

— Trzymaj się, dziewczyno — mówi Haymitch.

— Ale wiem, że ci się tu spodoba, Peeta. Ludzie są dla nas bardzo mili. Zawsze mamy jedzenie i czyste ubrania, a szkoła jest dużo bardziej interesująca — mówi Delly.

— Dlaczego moja rodzina mnie nie odwiedziła? — pyta Peeta.

— Nie mogą. — Delly znowu urywa. — Wielu ludzi nie wydostało się z Dwunastki. Będziemy więc musieli rozpocząć nowe życie tutaj. Jestem pewna, że przyda im się dobry piekarz. Pamiętasz jak twój tata pozwalał nam robić chłopców i dziewczynki z ciasta?

— Był ogień — mówi nagle Peeta.

— Tak — szepcze Delly.

— Dwunastka spłonęła, prawda? Przez nią — mówi ze złością Peeta. — Przez Katniss! — Zaczyna ciągnąć za przytrzymujące go pasy.

— Och, nie, Peeta. To nie była jej wina — mówi Delly.

— Powiedziała ci to? — syczy na nią.

— Wyciągnijcie ją stamtąd — mówi Plutarch.

Drzwi natychmiast się otwierają i Delly zaczyna powoli wycofywać się w ich stronę.

— Nie musiała. Ja... — zaczyna Delly.

— Ona kłamie! To kłamczucha! Nie wierz w nic, co ona ci powie! To zmiech, którego Kapitol chce wykorzystać przeciwko nam! — krzyczy Peeta.

— Nie, Peeta. Ona nie jest... — próbuje znowu Delly.

— Nie ufaj jej, Delly — mówi gorączkowo Peeta. — Ja zaufałem, a ona próbowała mnie zabić. Zabiła moich przyjaciół. Rodzinę. Nawet się do niej nie zbliżaj. Ona jest zmiechem!

Jakaś ręka dosięga Delly i wyciąga ją na zewnątrz, a drzwi zamykają się z trzaskiem. Ale Peeta wciąż krzyczy.

— Zmiech! To śmierdzący zmiech!

Nie tylko mnie nienawidzi i chce mnie zabić, ale nie wierzy nawet, że jestem człowiekiem. Mniej bolało, gdy mnie dusił.

Ekipa uzdrawiająca gryzmoli wokół mnie jak szalona, zapisując każde słowo. Haymitch i Plutarch chwytają mnie za ramiona i wyprowadzają z sali. Opierają mnie o ścianę na cichym korytarzu. Ale ja wiem, że Peeta wciąż krzyczy za drzwiami i za szkłem.

Prim się myliła. Peety nie da się już odzyskać.

— Nie mogę tu dłużej zostać — mówię odrętwiale. — Jeśli mam być Kosogłosem, musicie mnie stąd odesłać.

— Dokąd chcesz iść? — pyta Haymitch.

— Do Kapitolu. — To jedyne miejsce, w którym mam coś do zrobienia.

— Nie ma mowy — mówi Plutarch. — Przynajmniej dopóki nie zajmiemy wszystkich dystryktów. Dobre wieści są takie, że walka kończy się w większości z nich, poza Dwójką. To jednak ciężki orzech do zgryzienia.

Racja. Najpierw dystrykty. Później Kapitol. A wtedy zapoluję na Snowa.

— W porządku — mówię. — Wyślijcie mnie do Dwójki.

Drugi Dystrykt jest rozległym dystryktem, jak można się było spodziewać, złożonym z serii wsi rozpostartych w górach. Każda była początkowo związana z kopalniami lub kamieniołomami, teraz jednak wiele z nich poświęca się utrzymaniu i szkoleniu Strażników Pokoju. Nie wydaje się to wielkim wyzwaniem, jako że rebelianci mają po swojej stronie siły powietrzne Trzynastki. Problem stanowi tylko jedno: w centrum dystryktu znajduje się praktycznie niedostępna góra, która służy za magazyn broni Kapitolu.

Nazwaliśmy górę Orzechem, kiedy podzieliłam się Plutarchowym komentarzem „ciężki orzech do zgryzienia” z tutejszymi wyczerpanymi i zniechęconymi przywódcami rebelii. Działanie Orzecha zostało zapoczątkowane natychmiast po Mrocznych Dniach, kiedy Kapitol stracił Trzynastkę i rozpaczliwie poszukiwał miejsca na nową podziemną fortecę. Niektóre militarne zasoby umieszczono na obrzeżach Kapitolu — pociski nuklearne, flotę powietrzną, oddziały wojskowe — ale znaczna część jego potęgi znalazła się pod kontrolą wroga. Oczywiście nie było mowy o tym, by skopiować Trzynastkę, która powstała na przestrzeni wieków. Dostrzeżono jednak potencjał w starych kopalniach w pobliskim Drugim Dystrykcie. Z powietrza Orzech wydawał się po prostu kolejną górą z kilkoma podejściami na zboczach. Ale wewnątrz znajdowały się ogromne, przepastne przestrzenie, z których pocięte kamienne płyty zostały wyciągnięte na zewnątrz i przetransportowane śliskimi, wąskimi drogami do budowy odległych budynków. Istniała nawet sieć kolejowa ułatwiająca transport górników z Orzecha do głównego miasta Drugiego Dystryktu. Docierała aż do placu, który Peeta i ja odwiedziliśmy podczas Tournée Zwycięzców, stojąc na szerokich marmurowych stopniach Pałacu Sprawiedliwości, usiłując nie przyglądać się za bardzo pograżonym w żałobie rodzinom Cato i Clove, stojącym poniżej.

Nie był to teren idealny, zagrożony potokami błota, powodzią i lawinami. Ale korzyści przeważały nad przeciwnościami. Podczas kopania głęboko w ziemię, górnicy zostawili ogromne kamienne filary i ściany, by wesprzeć infrastrukturę. Kapitol wzmocnił je i wziął się za urządzenie w górze nowego centrum wojskowego. Wypełnianie go komputerami i salami konferencyjnymi, barakami i zbrojowniami. Poszerzanie wejść, by umożliwić wydostanie się poduszkowców z hangaru, instalowanie wyrzutni pocisków. Ale generalnie pozostawiono zewnętrzną część góry niemal nietkniętą. Nierówny, chwiejny gąszcz drzew i dzikiej przyrody. Naturalna forteca broniąca przed wrogami.

Według standardów panujących w innych dystryktach, można powiedzieć, że Kapitol opiekował się tutejszymi mieszkańcami. Wystarczy spojrzeć na rebeliantów z Drugiego Dystryktu, by zauważyć, że byli przyzwoicie żywieni i troszczono się o nich w dzieciństwie. Niektórzy skończyli jako robotnicy w kamieniołomach i kopalniach. Innych

wyszkolono do pracy w Orzechu lub zrobiono z nich Strażników Pokoju. Od wczesnych lat byli szkoleni do walki. Głodowe Igrzyska były szansą na bogactwo i pewien rodzaj sławy, co nie miało miejsca gdzie indziej. Oczywiście ludzie z Dwójki łatwiej przełknęli propagandę Kapitolu niż reszta z nas. Chodzili jego drogami. Jednak mimo tego wszystkiego, koniec końców, i tak byli niewolnikami. Jeżeli nawet nie dostrzegali tego obywatele, którzy stali się Strażnikami Pokoju albo pracowali w Orzechu, to na pewno doświadczyli tego ludzie pracujący w kamieniołomach, którzy są tutaj główną siłą oporu.

Sprawy mają się tak, jak miały się kiedy przybyłam tu dwa tygodnie temu. Zewnętrzne wioski są w rękach rebeliantów, miasto podzielone, a Orzech równie nietknięty co zawsze. Nieliczne wejścia do niego silnie ufortyfikowane, jego serce bezpiecznie ukryte w środku góry. Podczas gdy wszystkie inne dystrykty wyrwały się spod kontroli Kapitolu, Dwójka wciąż pozostaje w jego mocy.

Każdego dnia robię co tylko mogę, by pomóc. Odwiedzam rannych. Nagrywam krótkie propozy z moją ekipą. Nie pozwalają mi brać udziału w prawdziwej walce, ale zapraszają mnie na narady wojenne, a to i tak dużo więcej niż to, na co pozwalali mi w Trzynastce. Tu jest dużo lepiej. Czuję się swobodniej, nie mam planu dnia na ramieniu i nie wymaga się ode mnie poświęcania całego mojego czasu dla sprawy. Mieszkam nad ziemią w wioskach rebelianckich albo w okolicznych jaskiniach. Z przyczyn bezpieczeństwa, często zmieniam miejsce pobytu. W ciągu dnia pozwolono mi polować jeśli tylko zachowam czujność i nie zapuszczę się za daleko. W rozrzedzonym, chłodnym górskim powietrzu czuję jak wracają mi siły, a umysł pozbywa się resztek mglistości. Jednak razem z tą jasnością umysłu staję się coraz bardziej świadoma tego, co przytrafiło się Peecie.

Snow mi go wydarł, zmienił nie do poznania i zwrócił mi go jako prezent. Boggs, który przybył do Dwójki razem ze mną, powiedział mi, że, nawet z całą tą konspiracją, nieco zbyt łatwo udało im się uratować Peetę. Myśli, że gdyby Trzynastka się tego nie podjęła, Peeta i tak zostałby mi dostarczony. Podrzucony do dystryktu w stanie wojny albo może nawet do Trzynastki. Obwiązany wstążkami z moim imieniem na bileciku. Zaprogramowany, by mnie zabić.

Dopiero teraz, kiedy został zmieniony, mogę w pełni docenić prawdziwego Peetę. Nawet bardziej niż gdyby umarł. Jego dobroć, stałość, ciepło, wraz z którym pojawiał się też nieoczekiwane gorąco. Poza Prim, mamą i Gale'em kto jeszcze na tym świecie kocha mnie bezwarunkowo? Myślę, że w moim przypadku odpowiedź brzmi teraz: nikt. Czasem, kiedy jestem sama, wyciągam perłę z kieszeni i próbuję sobie przypomnieć chłopca z chlebem, jego silne ramiona, które odstraszały koszmary w pociągu, pocałunki na arenie. Nazwać to, co straciłam. Ale jaki w tym cel? Już tego nie ma. Jego nie ma. Cokolwiek było między nami, przestało istnieć. Pozostała mi tylko obietnica zabicia Snowa. Powtarzam to sobie dziesięć razy dziennie.

W Trzynastce trwa leczenie Peety. Mimo że nie pytam, Plutarch dzieli się ze mną przez telefon radosnymi nowinami: „Dobre wieści, Katniss! Myślę, że prawie udało nam się go przekonać, że nie jesteś zmiechem!” albo „Dzisiaj pozwolono mu samodzielnie zjeść pudding!”

Kiedy Haymitch się ze mną kontaktuje, przyznaje, że Peecie wcale się nie poprawia. Jedyny wąły promyk nadziei wniosła do sprawy moja siostra.

— Prim wpadła na pomysł, by spróbować zawładnąć nim w drugą stronę — mówi mi Haymitch. — Przywołać zniekształcone wspomnienia o tobie i wtedy wstrzyknąć mu dużą dawkę leku uspokajającego, jak morfalina. Wypróbowaliśmy to do tej pory na jednym wspomnieniu: nagraniu z jaskini, kiedy opowiedziałas mu historię o tym, jak zdobyłaś kozę dla Prim.

— Jakaś poprawa? — pytam.

— Cóż, jeżeli krańcowe zmieszanie jest poprawą wobec krańcowego przerażenia, to tak — mówi Haymitch. — Ale nie jestem pewien czy tak jest. Stracił zdolność mówienia na kilka godzin. Wpadł w pewien rodzaj otępienia. Kiedy z niego wyszedł, pytał tylko o kozę.

— No tak — mówię.

— Jak tam rozwój sytuacji? — pyta.

— Stoimy w miejscu — odpowiadam.

— Wysyłamy zespół do pomocy. Beetee’ego i kilku innych — mówi. — No wiesz, mózgi.

Kiedy dokonano już wyboru mózgów, nie jestem zdziwiona widząc imię Gale’a na liście. Tak myślałam, że Beetee zabierze go ze sobą, nie ze względu na technologiczne rozeznanie, ale w nadziei, że wpadnie na pomysł jak zastawić pułapkę na górę. Gale zaproponował, że przyjedzie ze mną do Dwójki już na początku, ale widziałam, że odrywam go od pracy z Beetee’em. Kazałam mu zostać tam, gdzie jest najbardziej potrzebny. Nie powiedziałam mu, że jego obecność utrudniałaby mi jeszcze opłakiwanie Peety.

Gale znajduje mnie zaraz po przybyciu późnym popołudniem. Siedzę na pniu drzewa na skraju wioski, w której obecnie mieszkam, i skubię gęś. Około tuzina ptaków piętrzy się u moich stóp. Duże ich stada migrują tędy odkąd tu przybyłam, więc polowanie na nie jest proste. Gale bez słowa sadowi się obok mnie i zaczyna pozbawiać ptaka upierzenia. Jesteśmy mniej więcej w połowie, kiedy mówi:

— Jest jakaś szansa, że je zjemy?

— Taa. Większość oddaję do obozowej kuchni, ale oczekują, że wręcę parę z nich temu, kto dzisiaj ze mną zostanie — mówię. — W zamian za opiekę nade mną.

— Zaszczyt opieki nad tobą jest niewystarczający? — pyta Gale.

— Powinien być — odpowiadam. — Mówi się jednak, że kosogłoty są niebezpieczne dla zdrowia.

Skubiemy w milczeniu jeszcze przez chwilę. I wtedy mówi:

— Widziałem wczoraj Peetę. Przez szkło.

— I co o tym myślisz? — pytam.

— Coś egoistycznego — mówi Gale.

— Że nie musisz już być o niego zazdrosny?

Szarpię gęś i chmura piór unosi się wokół nas.

— Nie. Wręcz przeciwnie. — Gale wyjmuję pióro z moich włosów. — Pomyślałem... że nigdy nie będę mógł z tym walczyć. Nieważne jak bardzo bym cierpiał. — Obraca pióro między kciukiem i palcem wskazującym. — Nie mam szans, jeśli mu się nie polepszy. Nigdy nie będziesz w stanie go sobie odpuścić. Zawsze źle byś się czuła będąc ze mną.

— Tak samo źle czuję się ze względu na ciebie, kiedy go całuję — mówię.

Gale napotyka mój wzrok.

— Gdybym wiedział, że to prawda, mógłbym się niemal pogodzić z całą resztą.

— To prawda — przyznaję. — Ale prawdą jest też to, co powiedziałaś o Peecie.

Gale wydaje z siebie rozdrażniony pomruk. Mimo to, po oddaniu ptaków i zgłoszeniu się do zbierania drewna na rozpałkę wieczornego ogniska, ląduję w jego ramionach. Jego wargi muskają wyblakłe zasinienia na mojej szyi, kierując się w stronę moich ust. Pomimo tego, co czuję do Peety, w tej właśnie chwili akceptuję fakt, że nigdy już do mnie nie wróci. Albo ja nigdy nie wrócę do niego. Zostanę w Dwójce dopóki nie zajmą jej rebelianci, wyruszę do Kapitolu i zabiję Snowa, a później umrę. On również umrze; ogarnięty szaleństwem i nienawiścią do mnie. Więc w błędnym świetle zamykam oczy i całuję Gale'a, by wynagrodzić mu za wszystkie te pocałunki, których mu odmówiłam; dlatego, że to już nie ma znaczenia; dlatego, że jestem tak nieznośnie samotna.

Dotyk Gale'a, jego smak i ciepło przypominają mi, że przynajmniej moje ciało wciąż żyje; na tę chwilę to bardzo pożądane uczucie. Oczyszczam umysł i pozwalam doznaniom przepływać przez moje ciało, szczęśliwa, że mogę się zatracić. Kiedy Gale delikatnie się odsuwa, zbliżam się, by wypełnić przestrzeń między nami, ale czuję jego dłoń pod moją brodą.

— Katniss — mówi.

W chwili, w której otwieram oczy, świat wydaje się chaotyczny. To nie nasz las ani nasze góry, ani nasze drogi. Moja dłoń automatycznie wędruje ku mojej lewej skroni, co łączę ze zmieszaniem.

— Teraz mnie pocałuj.

Zdezorientowana stoję bez ruchu, kiedy on pochyla się w moją stronę i krótko przykładá swoje usta do moich. Przygląda się z bliska mojej twarzy.

— Co się dzieje w twojej głowie?

— Nie wiem — szepczę.

— W takim razie to jak całowanie pijanej osoby. Nie liczy się — mówi i nieudolnie próbuje się roześmiać.

Zgarnia stos drewna i wkłada w moje puste ramiona, przywołując mnie z powrotem do rzeczywistości.

— Skąd wiesz? — pytam, głównie po to, by zamaskować zawstydzenie. — Całowałeś kogoś, kto był pijany?

Gale mógł całować dziewczyny na prawo i lewo w Dwunastce. Na pewno miał sporo wielbicielek. Nigdy wcześniej się nad tym za bardzo nie zastanawiałam.

On jedynie potrząsa głową.

— Nie. Ale nietrudno to sobie wyobrazić.

— Więc nigdy nie całowałeś innych dziewczyn? — pytam.

— Tego nie powiedziałem. Miałaś jedynie dwanaście lat, kiedy się poznaliśmy. Oprócz tego byłaś prawdziwym utrapieniem. Miałem swoje życie poza czasem spędzanym na polowaniu z tobą — mówi, zbierając opał.

Nagle robię się naprawdę ciekawa.

— Kogo całowałeś? I gdzie?

— Zbyt wiele dziewczyn, by je spamiętać. Za szkołą, na hałdzie, gdziekolwiek — mówi.

Przewracam oczami.

— Więc kiedy stałam się dla ciebie taka wyjątkowa? Kiedy wywieźli mnie do Kapitolu?

— Nie. Jakies pół roku wcześniej. Zaraz po Nowym Roku. Byliśmy na Ćwieku, jedliśmy jakieś resztki u Śliskiej Sae. A Darius drażnił się z tobą, byś wymieniła królika na jeden z jego pocałunków. Wtedy zdałem sobie sprawę... że mi to przeszkadza — mówi mi.

Pamiętam ten dzień. Siarczasty mróz i ciemności około czwartej popołudniu. Polowaliśmy, ale gęsty śnieg przygnał nas z powrotem do miasta. Ćwiek był zatłoczony ludźmi szukającymi schronienia przed pogodą. Zupa Śliskiej Sae na wywarze z kości dzikiego psa, którego zabiliśmy tydzień wcześniej nie umywała się do jej zwykłej kuchni. Była jednak ciepła, a ja głodna, kiedy zjadałam ją siedząc ze skrzyżowanymi nogami na ladzie. Darius opierał się o stoisko i łaskotał mój policzek końcem mojego warkocza, a ja odepchnęłam jego dłoń. Tłumaczył mi dlaczego jego pocałunek wart jest królika, a może nawet dwóch, bo przecież wszyscy wiedzą, że rudzi mężczyźni są najbardziej męscy. Śliska Sae i ja śmiałyśmy się, bo był tak nedorzeczny i uparty, i wciąż wskazywał kobiety na Ćwieku, które, jak twierdził, zapłaciły dużo więcej niż królika, by zasmakować jego ust: „Widzisz tę w zielonym szaliku? Idź i spytaj. Jeśli potrzebujesz referencji.”

Miliony kilometrów stąd, miliard dni temu, to się zdarzyło.

— Dariusz tylko się wygłupiał — mówię.

— Prawdopodobnie. Chociaż ostatnia byś się o tym dowiedziała — mówi mi Gale.

— Spójrz na Peetę. Albo mnie. Albo nawet Finnicka. Zaczynałem się bać, że wpadłaś mu w oko, ale wydaje się, że wrócił do siebie.

— Nie znasz Finnicka, jeśli myślisz, że mógłby mnie pokochać — mówię.

Gale wzrusza ramionami.

— Wiem, że był zrozpaczony. To sprawia, że ludzie robią szalone rzeczy.

Nie mogę się pozbyć wrażenia, że to zarzut w moją stronę.

Wczesnym rankiem następnego dnia, mózgi zebrały się, by rozwiązać problem Orzecha. Zaproszono mnie na spotkanie, choć nie mam zbyt wiele do powiedzenia. Unikam stołu konferencyjnego i sadowię się na szerokim parapecie, z którego widać rzeczoną górę. Dowódca Dwójki, kobieta w średnim wieku o imieniu Lyme, zabiera nas w wirtualną podróż po Orzechu, jego wnętrzu i fortyfikacjach, i wylicza nieudane próby zdobycia go. Parę razy od mojego przybycia nasze drogi na krótko się skrzyżowały i prześladowało mnie przeczucie, że skądś ją znam. Łatwo zapamiętać kobietę o wzroście powyżej metra osiemdziesiąt i solidnym umięśnieniu. Ale dopiero kiedy widzę nagranie, na którym dowodzi szturmem na główne wejście do Orzecha, coś zaczyna mi świtać i zdaję sobie sprawę, że to kolejna zwyciężczyni. Lyme, trybutka z Drugiego Dystryktu, która zwyciężyła w Głodowych Igrzyskach całe pokolenie temu. Effie przysłała nam jej taśmę, razem z innymi, by przygotować nas do Ćwierćwiecza Poskromienia. Prawdopodobnie migła mi przed oczami podczas Igrzysk na przestrzeni lat, ale raczej się nie wychylała. Z moją nowoodkrytą wiedzą o potraktowaniu Haymitcha i Finnicka, wszystko o czym mogę myśleć to: Co zrobił jej Kapitol po tym, jak zwyciężyła?

Kiedy Lyme kończy prezentację, zaczynają się pytania mózgów. Mijają godziny, obiad zostaje podany i wyniesiony, a oni wciąż próbują wymyślić sensowny plan zajęcia Orzecha. Jednak mimo przekonania Beeteego, że mógłby obejść niektóre systemy komputerowe, i dyskusji o wykorzystaniu wewnętrznych szpiegów, tak naprawdę nikt nie ma żadnego innowacyjnego pomysłu. Widzę wzrastającą frustrację Lyme, bo tyle wersji tego planu zawiodło i tylu jej żołnierzy już poległo. W końcu wybucha:

— Następną osobą, która zasugeruje, byśmy sforsowali wejścia, lepiej niech wpadnie na jakiś genialny pomysł jak to zrobić, bo to właśnie ona poprowadzi tę misję!

Gale, który jest zbyt niespokojny, by usiedzieć przy stole dłużej niż kilka godzin, na zmianę przemierzał salę wolnym krokiem i dzielił ze mną parapet. Zdawało się, że już na samym początku przyjął za pewnik stwierdzenie Lyme, że wejścia są nie do zdobycia, i całkowicie wyłączył się z dyskusji. Przez ostatnią godzinę siedział w ciszy z brwiami zmarszczonymi w wyrazie koncentracji, gapiąc się na Orzech przez okno. W ciszy, która zapada po ultimatum Lyme, wreszcie się odzywa:

— Koniecznie musimy zająć Orzech? Czy wystarczyłoby go unieszkodliwić?

— To byłby krok w dobrym kierunku — mówi Beete. — Co masz na myśli?

— Pomyślcie o nim jak o legowisku dzikich psów — wyjaśnia Gale. — Nie zamierzacie walczyć z nimi o przedostanie się do środka. Macie więc dwa wyjścia: uwięzić psy w środku albo wykurzyć je na zewnątrz.

— Próbowaliśmy zbombardować wejścia — mówi Lym. — Są zbyt głęboko osadzone w kamieniu, by wyrządzić im jakąkolwiek realną szkodę.

— Nie to miałem na myśli — odpowiada Gale. — Chciałbym wykorzystać górę. — Beete podnosi się i dołącza do Gale'a przy oknie, spoglądając przez swoje źle dopasowane okulary. — Widzisz? Idą w dół zboczy.

— Ścieżki lawinowe — mówi Beete pod nosem. — To będzie skomplikowane. Musielibyśmy starannie zaplanować detonację, a kiedy już uruchomimy mechanizm, nie będziemy mogli go kontrolować.

— Nie musimy go kontrolować, jeśli porzucimy myśl o przejęciu kontroli nad Orzechem — mówi Gale. — Po prostu go odetniemy.

— Sugerujesz, byśmy wywołali lawiny i zablokowali wejścia? — pyta Lym.

— Owszem — mówi Gale. — Uwięzimy wroga wewnątrz, odetniemy od zapasów. Uniemożliwimy wysłanie poduszki.

Kiedy wszyscy zastanawiają się nad tym planem, Boggs przegląda plany Orzecha i marszczy brwi.

— To grozi zabiciem wszystkich w środku. Spójrzcie na system wentylacyjny. Jest w najlepszym wypadku elementarny. W niczym nie przypomina tego, który mamy w Trzynastce. Jego funkcjonowanie zależy całkowicie od pompowania powietrza z zewnątrz. Zablokujcie otwory wentylacyjne, a udusicie wszystkich, których tam uwięzicie.

— Wciąż mogliby uciec przez tunel kolejowy aż na plac — mówi Beete.

— Nie, jeśli go wysadzimy — mówi opryskliwie Gale.

Jego zamiary, jego prawdziwe zamiary, stają się jasne. Gale nie ma zamiaru ocalić życia ludziom z Orzecha. Nie ma zamiaru więzić ofiary.

To jedna z jego śmiertelnych pułapek.

Konsekwencje tego, co proponuje Gale, przetaczają się cicho przez salę. Można dostrzec reakcje odbijające się na twarzach ludzi. Widać zarówno zadowolenie jak i zmartwienie, smutek na równi z satysfakcją.

— Większość z robotników to obywatele Dwójki — mówi neutralnie Beetee.

— I co z tego? — pyta Gale. — Już nigdy nie będziemy mogli im zaufać.

— Powinni przynajmniej mieć szansę, by się poddać — mówi Lyme.

— Cóż, to przywilej, którego my nie mieliśmy, kiedy zbombardowali Dwunastkę, ale wy uparliście się być dużo milsi dla Kapitolu tutaj — mówi Gale. Z wyrazu twarzy Lyme wnioskuję, że mogłaby go uderzyć, a przynajmniej się zamachnąć. Pewnie miałyby przewagę ze względu na jej trening. Wydaje się jednak, że jej złość tylko go rozjuszyła i krzyczy: — Patrzyliśmy jak dzieci płonęły żywcem i nie mogliśmy z tym nic zrobić!

Muszę na chwilę zamknąć oczy, kiedy ten obraz przedziera się przez moją świadomość. Odnosi to pożądany efekt. Chcę, by wszyscy w tej górze zginęli. Już prawie o tym mówię. Ale jednak... jestem także dziewczyną z Dwunastego Dystryktu. Nie prezydentem Snowem. Nic na to nie poradzę. Nie mogę nikogo skazać na taką śmierć.

— Gale — zaczynam, chwytając go za ramię i próbując brzmieć rozsądnie. — Orzech to stara kopalnia. To by było jak wywołanie ogromnej katastrofy w kopalni węgla.

Na pewno te słowa wystarczą, by mieszkaniiec Dwunastki przemyślał ten plan jeszcze raz.

— Ale nie natychmiastowo — odparowuje. — Czy każdy ma z tym problem? Że nasi wrogowie mogą mieć kilka godzin, by zrozumieć, że umierają, zamiast po prostu wylecieć w powietrze?

W dawnych czasach, kiedy nie byliśmy nikim więcej jak tylko parą dzieciaków polujących na obrzeżach Dwunastki, Gale mówił takie rzeczy, a nawet gorsze. Ale wtedy to były tylko słowa. Tutaj, wcielone w życie, stają się czynami, których nigdy nie będzie można cofnąć.

— Nie wiesz dlaczego ci ludzie z Drugiego Dystryktu wylądowali w Orzechu — mówię. — Mogli zostać do tego zmuszeni. Mogą być przetrzymywani wbrew swojej woli. Niektórzy są naszymi szpiegami. Ich też chcesz zabić?

— Poświęciłbym kilku tych ludzi, owszem, by pozbyć się całej reszty — odpowiada. — A gdybym to ja był tam szpiegiem, powiedziałbym: „Ześlijcie lawiny!”

Wiem, że mówi prawdę. Że Gale poświęciłby w ten sposób swoje życie dla dobra sprawy — nikt w to nie wątpi. Być może wszyscy zrobilibyśmy to samo, gdybyśmy byli szpiegami i pozwolono by nam wybrać. Myślę, że ja bym tak zrobiła. Ale to okrutna decyzja do podjęcia za innych ludzi i tych, którzy ich kochają.

— Powiedziałaś, że mamy dwie opcje — mówi mu Boggs. — Uwięzić ich albo wykurzyć ich stamtąd. Proponuję wywołać lawinę, która zasypie górę, ale pozostawić tunel nietkniętym. Ludzie będą mogli uciec na plac, gdzie będziemy na nich czekać.

— Uzbrojeni po zęby, mam nadzieję — mówi Gale. — Możecie być pewni, że oni będą.

— Uzbrojeni po zęby. Uwięzimy ich — zgadza się Boggs.

— Powinniśmy powiadomić Trzynastkę — sugeruje Beetee. — Pozwólmy Coin się wtrącić.

— Będzie chciała zablokować tunel — mówi z przekonaniem Gale.

— Tak, najprawdopodobniej. Ale wiesz co? Peeta miał trochę racji w swoich proposach. Kiedy mówił o powybijaniu się nawzajem. Robiłem wyliczenia. Wziąłem pod uwagę poległych i rannych, i... uważam, że warto to przedyskutować.

Jedynie garstka ludzi zostaje zaproszona do tej dyskusji. Gale i ja zostajemy zwolnieni razem z resztą. Zabieram go na polowanie, by mógł się nieco wyładować, ale nie rozmawia o tym ze mną. Prawdopodobnie jest na mnie wściekły za sprzeciwienie mu się.

Trzynastka zostaje powiadomiona, decyzja zostaje podjęta i gdy nadchodzi wieczór zostaję ubrana w kostium Kosogłosa, z łukiem przewieszonym przez ramię i słuchawką w uchu, która łączy mnie z Haymitchem w Trzynastce — na wypadek gdyby nadarzyła się dobra okazja sfilmowania propoza. Czekamy na dachu Pałacu Sprawiedliwości z dobrym widokiem na nasz cel.

Nasze poduszkowce zostają początkowo zignorowane przez dowódców Orzecha, bo w przeszłości były mniej więcej równie kłopotliwe co muchy latające wokół baryłki miodu. Jednak po dwóch falach bombardowań wyższych poziomów góry, przyciągają ich uwagę. Kiedy otwierają ogień z kapitolńskiej broni przeciwlotniczej, jest już za późno.

Plan Gale'a przechodzi najśmielsze oczekiwania. Beetee miał rację w kwestii braku kontroli nad lawinami. Zbocza góry są z natury niestabilne, ale osłabione eksplozjami wydają się niemal płynne. Całe fragmenty Orzecha zapadają się na naszych oczach, zacierając jakiegokolwiek ślady ludzkiej bytności w tym miejscu. Stoimy w milczeniu, malutcy i nieważni, gdy kamienne fale staczają się w dół góry. Wejścia zostają zasypane tonami kamieni. W powietrzu unosi się chmura kurzu i odłamków skalnych, od której niebo ciemnieje. Orzech zamienia się w grobowiec.

Wyobrażam sobie piekło wewnątrz góry. Wyjące syreny. Światła mrugające i gasnące na dobre. Skalny pył wypełniający powietrze. Wrzaski spanikowanych, uwięzionych istnień błędzących jak oszalałe w poszukiwaniu wyjścia, tylko po to, by przekonać się, że wyjścia, pas startowy i nawet szyby wentylacyjne zablokowane są ziemią i kamieniami, które próbują wdrzeć się do środka. Kable elektryczne zwisają swobodnie, ogień wybuchu, rumowisko zmienia znajome ścieżki w labirynt. Ludzie

rzucają się na wszystkie strony, popychają, rozbiegają się jak mrówki, gdy mrowisko się zapada, grożąc zmiążdżeniem ich delikatnych pancerzy.

— Katniss? — słyszę głos Haymitcha w słuchawce. Próbuje odpowiedzieć i orientuję się, że obie dłonie mam zaciśnięte na ustach. — Katniss!

W dniu, w którym zginął mój ojciec, syreny zaczęły wyć podczas obiadu w szkole. Nikt nie czekał na zwolnienie, od nikogo tego nie oczekiwano. Reakcja na wypadek w kopalni była czymś, czego nawet Kapitol nie był w stanie kontrolować. Pobiegłam do klasy Prim. Wciąż ją pamiętam, drobną siedmiolatkę, bardzo bladą, ale siedzącą prosto z rękoma na ławce. Czekala aż ją odbiorę, tak, jak obiecałam, że to zrobię, jeśli syreny kiedykolwiek się odezwą. Zeskoczyła z siedzenia, chwyciła się rękawa mojego płaszcza i wmieszałyśmy się w strumień ludzi wlewających się ulicami do basenu przy głównym wejściu do kopalni. Znalazłyśmy mamę zaciskającą linę, która została pospiesznie rozciągnięta, by odsunąć tłum. Z perspektywy czasu wydaje mi się, że powinnam już wtedy zauważyć, że coś jest nie tak. Bo niby dlaczego to my szukałyśmy jej, kiedy powinno być na odwrót?

Windy piszczały, rozgrzewając się do czerwoności, gdy wymiotowały osmolonych górników na światło dzienne. Z każdą kolejną grupą następowały okrzyki ulgi, krewni nurkowali pod liną, by wyprowadzić stamtąd mężów, żony, dzieci, rodziców, rodzeństwo. Staliśmy w mroźnym powietrzu, popołudnie stało się pochmurne, cienka warstwa śniegu pokryła ziemię. Windy poruszały się coraz wolniej i wypluwały coraz mniej istnień. Upadłam na kolana i przycisnęłam dłonie do popiołu, tak bardzo chcąc wyciągnąć tatę na wolność. Jeżeli można się czuć bardziej bezradnie niż gdy próbujesz dotrzeć do uwięzionej pod ziemią ukochanej osoby, to nigdy tego nie doświadczyłam. Ranni. Ciała. Całonocne oczekiwanie. Koce nałożone na ramiona przez obcych. Kubek czegoś gorącego, czego nie pijesz. I wtedy, wreszcie, o świcie, pełen żalu wyraz twarzy kierownika kopalni, który może oznaczać tylko jedno.

Co myśmy właśnie zrobili?

— Katniss! Jesteś tam? — Haymitch prawdopodobnie snuje właśnie plany wciśnięcia mnie w kajdany na głowę.

Opuszczam rękę.

— Tak.

— Wejść do środka. Na wypadek gdyby Kapitol spróbował odwetu pozostałościami swojej lotniczej floty — nakazuje mi.

— Tak — powtarzam.

Wszyscy na dachu, poza żołnierzami obsługującymi broń maszynową, kierują się do środka. Kiedy schodzę po schodach, nie mogę się powstrzymać przed muskaniem palcami nieskazitelnych białych marmurowych ścian. Takich zimnych i pięknych. Nawet w Kapitolu nie ma nic, co mogłoby się równać ze wspaniałością tego starego budynku. Nie

ma w nim jednak żadnej elastyczności — to moje ciało ustępuje, ulatuje ze mnie ciepło. Kamienie zawsze pokonują człowieka.

Siedzę na cokole gigantycznego filara w ogromnej sali wejściowej. Przez drzwi dostrzegam białą marmurową przestrzeń, która prowadzi do schodów na placu. Pamiętam jak źle się czułam, kiedy wraz z Peetą odbierałam gratulacje za zwycięstwo w Igrzyskach. Wyczerpana Tournée Zwycięzców, po nieudanych próbach uspokojenia dystryktów, mierząc się ze wspomnieniami Clove i Cato, szczególnie powolnej, makabrycznej śmierci Cato.

Boggs kuca przy mnie, wydaje się blady w półmroku.

— Nie wysadziliśmy tunelu, wiesz? Niektórzy z nich prawdopodobnie się stamtąd wydostaną.

— I zastrzelimy ich, kiedy tylko się pokażą? — pytam.

— Tylko jeśli będziemy musieli — odpowiada.

— Mogliśmy wysłać do nich pociągi. Ewakuować rannych — mówię.

— Nie. Zdecydowano pozostawić tunel w ich rękach. W ten sposób mogą użyć wszystkich torów, by wyciągnąć stamtąd ludzi — mówi Boggs. — Oprócz tego, to da nam czas, by zebrać resztę naszych żołnierzy na placu.

Kilka godzin temu plac był ziemią niczyją, frontem walk między rebeliantami i Strażnikami Pokoju. Kiedy Coin zaakceptowała plan Gale’a, rebelianci rozpoczęli zmasowany atak i zmusili siły Kapitolu do wycofania się o kilka przecznic, byśmy mogli kontrolować stację kolejową, gdyby Orzech upadł. Cóż, upadł. Rzeczywistość przeniknęła do naszej świadomości. Potencjalni ocaleni uciekną na plac. Słyszę rozpoczynającą się znowu strzelaninę; to na pewno Strażnicy Pokoju próbują przedostać się z powrotem, by uratować swoich towarzyszy. Nasi żołnierze mają ten atak odeprzeć.

— Zimno ci — mówi Boggs. — Zobaczę czy uda mi się znaleźć jakiś koc.

Odchodzi nie dając mi szans na zaprotestowanie. Nie chcę koca, nawet jeśli marmur wciąż będzie wysysał ciepło z mojego ciała.

— Katniss — mówi Haymitch w moim uchu.

— Wciąż tu jestem — odpowiadam.

— Ciekawy rozwój wypadków w leczeniu Peety dzisiejszego popołudnia. Pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć — mówi. Ciekawy to nie to samo co dobry. Nie jest lepiej. Jednak nie mam w zasadzie innego wyjścia jak słuchać. — Pokazaliśmy mu materiał, na którym śpiewasz „Wisielcze Drzewo”. Nigdy go nie wyemitowaliśmy, więc Kapitol nie mógł go użyć przy zawładnięciu. Mówi, że rozpoznaje tę piosenkę.

Na moment moje serce zamiera. Później jednak zdaję sobie sprawę, że to tylko efekt zmieszania wywołany działaniem jadu gończych os.

— Nie może, Haymitch. Nigdy nie słyszał jak śpiewam tę piosenkę.

— Nie ty. Twój ojciec. Słyszał jak śpiewał ją pewnego dnia, kiedy przyszedł handlować do piekarni. Peeta był wtedy mały, miał prawdopodobnie sześć czy siedem lat, ale pamięta to, bo specjalnie nasłuchiwał, by zobaczyć, czy ptaki przestaną śpiewać — mówi Haymitch. — Pewnie przestały.

Sześć albo siedem lat. To byłoby zanim mama zabroniła tej piosenki. Może nawet w czasie, kiedy się jej uczyłam.

— Też tam wtedy byłam?

— Nie sądzę. W każdym razie nie wspomniął o tobie. Ale to pierwsze powiązane z tobą wspomnienie, które nie wywołuje umysłowego załamania — mówi Haymitch. — To już coś, Katniss.

Mój ojciec. Wydaje się być dzisiaj wszędzie. Umiera w kopalni. Wyśpiewuje sobie drogę do pogmatwanej świadomości Peety. Odbija się w spojrzeniu Boggsa, kiedy otacza kocem moje ramiona. Tęsknię za nim tak bardzo, że aż boli.

Strzelanina na zewnątrz naprawdę przybiera na sile. Gale spieszy za grupą rebeliantów, ochoczo kierując się w stronę bitwy. Nie proszę o dołączenie do walczących, nie żeby mi pozwolili. Mój żołądek i tak nie jest na to przygotowany, całe ciepło ulotniło się z mojego ciała. Chciałabym, by był ze mną Peeta — stary Peeta — bo jemu udało by się wytłumaczyć dlaczego wymiana ognia jest zła, kiedy ludzie, jacykolwiek ludzie, próbują wydostać się z góry. A może to moja własna historia sprawia, że jestem przewrażliwiona? Czy to nie jest wojna? Czy to nie po prostu kolejny sposób zabicia naszych wrogów?

Noc zapada szybko. Wielkie, jasne reflektory zostają włączone, oświetlając plac. Każda żarówka musi się palić z pełną mocą także na stacji kolejowej. Nawet z mojego miejsca po drugiej stronie placu, widzę dobrze przez przeszkłony front długiego, wąskiego budynku. Niemożliwe byłoby nie zauważyć przybycia pociągu albo nawet pojedynczej osoby. Ale mijają godziny i nikt się nie pojawia. Z każdą chwilą coraz trudniej uwierzyć w to, że ktokolwiek przeżył atak na Orzecha.

Jest już dobrze po północy, kiedy Cressida podchodzi do mnie i przyczepia specjalny mikrofon do mojego kostiumu.

— Po co to? — pytam.

Głos Haymitcha spieszy z wyjaśnieniem.

— Wiem, że ci się to nie spodoba, ale chcemy, byś wygłosiła przemówienie.

— Przemówienie? — pytam i natychmiast czuję mdłości.

— Przekażę ci je, wers po wersie — zapewnia mnie. — Będziesz musiała jedynie powtarzać po mnie. Słuchaj, nie ma śladu życia z tej góry. Zwyciężyliśmy, ale walka wciąż się toczy. Więc pomyśleliśmy, że jeśli wyjdiesz na schody przed Pałacem Sprawiedliwości i wyjaśnisz — wytłumaczysz wszystkim, że pokonaliśmy Orzecha, że to

koniec wpływów Kapitolu w Drugim Dystrykcie — mogłabyś sprawić, że pozostałe ich oddziały się poddadzą.

Wpatruję się w ciemność za placem.

— Nawet nie widzę ich oddziałów.

— Po to właśnie mikrofon — mówi. — Wyemitujemy cię, zarówno głos przez ich awaryjny system audio, jak i obraz w każdym miejscu, w którym ludzie mają dostęp do ekranów.

Wiem, że jest parę ogromnych ekranów tutaj na placu. Widziałam je na Tournée Zwycięzców. To mogłoby zadziałać, gdybym była w tym dobra. A nie jestem. Próbowali wkładać słowa w moje usta w tych wczesnych próbach tworzenia propozycji i okazało się to totalną klapą.

— Możesz uratować wiele żyć, Katniss — mówi w końcu Haymitch.

— W porządku. Spróbuję — mówię mu.

Dziwnie jest stać na zewnątrz na szczycie schodów, w pełnym stroju, przy pełnym oświetleniu, ale bez widocznej publiczności, przed którą miałabym wygłosić przemówienie. Jakbym robiła przedstawienie dla księżyca.

— Pospieszmy się — mówi Haymitch. — Jesteś za bardzo narażona.

Moja ekipa telewizyjna, rozstawiona na placu ze specjalnymi kamerami, daje mi znak, że jest gotowa. Mówię Haymitchowi, by zaczynał, włączam mikrofon i uważnie słucham jak dyktuje mi pierwszy wers przemówienia. Pojawiam się na jednym z ogromnych ekranów na placu i zaczynam:

— Mieszkańcy Drugiego Dystryktu, tu Katniss Everdeen. Mówię do was ze schodów waszego Pałacu Sprawiedliwości, gdzie...

Dwa pociągi wjeżdżają z piskiem na stację kolejową tuż obok siebie. Kiedy rozsuwają się drzwi, ludzie wypadają z nich w chmurze dymu przywleczonego z Orzecha. Musieli przynajmniej podejrzewać co ich czeka na placu, bo próbują się ukryć. Większość z nich pada na ziemię, a deszcz kul wewnątrz stacji sprawia, że gasną światła. Przybyli uzbrojeni, jak przewidywał Gale, ale także ranni. Można usłyszeć jęki przedzierające się przez względnie ciche nocne powietrze.

Ktoś zestrzela światła na schodach, pozostawiając mnie w ochronnym cieniu. Ogień rozprzestrzenia się wewnątrz stacji — jeden z pociągów musi płonąć — i gęsty, czarny dym kłębi się przy oknach. To zmusza ludzi do wydostania się na plac; duszą się, ale wyzywająco wymachują bronią. Rzucam okiem na dachy budynków otaczających plac. Każdy z nich został zaopatrzony w obsługiwane przez rebeliantów stanowiska broni maszynowej. Światło księżyca odbija się od naoliwionych luf.

Młody mężczyzna wychodzi chwiejnym krokiem ze stacji, jedną ręką przyciskając zakrwawioną chusteczkę do policzka, w drugiej trzymając pistolet. Kiedy potyka się i

upada na twarz, dostrzegam, że dół jego koszuli jest przypalony, a ciało pod nią czerwone. I nagle staje się tylko kolejną poparzoną ofiarą wypadku w kopalni.

Niemal frunę w dół schodów i biegnę w jego stronę.

— Stójcie! — krzyczę na rebeliantów. — Wstrzymajcie ogień! — Słowa odbijają się echem po placu i poza nim, jako że mikrofon zwiększa natężenie mojego głosu. — Stójcie!

Zbliżam się do młodego mężczyzny i pochylam się, by mu pomóc, kiedy podciąga się na kolana i celuje bronią w moją głowę.

Instynktownie cofam się o kilka kroków i unoszę łuk nad głową, by pokazać, że nie chciałam mu zrobić krzywdy. Teraz, kiedy trzyma obie dłonie na broni, dostrzegam poszarpaną dziurę w jego policzku gdzie coś — może upadający kamień — przebiło ciało. Śmierdzi spalonymi ubraniami, włosami i mięsem, i benzyną. Jego oczy rozszerzają się szaleńczo z bólu i strachu.

— Nie ruszaj się — szepcze mi Haymitch do ucha.

Wykonuję jego rozkaz, zdając sobie sprawę, że to właśnie pojawia się na ekranach w całym Drugim Dystrykcie, być może nawet w całym Panem. Kosogłos zdany na łaskę mężczyzny, który nie ma nic do stracenia.

Jego zniekształcony głos jest niemal niezrozumiały.

— Podaj mi jeden powód, dla którego nie powinienem cię zastrzelić.

Reszta świata znika. Zostają tylko ja, wpatrzona w nieszczęśliwe oczy mężczyzny z Orzecha, który prosi o jeden powód. Na pewno mogłabym wymyślić ich tysiące. Ale słowa, które wypowiadałam to:

— Nie mogę.

Logicznym ich następstwem powinno być pociągnięcie za spust. Ale on jest zdumiony i próbuje nadać moim słowom znaczenie. Czuję własne zmieszanie, kiedy zdaję sobie sprawę, że powiedziałam absolutną prawdę i szlachetne pobudki, które przeniosły mnie przez plac, zostają zastąpione przez rozpacz.

— Nie mogę. W tym właśnie problem, prawda? — Opuszczam łuk. — Wysadziliśmy waszą kopalnię. Wy doszczętnie spaliliście mój dystrykt. Mamy tysiące powodów, by się nawzajem pozabijać. Więc zrób to. Uszczęśliw Kapitol. Mam dość zabijania za nich ich niewolników.

Opuszczam łuk na ziemię i kopię go butem. Prześlizguje się po kamieniach i zatrzymuje się na jego kolanach.

— Nie jestem ich niewolnikiem — mamrocze mężczyzna.

— Ja jestem — mówię. — Dlatego zabiłam Cato... a on zabił Tresha... a on zabił Clove... a ona próbowała zabić mnie. To tak krąży i krąży, ale kto wygrywa? Nie my. Nie dystrykty. Zawsze Kapitol. Ale mam już dość bycia pionkiem w ich Igrzyskach.

Peeta. Na dachu w noc poprzedzającą nasze pierwsze Głodowe Igrzyska. Zrozumiał to wszystko zanim jeszcze postawiliśmy stopę na arenie. Mam nadzieję, że mnie teraz ogląda, że pamięta tę noc taką, jaka była, i może wybaczy mi, kiedy umrę.

— Mów dalej. Opowiedz im o patrzeniu jak wali się góra — nalega Haymitch.

— Kiedy zobaczyłam dzisiaj jak ta góra się wali, pomyślałam... że znowu to zrobili. Zmusili mnie do zabicia was — ludzi z dystryktów. Ale dlaczego to zrobiłam? Dwunasty i Drugi dystrykt nie mają powodu do walki poza tym jednym, który dał nam Kapitol. — Młody mężczyzna mruga na mnie zawzięcie, nic nie rozumiejąc. Upadam przed nim na kolana, a mój głos jest cichy i nagły. — A dlaczego ty walczysz z rebeliantami na dachach? Z Lymie, która była twoją zwyciężczynią? Z ludźmi, którzy byli twoimi sąsiadami, może nawet członkami rodziny?

— Nie wiem — mówi mężczyzna. Ale nie przestaje celować we mnie z pistoletu.

Podnoszę się i powoli obracam, zwracając się do obsługujących broń maszynową rebeliantów.

— A wy, tam na górze? Pochodzę z miasta kopalni. Od kiedy górnicy skazują innych górników na taką śmierć, a później czekają w pogotowiu, by zabić tych, którym uda się wydostać z rumowiska?

— Kto jest wrogiem? — szepcze Haymitch.

— Ci ludzie... — wskazuję poranione ciała na placu — nie są waszymi wrogami! — Obracam się szybko z powrotem w stronę stacji kolejowej. — Rebelianci nie są waszymi wrogami! Wszyscy mamy jednego wroga, którym jest Kapitol! To nasza szansa, by ukrócić jego rządy, ale potrzebujemy każdej osoby z dystryktu do pomocy!

Kamery nakierowane są na mnie, kiedy wyciągam ręce w stronę mężczyzny, w stronę rannych, w stronę opornych rebeliantów w całym Panem.

— Proszę! Przyłączcie się do nas!

Moje słowa wiszą w powietrzu. Patrzę na ekran z nadzieją, że zobaczę jak nagrywają falę pojednania, która przetoczy się przez tłum.

Zamiast tego obserwuję jak zostaje postrzelona w telewizji.

— Zawsze.

W mroku morfaliny Peeta wyszeptuje to słowo, a ja idę go szukać. To gazowy, fioletowy świat, w którym nie ma ostrych brzegów, a jest za to dużo kryjówek. Przeciskam się przez chmury gazu, podążam niewyraźnymi ścieżkami, wyłapuję zapach cynamonu, kopru. W pewnej chwili czuję jego dłoń na policzku i próbuję ją zatrzymać, ale przesącza się jak mgła przez moje palce.

Kiedy w końcu zaczynam odzyskiwać przytomność w sterylnej sali szpitalnej w Trzynastce, przypominam sobie. Byłam pod wpływem syropu nasennego. Uszkodziłam sobie piętę po tym, jak wspierałam się na gałąź nad elektrycznym ogrodzeniem i wskoczyłam z powrotem do Dwunastki. Peeta ułożył mnie w łóżku, a ja poprosiłam go, by ze mną został, kiedy już zasypiałam. Wyszeptał coś, czego nie udało mi się wyłapać. Ale jakaś część mojego mózgu uchwyciła jego odpowiedź i pozwoliła jej przepływać przez moje sny, by mnie teraz dręczyć. „Zawsze”.

Morfalina przytępia wszystkie krańcowe uczucia, więc zamiast ukłucia smutku czuję tylko pustkę. Jak zmarniały, martwy krzew, na którym kiedyś kwitły kwiaty. Niestety nie zostało w moich żyłach wystarczająco dużo leku, by zagłuszyć ból w lewej stronie ciała. Tam właśnie uderzyła kula. Moje dłonie przemierzają grube bandaże przykrywające moje żebra i zastanawiam się co ja tu jeszcze robię.

To nie był on, ten mężczyzna klęczący przede mną na placu, spalona ofiara z Orzecha. Nie on pociągnął za spust. To był ktoś z tłumu. Nie poczułam się jakby coś mnie przebijało, ale raczej jakby uderzył we mnie wielki młot. Wszystko po chwili uderzenia staje się jednym wielkim zamętem połączonym ze strzelaniną. Próbuję usiąść, ale udaje mi się tylko jęknąć.

Biała zasłona, która oddziela moje łóżko od łóżka następnego pacjenta, rozsuwa się i Johanna Mason wpatruje się we mnie. W pierwszej chwili czuję się zagrożona, bo zaatakowała mnie na arenie. Muszę sobie przypomnieć, że zrobiła to, by uratować mi życie. To była część planu rebeliantów. To jednak wcale nie znaczy, że mną nie gardzi. A może jej zachowanie wobec mnie było tylko grą dla Kapitolu?

— Żyję — mówię słabo.

— No nie żartuj, ty bezmózgu. — Johanna podchodzi i opada na moje łóżko, wysyłając igiełki bólu w kierunku mojej klatki piersiowej. Kiedy uśmiecha się szeroko w odpowiedzi, wiem, że nici ze sceny pojednania. — Wciąż obolała? — Wprawna ręką odczepia przewód morfaliny z mojej ręki i podłącza go do wenflonu w zgięciu swojego ramienia. — Zaczęli odstawiać mi lek kilka dni temu. Obawiam się, że mogę się zmienić w jednego z tych czubków z Szóstki. Pożyczałam sobie trochę od ciebie, kiedy nikt nie patrzył. Nie sądziłam, żeby ci to przeszkadzało.

Przeszkadzało? Jak mogłoby mi to przeszkadzać, skoro była torturowana niemal na śmierć przez Snowa po Ćwierćwieczu Poskromienia? To nie ma prawa mi przeszkadzać i ona o tym wie.

Johanna wzdycha, kiedy morfalina dostaje się do jej krwioobiegu.

— Może nie mieli takiego znowu złego pomysłu w tej Szóstce. Ćpanie i malowanie kwiatów na ciele. Nie takie złe życie. Wydawali się weselsi niż reszta z nas w każdym razie.

W ciągu tygodni po tym, jak opuściłam Trzynastkę, odzyskała nieco wagi. Delikatny meszek włosów pojawił się na jej ogolonej głowie, zakrywając niektóre blizny. Jednak jeśli zabiera mi moją morfalinę, wciąż nie do końca z nią dobrze.

— Dostałam lekarza prowadzącego, który przychodzi tu każdego dnia. Powinien pomagać mi wydobrzeć. Jakby facet, który spędził całe życie w tej króliczej norze mógł mi pomóc. Kompletny idiota. Przynajmniej dwadzieścia razy w ciągu jednej sesji przypomina mi, że jestem całkowicie bezpieczna. — Udaje mi się uśmiechnąć. To naprawdę jedna z głębszych rzeczy, jakie można powiedzieć, szczególnie zwycięzcy. Zupełnie jakby taki stan w ogóle istniał, gdziekolwiek, dla kogokolwiek. — A co z tobą, Kosogłosie? Czy czujesz się całkowicie bezpieczna?

— Och, taak. Dopóki mnie nie postrzelono — mówię.

— Proszę cię. Ta kula nawet cię nie drasnęła. Cinna o to zadbał — mówi.

Myślę o warstwach ochronnego pancerza w moim kostiumie Kosogłosa. Ale ból skądś się wziął.

— Złamane żebra?

— Nawet nie to. Nieźle posiniaczone. Uderzenie rozwaliło ci śledzionę. Nie udało się jej naprawić. — Lekceważąco macha ręką. — Nie martw się, nie potrzebujesz jej. A gdybyś potrzebowała, to by ci ją znaleźli, prawda? Wszyscy mają za zadanie utrzymać cię przy życiu.

— Dlatego mnie nienawidzisz? — pytam.

— Częściowo — przyznaje. — Zazdrość ma w tym oczywiście jakiś udział. Ciężko mi cię przełknąć z tym twoim szmirowatym miłosnym melodramatem i graniem obrończyni uciśnionych. Tylko że to wcale nie jest gra, co czyni cię jeszcze bardziej nie do zniesienia. Proszę cię bardzo, możesz wziąć to do siebie.

— To ty powinnaś być Kosogłosem. Nikt nie musiałby ci dyktować słów przemówienia — mówię.

— Prawda. Ale nikt mnie nie lubi — odpowiada.

— A jednak ci zaufali. Byś pomogła mnie stamtąd wydostać — przypominam jej. — I boją się ciebie.

— Tutaj, być może. W Kapitolu to ciebie się teraz obawiają. — Gale pojawia się w drzwiach, więc Johanna zgrabnie odłącza siebie i podłącza mnie do przewodu z morfaliną.

— Twój kuzyn się mnie nie boi — mówi konspiracyjnie. Zeskakuje z mojego łóżka i idzie w stronę drzwi, trącając nogę Gale’a swoim biodrem, kiedy go mija. — Prawda, przystojniaku? — Słyszymy jej śmiech, kiedy znika w korytarzu.

Unoszę brwi, kiedy Gale chwyta mnie za rękę.

— Jestem przerażony — mruczy. Śmieję się, ale zaraz wykrzywiam się z bólu. — Spokojnie. — Gładzi mnie po twarzy, kiedy ból ustępuje. — Musisz przestać pakować się w kłopoty.

— Wiem. Ale ktoś wysadził górę w powietrze — odpowiadam.

Zamiast się odsunąć, pochyla się ku mojej twarzy.

— Myślisz, że jestem bez serca.

— Wiem, że nie. Ale nie powiem ci, że wszystko w porządku — mówię.

Teraz się odsuwa, niemal niecierpliwie.

— Katniss, co za różnica czy zmiażdżymy wroga w kopalni, czy zestrzelimy go z nieba jedną ze strzał Beete’eego? Rezultat jest ten sam.

— Nie wiem. Po pierwsze, to nas atakowano w Ósemce. Atakowano szpital — mówię.

— Tak, a te poduszkowce przybyły z Drugiego Dystryktu — mówi. — Więc dzięki zestrzeleniu ich zapobiegliśmy dalszym atakom.

— Ale ten rodzaj myślenia... mógłbyś w ten sposób wytłumaczyć zabicie kogokolwiek o dowolnej porze. Mógłbyś usprawiedliwić wysyłanie dzieci na Głodowe Igrzyska, by utrzymać dystrykty w ryzach — mówię.

— Nie przekonuje mnie to — odpowiada.

— A mnie tak — mówię mu. — To pewnie przez te wycieczki na arenę.

— W porządku. Umiemy się kłócić — mówi. — Zawsze to potrafiliśmy. Może to dobrze. A tak między nami mówiąc, zajęliśmy Drugi Dystrykt.

— Naprawdę? — przez moment pojawia się we mnie uczucie triumfu. A potem przypominam sobie ludzi na placu. — Była jakaś walka po tym, jak mnie postrzelono?

— Bardzo krótka. Robotnicy z Orzecha zaatakowali żołnierzy Kapitolu. Rebelianci po prostu siedzieli i patrzyli — mówi. — Właściwie cały kraj po prostu siedział i patrzył.

— Cóż, to im wychodzi najlepiej — mówię.

Można by pomyśleć, że utrata ważnego narządu powinna przykuć człowieka do łóżka na parę tygodni, ale z jakiegoś powodu moi lekarze chcą, bym wstała i ruszała się niemal natychmiast. Nawet z morfaliną wewnętrzny ból jest okropny przez kilka pierwszych dni, ale później powoli ustępuje. Zdaje się jednak, że poobijane żebra dłużej będą dawały o sobie znać. Zaczynam czuć urazę do Johanny za korzystanie z mojego zapasu morfality, ale wciąż pozwalam jej zabierać ile tylko zechce.

Szybko zaczęły się szerzyć pogłoski o mojej śmierci, więc przysłali ekipę, by sfilmowała mnie w szpitalnym łóżku. Pokazuję szwy i imponujące siniaki i gratuluję

dystryktom udanej walki o zjednoczenie. Później ostrzegam Kapitol, by się nas wkrótce spodziewał.

Krótkie nadziemne spacery to część mojej rehabilitacji. Któregoś popołudnia dołącza do mnie Plutarch i wprowadza mnie w szczegóły naszej obecnej sytuacji. Teraz, kiedy Drugi Dystrykt się z nami sprzymierzył, rebelianci robią krótką przerwę w wojnie, by się przegrupować. Ubezpieczają drogi zaopatrzeniowe, leczą rannych, na nowo organizują oddziały. Kapitol, jak Trzynastka podczas Mrocznych Dni, został zupełnie odcięty od pomocy z zewnątrz, bo to grozi nuklearnym atakiem ze strony wrogów. Inaczej niż Trzynastka, Kapitol nie ma szans na wprowadzenie zmian i stanie się samowystarczalnym.

— Miasto być może przez jakiś czas by sobie poradziło — mówi Plutarch. — Oczywiście mają w nim najpotrzebniejsze zapasy. Ale znaczącą różnicą pomiędzy Trzynastką i Kapitołem są oczekiwania społeczeństwa. Trzynastka była przyzwyczajona do ciężkich warunków, podczas gdy w Kapitolu ludzie żyją według zasady „Panem et Circenses”.

— Co to? — Rozpoznaję oczywiście „Panem”, ale reszty nie rozumiem.

— To takie hasło sprzed tysięcy lat, zapisane w języku zwanym łaciną o miejscu zwanym Rzymem — wyjaśnia. — „Panem et Circenses” tłumaczy się jako „Chleba i igrzysk”. Pisarz, który jest jego twórcą, twierdził, że w zamian za pełne brzuchy i rozrywkę obywatele Rzymu zrzekli się swoich politycznych obowiązków, a przez to także swojej władzy.

Myślę o Kapitolu. Nadmiarze jedzenia. I o ostatniej rozrywce. O Głodowych Igrzyskach.

— Więc to po to są im potrzebne dystrykty. By zapewnić chleb i igrzyska.

— Tak. I tak długo, jak udawało się utrzymać ten stan rzeczy, Kapitol mógł kontrolować swoje małe imperium. Teraz nie może zapewnić żadnego z dwóch, przynajmniej w takim zakresie, do którego są przyzwyczajeni ludzie — mówi Plutarch. — My natomiast mamy jedzenie, a ja mam zamiar zorganizować rozrywkowego proposa, który na pewno będzie bardzo popularny. Koniec końców, wszyscy kochają śluby.

Zatrzymuję się i zaczyna mi być niedobrze na myśl o tym, co właśnie sugeruje. W jakiś sposób wyreżyseruje mi makabryczny ślub z Peetą. Nie byłam w stanie zmierzyć się z tym fenickim szkłem odkąd wróciłam i, na moją własną prośbę, tylko Haymitch powiadamia mnie o stanie Peety. Bardzo niewiele o tym mówi. Próbowano różnych technik. Nigdy nie będzie skutecznego środka, by go wyleczyć. A teraz chcą, bym wyszła za Peetę dla proposa?

Plutarch spieszy z wyjaśnieniem.

— Och, nie, Katniss. Nie twój ślub. Finnicka i Annie. Wszystko co musisz zrobić, to pojawić się na nim i udawać, że jesteś szczęśliwa z ich powodu.

— To jedna z niewielu rzeczy, których nie muszę udawać, Plutarch — odpowiadam.

Przez kilka następnych dni panuje jeden wielki zamęt podczas planowania tego wydarzenia. Różnice między Kapitołem i Trzynastką stają się wyraźnie widoczne. Kiedy Coin mówi „ślub”, ma na myśli dwoje ludzi podpisujących kartkę papieru, po czym przydziela im się nową siedzibę. Plutarch ma na myśli setki ludzi ubranych odświętnie na trzydniowym weselu. Zabawnie jest patrzeć jak targują się o każdy szczegół. Plutarch musi walczyć o każdego gościa, każdą nutę. Kiedy Coin wetuje kolację, rozrywkę i alkohol, Plutarch wykrzykuje:

— To jaki będzie sens propoza, jeśli nikt się nie będzie bawił?

Ciężko jest ograniczyć budżet Organizatorowi Igrzysk. Ale nawet cicha ceremonia wywołuje poruszenie w Trzynastce, gdzie zdaje się, że wcale nie ma dni wolnych. Kiedy ogłoszono, że potrzebne są dzieci do śpiewania ślubnej piosenki z Czwartego Dystryktu, praktycznie wszystkie się pojawiają. Nie brakuje też ochotników do pomocy przy dekoracjach. W jadalni ludzie rozmawiają podekscytowani o tym wydarzeniu.

Może chodzi o coś więcej niż o zabawę. Może wszyscy jesteśmy tak bardzo spragnieni dobrych wydarzeń, że chcemy być ich częścią. To by wyjaśniało dlaczego — gdy Plutarch nie wie w co ubrać pannę młodą — zgłaszam się na ochotnika, by zabrać Annie do mojego domu w Dwunastce, gdzie Cinna pozostawił mi wybór sukni wieczorowych w dużej garderobie na parterze. Wszystkie suknie ślubne, które dla mnie zaprojektował, zostały zwrócone Kapitolowi, ale pozostało kilka sukienek, które miałam na sobie podczas Tournée Zwycięzców. Czuję się trochę niepewnie na myśl o przebywaniu z Annie, bo wiem o niej tylko tyle, że Finnick ją kocha i wszyscy myślą, że jest szalona. Podczas podróży poduszkowcem uznaję, że jest raczej niezrównoważona, niż szalona. Śmieje się w dziwnych miejscach w rozmowie albo zupełnie się z niej wyłącza. Jej zielone oczy wpatrują się w jeden punkt tak intensywnie, że człowiek próbuje odgadnąć co też ona dostrzega w pustej przestrzeni. Czasami, bez powodu, przyciska obie dłonie do uszu, jakby chciała zablokować jakiś bolesny dźwięk. W porządku, jest dziwna, ale jeśli Finnick ją kocha, to to mi wystarcza.

Zdobywam pozwolenie, by moja ekipa przygotowawcza wyruszyła razem ze mną, więc zostaję zwolniona z podejmowania jakichkolwiek decyzji w kwestiach mody. Kiedy otwieram szafę, wszyscy milkniemy, bo obecność Cinny tak silnie przepływa przez tkaniny. Nagle Octavia upada na kolana, pociera policzek skrajem spódnicy i wybucha płaczem.

— Już tak dawno — wysapuje — nie widziałam nic ładnego.

Pomimo zastrzeżeń ze strony Coin, że jest zbyt wystawny, i ze strony Plutarcha, że jest zbyt ponury, ślub okazuje się sukcesem. Trzysta szczęśliwych gości wybranych spośród mieszkańców Trzynastki i uciekinierów ubranych jest w codzienne ubrania,

dekoracje wykonane są z jesiennych liści, muzyka zapewniona przez chór dzieci przy akompaniamencie samotnego skrzypka, który wydostał się z Dwunastki razem z instrumentem. Ceremonia jest więc prosta i skromna według kapitolieńskich standardów. To się jednak nie liczy, bo nic nie może się równać z urokiem pary młodej. Nie ze względu na ich pożyczone stroje — Annie ma na sobie jedwabną zieloną sukienkę, którą nosiłam w Piątce, Finnick jeden z garniturów Peety, który nieco dla niego zmienili — chociaż ubrania są niesamowite. Jak można nie zwrócić uwagi na jaśniejące twarze dwojga ludzi, dla których nadejście tego dnia wydawało się kiedyś praktycznie niemożliwe? Dalton, hodowca bydła z Dziesiątki, prowadzi ceremonii i jest podobna do tej z jego dystryktu. Ale jest kilka elementów charakterystycznych dla Czwartego Dystryktu. Sieć utkana z długiej trawy, która przykrywa parę młodą w trakcie ich przysięg, dotykane nawzajem swoich ust słoną wodą i stara piosenka ślubna, która upodabnia małżeństwo do morskiej wyprawy.

Nie, nie muszę udawać, że cieszę się z ich powodu.

Po pocałunku, którzy pieczętują związek, wiatach i toaście winem jabłkowym, skrzypek rozpoczyna grać melodię, która przyciąga uwagę każdego mieszkańca Dwunastki. Mogliśmy być najmniejszym i najbiedniejszym dystryktem Panem, ale tańczyć to my umiemy. Nic nie było na tę chwilę oficjalnie zaplanowane, ale Plutarch, który kieruje propozycją z sali kontrolnej, musi mocno trzymać kciuki. Co było do przewidzenia, Śliska Sae wyciąga Gale'a za rękę na środek parkietu i staje twarzą do niego. Ludzie spieszą, by do nich dołączyć, tworząc dwie długie linie. I zaczyna się taniec.

Stoję z boku, przyklaskując do rytmu, kiedy koścista dłoń szczypie mnie nad łokciem. Johanna patrzy na mnie wilkiem.

— Przepuścisz taką okazję, by pokazać Snowowi jak tańczysz?

Ma rację. Co mogłoby skuteczniej ogłosić zwycięstwo niż szczęśliwy Kosogłos wirujący w rytm muzyki? Odnajduję w tłumie Prim. Jako że zimowe wieczory dały nam sporo czasu na ćwiczenia, jesteśmy całkiem niezłymi partnerkami. Uspokajam jej obawy o moje żebra i zajmujemy miejsca w rzędach. To boli, ale satysfakcja z pokazania Snowowi jak tańczę z moją małą siostrą zagłusza inne uczucia.

Taniec nas zmienia. Uczymy kroków gości z Trzynastki. Nalegamy na specjalny taniec dla państwa młodych. Chwytny się za ręce i tworzymy wielkie, obracające się koło, w którym ludzie popisują się pracą stóp. Nic tak niemądrego, radosnego albo po prostu zabawnego nie zdarzyło się od tak dawna. Moglibyśmy się tym cieszyć przez całą noc, gdyby nie ostatni element propozycji zaplanowany przez Plutarcha. Element, o którym nic nie wiedziałam, ale który miał być niespodzianką.

Czworo ludzi wwozi na salę gigantyczny tort weselny z sali obok. Większość gości wycofuje się, robiąc miejsce dla tej niezwykłości, tego zdumiewającego tworu z niebiesko-zielonymi, wykończonymi na biało, lukrowanymi falami z pływającymi w nich

rybami i żagłówkami, fokami i morskimi kwiatami. Ale ja przeciskam się przez tłum, by upewnić się w tym, o czym wiedziałam od pierwszego wejrzenia. Równie pewne jak to, że haftowane wzory na sukni Annie stworzone zostały ręką Cinny, jest to, że lukrowane kwiaty na cieście zostały zrobione przez Peetę.

To może się wydawać drobnostką, ale dla mnie tort niemal krzyczy. Haymitch nie o wszystkim mi mówił. Chłopak, którego widziałam ostatnio, krzyczący, próbujący wyswobodzić się z przytrzymujących go pasów, nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Nie mógłby się wystarczająco skupić, utrzymać spokojnie dłoni, zaprojektować czegoś równie doskonałego dla Finnicka i Annie. Jakby przewidując moją reakcję, Haymitch pojawia się u mojego boku.

— Porozmawiajmy — mówi.

W korytarzu, poza zasięgiem kamer, pytam:

— Co się z nim dzieje?

Haymitch kręci głową.

— Nie wiem. Nikt nie wie. Czasami zachowuje się niemal racjonalnie, a później, zupełnie bez powodu, znowu się załamuje. Praca nad tortem była częścią terapii. Pracował nad nim całymi dniami. Kiedy się na niego patrzyło... wydawało się, że znów jest prawie sobą.

— Więc został wypuszczony z tamtej sali? — pytam. To sprawia, że robię się nerwowa z co najmniej pięciu różnych powodów.

— Och, nie. Był uważnie pilnowany podczas lukrowania. Wciąż jest w zamknięciu. Ale rozmawiałem z nim — mówi Haymitch.

— Twarzą w twarz? — pytam. — I nie oszalał?

— Nie. Jest na mnie wściekły, ale ma ku temu powody. Nie powiedziałem mu o planie rebeliantów i w ogóle. — Haymitch milknie na moment, jakby się wahał. — Mówi, że chciałby się z tobą zobaczyć.

Nagle jestem na lukrowanej żagłówce, kołysząc się na niebiesko-zielonych falach, a pokład przesuwają pod moimi stopami. Opieram się o ścianę, by się uspokoić. Tego nie było w planie. Skreśliłam Peetę już w Dwójce. Później miałam wyruszyć do Kapitolu, zabić Snowa i sama dać się zabić. Postrzał jedynie to wszystko opóźnił. Nigdy nie miałam usłyszeć słów „Mówi, że chciałby się z tobą zobaczyć”. Ale kiedy już je usłyszałam, nie mogę odmówić.

Jest północ, a ja stoję przed drzwiami jego celi. Sali szpitalnej. Musieliśmy poczekać aż Plutarch skończy kręcić swój ślubny materiał, z którego, pomimo braku czegoś, co on nazywa hulanką, jest zadowolony.

— Najlepsze w ignorowaniu Dwunastki przez Kapitol przez te wszystkie lata jest to, że wciąż macie w sobie trochę spontaniczności. Widownia to kocha. Jak wtedy, kiedy

Peeta ogłosił, że jest w tobie zakochany, albo kiedy zrobiłaś ten numer z jagodami. Jesteście stworzeni do telewizji.

Chciałabym się spotkać z Peetą na osobności. Ale widownia złożona z lekarzy zebrała się już przez szkłem fenickim z gotowymi podkładkami, przygotowanymi długopisami. Kiedy słyszę głos Haymitcha w mojej słuchawce, pozwalający mi wejść do środka, powoli otwieram drzwi.

Jego niebieskie oczy natychmiast zaczynają się we mnie wpatrywać. Ma po trzy pasy bezpieczeństwa na każdym ramieniu i rurkę, która uwolni lek uspokajający, jeśli straci panowanie. Nie próbuje się jednak uwolnić, obserwuje mnie tylko zaniepokojonym spojrzeniem osoby, która jeszcze nie do końca rozstrzygnęła czy znajduje się w obecności zmiecha. Podchodzę bliżej aż znajduję się jakiś metr od łóżka. Nie mam co zrobić z rękoma, więc w obronnym geście krzyżuję ramiona na piersi i dopiero wtedy się odzywam:

— Hej.

— Hej — odpowiada.

To brzmi jak jego głos. Prawie jego głos, tylko że jest w nim coś nowego. Ślad podejrzliwości i wyrzutu.

— Haymitch powiedział, że chcesz ze mną porozmawiać — mówię.

— Popatrzeć na ciebie, na początek. — Tak jakby oczekiwał, że zmienię się w zmutowanego, śliniącego się wilka na jego oczach. Gapi się na mnie tak długo, że zaczynam spoglądać w stronę szyby, licząc na jakieś wskazówki od Haymitcha, ale moja słuchawka milczy. — Nie jesteś specjalnie wysoka, prawda? Ani szczególnie ładna?

Wiem, że przebył drogę do piekła i z powrotem, a jednak jego spostrzeżenie kieruje mnie w złą stronę.

— Cóż, ty wyglądałeś już dużo lepiej.

Rada Haymitcha, by się wycofać, zostaje zagłuszona przez śmiech Peety.

— I ani trochę uprzejma. Mówić mi takie rzeczy po tym wszystkim, przez co przeszedłem.

— Taa... Wszyscy dużo przeszliśmy. I to ty uchodziłeś za tego miłego. Nie ja. — Wszystko robię źle. Nie wiem dlaczego tak się bronię. On był torturowany! Został zawładnięty! Co jest ze mną nie tak? Nagle czuję, że mogłabym na niego nakrzyczeć — nie jestem nawet pewna za co — więc decyduję się wycofać. — Słuchaj, nie czuję się najlepiej. Może wpadnę jutro.

Właśnie docieram do drzwi, kiedy jego głos mnie zatrzymuje.

— Katniss, pamiętam o chlebie.

Chleb. Jedyna chwila, którą dzieliliśmy przed Igrzyskami.

— Pokazali ci taśmę, na której o tym opowiadam — mówię.

— Nie. Czy jest taśma, na której o tym opowiadasz? Dlaczego Kapitol nie użył jej przeciwko mnie? — pyta.

— Nagraliśmy ją w dniu, w którym cię uratowali — odpowiadam. Ból w klatce piersiowej owija się wokół moich żeber jak imadło. Taniec był błędem. — Co pamiętasz?

— Ciebie. W deszczu — mówi łagodnie. — Grzebiącą w naszych pojemnikach na śmieci. Pamiętam, że przypaliłem chleb. Że mama mnie uderzyła. Że wyniosłem chleb na zewnątrz dla świni, ale zamiast tego dałem go tobie.

— Tak było. Właśnie to się wydarzyło — mówię. — Następnego dnia, po szkole, chciałam ci podziękować. Ale nie wiedziałam jak.

— Byliśmy na zewnątrz pod koniec dnia. Próbowałem napotkać twoje spojrzenie. Odwróciłaś wzrok. A później... z jakiegoś powodu, chyba zerwałaś mlecz. — Przytakuję. Naprawdę pamięta. Nigdy nie mówiłam głośno o tej chwili. — Musiałem cię bardzo kochać.

— Kochałeś — mój głos się załamuje i udaję, że kaszlę.

— A ty kochałaś mnie? — pyta.

Wbijam wzrok w wykafelkowaną podłogę.

— Wszyscy mówią, że tak. Wszyscy mówią, że dlatego Snow cię torturował. By mnie złamać.

— To nie jest odpowiedź — mówi mi. — Nie wiem co myśleć, kiedy pokazują mi niektóre taśmy. Na pierwszej arenie to wyglądało tak, jakbyś chciała mnie zabić za pomocą tych gończych os.

— Próbowałam zabić was wszystkich — mówię. — Zmusiliście mnie do ataku.

— Później jest dużo całowania. To nie wyglądało specjalnie szczerze z twojej strony. Lubiałaś mnie całować? — pyta.

— Czasami — przyznaję. — Wiesz, że nas teraz obserwują?

— Wiem. A co z Gale'em? — ciągnie.

Moja złość powraca. Nie obchodzi mnie jego rehabilitacja — to nie sprawa ludzi za szkłem.

— On też nieźle całuje — mówię krótko.

— I czułaś się z tym dobrze? Całując nas obu? — pyta.

— Nie. Nie czułam się w porządku wobec żadnego z was. Ale nie pytałam cię o pozwolenie — mówię mu.

Peeta śmieje się znowu, zimno, lekceważąco.

— Niezłe z ciebie ziółko, co?

Haymitch nie protestuje, kiedy wychodzę. Na korytarz. Przez labirynt oddziałów. Szukam ciepłej rury, by schować się za nią w pralni. Dużo czasu zajmuje mi zrozumienie dlaczego jestem taka zdenerwowana. Kiedy w końcu mi się to udaje, niemal wstyd mi się do tego przyznać. Te wszystkie długie miesiące, kiedy Peeta myślał, że jestem wspaniała,

dobiegły końca. W końcu może mnie zobaczyć taką, jaka naprawdę jestem. Wybuchowa.
Nieufna. Manipulująca. Śmiercionośna.

I nienawidzę go za to.

Oszołomiona. Tak się czuję, kiedy Haymitch mówi mi o wszystkim w szpitalu. Lecę w dół po schodach do Centrum Dowodzenia, przebiegłam chyba dwa kilometry w minutę, i wpadam prosto na zebranie wojenne.

— Jak to nie zabieracie mnie do Kapitolu? Muszę tam lecieć! Jestem Kosogłosem! — mówię.

Coin niechętnie odrywa wzrok od swojego ekranu.

— I twój główny cel jako Kosogłosa, zjednoczenie dystryktów przeciwko Kapitolowi, został osiągnięty. Nie martw się — jeśli pójdzie dobrze, podrzucimy cię na akt poddania miasta.

Poddania?

— To będzie za późno! Ominie mnie cała walka! Potrzebujecie mnie — strzelam najlepiej ze wszystkich! — krzyczę. Zwykle się tym nie przechwalam, ale musi być w tym choć trochę prawdy. — Gale leci.

— Gale pojawiał się na szkoleniu każdego dnia, chyba że miał inne obowiązki. Jesteśmy pewni, że poradzi sobie na polu walki — mówi Coin. — A na ilu treningach ty się pojawiłaś, tak w przybliżeniu?

Na żadnym. Właśnie na tyłu.

— Cóż, czasami polowałam. I... trenowałam z Beetee'em w Broni Specjalnej.

— To nie to samo, Katniss — mówi Boggs. — Wszyscy wiemy, że jesteś bystra, odważna i dobrze strzelasz. Ale potrzebujemy żołnierzy na polu walki. Nie wiesz nic o wypełnianiu rozkazów i nie jesteś w najlepszej formie.

— To nie było problemem, kiedy wysłaliście mnie do Ósemki. Albo Dwójki, z tego co mi wiadomo — odparowuję.

— Nie miałaś początkowo pozwolenia na udział w walkach w żadnym z tych przypadków — mówi Plutarch, piorunując mnie wzrokiem, który sugeruje, że zaraz ujawnię zbyt wiele.

Nie, atak na bombowce w Ósemce i moja interwencja w Dwójce były spontaniczne, nieprzemyślane i zdecydowanie nieautoryzowane.

— I w obu odniosłaś rany — przypomina mi Boggs. Nagle dostrzegam siebie przez ich oczy: małą, siedemnastoletnią dziewczynę, która nie może nawet złapać tchu, bo jej żebra nie do końca się wygoiły. Zaniedbaną. Niezdyscyplinowaną. W trakcie leczenia. Nie jestem dla nich żołnierzem, ale kimś, kim trzeba się opiekować.

— Ale ja muszę lecieć — mówię.

— Dlaczego? — pyta Coin.

Nie bardzo mogę powiedzieć, że chcę się zemścić na Snowie. Albo że myśl o pozostaniu w Trzynastce z ostatnią wersją Peety, kiedy Gale wyrusza, by walczyć, jest nie do zniesienia. Ale powody, dla których chcę walczyć w Kapitolu, nie kończą się.

— Ze względu na Dwunastkę. Ponieważ zniszczyli mój dystrykt.

Pani prezydent zastanawia się nad tym przez chwilę. Ocenia mnie.

— Cóż, masz trzy tygodnie. To niedużo, ale możesz zacząć szkolenie. Jeśli Rada Przydziału uzna, że możesz lecieć, być może rozpatrzymy twoją sprawę ponownie.

To tyle. Najwyżej na tyle mogę liczyć. To pewnie moja wina. Rzeczywiście codziennie ignorowałam plan dnia, chyba że coś mi odpowiadało. Nie wydawało mi się to sprawą wielkiej wagi, bieganie z bronią dookoła poligonu, kiedy wokół działo się tyle innych rzeczy. I teraz płacę za swoje niedbalstwo.

Kiedy wracam do szpitala, znajduję Johannę Mason w tej samej sytuacji co ja, równie złą. Mówię jej o tym, co powiedziała Coin.

— Może też byś mogła trenować.

— Świetnie. Będę trenować. Ale polecę do śmierdzącego Kapitolu, choćbym miała powybijać całą ekipę i zacząć pilotować — mówi Johanna.

— Może lepiej nie mówić o tym na szkoleniu — mówię. — Ale miło wiedzieć, że ktoś mnie tam podrzuci.

Johanna szczerzy się do mnie, a ja czuję niewielką, ale znaczącą poprawę naszych relacji. Pewnie nie jesteśmy jeszcze przyjaciółkami, ale słowo „sprzymierzeńcy” wydaje się odpowiednie. To dobrze. Będę potrzebować sprzymierzeńca.

Następnego ranka, kiedy pojawiamy się na szkoleniu o 7:30, rzeczywistość zdaje się mnie policzkować. Zostałyśmy przydzielone do klasy względnych początkujących, czternasto- albo piętnastolatków, co wydaje się nieco obraźliwe, dopóki nie okazuje się, że oni są w dużo lepszej formie niż my. Gale i inni, których już wybrano do walki w Kapitolu, są w innej, przyspieszonej fazie treningu. Po rozciąganiu — które boli — mamy parę godzin na ćwiczenia wzmacniające — które bolą — i ośmiokilometrowy bieg — który zabija. Nawet z obraźliwymi komentarzami Johanny, które miały mnie motywować, odpadam po niecałych dwóch kilometrach.

— To przez żebra — mówię trenerce, rzeczowej kobiecie w średnim wieku, do której mamy się zwracać per Żołnierzu York. — Wciąż są poobijane.

— Cóż, powiem ci coś, Żołnierzu Everdeen, kolejny miesiąc zajmie im uleczenie się we własnym zakresie — mówi.

Potrząsam głową.

— Nie mam miesiąca.

Mierzy mnie spojrzeniem od góry do dołu.

— Lekarze nie zaproponowali ci żadnego leczenia?

— A jest jakieś? — pytam. — Powiedzieli, że muszą się wygoić naturalnie.

— Tak właśnie mówią. Ale mogliby przyspieszyć proces, gdybym im to poleciła. Ostrzegam cię jednak, że to nic przyjemnego — mówi mi.

— Proszę. Muszę się dostać do Kapitolu — odpowiadam.

Żołnierz York wcale tego nie kwestionuje. Zapisuje coś jedynie na karteczce i wysyła mnie z powrotem prosto do szpitala. Waham się. Nie chcę ominąć już żadnego szkolenia.

— Będę z powrotem na sesji popołudniowej — obiecuję. Ona jedynie ściąga wargi.

Dwadzieścia cztery ukłucia igły w moją klatkę piersiową później, leżę rozplaszczona na szpitalnym łóżku i zaciskam zęby, by nie zacząć ich błagać o podłączenie mnie znowu do przewodu z morfaliną. Zawsze była przy moim łóżku, bym mogła jej użyć w razie potrzeby. Nie korzystałam z niej ostatnio, ale zatrzymałam ją dla dobra Johanny. Dzisiaj przebadali moją krew, by upewnić się, że nie ma w niej śladów leku przeciwbólowego, jako że zmieszanie tych dwóch — morfaliny i tego, co płonie w moich żebrach — wywołuje niebezpieczne skutki uboczne. Wyjaśnili mi, że to będzie kilka trudnych dni. Ale kazałam im to zrobić.

— Chyba mi się nie uda — wyznaję.

— Uda ci się. Obu nam się uda. Jesteśmy zwyciężczyniami, pamiętasz? Potrafimy przetrwać wszystko, cokolwiek na nas ześlą — warczy na mnie Johanna. Jej skóra ma niezdrowy zielonkawy odcień, a ona trzęsie się jak liść na wietrze. Ubieram się.

Musimy być zwyciężczyniami, by przetrwać następny poranek. Wydaje mi się, że stracę Johannę, kiedy zdajemy sobie sprawę, że pada. Jej twarz szarzeje i wydaje się jakby przestała oddychać.

— To tylko woda. Nie zabije nas — mówię.

Zaciska zęby i wychodzi na błoto. Deszcz przemacza nas, kiedy się rozgrzewamy, a później zbieramy się do biegu. Znowu odpadam przed drugim kilometrem i muszę się oprzeć pokusie zdjęcia koszulki, by chłodny deszcz ugasił ogień w moich żebrach. Wmuszam w siebie obiad złożony z rozmięklej ryby i duszonych buraków. Johannie udaje się zjeść połowę zawartości miski, po czym zwraca ją. Po południu uczymy się jak składać broń. Mnie się udaje, ale ręce Johanny za bardzo się trzęsą, by mogła dopasować do siebie wszystkie części. Kiedy York się odwraca, pomagam jej. Mimo że deszcz wciąż pada, popołudniowy trening jest dużo lepszy, ponieważ przenosimy się na strzelnicę. W końcu coś, w czym jestem dobra. Trochę czasu zabiera przestawienie się z łuku na broń palną, ale pod koniec dnia uzyskuję najlepszy wynik w grupie.

Właśnie docieramy do drzwi szpitala, kiedy Johanna oświadcza:

— To musi się skończyć. Nie możemy mieszkać w szpitalu. Wszyscy uważają nas za pacjentki.

Dla mnie to nie problem. Mogę przenieść się do naszego rodzinnego oddziału, ale Johannie nigdy żadnego nie przydzielono. Kiedy próbuje się wypisać ze szpitala, nie

pozwalają jej zamieszkać samej, nawet jeśli będzie codziennie przychodzić na rozmowy z lekarzem prowadzącym. Myślę, że mogli się zorientować w sprawie morfaliny, a to tylko utwierdza ich w przekonaniu, że jej stan nie jest stabilny.

— Nie będzie sama. Zamieszkam z nią — ogłaszam.

Nie wszyscy się z tym zgadzają, ale Haymitch bierze naszą stronę i gdy nadchodzi noc, mamy już kwaterę naprzeciwko Prim i mamy, które zgadzają się mieć na nas oko.

Po tym jak biorę prysznic, a Johanna w pewien sposób wyciera się wilgotną szmatką, pobieżnie przygląda się nowemu miejscu. Kiedy otwiera szafkę, w której znajduje się ta garstka osobistych przedmiotów, którą posiadam, szybko ją zamyka.

— Przepraszam.

Myślę o tym, że szafka Johanny wypełniona jest jedynie przyznanymi jej przez rząd ubraniami. Że nie ma na tym świecie nic, co mogłaby nazwać swoim.

— W porządku. Możesz przejrzeć moje rzeczy, jeśli chcesz.

Johanna otwiera mój medalion i przygląda się zdjęciom Gale'a, Prim i mojej mamy. Rozwija srebrny spadochron, wyciąga z niego sącdek i naciąga go na swój mały palec.

— Samo patrzenie sprawia, że chce mi się pić. — Później znajduje perłę, którą dał mi Peeta. — Czy to...?

— Taa — odpowiadam. — Jakoś przetrwała.

Nie chcę mówić o Peecie. Jedną z lepszych rzeczy w treningu jest to, że odrywa moje myśli od niego.

— Haymitch mówi, że mu się polepsza — mówi Johanna.

— Może. Ale zmienił się — odpowiadam.

— Ty także. I ja. I Finnick, i Haymitch, i Beetee. Nawet nie będę mówić o Annie Cresta. Arena wszystkich nas nieźle przetrąciła, nie sądzisz? A może wciąż czujesz się jak ta dziewczyna, która zgłosiła się na Igrzyska zamiast siostry? — pyta mnie.

— Nie — mówię.

— To jedyna rzecz, co do której mój lekarz prowadzący może mieć rację. Nie ma powrotu do tego, co było. Więc możemy równie dobrze iść dalej. — Starannie odkłada moje skarby do szafki i wspina się na łóżko naprzeciwko mnie w chwili, kiedy gasną światła. — Nie boisz się, że zabiję cię dziś w nocy?

— Jakbym nie mogła sobie z tobą poradzić — odpowiadam. I śmiejemy się.

Nasze ciała są tak sponiewierane, że cudem byłoby, gdyby udało nam się wstać następnego dnia. Ale udaje się. Każdego ranka nam się udaje. Pod koniec tygodnia moje żebra są prawie jak nowe, a Johanna może złożyć karabin bez niczyjej pomocy.

Żołnierz York przytakuje z uznaniem, kiedy kończymy ćwiczenia tego dnia.

— Dobra robota, żołnierze.

Kiedy nikt nie może nas podsłuchać, Johanna mruczy:

— Myślę, że wygrana w Igrzyskach była łatwiejsza.

Ale wyraz jej twarzy świadczy o tym, że jest zadowolona.

W prawie dobrych nastrojach idziemy do jadalni, gdzie Gale czeka, by ze mną zjeść. Otrzymanie gigantycznej porcji gulaszu wołowego również nie wpływa źle na mój humor.

— Dzisiejszego ranka przysłali pierwsze ładunki jedzenia — mówi mi Śliska Sae. — To prawdziwa wołowina, z Dziesiątego Dystryktu. Nie żaden z waszych dzikich psów.

— Nie przypominam sobie, byś kiedykolwiek którymś pogardziła — odparowuje Gale.

Dołączamy do grupy, która obejmuje Delly, Annie i Finnicka. Cudownie jest widzieć przemianę Finnicka po ślubie. Jego wcześniejsze wcielenia — upadły idol Kapitolu, którego poznałam przed Poskromieniem, tajemniczy sojusznik na arenie, załamany młody mężczyzna, który próbował mi pomóc — zostały zastąpione przez kogoś, kto promienieje życiem. Naturalny urok Finnicka z jego dystansem do samego siebie i niefrasobliwą naturą po raz pierwszy w pełni się ukazały. Nigdy nie puszcza ręki Annie. Ani kiedy chodzą, ani kiedy jedzą. Wątpię, by kiedykolwiek miał taki zamiar. Ona wydaje się zamroczona szczęściem. Wciąż są chwile, kiedy coś pojawia się w jej umyśle i inny świat przysłania jej nas. Jednak kilka słów Finnicka przyzywa ją z powrotem.

Delly, którą znam od dziecka, ale nigdy nie poświęcałam jej zbyt wielkiej uwagi, zyskała w moich oczach. Powiadomiono ją o tym, co powiedział mi Peeta w nocy po ślubie, ale nie jest plotkarą. Haymitch mówi, że to ona broni mnie najlepiej, kiedy Peeta wpada w pewnego rodzaju rozdarcie co do mnie. Zawsze bierze moją stronę, zrzucając winę za jego negatywne wyobrażenia na tortury Kapitolu. W każdym razie, nawet jeśli wyolbrzymia moje dobre strony, naprawdę to doceniam. Szczerze mówiąc, przydałoby mi się trochę wyolbrzymienia.

Jestem wygłodniała, a gulasz jest tak pyszny — wołowina, ziemniaki, rzepa i cebula w gęstym sosie — że muszę zmuszać się, by nie jeść za szybko. W całej jadalni czuje się ożywienie, które może wywołać dobry posiłek. Sprawia, że ludzie stają się miłsi, zabawniejsi, bardziej optymistyczni, i przypomina im, że dalsze zmaganie się z życiem nie jest błędem. To lepsze niż jakikolwiek lek. Próbuję więc wydłużyć posiłek i włączam się do rozmowy. Namaczam chleb w sosie i skubię go, słuchając jak Finnick opowiada jakąś niedorzeczną historię o żółwiu morskim odpływającym z jego kapeluszem. Śmieję się zanim zdaję sobie sprawę, że tam stoi. Naprzeciwko stołu, za wolnym miejscem obok Johanny. Obserwuje mnie. Momentalnie zaczynam się dławić, kiedy namoczony chleb utyka mi w gardle.

— Peeta! — mówi Delly. — Jak miło cię widzieć.

Dwóch potężnych strażników stoi za nim. Niezręcznie trzyma swoją tacę, utrzymując ją na opuszkach palców, bo jego nadgarstki są spięte kajdankami z krótkim łańcuchem między nimi.

— O co chodzi z tymi wymyślnymi bransoletami? — pyta Johanna.

— Nie jestem jeszcze godny zaufania — odpowiada Peeta. — Nie mogę tu nawet usiąść, jeśli mi nie pozwolicie. — Ruchem głowy wskazuje na strażników.

— Pewnie, że może tu usiąść. Jesteśmy starymi przyjaciółmi — mówi Johanna, poklepując miejsce obok siebie. Strażnicy przytakują i Peeta siada. — Peeta i ja byliśmy w sąsiadujących celach w Kapitolu. Jesteśmy dobrze zaznajomieni ze swoimi krzykami.

Annie, siedząca po drugiej stronie Johanny, zakrywa sobie uszy i ucieka od rzeczywistości. Rozzłoszczony Finnick piorunuje Johannę spojrzeniem i ramieniem obejmuje Annie.

— No co? Mój lekarz prowadzący twierdzi, że nie powinnam cenzurować swoich myśli. To część mojej terapii — odpowiada Johanna.

To koniec zabawy na naszym małym przyjęciu. Finnick mruczy coś do Annie, aż w końcu powoli opuszcza ona dłonie. A później następuje długie milczenie, kiedy ludzie udają, że jedzą.

— Annie — mówi radośnie Delly — wiesz, że to Peeta udekorował wasz tort weselny? W domu jego rodzina prowadziła piekarnię, a on zajmował się lukrowaniem.

Annie ostrożnie spogląda za Johanną.

— Dziękuję ci, Peeta. Był piękny.

— Cała przyjemność po mojej stronie, Annie — mówi Peeta i słyszę w jego głosie tę starą szarmancką nutę, której już nigdy nie spodziewałam się usłyszeć. Nie żeby skierowana była w moją stronę. Ale i tak...

— Jeśli mamy zamiar przyłączyć się do spaceru, lepiej już chodźmy — mówi Finnick. Układa obie ich tace tak, by mógł je nieść w jednej ręce, podczas gdy drugą mocno trzyma Annie. — Miło było cię widzieć, Peeta.

— Bądź dla niej miły, Finnick. Inaczej spróbuję ci ją odebrać.

To mógłby być żart, gdyby nie powiedział tego takim chłodnym tonem. Wszystko z tym związane jest złe. Oczywisty brak zaufania do Finnicka, aluzja, że Peecie wpadła w oko Annie, że Annie mogłaby zostawić Finnicka, że ja nawet nie istnieję.

— Och, Peeta — mówi lekko Finnick. — Nie każ mi żałować, że wznowiłem bicie twojego serca. — Zanim wyprowadza Annie z jadalni, obdarza mnie zaniepokojonym spojrzeniem.

Kiedy znikają, Delly mówi tonem pełnym wyrzutu:

— On naprawdę uratował ci życie, Peeta. Więcej niż raz.

— Dla niej. — Wskazuje mnie ruchem głowy. — Dla rebelii. Nie ze względu na mnie. Niczego nie jestem mu winien.

Nie powinnam była dać się sprowokować, ale nie wytrzymuję:

— Być może masz rację. Ale Mags nie żyje, a ty wciąż tu jesteś. To powinno się liczyć.

— Taa, wiele rzeczy powinno się liczyć, a wcale tak nie jest, Katniss. Mam wspomnienia, z których nie potrafię wyłować sensu i nie sądzę, by Kapitol przy nich majstrował. Wiele nocy w pociągu, na przykład — mówi.

Znowu aluzje. Że w pociągu zdarzyło się więcej niż w rzeczywistości. Że to co naprawdę się zdarzyło — te noce, podczas których spałam spokojnie jedynie dlatego, że otaczały mnie jego ramiona — już nie ma znaczenia. Że wszystko było jedynie kłamstwem, wykorzystywaniem go.

Peeta wykonuje pewien gest łyżką, łącząc mnie i Gale'a.

— Więc, czy wy dwoje jesteście już oficjalnie parą, czy wciąż ciągną teorię nieszczęśliwych kochanków?

— Wciąż ją ciągną — mówi Johanna.

Skurcz powoduje, że dłonie Peety zaciskają się w pięści, a później rozginają się w dziwny sposób. Czy to wszystko, co może zrobić, by utrzymać je z daleka od mojej szyi? Wyczuwam napięcie w mięśniach Gale'a obok mnie i boję się kłótni. Ale Gale mówi tylko:

— Nigdy bym w to nie uwierzył, gdybym nie zobaczył tego na własne oczy.

— W co? — pyta Peeta.

— W ciebie — odpowiada Gale.

— Musisz być bardziej precyzyjny — mówi Peeta. — Co ze mną?

— To, że zastąpili cię złą, zmutowaną wersją ciebie — mówi Johanna.

Gale dopija mleko.

— Skończyłaś? — pyta mnie.

Podnoszę się i odnosimy nasze tace. W drzwiach zatrzymuje mnie stary człowiek, bo wciąż zaciskam w dłoni umoczony w sosie chleb. Coś w wyrazie mojej twarzy, a może fakt, że nie próbowałam tego ukryć, sprawia, że nie jest nieprzyjemny. Pozwala mi włożyć chleb do ust i iść dalej. Gale i ja prawie docieramy do mojego oddziału, kiedy znowu się odzywa:

— Tego się nie spodziewałem.

— Mówiłam ci, że mnie nienawidzi — mówię.

— To sposób w jaki cię nienawidzi. To takie... znajome. Też się tak czułem — wyznaje. — Kiedy patrzyłem jak całujesz go na ekranie. Ja jednak wiedziałem, że to nie do końca w porządku. On nie może tego wiedzieć.

Docieramy do drzwi.

— Może on po prostu widzi mnie taką, jaka naprawdę jestem. Muszę się przespać.

Gale łapie mnie za ramię zanim udaje mi się zniknąć.

— Więc tak właśnie myślisz? — Wzruszam ramionami. — Katniss, jako twój najlepszy przyjaciel mówię ci, że nie widzi cię taką, jaka naprawdę jesteś.

Całuje mnie w policzek i odchodzi.

Siadam na łóżku i próbuję przyswoić informacje z mojego podręcznika Taktyki Militarnej, ale wspomnienia nocy z Peetą w pociągu rozpraszają mnie. Po jakichś dwudziestu minutach przychodzi Johanna i rzuca się w nogi mojego łóżka.

— Opuściłaś najlepszą część. Delly zaczęła się wściekać na Peetę za to, jak cię potraktował. Zaczęła nieźle pisać. Zupełnie jakby była myszą, którą ktoś co chwilę dźga widelcem. Cała jadalnia na nas patrzyła.

— Co zrobił Peeta? — pytam.

— Zaczął się kłócić z samym sobą, jakby miał rozdwojenie jaźni. Strażnicy musieli go wyprowadzić. Z drugiej strony, nikt chyba nie zauważył, że dokończyłam jego gulasz.

Johanna masuje dłonią swój nadęty brzuch. Patrzę na warstwę brudu pod jej paznokciami. Ciekawe czy ludzie z Siódemki kiedykolwiek się kąpią.

Spędzamy kilka godzin na przepytywaniu się nawzajem z wojskowej terminologii. Wpadam na chwilę do mamy i Prim. Kiedy wracam do swojego oddziału, wykąpana, wpatrująca się w ciemność, wreszcie zadaję pytanie:

— Johanna, czy naprawdę słyszałaś jak krzyczał?

— To było częścią tego wszystkiego — mówi. — Jak głoskułki na arenie. Tylko że tym razem to było prawdziwe. I nie kończyło się po godzinie. Tik-tak.

— Tik-tak — szepczę w odpowiedzi.

Róże. Zmutowane wilki. Trybuci. Lukrowane delfiny. Przyjaciele. Kosogłose. Styliści. Ja.

Wszystko krzyczy dziś w moich snach.

Rzucam się zawzięcie w wir szkolenia. Jem, żyję i oddycham treningami, musztrą, ćwiczeniami z bronią, wykładami o taktyce. Garstka z nas została przeniesiona do dalszej grupy, co daje mi nadzieję, że wyślą mnie na prawdziwą wojnę. Żołnierze nazywają to po prostu Przecznicą, ale tatuaż na moim ramieniu określa to jako S.W.U., skrót od Symulacji Walk Ulicznych. Głęboko w Trzynastce zbudowano imitację kapitolńskiej ulicy. Instruktor dzieli nas na ośmioosobowe grupy, w których próbujemy wykonać misję — zdobyć pozycję, zniszczyć cel, znaleźć schronienie — jakbyśmy naprawdę chcieli wywalczyć sobie drogę przez Kapitol. Miejsce jest naładowane pułapkami, by wszystko, co tylko może pójść źle, poszło źle. Jeden fałszywy ruch uruchamia minę, snajper pojawia się na dachu, broń się blokuje, płaczące dziecko prowadzi w pułapkę, dowódca szwadronu — który jest tylko zaprogramowanym głosem — zostaje uderzony z moździerza i musimy wykombinować co robić dalej bez rozkazów. Część ciebie wie, że to tylko ćwiczenia i że cię nie zabiją. Jeśli uruchomisz minę, słyszysz eksplozję i musisz udawać, że padasz trupem. Jednak ogólnie to wszystko wydaje się całkiem rzeczywiste — żołnierze wroga ubrani w mundury Strażników Pokoju, zamieszanie po wybuchu bomby dymnej. Używają na nas nawet gazu. Tylko Johanna i ja wyciągamy nasze maski na czas. Reszta grupy odpływa na dziesięć minut. A teoretycznie nieszkodliwy gaz, który wciągnęłam kilka razy w płuca, przez całą resztę dnia wywołuje u mnie paskudny ból głowy.

Cressida wraz z ekipą filmuje mnie i Johannę na strzelnicy. Wiem, że Gale i Finnick także są filmowani. To część nowej serii propositów skierowanych do rebeliantów przygotowujących się do inwazji na Kapitol. Ogólnie wszystko idzie całkiem nieźle.

I wtedy Peeta zaczyna się pojawiać na naszych porannych treningach. Ma zdjęte kajdany, ale wciąż towarzyszy mu para strażników. Po obiedzie widzę go po drugiej stronie poligonu, ćwiczącego z początkującymi. Nie wiem co oni sobie myślą. Jeśli sprzeczka z Delly powoduje, że zaczyna się kłócić z samym sobą, nie powinien się uczyć jak składać broń.

Kiedy żądam wyjaśnień od Plutarcha, zapewnia mnie, że to wszystko na potrzeby kamer. Nagrali już jak Annie wychodzi za mąż, a Johanna trafia do celów, ale całe Panem zastanawia się co się dzieje z Peetą. Ludzie muszą zobaczyć, że jest po stronie rebeliantów, nie Snowa. A gdyby może udało się sfilmować kilka ujęć nas dwojga, niekoniecznie całujących się, ale po prostu szczęśliwych, że znowu jesteśmy razem...

Wtedy odchodzę bez słowa. To się na pewno nie zdarzy.

W tych niewielu wolnych chwilach jakie mam, niespokojnie obserwuję przygotowania do inwazji. Widzę jak przygotowują sprzęt i zapasy, grupują oddziały. Można rozpoznać czy dana osoba dostała przydział po krótko ściętych włosach, znaku

osoby idącej na wojnę. Dużo się mówi o ataku otwarcia, którym ma być zabezpieczenie tuneli pociągu prowadzących do Kapitolu.

Zaledwie kilka dni przed wyruszeniem pierwszych wojsk, York nieoczekiwanie mówi Johannie i mnie, że poleciła nas na egzamin i mamy się natychmiast na nim zgłosić. Są cztery części: bieg z przeszkodami, który ocenia kondycję fizyczną, pisemny egzamin z taktyki, test w biegłości w obsługiwaniu broni i symulacja walki na Przeczniczy. Nawet nie mam czasu żeby się zestresować na pierwszych trzech częściach i idzie mi dobrze, ale przy Przeczniczy jest opóźnienie. Jakiś problem techniczny, który próbują rozwiązać. Wymieniamy informacje w grupie. Wiele z nich wydaje się prawdziwych. Przechodzimy test pojedynczo. Nie można przewidzieć w jaką sytuację zostaniemy wrzuceni. Jeden chłopak mówi pod nosem, że słyszał, że będą celować w indywidualne słabości.

Moje słabości? To wór, którego nawet nie chcę rozwiązywać. Znajduję jednak dla siebie spokojne miejsce i próbuję ocenić co to może być. Długość listy przygnębia mnie. Brak brutalnej siły fizycznej. Minimum szkolenia. I z jakiegoś powodu mój status Kosogłosa również nie wydaje się zaletą, kiedy próbują stworzyć z nas grupy. Mogliby mnie zaskoczyć praktycznie wszystkim.

Wywołują Johannę kiedy przede mną są jeszcze trzy osoby i próbuję dodać jej otuchy skinieniem głowy. Żałuję, że nie byłam na początku listy, bo teraz za dużo o tym wszystkim myślę. Kiedy wywołują moje imię, nie mam obmyślanej strategii. Na szczęście kiedy już jestem w Przeczniczy moja znikoma ilość szkolenia na coś się przydaje. To pułapka. Strażnicy Pokoju pojawiają się niemal natychmiast, a ja muszę przedrzeć się jakoś do miejsca spotkania z rozproszonym szwadronem. Powoli poruszam się po ulicy, zdejmując Strażników Pokoju. Dwóch na dachu po lewej, jeden w drzwiach naprzeciwko. To spore wyzwanie, ale nie jest tak ciężko, jak się spodziewałam. Dręczy mnie poczucie, że jeśli to takie proste, to coś musiało mi umknąć. Kiedy jestem już tylko kilka budynków od celu, sprawy się komplikują. Pół tuzina uzbrojonych Strażników Pokoju wylania się zza rogu. Mają nade mną przewagę, ale coś zauważam. Pojemnik z benzyną pozostawiony niedbale w ścieku. To jest to. Mój test. Dostrzeżenie, że wysadzenie tego pojemnika jest jedyną szansą na wykonanie misji. Kiedy tylko robię ruch w jego stronę, dowódca mojego szwadronu, który do tego momentu okazywał się raczej bezużyteczny, cicho rozkazuje mi paść na ziemię. Wszystkie moje zmysły krzyczą, bym zignorowała ten głos, bym pociągnęła za spust, bym wysadziła Strażników Pokoju w powietrze. I nagle dostrzegam co wojskowi uznają za mój najsłabszy punkt. Od pierwszej chwili w Igrzyskach, kiedy pobiegłam po ten pomarańczowy plecak, poprzez strzelaninę w Ósemce aż do mojego spontanicznego biegu przez plac w Dwójce. Nie potrafię słuchać rozkazów.

Padam na ziemię tak mocno i szybko, że przez tydzień będę zbierać z twarzy żwir. Ktoś inny wysadza pojemnik z benzyną. Strażnicy Pokoju giną. Ja docieram do miejsca

spotkania. Kiedy wydostaję się z Przecznicy, żołnierz gratuluje mi, stempluje na moim ramieniu numer oddziału 451 i każe mi się zgłosić w Centrum Dowodzenia. Niemal oszołomiona swoim sukcesem, biegnę przez korytarze, ślizgam się na zakrętach, pędzę w dół po schodach, bo winda jeździ zbyt wolno. Wpadam do sali zanim osobiwość tej sytuacji w pełni do mnie dociera. Nie powinnam być w Centrum Dowodzenia; powinni ścinać mi włosy. Ludzie wokół stołu nie są świeżo upieczonymi żołnierzami, ale tymi, którzy pociągają za sznurki.

Boggs uśmiecha się do mnie i potrząsa głową, kiedy mnie widzi.

— Pokaż no. — Nieco teraz niepewnie wyciągam rękę ze stemplem. — Jesteś ze mną. To specjalna jednostka strzelców wyborowych. Dołącz do oddziału.

Wskazuje ruchem głowy na ustawioną przy ścianie grupę. Gale. Finnick. Pięcioro innych, których nie znam. Mój oddział. Nie tylko udało mi się dostać do wojska, ale w dodatku będę pracować pod rozkazami Boggsa. Z przyjaciółmi. Zmuszam się, by się uspokoić i dołączyć do nich żołnierskim krokiem zamiast skakać jak szalona.

Musimy być ważni, skoro jesteśmy w Centrum Dowodzenia, i to nie ma nic wspólnego z pewnym Kosogłosem. Plutarch stoi nad rozległym, płaskim panelem na środku stołu. Wyjaśnia nam naturę tego, co napotkamy w Kapitolu. Myślę, że to straszna prezentacja — bo nawet na palcach nie mogę dostrzec co jest na panelu — dopóki nie wciska przycisku. Holograficzny obraz kapitolńskiej przecznicy wyświetla się w powietrzu.

— To, na ten przykład, jest teren otaczający jeden z baraków Strażników Pokoju. Nie najmniej ważny, ale również nie najważniejszy cel, a jednak spójrzcie. — Plutarch wpisuje jakiś kod na klawiaturze i zaczynają błyskać światła. Są w całej gamie kolorów i mrugają z różną prędkością. — Każdy z nich nazywany jest zasobnikiem. Odpowiadają one różnym przeszkodom, które mogą się okazać wszystkim — od bomby po bandę zmiechów. Cokolwiek zawierają, są przeznaczone po to, by was uwięzić albo zabić. Niektóre z nich są na miejscu od Mrocznych Dni, niektóre zostały rozwinięte i dodane z czasem. Szczerze mówiąc, sam stworzyłem ich całkiem sporo. Ten program, który został wykradziony z Kapitolu przez jednego z naszych ludzi, przedstawia najświeższe informacje o nich. Nie wiedzą, że go mamy. Mimo tego jednak, bardzo prawdopodobne, że nowe zasobniki zostały aktywowane w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Z tym właśnie będziecie się musieli zmierzyć.

Nie zdaję sobie sprawy z tego, że moje stopy poruszają się w stronę stołu, dopóki nie znajduję się kilkanaście centymetrów od hologramu. Wyciągam rękę i obejmuję nią mrugające szybko zielone światło.

Ktoś staje obok mnie, jego ciało sztywnieje. Finnick, oczywiście. Ponieważ tylko zwycięzca dostrzegłby to, co ja natychmiast dostrzegłam. Arenę. Naszpikowaną zasobnikami sterowanymi przez Organizatorów Igrzysk. Palce Finnicka gładzą jednolity czerwony blask nad drzwiami.

— Panie i panowie...

Jego głos jest cichy, ale mój rozbrzmiewa głośno w sali.

— Siedemdziesiąte Szóste Głodowe Igrzyska uważam za otwarte!

Śmieję się. Krótko. Zanim ktokolwiek ma czas, by dostrzec sens w słowach, które właśnie wypowiedziałam. Zanim brwi się uniosą, rozlegną głosy sprzeciwu, fakty zostaną skojarzone, a rozwiązaniem okaże się trzymanie mnie z dala od Kapitolu. Ponieważ rozszłoszczony, niezależnie myślący zwycięzca z psychologiczną skazą zbyt poważną, by się przez nią przebić, jest zapewne ostatnią osobą, którą chcesz w swoim oddziale.

— Nie wiem po co w ogóle poddałeś Finnicka i mnie szkoleniu, Plutarch — mówię.

— Właśnie, jesteśmy dwojgiem najlepiej przygotowanych żołnierzy, jakich posiadasz — dodaje wyniośle Finnick.

— Nie myślcie, że mi to umknęło — mówi, niecierpliwie machając ręką. — A teraz z powrotem do szeregu, Żołnierze Odair i Everdeen. Muszę dokończyć prezentację.

Wracamy na miejsca, ignorując pytające spojrzenia rzucane w naszą stronę. Przyjmuję postawę największej koncentracji, kiedy Plutarch kontynuuje, przytakując gdzieniegdzie, zmieniając pozycję, by lepiej widzieć, cały czas powtarzając sobie, że muszę się trzymać dopóki nie wydostanę się do lasu i nie zacznę krzyczeć. Albo przeklinać. Albo płakać. Albo może wszystkie trzy rzeczy na raz.

Jeśli to był test, oboje z Finnickiem zdaliśmy. Kiedy Plutarch kończy i zebranie zostaje odroczone, zamieram, kiedy dowiaduję się, że jest dla mnie jakiś specjalny rozkaz. Ale chodzi tylko o to, bym nie ścinała włosów, bo chcą, by podczas poddania miasta Kosogłos przypominał tamtą dziewczynę z areny tak bardzo, jak to tylko możliwe. Dla kamer, ma się rozumieć. Wzruszam ramionami, oznajmiając w ten sposób, że długość moich włosów nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Zwalniając mnie bez dalszych komentarzy.

Idę korytarzem obok Finnicka.

— Co ja powiem Annie? — pyta cicho.

— Nic — odpowiadam. — Tyle usłyszą ode mnie moja mama i siostra.

Wystarczy, że my wiemy, że wracamy na pełną zasadzek arenę. Nie ma potrzeby, by zrzucić to na naszych bliskich.

— Jeśli zobaczy hologram... — zaczyna Finnick.

— Nie zobaczy. To poufne informacje. Muszą być — mówię. — W każdym razie, nie będzie tak, jak w prawdziwych Igrzyskach. Każda liczba ludzi może przeżyć. My reagujemy przesadnie, bo... cóż, wiesz dlaczego. Wciąż chcesz lecieć, prawda?

— Oczywiście. Chcę zniszczyć Snowa równie mocno, co ty — odpowiada.

— To nie będzie tak, jak w poprzednich Igrzyskach — mówię stanowczo, próbując samą siebie przekonać. Wtedy dociera do mnie prawdziwe piękno tej sytuacji. — Tym razem Snow również będzie graczem.

Nie możemy kontynuować, bo pojawia się Haymitch. Nie było go na spotkaniu, nie myśli o arenach, ale o czymś innym.

— Johanna znowu trafiła do szpitala.

Założyłam, że Johanna ma się dobrze, przeszła testy, ale po prostu nie została przydzielona do strzelców wyborowych. Jest śmiertelnie niebezpieczna rzucając toporem, ale zaledwie średnio radzi sobie z bronią palną.

— Czy jest ranna? Co się stało?

— To się stało kiedy była w Przecznicy. Starają się wykryć potencjalne słabości żołnierzy. Więc zalali ulicę — mówi Haymitch.

To niczego nie wyjaśnia. Johanna potrafi pływać. Przynajmniej wydaje mi się, że pamiętam jak pływała podczas Ćwierćwiecza Poskromienia. Nie tak, jak Finnick, oczywiście, ale nikt z nas nie pływa jak Finnick.

— I co?

— W ten sposób torturowano ją w Kapitolu. Namaczano ją, a później rażono prądem — mówi Haymitch. — W Przecznicy doświadczyła czegoś w rodzaju retrospekcji. Spanikowała, nie wiedziała gdzie jest. Znowu jest pod wpływem leków uspokajających.

Finnick i ja po prostu tam stoimy, jakbyśmy stracili zdolność mówienia. Myślę o tym, że Johanna nigdy się nie kąpie. O tym, jak zmusiła się, by wyjść na deszcz, zupełnie jakby to był kwas. Przypisałam jej żałosny stan odstawieniu morfaliny.

— Wy dwoje powinniście iść ją zobaczyć. Jesteście prawie jak przyjaciele — mówi Haymitch.

To jeszcze wszystko pogarsza. Nie wiem co jest między Johanną i Finnickiem. Ale ja prawie jej nie znam. Żadnej rodziny. Żadnych przyjaciół. Żadnej pamiątki z Siódemki, którą mogłaby włożyć między przyznane jej ubrania w szafce. Nic.

— Lepiej powiem Plutarchowi. Nie będzie z tego powodu szczęśliwy — ciągnie Haymitch. — Chce, by jak najwięcej zwycięzców mogło polecieć do Kapitolu na potrzeby kamer. Myśli, że to tworzy lepszą telewizję.

— Czy ty i Beetee też lećcie? — pytam.

— Jak najwięcej młodych i atrakcyjnych zwycięzców — poprawia się Haymitch. — Więc nie. Będziemy tutaj.

Finnick idzie od razu zobaczyć się z Johanną, ale ja zwlekam jeszcze kilka minut aż pojawia się Boggs. Jest teraz moim dowódcą, więc to pewnie jego powinienam prosić o specjalne przysługi. Kiedy mówię mu co chcę zrobić, wypisuje mi przepustkę, bym mogła iść do lasu podczas Zadumy, jeśli tylko zostanę w zasięgu wzroku strażników. Biegnę do mojej kwatery z zamiarem użycia spadochronu, ale jest pełny strasznych wspomnień. Zamiast tego, idę do kwatery naprzeciwko i zabieram jeden z bawełnianych bandaży, który wzięłam z Dwunastki. Kwadratowy. Mocny. Idealny.

W lesie znajduję sosnę i zdzieram garście pachnących igieł z gałęzi. Później układam zgrabny stos na środku bandaża, składam rogi ze sobą, obracam zawiniątko i ciasno zawiązuję kawałkiem winorośli, tworząc tobołek rozmiaru jabłka.

— Co to? — pyta ochryple Johanna. Wilgotne końce jej włosów zlepiają się w małe stożki nad jej czołem.

— Zrobiłam to dla ciebie. Coś, co będziesz mogła włożyć do szafki. — Wkładam jej to w dłoń. — Powąchaj.

Podnosi tobołek i mocno pociąga nosem.

— Pachnie domem.

Łzy wypełniają jej oczy.

— Taką miałam nadzieję. Jesteś z Siódemki i w ogóle — mówię. — Pamiętasz jak się poznałyśmy? Byłaś drzewem. Cóż, bardzo krótko.

Nagle chwyta mój nadgarstek w żelazny uścisk.

— Musisz go zabić, Katniss.

— Nie martw się. — Opieram się pokusie wyrwania ramienia.

— Przysięgnij. Na coś, na czym ci zależy — syczy.

— Przysięgam. Na moje życie. — Ale nie puszcza mojego ramienia.

— Na życie twojej rodziny — nalega.

— Na życie mojej rodziny — powtarzam. Zapewne moja troska o własne życie jest niewystarczająca. Puszcza mnie, a ja pocieram nadgarstek. — Jak myślisz, po co w ogóle tam lecę, bezmózgu?

To sprawia, że delikatnie się uśmiecha.

— Po prostu musiałam to usłyszeć.

Przyciska tobołek z sosnowymi igłami do nosa i zamyka oczy.

Pozostałe do wylotu dni mijają w mgnieniu oka. Po krótkim treningu każdego ranka, mój oddział trenuje długo na strzelnicy. Ćwiczę głównie strzały z broni palnej, ale godzina dziennie zarezerwowana jest na broń specjalną, co oznacza, że używam swojego łuku Kosogłosa, a Gale tego bojowego. Trójzab, którego Beetee zaprojektował dla Finnicka ma sporo specjalnych właściwości, ale najbardziej godne uwagi jest to, że może go rzucić, nacisnąć przycisk na metalowym mankiecie na nadgarstku i broń sama powraca do jego ręki.

Czasami strzelamy do manekinów Strażników Pokoju, by oswoić się ze słabymi punktami ich ochronnego stroju. Szczelinami w pancerzu, że tak powiem. Jeśli trafisz w ciało, manekin nagradza cię strumieniami sztucznej krwi. Nasze manekiny są całe czerwone.

To pocieszające jak wysoki jest poziom skuteczności w naszej grupie. Oprócz Finnicka i Gale'a, oddział obejmuje jeszcze pięcioro żołnierzy z Trzynastki. Jackson, kobieta w średnim wieku, która jest zastępczynią Boggsa, wygląda nieco ospale, ale

potrafi rzucać przedmioty poza zakres wzroku któregośkolwiek z nas. Mówi, że to przez dalekowzroczność. Są też dwie dwudziestokilkuletnie siostry o nazwisku Leeg — mówimy na nie Leeg Jeden i Leeg Dwa, by się nie myliły — które są tak podobne do siebie w mundurach, że nie potrafię ich rozróżnić, dopóki nie dostrzegam dziwnych żółtych plamek w oczach Leeg Jeden. Dwaj starsi faceci, Mitchell i Homes, nigdy nie mówią za wiele, ale potrafią zestrzelić ci pył z butów z odległości pięćdziesięciu metrów. Widzę, że inne oddziały też są niezłe, ale nie do końca potrafię zrozumieć nasz status, dopóki któregoś dnia nie przyłączy się do nas Plutarch.

— Członkowie oddziału Cztery-Pięć-Jeden, zostaliście wybrani do wypełnienia misji specjalnej — zaczyna. Przygryzam wewnętrzną stronę ust, mając nadzieję, wbrew wszelkiej nadziei, że chodzi o zabicie Snowa. — Mamy wielu strzelców wyborowych, ale raczej niewiele ekip filmowych. Wybraliśmy więc ośmioro z was do, jak to nazywamy, „Oddziału Gwiazd”. Będziecie twarzami inwazji.

Rozczarowanie, szok, a w końcu złość przetacza się przez grupę.

— Czyli nie zostaniemy wysłani do prawdziwej walki — podnosi głos Gale.

— Będziecie walczyć, ale być może nie zawsze na linii frontu. Jeśli w ogóle można taką linię wyróżnić w tej wojnie — mówi Plutarch.

— Nikt z nas tego nie chce. — Po uwadze Finnicka następuje powszechne przytakiwanie, ale ja siedzę cicho. — Będziemy walczyć.

— Będziecie robić wszystko, by być jak najbardziej przydatnymi w tej wojnie — mówi Plutarch. — A zdecydowano, że najwięcej pożytku będzie z was w telewizji. Tylko spójrzcie jaki efekt wywołuje Katniss w tym kostiumie Kosogłosa. Odmieniła na lepsze całą rebelię. Widzicie, że tylko ona nie narzeka? To dlatego, że rozumie potęgę ekranu.

Tak naprawdę, Katniss nie narzeka, ponieważ nie ma najmniejszego zamiaru pozostać w „Oddziale Gwiazd”, ale zdaje sobie sprawę z potrzeby dostania się do Kapitolu zanim wymyśli jakiś plan. Jednak bycie zbyt uległą również może wydać się podejrzane.

— Ale nie będziemy jedynie udawać, prawda? — pytam. — To by było marnowanie naszych talentów.

— Bez obaw — mówi mi Plutarch. — Będziecie mieli mnóstwo prawdziwych celów do trafiania. Ale nie dajcie się wysadzić. I tak mam dużo na głowie, nawet bez potrzeby wybierania dla was zastępstwa. A teraz lećcie do Kapitolu i zróbcie niezły show.

W dzień odlotu żegnają się z rodziną. Nie powiedziałam im jak bardzo kapitolinśki system obrony przypomina pułapki na arenie, ale myśl o tym, że wyruszam na wojnę jest sama w sobie straszna. Mama tuli mnie mocno przez dłuższy czas. Czuję łzy na jej policzku, coś, co udało jej się stłumić, kiedy wysyłano mnie na Igrzyska.

— Nie martw się. Będę całkowicie bezpieczna. Nie jestem nawet prawdziwym żołnierzem. Jedynie jedną z telewizyjnych marionetek Plutarcha — zapewniam ją.

Prim odprowadza mnie do szpitalnych drzwi.

— Jak się czujesz?

— Lepiej, wiedząc, że jesteś w miejscu, w którym Snow nie może cię dopaść — mówię.

— Następnym razem, kiedy się zobaczymy, będziemy od niego uwolnione — mówi stanowczo Prim. A później otacza moją szyję ramionami. — Bądź ostrożna.

Rozważam pożegnanie się z Peetą, ale w końcu stwierdzam, że zaszkodziłoby to nam obojemu. Ale jednak wkładam perłę do kieszeni munduru. Pamiątkę po chłopcu z chlebem.

Poduszkowiec zabiera nas do, ze wszystkich dostępnych miejsc, Dwunastki, gdzie tymczasowa strefa transportowa została utworzona poza spalonym obszarem. Żadnych luksusowych pociągów tym razem, ale wagon towarowy po brzegi wypełniony żołnierzami w ciemnoszarych mundurach, śpiącymi z głowami na plecach. Po kilkudniowej podróży wydostajemy się na zewnątrz w jednym z podziemnych górskich tuneli prowadzących do Kapitolu i resztę drogi pokonujemy piechotą w sześć godzin, uważając, by stąpać jedynie po błyszczącej zielonej linii, która wskazuje jednostkom powietrznym, że mamy bezpieczne przejście.

Docieramy do obozu rebeliantów w odległości dziesięciu przecznic od stacji kolejowej, na której wysiadaliśmy z Peetą przy okazji wcześniejszych wizyt w Kapitolu. Roi się już w nim od żołnierzy. Oddziałowi 451 przydzielono miejsce na rozbiście namiotów. Ten teren znajduje się w naszych rękach od ponad tygodnia. Rebelianci wypchnęli Strażników Pokoju, pozbawiając przy tym życia setki ludzi. Siły Kapitolu wycofały się i przegrupowały w mieście. Pomiędzy nami leżą zaminowane ulice, puste i wzywające. Każdą trzeba będzie opróżnić z zasobników zanim będziemy mogli iść dalej.

Mitchell pyta o możliwość bombardowania — rzeczywiście czujemy się bardzo narażeni rozbijając obóz pod gołym niebem — ale Boggs twierdzi, że to nie będzie problemem. Większa część kapitolinńskiej floty powietrznej została zniszczona podczas inwazji w Dwójce. Jeżeli pozostał jakiś samolot, zachowują go dla siebie. Prawdopodobnie po to, by Snow i jego zaufani ludzie mogli w ostatniej chwili ratować się ucieczką do jakiegoś prezydenckiego bunkra, jeśli zajdzie taka potrzeba. Nasze poduszkowce zostały uziemione po tym, jak kapitolinskie pociski przeciwlotnicze zdziesiątkowały kilka pierwszych fal nalotów. Ta wojna rozegra się na ulicach z, miejmy nadzieję, jedynie powierzchownymi zniszczeniami infrastruktury i minimalną liczbą ofiar. Rebelianci chcą Kapitol tak, jak Kapitol chciał Trzynastkę.

Po trzech dniach większość członków Oddziału 451 ma ochotę zdezerterować z nudów. Cressida z zespołem nagrywa nas jak strzelamy. Mówią, że jesteśmy częścią zespołu odwracającego uwagę. Jeśli rebelianci strzelaliby tylko do zasobników Plutarcha, Kapitol potrzebowałby jakichś dwóch minut, by zrozumieć, że mamy hologram. Spędzamy więc mnóstwo czasu roztrzaskując rzeczy, które nie mają znaczenia, by zmylić

Kapitol. Głównie powiększamy jedynie stertę tęczowych szyb rozbitych na zewnątrz cukierkowo kolorowych budynków. Podejrzewam, że montują to z materiałem, na którym niszczone są ważne kapitoliańskie cele. Czasami zdarza się, że naprawdę potrzebują usług strzelców wyborowych. Osiem rąk wędruje w górę, ale Gale, Finnick i ja nigdy nie zostajemy wybrani.

— To twoja wina, bo jesteś taki fotogeniczny — mówię Gale'owi. Gdyby wzrok mógł zabijać...

Chyba nie bardzo wiedzą co zrobić z naszą trójką, szczególnie ze mną. Mam ze sobą kostium Kosogłosa, ale nagryweają mnie jedynie w mundurze. Czasami strzelam z broni palnej, a czasem każą mi użyć łuku i strzał. Tak jakby nie chcieli całkowicie stracić Kosogłosa, ale postanowili zdegradować mnie do roli zwykłego żołnierza. Jako że mnie to nie obchodzi, bardziej zabawne niż denerwujące jest wyobrażanie sobie kłótni toczących się w Trzynastce. Podczas gdy pozornie manifestuję niezadowolenie z braku prawdziwego zajęcia, zajmuję się własnym planem. Każdy z nas ma papierową mapę Kapitolu. Miasto to prawie idealny kwadrat. Linie dzielą mapę na mniejsze kwadraty, z literami wzdłuż górnej krawędzi i liczbami ułożonymi z góry na dół, co tworzy pewną siatkę współrzędnych. Pochłaniam ją, zapamiętując każde skrzyżowanie i każdą boczną uliczkę, ale to tylko uzupełniający sprzęt. Dowódcy mają do dyspozycji hologram Plutarcha. Każdy z nich ma kieszonkowy gadżet zwany „Holo”, który przekazuje obrazy, które widziałam w Centrum Dowodzenia. Można przybliżyć konkretną kratkę i sprawdzić jakie zasobniki są tam umieszczone. Holo jest niezależnym urządzeniem, ulepszoną wersją mapy, bo nie może ani wysyłać, ani odbierać sygnałów. Ale i tak jest o niebo lepszy od mojej papierowej wersji.

Holo aktywowany jest głosem dowódcy, który podaje swoje imię. Kiedy już działa, reaguje także na głosy innych członków oddziału, więc jeśli, powiedzmy, Boggs zostałby zabity albo poważnie ranny, ktoś inny mógłby przejąć jego obowiązki. Jeśli ktoś z oddziału powtórzy trzykrotnie pod rząd słowa „uścisk nocy”, Holo wybuchnie, wysadzając w powietrze wszystko w promieniu pięciu metrów. To ze względów bezpieczeństwa, w razie gdyby nas schwytano. Rozumie się, że wszyscy zrobilibyśmy to bez wahania.

Więc muszę jedynie ukraść aktywowane Holo Boggsa i zniknąć zanim się zorientuje. Chyba łatwiej byłoby ukraść mu zęby.

Czwartego dnia Żołnierz Leeg Dwa uderza w nieoznakowany zasobnik. Nie napuszcza on na nas roju zmutowanych komarów, na co rebelianci są przygotowani, ale wysyła w jej stronę chmurę metalowych strzałek. Jedna dociera do jej mózgu. Umiera zanim nadchodzi pomoc medyczna. Plutarch obiecuje szybkie zastępstwo.

Następnego wieczoru przybywa nowy członek naszego oddziału. Bez kajdanek. Bez strażników. Wyłania się ze stacji kolejowej z bronią przewieszoną przez ramię.

Udziela nam się szok, zmieszanie, opór, ale stempel z numerem 451 widnieje na ręku Peety. Boggs zabiera mu broń i idzie wykonać telefon.

— To nic nie da — mówi Peeta reszcie z nas. — Pani prezydent wyznaczyła mnie osobiście. Zdecydowała, że trzeba rozkręcić propozy.

Może i trzeba. Ale jeśli Coin przysłała tu Peetę, zdecydowała również coś innego. Że bardziej się jej przydam martwa niż żywa.

Część III
Morderca

19.

Nigdy wcześniej tak naprawdę nie widziałam rozwścieczonego Boggsa. Ani kiedy zlekceważyłam jego rozkazy, ani kiedy na niego zwymiotowałam, nawet nie kiedy Gale złamał mu nos. Jest jednak wściekły, kiedy wraca po rozmowie telefonicznej z panią prezydent. Pierwszą rzeczą, jaką robi, jest nakazanie Żołnierzowi Jackson, jego zastępczyni, by wyznaczyła dwie osoby, które będą pilnować Peetę w pełnym wymiarze czasowym. Później zabiera mnie na spacer, klucząc między rozstawionymi namiotami dopóki nasz oddział nie zostaje daleko z tyłu.

— I tak spróbuje mnie zabić — mówię. — Szczególnie tutaj. Tu jest tyle złych wspomnień, które mogą spowodować wybuch.

— Będę trzymał go w ryzach, Katniss — mówi Boggs.

— Dlaczego Coin chce teraz mojej śmierci? — pytam.

— Zaprzecza, że chce — odpowiada.

— Ale my wiemy, że to prawda — mówię. — A ty musisz przynajmniej mieć jakąś teorię.

Boggs obdarza mnie długim, uważnym spojrzeniem zanim odpowiada.

— Wiem niewiele. Pani prezydent cię nie lubi. Nigdy nie lubiła. To Peetę chciała uratować z areny, ale nikt inny się na to nie zgodził. Sprawę pogorszyło jeszcze twoje żądanie nietykalności dla zwycięzców. Ale nawet na to mogłaby przymknąć oko, biorąc pod uwagę to, jak dobrze sobie poradziłaś z proposami.

— Więc o co chodzi? — nalegam.

— Kiedyś w niedalekiej przyszłości ta wojna się skończy. Nowy przywódca zostanie wybrany — mówi Boggs.

Przewracam oczami.

— Boggs, nikt nie myśli, że to ja będę przywódczynią.

— Nie, faktycznie — przyznaje. — Ale kogoś poprzysz. Czy byłaby to prezydent Coin? A może ktoś inny?

— Nie wiem. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam — mówię.

— Jeśli twoją natychmiastową odpowiedzią nie jest Coin, to jesteś uważana za zagrożenie. Jesteś twarzą rebelii. Możesz mieć większe wpływy niż ktokolwiek inny — mówi Boggs. — Otwarcie co najwyżej ją tolerowałam.

— Więc zabije mnie, by mnie uciszyć.

Gdy tylko wypowiadam te słowa, wiem, że są prawdziwe.

— Nie potrzebuje cię już, byś napędzała rewolucję. Jak powiedziała, twój główny cel, zjednoczenie dystryktów, został osiągnięty — przypomina mi Boggs. — Obecne propozy mogłyby zostać nakręcone bez twojej pomocy. Możesz zrobić jeszcze tylko jedno, by ogień rebelii silniej zapłonął.

— Umrzeć — mówię cicho.

— Tak. Zostać męczenniczką, w imię której się walczy — mówi Boggs. — Ale to się nie stanie na mojej zmianie, Żołnierzu Everdeen. Planuję zapewnić ci długie życie.

— Dlaczego? — Takie myślenie tylko sprowadzi na niego kłopoty. — Niczego nie jesteś mi winien.

— Bo sobie na to zasłużyłaś — mówi. — A teraz wracaj do oddziału.

Wiem, że powinnam być wdzięczna Boggsowi za nadstawianie dla mnie karku, ale tak naprawdę czuję się tylko sfrustrowana. To znaczy... jak mogłabym teraz ukraść jego Holo i zdezerterować? Zdradzenie go było skomplikowane nawet bez tych nowych pokładów długu. Już i tak mam u niego dług wdzięczności za ocalenie mi życia.

Widok przyczyny mojego dylematu spokojnie rozbijającej swój namiot na naszym miejscu tylko mnie rozwściecza.

— O której moja zmiana? — pytam Jackson.

Patrzy na mnie z powątpiewaniem spod zmrużonych powiek, a może po prostu próbuje wyostrzyć moją twarz.

— Nie uwzględniłam cię w rozkładzie.

— Dlaczego nie? — pytam.

— Jestem pewna, że mogłabyś naprawdę zastrzelić Peetę, jeśli by cię sprowokował — mówi.

Mówię głośno, by cały oddział mógł mnie usłyszeć:

— Nie będę strzelać do Peety. Jego już nie ma. Johanna ma rację. To by było jak strzelanie do kolejnego zmiecha Kapitolu.

Czuję się dobrze mówiąc o nim coś strasznego na głos, publicznie, po całym tym upokorzeniu, którego doświadczyłam po jego powrocie.

— Cóż, takie komentarze też nie są najlepszą rekomendacją — mówi Jackson.

— Uwzględnij ją w rozkładzie — mówi Boggs za moimi plecami.

Jackson potrząsa głową i coś notuje.

— Od północy do czwartej. Razem ze mną.

Rozbrzmiewa gwizdek wzywający na kolację, więc Gale i ja ustawiamy się w kolejce do stołówki.

— Chcesz, żebym go zabił? — pyta prosto z mostu.

— Wtedy na pewno odesłaliby stąd nas oboje — mówię. Ale nawet pomimo mojej złości, brutalność oferty irytuje mnie. — Poradzę sobie z nim.

— To znaczy dopóki nie uciekniesz? Ty i twoja papierowa mapa, i może nawet Holo, jeśli uda ci się je dorwać? — Więc moje przygotowania nie umknęły uwadze Gale’a. Mam nadzieję, że dla innych nie były takie oczywiste. Żadne z nich nie zna jednak moich myśli tak, jak on. — Nie zamierzasz mnie chyba zostawić, prawda? — pyta.

Do tego momentu zamierzałam. Jednak pilnujący moich pleców partner polowań nie wydaje się takim złym pomysłem.

— Jako koleżanka z wojska muszę cię usilnie namawiać na pozostanie ze swoim oddziałem. Ale nie mogę cię powstrzymać przed pójściem, prawda?

Uśmiecha się szeroko.

— Nie. Chyba że chcesz, bym zaalarmował resztę armii.

Oddział 451 i ekipa telewizyjna odbierają kolację ze stołówki i zbierają się w ciasnym kręgu, by ją zjeść. Początkowo myślę, że to Peeta jest powodem niepokoju, ale pod koniec posiłku dostrzegam, że więcej niż kilka mało przyjaznych spojrzeń zostało skierowanych w moją stronę. To dość szybka odmiana, bo jestem pewna, że kiedy Peeta się pojawił, cały zespół był zaniepokojony tym, jak niebezpieczny może on być, szczególnie dla mnie. Ale dopiero kiedy dzwoni do mnie Haymitch, zaczynam rozumieć.

— Co ty próbujesz zrobić? Sprowokować go do ataku? — pyta mnie.

— Oczywiście, że nie. Chcę tylko, by zostawił mnie w spokoju — mówię.

— Cóż, tak się składa, że nie może. Po tym wszystkim, przez co Kapitol kazał mu przejść — mówi Haymitch. — Posłuchaj, Coin być może wysłała go tam w nadziei, że cię zabije, ale Peeta o tym nie wie. Nie rozumie co się z nim stało. Więc nie możesz go obwiniać...

— Nie obwiniam! — przerywam mu.

— Obwiniasz! Karzesz go wciąż za rzeczy, które są poza jego kontrolą. Nie mówię, że nie powinnaś mieć przy sobie naładowanej broni dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ale myślę, że już czas, byś wbiła sobie coś do głowy. Gdybyś to ty była przetrzymywana w Kapitolu i została zawładnięta, a później próbowała zabić Peetę, czy traktowałby cię tak, jak ty go teraz traktujesz? — dopytuje się Haymitch.

Milknę. Nie. Wcale by mnie tak nie traktował. Próbowałby mnie odzyskać za wszelką cenę. Nie odsuwałby mnie od siebie, nie opuściłby mnie, witając mnie jedynie wrogością.

— Ty i ja zawarliśmy umowę, że postaramy się go chronić. Pamiętasz? — pyta Haymitch. Kiedy nie odpowiadam, rozłącza się po szorstkim: — Postaraj się sobie przypomnieć.

Jesienny dzień zmienia się z rześkiego w chłodny. Większość członków oddziału kuli się pod swoimi śpiworami. Niektórzy śpią pod gołym niebem, blisko grzejnika w centrum naszego obozowiska, podczas gdy inni wycofują się do namiotów. Leeg Jeden w końcu załamała się śmiercią siostry i jej stłumiony szloch dociera do nas przez płótno.

Kulę się w swoim namiocie rozmyślając nad słowami Haymitcha. Zdaję sobie sprawę, że moja obsesja dotycząca zamordowania Snowa pozwoliła mi zignorować coś dużo trudniejszego. Próbę uratowania Peety ze świata cieni, w który wrzuciło go zawładnięcie. Nie wiem jak go w nim odnaleźć, nie mówiąc już o wyciągnięciu go stamtąd. Nie potrafię nawet wymyślić żadnego planu. To sprawia, że przemierzenie naszpikowanej pułapkami areny, zlokalizowanie Snowa i władowanie mu kulki w łeb wydaje się dziecinnie proste.

O północy wyczołguję się z namiotu i siadam na taborecie przy grzejniku, by rozpocząć moją wartę z Jackson. Boggs kazał Peecie spać na widoku, by reszta z nas mogła mieć na niego oko. Nie śpi jednak. Zamiast tego siedzi z plecakiem przyciśniętym do piersi, niezdarnie próbując wiązać węzły na krótkim sznurku. Dobrze go znam. To ten kawałek liny Finnick pożyczył mi tamtej nocy w bunkrze. Jej widok w jego rękach to jakby wiadomość od Finnicka, powtarzająca słowa Haymitcha, że odrzuciłam Peetę. To może być dobry moment, by to naprawić. Gdybym tylko wiedziała co powiedzieć. Ale nie wiem. Więc nic nie mówię. Pozwalam oddechom żołnierzy wypełnić nocną ciszę.

Po jakiejś godzinie Peeta się odzywa.

— Ostatnie lata musiały być dla ciebie wyczerpujące. Kiedy próbowałaś zdecydować czy mnie zabić, czy jednak nie. W tę i we w tę. W tę i we w tę.

To wydaje się rażąco niesprawiedliwe i w pierwszym odruchu mam ochotę odpowiedzieć coś złośliwego. Ale przypominam sobie rozmowę z Haymitchem i próbuję wykonać pierwszy niepewny krok w stronę Peety.

— Nigdy nie chciałam cię zabić. Poza tą chwilą, kiedy myślałam, że pomagasz Zawodowcom w zabiciu mnie. Później myślałam o tobie tylko jako o... sojuszniku.

To dobre, bezpieczne słowo. Pozbawione emocjonalnego ładunku, niegroźne.

— Sojusznik. — Peeta wolno wypowiada to słowo, rozsmakowując się w nim. — Przyjaciółka. Ukochana. Zwycięzca. Wróg. Narzeczona. Cel. Zmiech. Sąsiadka. Myśliwy. Trybutka. Sojuszniczka. To lista słów, których używam, by cię rozgryźć. — Splata i rozplata linę w swoich rękach. — Problem w tym, że już nie potrafię powiedzieć co jest prawdziwe, a co zmyślane.

Przerwa w regularnym oddychaniu sugeruje, że albo ludzie się obudzili, albo nigdy tak naprawdę nie spali. Podejrzewam to drugie.

Finnick odzywa się ze swojego śpiwora w cieniu.

— Więc powinienesz pytać, Peeta. Tak robi Annie.

— Pytać kogo? — mówi Peeta. — Komu mogę zaufać?

— Nam, na dobry początek. Jesteśmy twoim oddziałem — mówi Jackson.

— Jesteście moimi strażnikami — zauważa.

— To też — przyznaje ona. — Ale uratowałaś wiele żyć w Trzynastce. My nie zapominamy takich rzeczy.

W ciszy, która zapada, wyobrażam sobie, że nie potrafię odróżnić iluzji od rzeczywistości. Nie wiem czy Prim i mama mnie kochają. Czy Snow jest moim wrogiem. Czy osoba po drugiej stronie grzejnika uratowała mnie czy zostawiła. Wkładam w to niewiele wysiłku, a moje życie i tak szybko zamienia się w koszmar. Nagle chcę powiedzieć Peecie wszystko o tym, kim jest i kim ja jestem, i jak to się stało, że tu wylądowaliśmy w takich okolicznościach. Ale nie mam pojęcia jak zacząć. Bezużyteczna. Jestem bezużyteczna.

Kilka minut przed czwartą Peeta znowu zwraca się do mnie:

— Twoim ulubionym kolorem... jest zielony?

— Zgadza się. — I wtedy dodaje: — A twoim pomarańczowy.

— Pomarańczowy? — Wydaje się nieprzekonany.

— Nie jaskrawy pomarańczowy. Delikatny. Jak zachód słońca — mówię. — Przynajmniej tak mi kiedyś powiedziałeś.

— Och. — Na krótko zamyka oczy, być może próbując przywołać ten zachód słońca, a później przytakuje. — Dziękuję.

Ale nagle wyrzucam z siebie więcej słów:

— Jesteś malarzem. Jesteś piekarzem. Lubisz spać przy otwartym oknie. Nigdy nie dodajesz cukru do herbaty. I zawsze podwójnie zawiązujesz sznurowadła.

I nurkuję do namiotu zanim zrobię coś głupiego, na przykład się rozplaczę.

Rano Gale, Finnick i ja idziemy postrzelać do szyb w budynkach na potrzeby ekipy telewizyjnej. Kiedy wracamy do obozu, Peeta siedzi w kole z żołnierzami Trzynastki, którzy są uzbrojeni, ale rozmawiają z nim otwarcie. Jackson wymyśliła grę o nazwie „Prawda czy nieprawda” by pomóc Peecie. On wspomina o czymś, o czym myśli, że miało miejsce, a oni mówią mu czy to prawda czy tylko wyobrażenie, zwykle razem z krótkim wytłumaczeniem.

— Większość mieszkańców Dwunastki zabił ogień.

— Prawda. Mniej niż dziewięćset żywych dotarło do Trzynastki.

— Ogień to moja wina.

— Nieprawda. Prezydent Snow zniszczył Dwunastkę w ten sam sposób, w który zniszczył Trzynastkę, by wysłać rebeliantom wiadomość.

To wydaje się dobrym pomysłem dopóki nie zdaję sobie sprawy z tego, że będę jedyną osobą, która będzie mogła potwierdzić lub zaprzeczyć większości tego, co na nim ciąży. Jackson łączy nas w pary sprawujące wartę. Przydziela Finnickowi, Gale'owi i mnie żołnierzy z Trzynastki. W ten sposób Peeta zawsze będzie miał dostęp do kogoś, kto zna go bardziej osobiście. To bardzo urywana rozmowa. Peeta długo rozważa nawet maleńkie skrawki wiadomości, jak gdzie ludzie kupowali mydło w Dwunastce. Gale opowiada mu wiele rzeczy o Dwunastce; Finnick jest ekspertem w obu Igrzyskach Peety, jako że był mentorem w pierwszych i trybutem w drugich. Ale najwięcej wątpliwości Peety wiąże się

ze mną — a nie wszystko można łatwo wytłumaczyć — i nasze wymiany zdań są bolesne i pełne napięć, nawet mimo tego, że dotykamy wyłącznie najbardziej powierzchownych szczegółów. Kolor mojej sukienki w Siódemce. Moje zamiłowanie do serowych bułeczek. Imię naszego nauczyciela matematyki z dzieciństwa. Odtwarzanie jego wspomnień o mnie jest straszne. Być może to nie jest nawet możliwe po tym co Snow mu zrobił. Ale naprawdę dobrze się czuję pomagając mu spróbować.

Następnego popołudnia zostajemy poinformowani, że cały oddział jest potrzebny, by nagrać skomplikowanego propoza. Peeta miał rację w jednej sprawie: Coin i Plutarch są niezadowoleni z jakości materiału, który otrzymują od Oddziału Gwiazd. Bardzo nudny. Mało inspirujący. Oczywista odpowiedź jest taka, że nigdy nie pozwalają nam robić nic poza bawieniem się bronią. Jednakże nie chodzi tu o obronę własną, ale o uzyskanie użytecznego produktu. Więc dzisiaj została dla nas zarezerwowana specjalna przecznica, specjalnie na potrzeby filmowania. Jest na niej nawet parę aktywnych zasobników. Jeden uwalnia deszcz ognia z broni palnej. Inny zarzuca na intruza sieć i więzi go, by można było go później przesłuchać lub zabić, w zależności od preferencji porywaczy. Wciąż jednak jest to nieważna mieszkalna przecznica bez żadnych strategicznych celów.

Ekipa telewizyjna chce wywołać złudzenie zwiększonego ryzyka poprzez uwolnienie bomb dymnych i dodanie efektów dźwiękowych strzelaniny. Ubieramy ochronne mundury, nawet ekipa, jakbyśmy kierowali się w sam środek bitwy. Ci z nas, którzy posiadają specjalną broń, dostają pozwolenie, by zabrać ją razem z bronią palną. Boggs oddaje Peecie jego broń, ale mówi mu głośno, że jest naładowana ślepakami.

Peeta tylko wzrusza ramionami.

— I tak nie jestem dobrym strzelcem. — Wydaje się zaniepokojony widokiem Polluxa tak bardzo, że staje się to niemal dokuczliwe, aż w końcu udaje mu się wszystko poukładać i mówi poruszony: — Jesteś awoksem, prawda? Poznają po sposobie, w jaki przełykasz. Było dwoje awoksów razem ze mną w więzieniu. Darius i Lavinia, ale strażnicy zwykle mówili o nich rudzielce. Byli naszymi służącymi w Centrum Szkolenia, więc aresztowali również ich. Patrzyłem jak torturują ich na śmierć. Ona miała szczęście. Użyli zbyt dużego napięcia i jej serce przestało bić. Całe dni zabrało wykończenie jego. Bili go, odcinali części ciała. Wciąż zadawali mu pytania, ale nie mógł mówić, wydawał z siebie tylko takie przeraźliwe zwierzęce odgłosy. Nie chcieli żadnych informacji. Chcieli tylko, bym to oglądał. — Peeta patrzy wokoło na nasze oszołomione twarze, jakby czekał na odpowiedź. Kiedy nikt nie odpowiada, pyta: — Prawda czy nieprawda? — Brak odpowiedzi jeszcze bardziej go złości. — Prawda czy nieprawda?! — domaga się.

— Prawda — mówi Boggs. — Przynajmniej z tego co wiem... prawda.

Z Peety uchodzi powietrze.

— Tak myślałem. Nie było w tym nic... błyszczącego.

Oddala się od grupy, mamrocząc coś o palcach u rąk i nóg.

Podchodzę do Gale'a, opieram czoło o część pancerza, pod którym powinna się znajdować klatka piersiowa, i czuję jak obejmuje mnie ramieniem. W końcu poznaliśmy imię dziewczyny, której porwanie przez Kapitol obserwowaliśmy w lesie w Dwunastce, i los przyjaznego nam Strażnika Pokoju, który próbował utrzymać Gale'a przy życiu. To nie jest jednak czas, by wspominać szczęśliwe chwile. Stracili życie przeze mnie. Dodaję ich imiona do mojej osobistej listy śmierci, które zaczęły się na arenie; lista ma już jakieś tysiąc pozycji. Kiedy podnoszę wzrok, widzę, że Gale zareagował inaczej. Wyraz jego twarzy mówi o tym, że nie ma dość gór do skruszenia i miast do zniszczenia. Zapowiada śmierć.

Z makabrycznym sprawozdaniem Peety w głowach przechodzimy przez ulice z rozbitym szkłem aż docieramy do celu, przecznicy, którą mamy zająć. To prawdziwy, chociaż mały, cel do osiągnięcia. Zbieramy się wokół Boggsa, by przyjrzeć się hologramowi ulicy. Zasobnik uwalniający serię pocisków z broni palnej znajduje się tuż nad markizą mieszkania. Powinniśmy dać radę uruchomić go za pomocą kul. Zasobnik z siecią jest na dalekim końcu, już prawie za rogiem. Będzie wymagał kogoś do uruchomienia mechanizmu wyczuwającego ruch. Na ochotnika zgłaszają się wszyscy oprócz Peety, który chyba nie do końca wie co się dzieje. Nie zostaję wybrana. Zostaję wysłana do Messalli, który nakłada nieco makijażu na moją twarz z uwagi na przewidywane zbliżenia.

Oddział zajmuje pozycje, z Boggsem na czele, a później czekamy aż Cressida odpowiednio ustawi kamerzystów. Obaj są po naszej lewej stronie, Castor skierowany ku frontowi, a Pollux ubezpieczający tyły, by upewnić się, że nie nagrywają się nawzajem. Messalla wypuszcza kilka dymnych pocisków do atmosfery. Jako że to zarówno misja jak i plan filmowy, właśnie mam spytać kto tu dowodzi, mój dowódca czy reżyserka, kiedy Cressida mówi: „Akcja!”

Powoli przemierzamy zadymioną ulicę, podobnie jak podczas ćwiczeń w Przeczniczy. Każdy ma przynajmniej jeden rząd okien do wysadzenia, ale Gale'owi przydzielono prawdziwy cel. Kiedy trafia w zasobnik, wszyscy się kryjemy — rzucają się w kierunku drzwi albo rozplaszczają się na ładnych, jasnopomarańczowych i różowych kostkach brukowych — podczas gdy grad pocisków przelatuje nam nad głowami. Po chwili Boggs rozkazuje nam iść dalej.

Cressida zatrzymuje nas zanim którekolwiek z nas się podnosi, bo chce zrobić kilka zbliżeń. Na zmianę odgrywamy na nowo nasze reakcje. Upadamy na ziemię, krzywimy się, nurkujemy we wnęki mieszkań. Wiemy, że to poważna sprawa, ale to wszystko wydaje się nieco nedorzeczne. Szczególnie kiedy okazuje się, że to nie ja jestem najgorszą aktorką w oddziale. Daleko mi do tego. Wszyscy tak bardzo śmiejemy

się z prób Mitchella, który próbuje pokazać coś, co według niego jest desperacją — obejmuje to zaciskanie zębów i drżenie nozdrzy — że Boggs musi nas upomnieć.

— Weźcie się w garść, oddziale Cztery-Pięć-Jeden — mówi stanowczo. Można jednak zauważyć, że próbuje powstrzymać uśmiech, kiedy sprawdza ponownie następny zasobnik. Ustawia Holo, szukając najlepszego widoku w zadymionym powietrzu. Wciąż obrócony jest twarzą do nas, kiedy jego lewa stopa wycofuje się na pomarańczową kostkę brukową. A to uruchamia bombę, która wysadza mu nogę.

To tak, jakby w przeciągu chwili roztrzaskało się kolorowe okno, ukazując brzydki świat za sobą. Śmiech zmienia się w krzyk, krew płami pastelowe kamienie, prawdziwy dym zakrywa efekty specjalne stworzone na potrzeby telewizji.

Drugi wybuch zdaje się rozdzierać powietrze i moje uszy zaczynają brzęczeć. Nie potrafię jednak odgadnąć co jest jego źródłem.

Pierwsza dobiegam do Boggsa i próbuję dostrzec sens w rozerwanym ciele, brakujących kończynach, znaleźć coś, czym można by zatamować czerwony strumień wydobywający się z jego ciała. Homes odpycha mnie i otwiera gwałtownie apteczkę. Boggs zaciska dłoń na moim nadgarstku. Jego twarz, poszarzała od konania i popiołu, wydaje się oddalać. Ale wypowiada rozkaz:

— Holo.

Holo. Rzucam się dookoła, przekopując się przez gruzowisko płytek pokrytych krwią i drzę, gdy natrafiam na kawałki ciepłego ciała. Znajduję Holo wciśnięte w jeden z butów Boggsa. Wydobywam je, oczyszczam dłońmi i zwracam dowódcy.

Homes ciasno owinał pozostały po nodze Boggsa kikut pewnego rodzaju bandażem uciskowym, ale już zaczął przeciekać. Próbuje zacisnąć drugi powyżej istniejącego jeszcze kolana. Reszta oddziału otoczyła ochronnie ekipę telewizyjną i nas. Finnick próbuje ocucić Mesallę, którego eksplozja odrzuciła na ścianę. Jackson warczy coś do przenośnego komunikatora, bezskutecznie próbując połączyć się z obozem i zażądać przysłania pomocy medycznej, ale ja wiem, że i tak jest już za późno. W dzieciństwie, obserwując mamę przy pracy, nauczyłam się, że kiedy plama krwi wokół urośnie do pewnych rozmiarów, nie można już nic zrobić.

Klękam przy Boggsie, przygotowana do powtórzenia tej samej roli, którą odegrałam przy Rue i przy morfalinistce z Szóstki — będę kimś, kogo będzie się mógł ucześcić, gdy życie będzie z niego uchodzić. Ale Boggs trzyma obie ręce na Holo i coś przy nim majstruje. Wpisuje polecenie, przyciska kciuk do ekranu w celu rozpoznania linii papilarnych i odpowiada na pytania serią liter i liczb. Snop zielonego światła wybucha z Holo i oświetla jego twarz. Mówi:

— Niezdolny do dowodzenia. Transfer dostępu na Żołnierza Oddziału Cztery-Pięć-Jeden, Katniss Everdeen. — Obraca Holo w stronę mojej twarzy. — Powiedz jak się nazywasz.

— Katniss Everdeen — mówię do zielonego światła. Nagle jego promienie mnie więżą. Nie mogę się ruszyć ani nawet mrugnąć, kiedy obrazy migoczą mi przed oczami. Skanują mnie? Zapamiętują? Oślepiają? Nagle znikają i potrząsam głową. — Co zrobiłeś?

— Przygotować się do odwrotu! — wrzeszczy Jackson.

Finnick coś odkrzykuje, wskazując w stronę końca przecznicy, z którego weszliśmy. Czarna oleista substancja tryska jak gejzer z ulicy, piętrząc się między budynkami, tworząc nieprzeniknioną ścianę ciemności. Wydaje się, że to coś przejściowego pomiędzy cieczą i gazem, czymś sztucznym i naturalnym. Najprawdopodobniej jest śmiertelna. Nie możemy wrócić tą samą drogą, którą tu przyszlismy.

Ogłusza mnie strzelanina, kiedy Gale i Leeg Jeden ostrzeliwują kamienną ścieżkę prowadzącą na drugi koniec przecznicy. Nie mam pojęcia co robią dopóki nie wybucha kolejna bomba, dziesięć metrów stąd, wysadzając dziurę w ulicy. Wtedy zdaję sobie sprawę, że to podstawowy sposób wykrywania min. Homes i ja chwytamy Boggsa i zaczynamy wlec go za Gale'em. Jest w stanie agonii i krzyczy z bólu, a ja chcę się zatrzymać, by znaleźć jakiś lepszy sposób, ale ciemność ogarnia budynki, powiększa się, toczy się ku nam jak fala.

Coś ciągnie mnie do tyłu, puszczam Boggsa i upadam z trzaskiem na kamienie. Peeta patrzy na mnie z góry, odległy, szalony, z powrotem w świetle zawładnięcia, z bronią uniesioną nade mną, którą opuszcza, by rozbić mi czaszkę. Przetaczam się na bok, słyszę uderzenie kolby o ulicę i kątem oka dostrzegam płataninę ciał, gdy Mitchell rzuca się na Peetę i przygważdża go do ziemi. Ale Peeta, zawsze potężny, a teraz ogarnięty też szaleństwem jadu gończych os, odpycha Mitchella w dół ulicy

Słysząc głośny trzask pułapki, kiedy zasobnik zostaje uruchomiony. Cztery liny, przyłączone do budynków, przebijają się przez kamienie, unosząc sieć, która oplątuje Mitchella. To nie ma sensu — to, że natychmiast zalewa się krwią — dopóki nie dostrzegamy kolców sterczących z drutu, który go więzi. Rozpoznaję go natychmiast. Taki sam drut znajdował się na szczycie ogrodzenia otaczającego Dwunastkę. Kiedy krzyczę do niego, by się nie ruszał, zaczynam się dławić wonią czarnej, gęstej, smołowatej cieczy. Fala osiągnęła najwyższy punkt i zaczyna opadać.

Gale i Leeg Jeden przestrzelają zamek w drzwiach budynku na rogu i zaczynają ostrzeliwać liny podtrzymujące sieć z Mitchellem. Inni powstrzymują Peetę. Rzucam się z powrotem w stronę Boggsa i razem z Homesem wciągamy go do mieszkania, poprzez pokryty różowym i białym aksamitem salon, wzdłuż korytarza ozdobionego rodzinnymi zdjęciami aż na marmurową podłogę w kuchni, gdzie się przewracamy. Castor i Pollux niosą wyrwającego się Peetę. Jackson udaje się jakoś założyć mu kajdanki, ale to tylko jeszcze bardziej go rozjusza i w końcu Peeta zostaje zamknięty w schowku. W salonie trzaskają wejściowe drzwi, ludzie krzyczą. Później słychać kroki w korytarzu, a czarna fala huczy wokół budynku. Słysząc jęk okna, które w końcu roztrzaskuje się z hukiem. Szkodliwa woń smoły przenika powietrze. Finnick wnosi Messallę. Leeg Jeden i Cressida wpadają do pomieszczenia zaraz za nimi, kaszląc.

— Gale! — wrzeszczę.

Jest tutaj. Zatrzaszkuje za sobą drzwi kuchenne i wypływa jedno słowo „Dym!”. Castor i Pollux chwytają ręczniki i fartuchy, by poupychać je w szczelinach, a Gale wymiotuje do jaskrawożółtego zlewu.

— Mitchell? — pyta Homes. Leeg Jeden tylko potrząsa głową.

Boggs wpycha mi Holo w dłoń. Jego usta poruszają się, ale nie potrafię go zrozumieć. Nachylam ucho do jego warg i wyłapuję szorstki szept:

— Nie ufaj im. Nie wracaj. Zabij Peetę. Zrób to, po co tu przybyłaś.

Odsuwam się, by zobaczyć jego twarz.

— Co? Boggs? Boggs?

Jego oczy wciąż są otwarte, ale nie ma w nich już życia. Wciśnięte w moją dłoń, przyklejone do niej jego krwią, jest Holo.

Stopy Peety walące w drzwi schowka rozpraszają poszarpane oddechy reszty z nas. Nasłuchujemy, ale on wydaje się tracić siły. Kopnięcia zamieniają się w nieregularne bębnienie. A później nic. Cisza. Zastanawiam się czy on również jest martwy.

— Nie żyje? — pyta Finnick, spoglądając na Boggsa. Przytakuję. — Musimy się stąd wydostać. Natychmiast. Właśnie uruchomiliśmy ulicę pełną zasobników. Założę się, że nas nagrywali.

— Zgadzam się — mówi Castor. — Wszystkie ulice naszpikowane są kamerami. Założę się, że uwolnili tę czarną falę ręcznie, kiedy zobaczyli jak kręcimy propozycję.

— Nasze komunikatory wysiadły niemal natychmiast. Prawdopodobnie impuls elektromagnetyczny. Ale zabiorę nas z powrotem do obozu. Daj mi Holo.

Jackson wyciąga rękę po sprzęt, ale ja przyciskam go do piersi.

— Nie. Boggs dał je mnie — mówię.

— Nie bądź śmieszna — krzyczy. Oczywiście, że myśli, że jest jej. Jest zastępcą dowódcy.

— To prawda — mówi Homes. — Przetransferował na nią możliwość dostępu, kiedy umierał. Widziałem to.

— Dlaczego miałby to zrobić? — dopytuje się Jackson.

Właśnie, dlaczego? Kręci mi się w głowie od koszmarnych wydarzeń z ostatnich pięciu minut — Boggs okaleczony, umierający, martwy; morderczy szal Peety; zakrwawiony i uwięziony Mitchell, pochłonięty przez cuchnącą czarną falę. Odwracam się do Boggsa, naprawdę bardzo pragnąc, by był żywy. Nagle pewna, że on, i być może tylko on, jest całkowicie po mojej stronie. Myślę o jego ostatnich rozkazach...

— Nie ufaj im. Nie wracaj. Zabij Peetę. Zrób to, po co tu przybyłaś.

Co miał na myśli? Nie ufaj komu? Rebeliantom? Coin? Ludziom, którzy właśnie na mnie patrzą? Nie wrócę, ale musiał wiedzieć, że nie mogę po prostu władować kulki w głowę Peety. Mogę? Powinnam? Czy Boggs domyślił się, że przybyłam tu tylko po to, by zdezerterować i zabić Snowa na własną rękę?

Nie potrafię tego wszystkiego teraz rozgryźć, więc decyduję się wypełnić dwa pierwsze rozkazy: nie będę ufać nikomu i będę dalej brnąć w głąb Kapitolu. Ale jak mogę to usprawiedliwić? Sprawić, by pozwolili mi zatrzymać Holo?

— Ponieważ mam specjalną misję do wypełnienia dla prezydent Coin. Myślę, że tylko Boggs o niej wiedział.

To w żaden sposób nie przekonuje Jackson.

— Co masz niby zrobić?

Dlaczego by nie powiedzieć im prawdy? To będzie równie wiarygodne jak cokolwiek innego. Ale musi brzmieć jak prawdziwa misja, a nie zemsta.

— Zamordować prezydenta Snowa zanim wojna zdziesiątkuje populację.

— Nie wierzę ci — mówi Jackson. — Jako twój obecny dowódca, rozkazuję ci przenieść na mnie możliwość dostępu.

— Nie — mówię. — To by było pogwałceniem rozkazów prezydent Coin.

Broń zostaje wycelowana. Połowa oddziału celuje w Jackson, połowa we mnie. Ktoś jest bliski śmierci, kiedy odzywa się Cressida.

— To prawda. Dlatego tu jesteśmy. Plutarch chce, byśmy to sfilmowali. Myśli, że jeśli uda nam się nagrać jak Kosogłos zabija Snowa, wojna się skończy.

To sprawia, że nawet Jackson na moment się wstrzymuje. A później wskazuje bronią na schowek.

— Więc dlaczego on tu jest?

I tu mnie ma. Nie potrafię wymyślić żadnego sensownego powodu, dla którego Coin miałyby przysłać nieznaczącego chłopaka, zaprogramowanego, by mnie zabić, do pomocy w tak ważnym zadaniu. To naprawdę osłabia moją historię. Cressida znów przychodzi mi z pomocą.

— Ponieważ dwa poigrzyskowe wywiady z Caesarem Flickermanem zostały nagrane w osobistych kwaterach prezydenta Snowa. Plutarch myśli, że Peeta mógłby się przydać jako przewodnik do miejsca, o którym nie wiemy zbyt wiele.

Mam ochotę zapytać Cressidę, dlaczego dla mnie kłamie, dlaczego walczy o to, byśmy mogli wyruszyć na moją samowolną misję. Ale to nie czas na takie pytania.

— Musimy się stąd wydostać! — mówi Gale. — Ja idę z Katniss. Jeśli wy nie chcecie, wracajcie do obozu. Ale pośpieszmy się!

Homes otwiera schowek i przerzuca nieprzytomnego Peetę przez ramię.

— Gotów.

— A Boggs? — pyta Leeg Jeden.

— Nie możemy go zabrać. Zrozumiałby — mówi Finnick. Zdejmuje broń z ramienia Boggsa i przerzuca ją przez swoje. — Prowadź, Żołnierzu Everdeen.

Nie wiem jak prowadzić. Patrzę na Holo w poszukiwaniu wskazówek. Wciąż jest aktywne, ale równie dobrze mogłoby nie działać, bo i tak nie wiem jak go użyć. Nie mam czasu na zabawę przyciskami, by rozpracować mechanizm jego działania.

— Nie wiem jak tego używać. Boggs powiedział, że mi pomożesz — mówię Jackson. — Powiedział, że mogę na ciebie liczyć.

Jackson krzywi się, wrywa mi Holo i wpisuje komendę. Pojawia się plan terenu.

— Jeśli wyjdziemy kuchennymi drzwiami, znajdziemy się na niewielkim podwórzu, a później trafimy na tyły następnej strefy mieszkalnej. Mamy przed sobą widok czterech krzyżujących się ze sobą ulic.

Próbuję zebrać się w sobie, kiedy przyglądam się mapie błyszczącej od zasobników w każdym kierunku. A to jedynie zasobniki, o których Plutarch wiedział. Holo nie wykazało, że przecznica, którą właśnie opuściliśmy, jest zaminowana, ma czarny gejzer, ani że sieć wykonana jest z drutu kolczastego. Poza tym, mogą się pojawić Strażnicy Pokoju, teraz, kiedy znają naszą pozycję. Przygryzam wewnętrzną część wargi, czując na sobie wzrok wszystkich wokół mnie.

— Załóżcie maski. Wychodzimy tą samą drogą, którą tu przyszliśmy. — Natychmiast odzywają się głosy sprzeciwu. Podnoszę głos. — Jeśli fala była tak potężna, mogła uruchomić i pochłoniąć inne zasobniki na naszej drodze.

Wszyscy rozważają to przez chwilę. Pollux wykonuje kilka szybkich ruchów w stronę brata.

— Mogła też unieszkodliwić kamery — tłumaczy Castor. — Zasłoniła obiektywy.

Gale opiera jeden z butów o szafkę i uważnie bada czarny odprysk na czubku palców. Zeskrobuje go kuchennym nożem.

— Nie jest żrąca. Myślę że miała nas albo zadusić, albo otruć.

— To pewnie nasza najlepsza szansa — mówi Leeg Jeden.

Zakładamy maski. Finnick dopasowuje maskę Peety do jego pozbawionej życia twarzy. Cressida i Leeg Jeden prowadzą między sobą zamroczonego Messallę.

Czekam aż ktoś wysunie się na przód, ale wtedy przypominam sobie, że to należy teraz do moich obowiązków. Popycham kuchenne drzwi i nie napotykam oporu. Centymetrowa warstwa czarnej mazi rozprzestrzeniła się w salonie i korytarzu. Kiedy ostrożnie testuję ją czubkiem buta, okazuje się, że ma konsystencję żelu. Podnoszę stopę i po delikatnym rozciągnięciu się wraca na miejsce. Robię trzy kroki na żelu i oglądam się za siebie. Żadnych śladów stóp. To pierwsza dobra wiadomość dzisiejszego dnia. Żel staje się nieco gęstszy, kiedy przechodzę przez salon. Uchylam drzwi wejściowe spodziewając się litrów mazi wpadających do środka, ale utrzymuje ona swoją formę.

Różowo-pomarańczowa przecznica wydaje się być zanurzona w połyskującej czarnej farbie i pozostawiona do wyschnięcia. Bruk, budynki, nawet dachy pokryte są żelem. Wielka kropla wisi ponad ulicą. Można w niej rozróżnić dwa kształty: kolbę broni i

ludzką dłoń. Mitchell. Stoję na chodniku i gapię się na niego dopóki nie dołącza do mnie reszta grupy.

— Jeżeli ktokolwiek musi zawrócić, z jakiegokolwiek powodu, teraz jest na to czas — mówię. — Bez pytań, bez urazy.

Nikt nie wydaje się skłonny odejść. Więc zaczynam podążać w głąb Kapitolu, wiedząc, że nie mamy za dużo czasu. Żel jest tu więcej, jakieś dziesięć, piętnaście centymetrów, i wydaje ssący odgłos za każdym razem kiedy podnosimy stopy, ale wciąż ukrywa nasze ślady.

Fala musiała być ogromna, o niebywałej sile, ponieważ rozprzestrzeniła się na kilka przecznic. I chociaż stąkam ostrożnie, wydaje mi się, że miałam rację co do uruchomienia innych zasobników. Jedna z przecznic jest usypana złotymi ciałami gończych os. Musiały się uwolnić jedynie po to, by zginąć od dymu. Nieco dalej cały budynek zapadł się w stos przykryty teraz żel. Biegnę przez skrzyżowania, zatrzymując innych ruchem ręki podczas gdy sama sprawdzam czy nie ma niebezpieczeństwa, ale zdaje się, że fala rozbroiła zasobniki lepiej, niż którykolwiek oddział rebeliantów.

W piątej przecznicy warstwa żelu wreszcie zaczęła się kurczyć. Ma jedynie dwa centymetry, a oprócz tego dostrzegam niebieskie dachy za następnym skrzyżowaniem. Popołudniowe światło przygasło i rozpaczliwie potrzebujemy kryjówki i planu. Wybieram mieszkanie mniej więcej w dwóch trzecich drogi przez przecznicę. Homes wyłamuje zamek i nakazuje reszcie wejść do środka. Stoję na ulicy jedynie przez chwilę, obserwując jak ostatnie ślady naszych stóp rozpływają się w żelu, a później zamykam za sobą drzwi.

Latarki wbudowane w naszą broń oświetlają rozległy salon z wyłożonymi lustrami ścianami, które odbijają nasze twarze ze wszystkich stron. Gale sprawdza okna, które nie wydają się uszkodzone, i zdejmuję maskę.

— W porządku. Woń unosi się jeszcze, ale nie jest zbyt intensywna.

Mieszkanie wydaje się identyczne jak to pierwsze, w którym się schroniliśmy. Żel zasłania jakiegokolwiek naturalne światło od frontu, ale wciąż wpada go trochę przez okna w kuchni. Od korytarza odchodzą dwie sypialnie z łazienkami. Spiralne schody prowadzą do otwartej przestrzeni, która zajmuje większość pierwszego piętra. Na górze nie ma okien, ale światła wciąż się palą, zapewne z powodu pospiesznej ewakuacji. Wielki ekran telewizyjny, pusty, ale delikatnie błyszczący, zajmuje ścianę. Pokryte pluszem krzesła i sofy porozrzucane są wokół pokoju. Tam się zbieramy, osuwamy się na meble i próbujemy złapać oddech.

Jackson z broni w Peetę, chociaż wciąż jest skuty i nieprzytomny, rozłożony na soczyście niebieskiej sofie, gdzie ułożył go Homes. Co ja mam z nim zrobić? I z ekipą? Tak naprawdę z każdym oprócz Gale'a i Finnicka? Bo wolalabym jednak wysłedzić Snowa

z pomocą tych dwóch niż bez niej. Ale nie mogę prowadzić ludzi przez Kapitol na udawaną misję, nawet gdybym umiała odczytywać Holo. Powinnam, mogłam odesłać ich z powrotem, kiedy miałam na to szansę? Czy to było zbyt niebezpieczne? Zarówno dla nich jak i dla mojej misji? Może nie powinnam była słuchać Boggsa, bo mógł majaczyć przed śmiercią. Może powinnam była się po prostu przyznać, ale wtedy Jackson przejęłaby dowodzenie i wrócilibyśmy do obozu. I musiałabym odpowiadać przed Coin.

Kiedy tylko złożoność kłopotów, w które wszystkich wciągnęłam, zaczyna przeciążać mój mózg, odległy łańcuch eksplozji sprawia, że pokój drży.

— Nie były blisko — mówi Jackson. — Jakies cztery albo pięć przecznic stąd.

— Tam, gdzie zostawiliśmy Boggsa — mówi Leeg Jeden.

Chociaż nikt nie ruszył się w jego kierunku, telewizor włącza się, emitując wysoki piszczący dźwięk, i połowa z nas zrywa się na równe nogi.

— W porządku! — woła Cressida. — To tylko transmisja awaryjna. Każdy kapitolinśki telewizor automatycznie na nią reaguje.

Na ekranie pojawia się my, chwilę po tym, jak bomba wysadziła Boggsa. Głos spoza kadru mówi publiczności, że oglądają nasze próby przegrupowania się, reakcje na czarny żel pojawiający się na ulicy, utratę kontroli nad sytuacją. Patrzymy na chaos, który następuje zanim fala pokrywa kamery. Ostatnią rzeczą, którą widać, jest Gale stojący samotnie na ulicy i próbujący zestrzelić liny podtrzymujące Mitchella w górze.

Reporterka identyfikuje Gale'a, Finnicka, Boggsa, Peetę, Cressidę i mnie po imieniu.

— Nie ma nagrań z powietrza. Boggs musiał mieć rację co do ich floty powietrznej — mówi Castor.

Nie zwróciłam na to uwagi, ale pewnie to tego rodzaju rzeczy, które kamerzysta natychmiast wychwytuje.

Materiał kręcony jest dalej z podwórza za budynkiem, w którym się schroniliśmy. Strażnicy Pokoju zajmują pozycję na dachu budynku naprzeciwko naszej poprzedniej kryjówki. Posyłają pociski w rząd mieszkań, zapoczątkowując łańcuch eksplozji, które słyszeliśmy i budynek zapada się tworząc gruzowisko.

Teraz rozpoczyna się transmisja na żywo. Reporterka stoi na dachu ze Strażnikami Pokoju. Za nią płonie przecznica. Strażacy próbują ugasić płomienie wężami z wodą. Zostajemy uznani za zmarłych.

— Wreszcie odrobina szczęścia — mówi Homes.

Pewnie ma rację. To na pewno lepsze niż ścigający nas Kapitol. Ale już sobie wyobrażam jak będą to puszczać w Trzynastce. Gdzie mama i Prim, Hazelle z dziećmi, Annie, Haymitch i cała masa ludzi z Trzynastki myślą, że właśnie widzieli naszą śmierć.

— Mój ojciec. Właśnie stracił moją siostrę, a teraz... — mówi Leeg Jeden.

Patrzemy jak odtwarzają materiał wciąż od nowa. Rozkoszują się zwycięstwem, szczególnie nade mną. Przechodzą do filmu o tym, jak Kosogłos wzmacnia siłę rebelii — musieli mieć go przygotowanego już od jakiegoś czasu, bo wydaje się bardzo dopieszczony — a później wracają do relacji na żywo, by para reporterów mogła omówić mój zasługi brutalny koniec. Później, obiecują, Snow wygłosi oficjalne przemówienie. Ekran wraca do poprzedniego stanu.

Rebelianci nie próbowali zakłócić transmisji, co sugeruje, że wierzą w to, co zobaczyli. Jeżeli tak, naprawdę jesteśmy zdani na siebie.

— Więc, teraz, kiedy jesteśmy martwi, jaki będzie nasz następny ruch? — pyta Gale.

— Czy to nie oczywiste?

Nikt nawet nie zauważył, że Peeta odzyskał przytomność. Nie wiem jak długo oglądał transmisję, ale sądząc po zbolalym wyrazie jego twarzy, wystarczająco długo, by zobaczyć, co się zdarzyło na ulicy. Jak oszalał, próbował roztrzaskać moją głowę i wrzucił Mitchella na zasobnik. Mozolnie podnosi się do pozycji siedzącej i kieruje słowa do Gale'a.

— Nasz następny ruch... to zabicie mnie.

To by było już drugie żądanie śmierci Peety w ciągu godziny.

— Nie bądź śmieszny — mówi Jackson.

— Właśnie zamordowałem członka oddziału! — krzyczy Peeta.

— Odepchnąłeś go. Nie mogłeś wiedzieć, że wyląduje w miejscu uruchamiającym sieć — mówi Finnick, próbując go uspokoić.

— I co z tego? Jest martwy, prawda? — Łzy zaczynają toczyć się w dół po policzkach Peety. — Ja nie wiedziałem. Nigdy wcześniej się takim nie widziałem. Katniss ma rację. Jestem potworem. Jestem zmiechem. Snow zamienił mnie w broń!

— To nie twoja wina, Peeta — mówi Finnick.

— Nie możecie mnie ze sobą zabrać. Znowu kogoś zabiję, to tylko kwestia czasu. — Peeta spogląda na nasze zmieszane twarze. — Może myślicie, że będzie milej, jeśli porzucicie mnie gdzieś. Bo może mi się uda. Równie dobrze moglibyście mnie od razu dostarczyć do Kapitolu. Naprawdę myślicie, że wyświadczycie mi przysługę oddając mnie Snowowi?

Peeta. Znowu w rękach Snowa. Torturowany i dręczony aż w końcu nie będzie już można go odzyskać.

Z jakiegoś powodu w mojej głowie pojawia się ostatnia zwrotka „Wisielczego Drzewa”. Ta, w której mężczyzna wolałby, by jego ukochana była martwa, niż by musiała się mierzyć ze złem tego świata.

Czy ty, czy ty
Przy drzewie się pojawisz
Założysz naszyjnik z liny
I już mnie nie zostawisz
Dziwne rzeczy się tu zdarzyły
Przed obcymi obaw nie miej
Spotkajmy się o północy
Na wisielczym drzewie.

— Zabiję cię zanim do tego dojdzie — mówi Gale. — Obiecuję.

Peeta waha się, jakby rozważał wiarygodność oferty, i w końcu potrząsa głową.

— To nie wystarczy. Co, jeśli nie będzie cię przy mnie, by to zrobić? Chcę jedną z tych trujących kapsułek, które ma reszta z was.

Uścisk nocy. Mam jedną z nich w obozie, w specjalnym miejscu na rękawie mojego kostiumu Kosogłosa. Mam jeszcze jedną w kieszeni na piersi mojego munduru. Ciekawe, że nie dali jednej Peecie. Być może Coin myślała, że mógłby ją zażyć zanim nadarzyłaby mu się okazja zabicia mnie. Nie jestem pewna czy Peeta chce ją po to, by się zabić teraz, oszczędzając nam konieczności zamordowania go, czy zachować ją na

później, w razie ponownego schwytania przez Kapitol. W stanie, w którym się znajduje, zapewne zażyłby ją raczej wcześniej niż później. To na pewno ułatwiłoby sprawy reszcie z nas. Gdybyśmy nie musieli go zastrzelić. Zniknąłby też problem jego morderczych skłonności.

Nie wiem czy to przez zasobniki, strach, czy patrzenie na śmierć Boggsa, ale czuję wokół siebie arenę. Tak, jakbym jej nigdy nie opuściła. Kolejny raz walczę o przetrwanie nie tylko swoje, ale również Peety. Jaką satysfakcję miałby Snow, jak dobrze by się bawił, gdybym go zabiła. Gdybym miała śmierć Peety na sumieniu przez tę resztkę życia, która mi jeszcze pozostała.

— Tu nie chodzi o ciebie — mówię. — Mamy misję do wykonania. Jesteś nam potrzebny. — Patrzę na resztę grupy. — Myślicie, że znajdziemy tu jakieś jedzenie?

Poza apteczką i kamerami nie mamy nic poza mundurami i bronią.

Połowa z nas zostaje w pokoju, by pilnować Peety lub w oczekiwaniu na wystąpienie Snowa, podczas gdy reszta poluje na coś do jedzenia. Messalla okazuje się najbardziej przydatny, ponieważ mieszkał w niemal identycznym mieszkaniu i wie gdzie ludzie najprawdopodobniej gromadzili jedzenie. Wie na przykład, że istnieje schowek ukryty za lustrzanym panelem w sypialni, i że bardzo łatwo wyjąć kratkę przewodu wentylacyjnego w korytarzu. Więc mimo że kuchenne szafki są puste, znajdujemy ponad trzydzieści puszek konserw i kilka pudełek ciastek.

To gromadzenie żywności budzi wstręt żołnierzy wychowanych w Trzynastce.

— Czy to nie jest nielegalne? — pyta Leeg Jeden.

— Przeciwnie, w Kapitolu uważano by cię za głupią, gdybyś tego nie robiła — mówi Messalla. — Nawet przed Ćwierćwieczem Poskromienia ludzie zaczęli gromadzić niewielkie ilości zapasów.

— Podczas gdy inni byli ich pozbawieni — mówi Leeg Jeden.

— Właśnie — odpowiada Messalla. — Tak to tutaj działa.

— Na całe szczęście, bo nie mielibyśmy co jeść — mówi Gale. — Niech każdy chwyci puszkę.

Niektórzy nasi towarzysze wydają się niechętni tej metodzie, ale jest równie dobra, jak każda inna. Naprawdę nie jestem w nastroju, by dzielić wszystko na jedenaście części, według wieku, wagi ciała i kondycji fizycznej. Przeszukuję stos i już mam z niego wyjąć zupę z dorsza, kiedy Peeta wyciąga puszkę w moją stronę.

— Masz.

Biorę ją, nie wiedząc, czego się spodziewać. Etykieta głosi: Potrawka z jagnięciny.

Zaciskam usta, kiedy wracają do mnie wspomnienia deszczu kapiącego na kamienie, moich niezdarnych prób flirtowania i zapachu mojej ulubionej kapitoliińskiej potrawy w chłodnym powietrzu. Więc jakaś część tego wciąż musi być i w jego głowie.

Jak szczęśliwi, jak głodni, jak blisko byliśmy siebie, kiedy ten koszyk pojawił się przed naszą jaskinią.

— Dziękuję. — Otwieram puszkę. — Są nawet suszone śliwki.

Zginam wieczko i używam go jak łyżki, by włożyć kawałek potrawki do ust. To miejsce teraz również smakuje jak arena.

Podajemy sobie pudełko ciastek z kremem, kiedy telewizor znów zaczyna piszczeć. Pieczęć Panem pojawia się na ekranie i pozostaje tam podczas odgrywania hymnu. Później zaczynają pokazywać zdjęcia zmarłych, jak to robili z trybutami na arenie. Rozpoczynają od czterech twarzy naszej ekipy telewizyjnej, a później pojawiają się Boggs, Gale, Finnick, Peeta i ja. Z wyjątkiem Boggsa nie wspominają o żadnym żołnierzu z Trzynastki. Być może dlatego, że nie znają tożsamości reszty, a może dlatego, że nie ma to żadnego znaczenia dla publiczności. Później pojawia się Snow we własnej osobie; siedzi przy biurku, za nim wywieszona jest flaga, świeża biała róża lśni w jego butonierce. Myślę, że mógł mieć ostatnio kolejne operacje plastyczne, bo jego usta są jeszcze bardziej nabrzmiałe niż zwykle. A jego ekipa przygotowawcza naprawdę nie powinna nakładać mu tyle różu na policzki.

Snow gratuluje Strażnikom Pokoju dobrze wykonanego zadania, odznacza ich za uwolnienie kraju od zimy zwanej Kosogłosem. Wraz z moją śmiercią przewiduje punkt zwrotny w przebiegu wojny, ponieważ zdemoralizowani rebelianci nie mają teraz za kim podążać. A kim ja tak naprawdę byłam? Biedną, niezrównoważoną dziewczyną z niewielkim talentem do strzelania z łuku. Nie umysłem rebelii, zaledwie twarzą wyszarpniętą z motłochu, bo udało mi się zwrócić uwagę narodu błazenadą na arenie. Ale jednak potrzebną, tak bardzo potrzebną, ponieważ rebelianci nie mają prawdziwego lidera.

Gdzieś w Trzynastym Dystrykcie, Beetee'emu udaje się włamać do sieci, bo teraz patrzy na nas już nie prezydent Snow, a prezydent Coin. Przedstawia się całemu Panem jako przywódczyni rebelii i wygłasza mowę pożegnalną na moją cześć. Pochwałę dziewczyny, która przetrwała Złożysko i Głodowe Igrzyska, a później zmieniła naród niewolników w armię wojowników wolności.

— Żywa czy martwa, Katniss Everdeen pozostanie twarzą tej rebelii. Jeżeli kiedykolwiek zachwiejecie się w swoim postanowieniu, przypomnijcie sobie Kosogłosa, a w nim znajdziecie siłę, której potrzebujecie, by uwolnić Panem od jego ciemności.

— Nie miałam pojęcia ile dla niej znaczyłam — mówię, wywołując śmiech u Gale'a i pytające spojrzenia u innych.

Teraz pokazują moje bardzo przerobione zdjęcie, na którym wyglądam pięknie i srogo na tle płomieni. Żadnych słów. Żadnego sloganu. Moja twarz to wszystko, czego teraz potrzebują.

Beetee pozwala wrócić na antenę bardzo opanowanemu Snowowi. Mam wrażenie, że prezydent był przekonany, że nie można się dostać do awaryjnego kanału i ktoś zostanie skrócony o głowę z powodu jego naruszenia.

— Jutro rano, kiedy wyciągniemy ciało Katniss Everdeen spod gruzowiska, przekonamy się kim tak naprawdę jest Kosogłos. Martwą dziewczyną, która nikogo nie potrafi uratować, nawet siebie.

Pieczeń, hymn i obraz znika.

— Tyle że jej nie znajdziecie — mówi Finnick do wygasłego ekranu, wypowiadając to, o czym zapewne wszyscy myślimy. Chwila wytchnienia będzie bardzo krótka. Kiedy przekopią się przez gruzowisko i zobaczą, że brakuje jedenastu ciał, zorientują się, że uciekliśmy.

— Przynajmniej mamy nad nimi przewagę — mówię.

Nagle czuję się potwornie zmęczona. Chcę tylko położyć się na najbliższej zielonej pluszowej sofie i zasnąć. Owinąć się kołdrą z króliczego futra, wypełnioną gęsimi piórami. Zamiast tego wyciągam Holo i namawiam Jackson, by nauczyła mnie najbardziej podstawowych komend — głównie wpisywania współrzędnych najbliższego skrzyżowania — bym mogła przynajmniej zacząć obsługiwać urządzenie samodzielnie. Kiedy Holo wyświetla nasze otoczenie, czuję jak coraz bardziej upadam na duchu. Musimy się zbliżyć do ważnych obiektów, bo znacznie zwiększyła się liczba zasobników. Jak możemy się zagłębić w Kapitol pomiędzy mrugającymi wiązkami światła nie ryzykując wykrycia? Nie możemy. A jeśli nie możemy, to jesteśmy uwięzieni jak ptaki w klatce. Decyduję, że najlepiej nie przyjmować postawy wyższości wobec ludzi wokół mnie. Szczególnie, że moje oczy wciąż wędrują ku zielonej sofie.

— Jakieś pomysły?

— Może zaczniemy od wykluczania różnych możliwości? — proponuje Finnick. — Ulica nie wchodzi w rachubę.

— Dachy są równie złe, co ulica — mówi Leeg Jeden.

— Wciąż moglibyśmy mieć szansę się wycofać, wrócić tą samą drogą — mówi Homes. — Ale to by oznaczało, że misja zakończy się niepowodzeniem.

Spada na mnie poczucie winy, bo przecież wymyśliliśmy tę misję.

— Nigdy nie mieliśmy iść wszyscy razem. Mieliście jedynie to nieszczęście, że trafiliście ze mną do oddziału.

— Cóż, to dyskusyjna kwestia. Teraz jesteśmy z tobą — mówi Jackson. — Nie możemy pozostać w miejscu. Nie możemy iść górą. Nie możemy poruszać się na boki. Myślę, że zostaje tylko jedna możliwość.

— Podziemie — mówi Gale.

Podziemie. Którego nienawidzę. Jak kopalnie i tunele Trzynastki. Podziemie, w którym obawiam się śmierci, co jest głupie, bo nawet jeśli umrę nad ziemią, pierwszym co zrobią i tak będzie pochowanie mnie pod ziemią.

Holo pokazuje podziemne zasobniki równie dobrze jak te nadziemne. Widać, że pod ziemią uporządkowane linie planu ulic zastąpione są płataniną tuneli. Zasobników wydaje się być jednak mniej.

Dwa mieszkania stąd pionowa tuba łączy nasz rząd budynków z tunelami. By dostać się do mieszkania z tubą, będziemy musieli przecisnąć się przez szyb zaopatrzeniowy, który przebiega wzdłuż wszystkich budynków. Możemy się dostać do szybu przez tył składziku na wyższym piętrze.

— Dobrze więc. Uporządkujmy to miejsce, jakbyśmy nigdy tu nie byli — mówię.

Wymazujemy wszystkie ślady naszej bytności. Wrzucamy puste puszki do zsypu na śmieci, chowamy pełne na później, obracamy pokryte krwią poduszki na sofie, ścieramy ślady żelu z kafelków. Nie możemy naprawić zamka w drzwiach wejściowych, ale zasuwamy rygiel, co przynajmniej nie pozwoli drzwiom otworzyć się automatycznie przy najmniejszym pchnięciu.

W końcu pozostaje nam jedynie walka z Peetą. Usadawia się na niebieskiej sofie i odmawia ruszenia się z miejsca.

— Nie idę. Albo wyjawię waszą pozycję, albo kogoś skrzywdzę.

— Ludzie Snowa cię znajdą — mówi Finnick.

— Więc zostawcie mi pastylkę. Zażyję ją tylko jeśli będę musiał — mówi Peeta.

— Nie ma mowy. Idziesz z nami — mówi Jackson.

— Bo co? Zastrzelicie mnie? — pyta Peeta.

— Pozbawimy cię przytomności i zaciągniemy ze sobą — mówi Homes. — Co tylko nas spowolni i wystawi na niebezpieczeństwo.

— Przestańcie być szlachetni! Nie obchodzi mnie czy umrę! — Zwraca się do mnie błagalnie. — Katniss, proszę. Czy nie widzisz, że nie chcę brać w tym udziału?

Problem w tym, że widzę. Dlaczego po prostu nie pozwolę mu odejść? Nie dam pastylki, nie pociągnę za spust? Czy dlatego, że za bardzo zależy mi na Peecie, czy na tym, by nie pozwolić Snowowi zatriumfować? Czy zmieniłam go w pionek w moich prywatnych Igrzyskach? To niegodziwe, ale nie jestem pewna czy o to chodzi. Jeśli tak, życzliwiej byłoby zabić Peetę tu i teraz. W żadnym z przypadków nie powoduje mnie jednak życzliwość.

— Tracimy czas. Idziesz po dobroci czy mamy cię ogłuszyć?

Peeta przez chwilę ukrywa twarz w dłoniach i wstaje, by do nas dołączyć.

— Mamy go rozkuć? — pyta Leeg Jeden.

— Nie! — warczy na nią Peeta, przyciskając kajdanki blisko do swojego ciała.

— Nie — powtarzam za nim. — Ale chcę mieć klucz.

Jackson podaje mi go bez słowa. Wkładam go do kieszeni spodni, gdzie stuka o pertę.

Kiedy Homes wyważa małe metalowe drzwi szybu zaopatrzeniowego, napotykamy kolejny problem. Nie ma mowy, by pancerze owadów zmieściły się w wąskim przejściu. Castor i Pollux zdejmują je i odłączają zapasowe kamery. Każda jest rozmiaru pudełka po butach i prawdopodobnie spełnia swoje zadanie równie dobrze. Messalla nie potrafi wymyślić lepszej kryjówki dla nieporęcznych skorup, więc w końcu porzucamy je w szafie. Pozostawienie takiego oczywistego tropu irytuje mnie, ale co innego możemy zrobić?

Nawet kiedy przechodzimy pojedynczo, wyciągając plecaki i sprzęt przed siebie, jest bardzo ciasno. Omijamy wyjście do pierwszego mieszkania i włamujemy się do drugiego. W tym mieszkaniu jedna z sypialni ma drzwi oznaczone jako usługi komunalne zamiast łazienki. Za drzwiami znajduje się pomieszczenie z wejściem do tuby.

Messalla marszczy brwi na widok dużej okrągłej pokrywy, na moment wracając do swojego egzaltowanego świata.

— Dlatego nikt nigdy nie chce takich mieszkań. Robotnicy przychodzą i wychodzą kiedy chcą i nie ma drugiej łazienki. Ale czynsz jest odpowiednio niższy. — Nagle zauważa rozbawienie na twarzy Finnicka i dodaje: — Nieważne.

Pokrywę tuby łatwo otworzyć. Szeroka drabina z gumowymi elementami na stopniach pozwala na szybkie i proste zejście do wnętrza miasta. Zbieramy się na dole drabiny i czekamy aż nasze oczy przyzwyczają się do przyćmionych promieni światła, oddychając mieszaniną chemikaliów, pleśni i ścieków.

Pollux, blady i spocony, wyciąga rękę i zaciska ją na nadgarstku Castora. Jakby mógł upaść, gdyby nie było przy nim kogoś, kto by go podtrzymał.

— Mój brat pracował tu na dole po tym, jak został awoksem — mówi Castor. Oczywiście. Kogo innego mogliby wysłać do pracy w tych wilgotnych, śmierdzących korytarzach naszpikowanych zasobnikami? — Minęło pięć lat zanim udało nam się wykupić dla niego drogę powrotną nad ziemię. Ani razu nie widział wtedy słońca.

W lepszych okolicznościach, w dniu, w którym zdarzyłoby się mniej okropności i mielibyśmy więcej czasu na odpoczynek, ktoś na pewno wiedziałby co powiedzieć. Zamiast tego wszyscy stoimy w miejscu przez długi czas, próbując sformułować odpowiedź.

W końcu Peeta zwraca się do Polluxa:

— Cóż, w takim razie właśnie stałeś się naszym najcenniejszym atutem.

Castor śmieje się, a Polluxowi udaje się uśmiechnąć.

Jesteśmy w połowie drogi pierwszym tunelem, kiedy zdaję sobie sprawę z tego, co było tak niezwykłego w tej wymianie zdań. Peeta brzmiał jak dawniej, jak ktoś, kto zawsze potrafi wypowiedzieć właściwe słowa, kiedy inni są do tego niezdolni. Ironiczne,

stymulujące, nieco zabawne — ale nigdy czyimś kosztem. Spoglądam na niego jak wlecze się pod czujnym okiem strażników, Gale’a i Jackson, ze wzrokiem utkwionym w ziemi i zgarbionymi ramionami. Tak bardzo zniechęcony. Ale przez chwilę naprawdę tu był.

Peeta miał rację. Pollux okazuje się być cenniejszy niż dziesięć Holo. Tu na dole jest prosta sieć szerokich tuneli, która dokładnie odpowiada planowi głównych ulic powyżej; leży pod największymi drogami i skrzyżowaniami. Nazywa się Transfer, bo małe ciężarówki używają jej do rozwożenia dóbr po mieście. W ciągu dnia wiele zasobników zostaje dezaktywowanych, ale nocą Transfer zmienia się w pole minowe. Oprócz tego jednak setki dodatkowych przejść, szybów komunalnych, torów kolejowych i rur kanalizacji tworzą wielopoziomowy labirynt. Pollux zna szczegóły, które mogłyby doprowadzić do nieszczęścia początkujących, jak na przykład w których odgałęzieniach przydają się maski, w których są kable elektryczności albo szczury wielkości bobrów. Ostrzega nas przed wytryskami wody, która cyklicznie zmywa ścieki, przewiduje czas zmiany awoksów, prowadzi nas przez wilgotne, ciemne rury, by uniknąć przejazdu pociągów zaopatrzeniowych. A co najważniejsze, zna rozmieszczenie kamer. Nie ma ich zbyt wiele w tym ciemnym, mglistym miejscu, poza Transferem. Trzymamy się od nich z daleka.

Pod przewodnictwem Polluxa pokonujemy podziemie w dobrym czasie — nadzwyczajnym, jeśli porównać go z naszą nadziemną podróżą. Po jakichś sześciu godzinach, zmęczenie bierze górę. Jest trzecia nad ranem, więc pewnie mamy jeszcze kilka godzin zanim odkryją brak naszych ciał, przeszukają gruzy całej przecznicy, w razie podejrzenia ucieczki przez szyby zaopatrzeniowe, i rozpocznie się polowanie.

Kiedy proponuję odpoczynek, nikt nie protestuje. Pollux znajduje mały, ciemny pokój wypełniony brzęczeniem maszynierii z dźwigniami i panelami. Unosi palce, by zaznaczyć, że musimy stąd zniknąć w przeciągu czterech godzin. Jackson opracowuje kolejność zmian, a skoro nie mam pierwszej, wciskam się w ciasną przestrzeń między Gale’em i Leeg. Jeden i natychmiast zasypiam.

Wydaje się, że zaledwie po upływie kilku minut Jackson potrząsa mną i mówi, że czas na moją zmianę. Już szósta i za godzinę musimy znowu wyruszyć. Jackson każe mi zjeść puszkę jedzenia i obserwować Polluxa, który nalegał, by trzymać wartę przez całą noc.

— Nie może spać tu na dole.

Doprowadzam się do stanu względnej świadomości, zjadam puszkę duszonych ziemniaków i fasoli i siadam przy ścianie naprzeciwko drzwi. Pollux wydaje się rozbudzony. Prawdopodobnie całą noc przeżywał na nowo pięć lat uwięzienia. Wyciągam Holo i udaje mi się wpisać nasze współrzędne i sprawdzić tunele. Jak można się było spodziewać, im bliżej jesteśmy centrum Kapitolu, tym więcej zasobników. Przez moment razem z Polluxem naciskam różne przyciski w Holo, sprawdzając jakie pułapki czekają na

nas i w których miejscach. Kiedy zaczyna mi się kręcić w głowie, podaję mu Holo i opieram się o ścianę. Patrzę na śpiących żołnierzy, ekipę i przyjaciół i zastanawiam się ilu z nas kiedykolwiek zobaczy jeszcze słońce.

Kiedy mój wzrok spoczywa na Peecie, którego głowa leży tuż przy moich stopach, dostrzegam, że nie śpi. Chciałabym wiedzieć co się dzieje w jego głowie i uporządkować bałagan kłamstw. Decyduję się na coś, co mogę osiągnąć.

— Jadłeś już? — pytam.

Delikatne potrząśnięcie głową wskazuje, że nie jadł. Otwieram puszkę z zupą z kurczaka i ryżu i podaję mu ją, zatrzymując wieczko, na wypadek gdyby próbował podciąć sobie nim żyły czy coś w tym rodzaju. Siada i przechyla puszkę, połykając zupę bez zwracania sobie głowy gryzieniem jej. Dno puszki odbija światła maszyn i przypominam sobie coś, co błąkało się w mojej świadomości od wczoraj.

— Peeta, kiedy zapytałeś czy to, co się stało z Dariusem i Lavinia to prawda, a Boggs to potwierdził, powiedziałeś, że tak właśnie myślałeś. Bo nie było w tym nic błyszczącego. Co miałeś na myśli?

— Och. Nie bardzo wiem jak to wytłumaczyć — mówi mi. — Na początku wszystko było jednym wielkim pomieszaniem. Teraz mogę już rozróżnić niektóre rzeczy. Myślę, że jest nawet pewien szablon. Wspomnienia, które zmienili jadłem gończych os, mają taką dziwną właściwość. Wydają się zbyt intensywne, a obrazy zbyt niestabilne. Pamiętasz jak to było, kiedy zostaliśmy użądleni?

— Drzewa się zapadały. Pojawiały się wielkie kolorowe motyle. Wpadłam w dół z pomarańczowymi bąbelkami. — Myślę nad tym przez chwilę. — Błyszczącymi pomarańczowymi bąbelkami.

— Właśnie. Ale nic związanego z Dariusem i Lavinia takie nie było. Chyba nie wstrzyknęli mi jeszcze wtedy jadu.

— Cóż, to chyba dobrze, prawda? — pytam. — Jeśli potrafiłbyś to wszystko rozdzielić, mógłbyś dotrzeć do prawdy.

— Tak. A gdybym umiał wyhodować sobie skrzydła, potrafiłbym latać. Tylko że ludzie potrafią hodować skrzydeł — mówi. — Prawda czy nieprawda?

— Prawda — odpowiadam. — Ale ludzie nie potrzebują skrzydeł, by przetrwać.

— Kosogłoty potrzebują.

Zjada zupę do końca i oddaje mi puszkę.

W świetle jarzeniówek, cienie wokół jego oczu wyglądają jak siniaki.

— Wciąż mamy trochę czasu. Powinieneś się przespać.

Bez słowa sprzeciwu kładzie się z powrotem, ale jedynie gapi się jak igła w jednym z urządzeń drga w tę i z powrotem. Powoli, jakbym miała do czynienia ze zranionym zwierzęciem, wyciągam rękę i odgarniam mu włosy z czoła. Nieruchomieje

pod wpływem mojego dotyku, ale nie odsuwa się. Więc dalej delikatnie zaczesuję mu włosy do tyłu. Po raz pierwszy dotykam go z własnej woli od czasu pobytu na arenie.

— Wciąż próbujesz mnie chronić. Prawda czy nieprawda? — szepcze.

— Prawda — odpowiadam. Wydaje się, że wymaga to wytłumaczenia. — Bo to właśnie robimy. Chronimy się nawzajem. — Po jakiejś minucie zasypia.

Krótko przed siódmą Pollux i ja podchodzimy do reszty i budzimy ich. Ludzie ziewają i wzdychają, jak zwykle przy wstawaniu. Ale do moich uszu dociera też inny odgłos. Prawie jak syczenie. Może to tylko para wydobywająca się ze świstem z rury odległego pociągu...

Uciszam grupę, by lepiej słyszeć. Słyszę syczenie, tak, ale to nie jest przeciągły dźwięk. Przypomina raczej wielokrotne wydechy, formujące się w słowo. Proste słowo. Odbijające się echem w tunelach. Jedno słowo. Jedno imię. Powtarzane wciąż i wciąż od nowa.

— Katniss.

Skończył się okres łaskawości. Być może Snow kazał im kopać całą noc. W każdym razie zaraz po tym, jak ogień całkowicie wygasł. Znaleźli szczątki Boggsa, co na krótko ich uspokoiło, a później, gdy kolejne godziny nie przynosiły nowych zdobyczy, zaczęli coś podejrzewać. W którymś momencie zorientowali się, że zostali wykiwani. A prezydent Snow nie może pozwolić, by robiono z niego głupca. Nie ma znaczenia czy próbowali nas znaleźć w kolejnym mieszkaniu, czy założyli, że natychmiast zeszliśmy do podziemi. Teraz wiedzą, że jesteśmy tu na dole i wypuścili coś, prawdopodobnie zgraję zmiechów, zaprogramowanych, by mnie odszukać.

— Katniss.

Podskakuję, kiedy głos odzywa się blisko mnie. Gorączkowo rozglądam się w poszukiwaniu jego źródła, zakładam strzałę na cięciwę i szukam celu.

— Katniss.

Usta Peety ledwo się poruszają, ale nie ma wątpliwości, że to on wypowiedział moje imię. Właśnie kiedy wydał mi się w nieco lepszej formie, kiedy myślałam, że powoli toruje sobie drogę do mnie, dostałam dowód tego, jak głęboko wdarła się trucizna Snowa.

— Katniss.

Peetę zaprogramowano, by odpowiadał na syczenie, by przyłączył się do polowania. Zaczyna szaleć. Nie mam wyjścia. Ustawiam strzałę tak, by przeszła jego mózg. Właściwie nic nie poczuje. Nagle jednak siada, jego oczy rozszerzają się ostrzegawczo, oddycha krótko.

— Katniss!

Szybko odwraca głowę w moją stronę, ale zdaje się nie zauważać łuku, czekającej na niego strzały.

— Katniss! Uciekaj stąd!

Waham się. Jest zaniepokojony, ale nie szalony.

— Dlaczego? Co jest źródłem tego dźwięku?

— Nie wiem. Ale to ma cię zabić — mówi Peeta. — Biegnij! Uciekaj! No już!

Po krótkim momencie zmieszania dochodzę do wniosku, że wcale nie muszę do niego strzelać. Rozluźniam cięciwę. Spoglądam na zaniepokojone twarze dookoła mnie.

— Cokolwiek to jest, ma dopaść mnie. To może być dobry moment, by się rozdzielić.

— Ale jesteśmy twoją strażą — mówi Jackson.

— I twoją ekipą — dodaje Cressida.

— Nie zostawię cię — mówi Gale.

Patrzę na ekipę, uzbrojoną jedynie w kamery i podkładki. A Finnick ma dwa pistolety i trójząb. Proponuję, by oddał jeden pistolet Castorowi. Usuwam magazynek ślepaków z broni Peety, ładuję go prawdziwymi nabojami i uzbrajam Polluxa. Jako że Gale i ja mamy swoje łuki, oddajemy pistolety Messalli i Cressidzie. Nie ma czasu, by pokazać im cokolwiek poza tym, jak celować i pociągać za spust, jednak mogłoby to wystarczyć w walce z bliska. To lepsze niż bycie bezbronnym. Jediną osobą bez broni pozostaje Peeta, ale ktoś, kto szepcze moje imię razem ze zgrają zmiechów, nie potrzebuje broni.

Nie zostawiamy w pokoju nic poza naszym zapachem. Nie możemy go w tej chwili wymazać. Zgaduję, że w ten właśnie sposób syczące stworzenia nas tropią, bo nie zostawiliśmy wiele fizycznych śladów. Nosy zmiechów muszą być nienaturalnie wrażliwe, być może jednak czas, który spędziliśmy przedzierając się przez wodę w rurach ściekowych wystarczy, by je zmylić.

Gdy zostawiamy za sobą brzęczenie w pokoju, syczenie staje się bardziej wyraźne. Możliwe jest też ocenienie pozycji zmiechów. Są za nami, wciąż w sporej odległości. Snow prawdopodobnie uwolnił je do podziemia niedaleko miejsca, w którym znalazł ciało Boggsa. Teoretycznie powinniśmy mieć nad nimi sporą przewagę, ale na pewno są dużo szybsze niż my. Sięgam umysłem do wilkopodobnych stworów z pierwszej areny, małą z Czwierćwiecza Poskromienia, monstrów, które widziałam w telewizji przez lata, i zastanawiam się, jaką formę przyjęły te zmiechy. Taką, która, według Snowa, najbardziej mnie przerazi.

Pollux i ja obmyśliliśmy plan dotarcia do kolejnego etapu naszej podróży, a skoro oddalimy się przy tym od syczenia, nie widzę powodu, by go zmieniać. Jeżeli poruszałibyśmy się szybko, być może udałoby nam się dotrzeć do rezydencji Snowa zanim zmiechy dotrą do nas. Ale razem z szybkością przychodzi też niezdarność: źle postawiony but, który wywołuje plusk, przypadkowe uderzenie broni o rurę, nawet moje własne polecenia, wydawane zbyt głośno.

Przebyliśmy jakieś trzy kolejne przecznice w stronę rury wylotowej i sektor zaniedbanej linii kolejowej, kiedy zaczynają się krzyki. Niskie, gardłowe. Odbijające się od ścian tunelu.

— Awoksowie — mówi natychmiast Peeta. — Tak właśnie brzmiał Darius, kiedy go torturowano.

— Zmiechy musiały ich dopaść — mówi Cressida.

— Więc nie przybyły tu tylko po Katniss — mówi Leeg Jeden.

— Pewnie zabijają każdego. Nie przestaną jednak dopóki jej nie dostaną — mówi Gale. Po godzinach spędzonych z Beetee'em, zapewne ma rację.

I znowu to samo. Ludzie umierają z mojego powodu. Przyjaciele, sojusznicy, nieznajomi — wszyscy oni tracą życie przez Kosogłosa.

— Pozwólcie mi iść dalej samej. Zmylę je. Przetransferuję Holo na Jackson. Reszta z was będzie mogła dokończyć misję.

— Nikt się na to nie zgodzi! — mówi poirytowana Jackson.

— Tracimy czas! — mówi Finnick.

— Słuchajcie — szepcze Peeta.

Krzyki ustały i znowu zaczyna rozbrzmiewać moje imię, niebezpiecznie blisko. Teraz słyszeć je nie tylko za nami, ale i pod nami.

— Katniss.

Szturcham Polluxa w ramię i zaczynamy biec. Problem w tym, że planowaliśmy zejść na niższy poziom, ale teraz to wykluczone. Kiedy docieramy do prowadzących w dół schodów, Pollux i ja poszukujemy alternatywnej drogi przy użyciu Holo, a ja zaczynam się krztusić.

— Załóżcie maski! — rozkazuje Jackson.

Nie ma takiej potrzeby. Wszyscy oddychają tym samym powietrzem. Ale tylko ja się duszę, bo tylko ja reaguję na zapach. Unoszący się w górę klatki schodowej. Odcinający się na tle ścieków. Róże. Zaczynam się trząść.

Gwałtownie odwracam się od tej woni i wpadam prosto na Transfer. Gładką, wyłożoną pastelowymi kostkami ulicę, zupełnie jak te powyżej, ale otoczoną ścianami z białej cegły zamiast domów. Jezdnia, po której samochody dostawcze mogą jeździć z łatwością, nie zanieczyszczając Kapitolu. Opróżniona teraz ze wszystkiego oprócz nas. Naciągam cięciwę i wysadzam pierwszy zasobnik strzałą wybuchową, która zabija grupę mięsożernych szczurów w nim ukrytych. Później biegnę do następnego skrzyżowania, gdzie jeden fałszywy krok sprawi, że ziemia pod naszymi stopami się zapadnie, wrzucając nas w coś określonego jako Młynek do Mięsa. Wykrzykuję w stronę pozostałych ostrzeżenie, by trzymali się blisko mnie. Planuję obejść róg i zdetonować Młynek do Mięsa, ale po drodze czeka na nas kolejny nieoznaczony zasobnik.

To się dzieje bardzo cicho. W ogóle bym tego nie zauważyła, gdyby Finnick mnie nie zatrzymał.

— Katniss!

Obracam się szybko ze strzałą przygotowaną do lotu, ale co mogę zrobić? Dwie strzały Gale'a już leżą bezużytecznie obok wielkiego snopu złotego światła, które promieniuje z sufitu na podłogę. W środku Messalla zastygł w bezruchu niczym posąg, unosząc się na jednej stopie, z głową odchyloną do tyłu, uwięziony przez promień. Nie mogę ocenić czy krzyczy, chociaż jego usta są szeroko otwarte. Patrzymy, całkowicie bezradni, jak jego ciało topnieje jak woskowa świeczka.

— Nie można mu pomóc! — Peeta zaczyna popychać ludzi do przodu. — Nie można!

To dziwne, że tylko on funkcjonuje jeszcze na tyle sprawnie, by zmusić nas do ruszenia dalej. Nie wiem, dlaczego nie stracił kontroli, bo powinien wariować i walić mnie po głowie, ale to może się stać w każdej chwili. Pod naciskiem jego ręki na moim ramieniu odwracam się od potwornej rzeczy, która była Messallą; zmuszam stopy, by ruszały się dalej, do przodu, szybko, tak szybko, że ledwo wyhamowuję przed następnym skrzyżowaniem.

Deszcz pocisków z broni palnej zsyla na nas gipsowy prysznic. Potrząsam głową na wszystkie strony w poszukiwaniu zasobnika, aż w końcu dostrzegam oddział Strażników Pokoju biegnących Transferem w naszą stronę. Z Młynkiem do Mięsa blokującym nam drogę, jedyne, co możemy zrobić, to odpowiedzieć ogniem. Jest ich dwa razy więcej, ale wciąż mamy sześcioro pierwotnych członków Oddziału Gwiazd, którzy nie próbują biec i strzelać naraz.

Ryby w beczce, myślę, kiedy na ich białych mundurach rozkwitają krwawe kwiaty. Trzy czwarte z nich nie żyje, kiedy więcej zaczyna wylać się od strony tunelu, tego samego, przez który przeleciałam, próbując uciec od zapachu, od...

To nie są Strażnicy Pokoju.

Są białe, czworonożne, mniej więcej w rozmiarze dorosłego człowieka, ale na tym kończą się podobieństwa. Są nagie, z długimi gadzimi ogonami, wygiętymi plecami i wyciągniętymi w przód głowami. Owijają się wokół Strażników Pokoju, żywych i martwych, zaciskają usta na ich szyjach i odrywają osłonięte hełmami głowy. Najwyraźniej kapitoliniński rodowód jest tutaj równie bezużyteczny, co w Trzynastce. Wydaje się, że zaledwie w przeciągu kilku sekund Strażnicy Pokoju zostają pozbawieni głów. Zmiechy opadają na brzuchy i zaczynają poruszać się ku nam na czworakach.

— Tędy! — krzyczę, przylegając do ściany i gwałtownie skręcając w prawo, by uniknąć zasobnika.

Kiedy wszyscy dołączają do mnie, strzelam w skrzyżowanie i uruchamiam Młynec do Mięsa. Ogromne mechaniczne zęby rozrywają ulicę i zmieniają kostkę brukową w pył. To powinno uniemożliwić zmiechom podążenie za nami, ale sama już nie wiem. Wilcze i małpie zmiechy potrafiły skakać niewiarygodnie daleko.

Uszy płoną mi od syczenia, a smród róż sprawia, że ściany zaczynają wirować.

Chwytam Polluxa za ramię.

— Zapomnij o misji. Jaka jest najkrótsza droga na powierzchnię?

Nie ma czasu, by sprawdzić Holo. Podążamy za Polluxem przez jakieś dziesięć metrów wzdłuż Transferu i przechodzimy przez drzwi. Zauważam, że kostka brukowa zmienia się w beton, że wyczołgujemy się przez ciasną, śmierdzącą rurę na szeroki na jakieś trzydzieści centymetrów występ skalny. Jesteśmy w głównym kanale ściekowym. Metr pod nami bulgocze toksyczna breja ludzkich odpadów, śmieci i chemikaliów. Niektóre części powierzchni płoną, inne emitują złowieszcze chmury oparów. Wystarcza

jedno spojrzenie i wiesz, że jeśli spadniesz, nigdy się stamtąd nie wydostaniesz. Poruszamy się tak szybko, jak tylko mamy odwagę, po śliskiej skalnej półce, docieramy do wąskiego mostu i pokonujemy go. Z wnętrza na dalekim końcu Pollux wyciąga ręką drabinę i wskazuje na szyb. To jest to. Nasze wyjście.

Szybkie spojrzenie na naszą drużynę coś mi uświadamia.

— Chwila! Gdzie Jackson i Leeg Jeden?

— Zostali przy Młynku, by zatrzymać zmiechy — mówi Homes.

— Co?

Rzucam się z powrotem w stronę mostu, nie chcąc zostawiać nikogo na pastwę tych potworów, ale szarpie mnie z powrotem.

— Nie marnuj ich życia, Katniss. Już dla nich za późno. Spójrz!

Homes wskazuje na rurę, z której zmiechy wypełzają na występ skalny.

— Odsuńcie się! — krzyczy Gale.

Wybuchowymi strzałami udaje mu się oderwać dalszą stronę mostu od podstawy. Upada ku bulgoczącej cieczy, kiedy tylko zmiechy do niego docierają.

Po raz pierwszy uważnie im się przyglądam. To mutacje ludzi i jaszczurek, i kto wie czego jeszcze. Mają białą, naprężoną gadzią skórę pokrytą zakrzepłą krwią. Ich dłonie i stopy są obdarzone pazurami, ich twarze tworzą mieszaninę różnych cech. Syczą, wykrzykują teraz moje imię, a ich ciała wykrzywia furia. Smagają powietrze ogonami i wymachują pazurami, odrywają sobie nawzajem części ciała szerokimi, spienionymi ustami, doprowadzone do szaleństwa chęcią zniszczenia mnie. Mój zapach musi być dla nich równie silny co ich woń dla mnie. Nawet bardziej, bo pomimo toksyczności ścieku, zmiechy zaczynają wskakiwać do cuchnącej cieczy.

Wszyscy otwieramy ogień. Strzelam wszystkimi rodzajami strzał, nie zadając sobie trudu wybierania odpowiednich, i posyłam zarówno ostre jak brzytwa, ogniowe, jak i wybuchowe w ciała zmiechów. Ledwo można powiedzieć, że są śmiertelne. Nic naturalnego nie brnęłoby dalej z dwoma tuzinami kul w ciele. Tak, możemy je ostatecznie zabić, ale jest ich tak wiele, nieskończony zapas wydobywający się z rury, nie wahający się ani chwili przed wskoczeniem do ścieku.

Ale to nie ich liczebność sprawia, że moje dłonie tak drżą.

Żaden zmiech nie jest dobry. Wszystkie mają za zadanie cię skrzywdzić. Niektóre odbierają ci życie, jak małpy. Inne rozum, jak gończe osy. Jednakże najbardziej okrutne, najbardziej przerażające są te, które mają za zadanie przerazić ofiarę psychologicznymi sztuczkami. Widok wilczych zmiechów z oczami zmarłych trybutów. Głosułka udająca krzyki torturowanej Prim. Woń róż Snowa zmieszana z krwią ofiar. Niesiona ponad ściekiem. Przebijająca się nawet przez ten smród. Sprawia, że moje serce wariuje, moja skóra zamienia się w lód, moje płuca są niezdolne do zaczerpnięcia powietrza. Tak, jakby Snow oddychał prosto w moją twarz, mówiąc mi, że czas umierać.

Reszta krzyczy na mnie, ale nie potrafię odpowiedzieć. Silne ramiona unoszą mnie, kiedy wysadzam głowę zmiecha, którego pazury właśnie drasnęły moją kostkę. Ktoś wpycha mnie na drabinę. Przyciska mi dłonie do szczebli. Rozkazuje się wspinać. Moje drewniane kończyny marionetki wykonują rozkaz. Ruch powoli przywraca mi zmysły. Wyczuwam nad sobą jedną osobę. To Pollux. Peeta i Cressida wspinają się za mną. Docieramy do platformy. Przenosimy się na drugą drabinę. Szczebli są śliskie od potu i pleśni. Na następnej platformie rozjaśnia mi się w głowie i okropność tego, co się stało, uderza we mnie z pełną mocą. Zaczynam gorączkowo wyciągać ludzi w górę drabiny. Peeta. Cressida. I to wszystko.

Co ja zrobiłam? Na pastwę czego pozostawiłam innych? Zaczynam schodzić w dół po drabinie, kiedy mój but w kogoś uderza.

— W górę! — warczy Gale. Wspinam się znowu, ciągnąc go ze sobą, wyęzając wzrok w ciemnościach w poszukiwaniu innych. — Nie. — Gale obraca moją twarz ku sobie i potrząsa głową. Ma postrzępiony mundur. I otwartą ranę z boku szyi.

Poniżej słyszę ludzki krzyk.

— Ktoś wciąż żyje! — mówię błagalnie.

— Nie, Katniss. Oni tu nie przyjdą — odpowiada Gale. — Za to zmiechy tak.

Niezdolna do zaakceptowania tego faktu, świecę w dół szybu bronią Cressidy. Głęboko poniżej mogę jedynie wyróżnić Finnicka, walczącego o przetrwanie z trzema rozrywającymi go zmiechami. Gdy jeden z nich odchyła głowę, by ugryźć śmiertelnie, dzieje się coś dziwnego. Tak, jakbym była Finnickiem i patrzyła jak obrazy z jego życia przesuwają mi się przed oczami. Maszt łodzi, srebrny spadochron, śmiejąca się Mags, różowe niebo, trójzab Beetee'ego, Annie w sukni ślubnej, fale rozbijające się o skały. I koniec.

Wyjmuję Holo zza pasa i wyrzucam z siebie: „uścisk nocy, uścisk nocy, uścisk nocy”. Wypuszczam je. Kulę się przy ścianie razem z innymi, kiedy eksplozja wstrząsa platformą, a kawałki zmiechowego i ludzkiego mięsa wystrzelają z rury i zasypują nas.

Słyszę szcęk, kiedy Pollux zatrzaskuje pokrywkę na rurze. Pollux, Gale, Cressida, Peeta i ja. Tylko my pozostaliśmy. Później przyjdzie czas na ludzkie uczucia. Teraz jestem jedynie zwierzęciem, próbującym zachować resztę stada przy życiu.

— Nie możemy się tu zatrzymać.

Ktoś podaje bandaż. Zawijujemy go wokół szyi Gale'a. Podnosimy go na nogi. Jedynie jedna osoba wciąż kuli się przy ścianie.

— Peeta — mówię.

Nie ma odpowiedzi. Stracił przytomność? Kucam przed nim, odrywając jego zakute w kajdanki dłonie od twarzy.

— Peeta?

Jego oczy są jak czarne morza, źrenice ma tak rozszerzone, że niebieskie tęczęwki zniknęły. Mięśnie na jego nadgarstkach są twarde jak metal.

— Zostaw mnie — szepcze. — Nie dam rady.

— Owszem. Dasz! — mówię mu.

Peeta potrząsa głową.

— Tracę zmysły. Zwariuję. Jak one.

Jak zmiechy. Jak rozwścieczone bestie zaprogramowane, by rozerwać mi gardło. I tutaj, właśnie w tym miejscu, w tych okolicznościach, naprawdę będę musiała go zabić. I Snow zwycięży. Żarliwa, gorzka nienawiść przepływa przeze mnie. Snow ugrał już dzisiaj zbyt wiele.

To bardzo ryzykowne, być może samobójcze, ale robię jedyną rzecz, która przychodzi mi do głowy. Pochylam się i całuję Peetę w usta. Całe jego ciało zaczyna drżeć, ale przyciskam moje wargi do jego warg dopóki nie muszę zaczerpnąć powietrza. Moje dłonie ześlizgują się po jego nadgarstkach i zaciskają na jego dłoniach.

— Nie pozwól mu odebrać mi ciebie.

Peeta dyszy, próbując pokonać koszmary w swojej głowie.

— Nie. Nie chcę...

Zaciskam jego dłonie aż do bólu.

— Zostań ze mną.

Jego źrenice kurczą się, później znowu błyskawicznie się rozszerzają, a w końcu wracają do rozmiaru przypominającego normalny.

— Zawsze — szepcze.

Pomagam Peecie wstać i zwracam się do Polluxa:

— Jak daleko do ulicy?

Wskazuje, że jest tuż nad nami. Wspinam się po ostatniej drabinie i odpycham pokrywę prowadzącą do czyjegoś pomieszczenia użyteczności publicznej. Podnoszę się na nogi, kiedy jakaś kobieta otwiera drzwi. Ma na sobie błyszczące turkusowe jedwabne ubranie, wyhaftowane egzotycznymi ptakami. Jej purpurowe włosy puszą się jak chmura udekorowana złożonymi motylami. Tłuszcz z w połowie zjedzonej kiełbasy, którą trzyma, plami jej szminkę. Wyraz jej twarzy świadczy o tym, że mnie rozpoznaje. Otwiera usta, by wołać o pomoc.

Bez wahania przestrelam jej serce.

Kogo chciała przywołać kobieta zostanie na zawsze tajemnicą, po przeszukaniu mieszkania odkryliśmy, że była sama. Być może jej płacz był skierowany do najbliższego sąsiada albo był najzwyczajszym wyrazem strachu. W każdym razie nie ma nikogo, kto by ją usłyszał.

Apartament byłby wspaniałym miejscem, gdzie moglibyśmy się zaszyć na jakiś czas, ale nie mogliśmy sobie pozwolić na ten luksus.

- Jak myślicie, ile czasu mamy zanim się zorientują, że ktoś z nas mógł przetrwać?
- zapytałam.

- Mogą tu się zjawić lada moment. – odpowiedziami Gale. – Wiedzieli, że kierujemy się w stronę ulic. Eksplozja pewnie zatrzyma ich na parę chwil, ale potem zaczną szukać miejsca, którym uciekliśmy.

Podeszłam do okna, które wychodzi na ulicę, i kiedy odsunęłam rolety, nie zobaczyłam Strażników Pokoju, ale stłoczoną gromadę ludzi pędzących za swoimi sprawami. Podczas naszej podziemnej podróży, zostawiliśmy daleko za sobą ewakuowane strefy i wyszliśmy na powierzchnię w tłocznej części Kapitolu. Tłum jest naszą jedyną szansą na ucieczkę. Nie mam Holo, ale za to mam Cressidę. Dołącza do mnie przy oknie, potwierdza, że wie gdzie się znajdujemy. Pociesz mnie wiadomością, że znajdujemy się zaledwie kilka budynków od rezydencji prezydenta.

Jeden rzut oka na moich kompanów wystarczył, by stwierdzić, że to nie jest najlepsza pora na podstępny atak na Snowa. Gale ciągle krwawi z rany na szyi, której nawet nie oczyściliśmy. Peeta siedzi na aksamitnej sofie, z zębami zaciśniętymi na poduszce, walcząc z szaleństwem lub wygłuszając swój krzyk. Pollux łka naprzeciwko półki nad zdobionym kominkiem. Cressida stoi zdecydowanie przy moim boku, ale jest bardzo blada, a z jej ust odpłynęła cała krew. Napędza mnie nienawiść. Kiedy ta energia się wyczerpie, stanę się bezużyteczna.

- Sprawdźmy jej szafki. – postanowiłam.

W jednej sypialni znaleźliśmy setki damskich strojów, płaszczy, par butów, tęczę peruk, wystarczająco dużo makeupu by pomalować cały dom. W sypialni naprzeciwko korytarza znajduje się podobna kolekcja dla mężczyzny. Być może należy do jej męża. Może do kochanka, który miał to szczęście bycia nieobecnym dzisiaj.

Nakazałam wszystkim ubrać się. Na widok zakrwawionych nadgarstków Peety wygrzebałam z kieszeni klucz do kajdanek, ale wyszarpnął się z dala ode mnie.

- Nie. – mówi. – Nie rób tego. Pomagają mi trzymać się w kupie.

- Możesz potrzebować swoich rąk. – stwierdził Gale.

- Kiedy czuję, że odpływam, wciskam w nie swoje nadgarstki, a ból pozwala mi się skupić. – mówi Peeta. Pozwalam, żeby tak zostało.

Na szczęście jest chłodno na zewnątrz, więc zamaskować większość naszych uniformów i broni pod zwiewnymi płaszczami i pelerynami. Obwiesiliśmy nasze buty dookoła szyj za pomocą sznurowadeł i schowaliśmy je, zastępując je dziwnym obuwiem. Prawdziwym wyzwaniem są, oczywiście, nasze twarze. Cressida i Pollux mogą być rozpoznane przez swoich znajomych, Gale mogą znać z profosów i wiadomości, ale mnie i Peete zna każdy mieszkaniec Panem. W pośpiechu pomagaliśmy sobie nawzajem nakładać warstwy makijażu, zakładając peruki i okulary przeciwsłoneczne. Cressida owija szalikami usta i nosy moje i Peety.

Czuję upływający czas, ale zatrzymujemy się jeszcze na kilka chwil, żeby wypchać kieszenie jedzeniem i środkami pierwszej pomocy.

- Trzymajmy się razem. – mówię przed drzwiami frontowymi. Zaraz potem wypadamy prosto na ulicę. Zaczęły spadać śnieżynki. Poruszeni ludzie okrążyli nas, mówiąc swoim efektownym kapitolinśkim akcentem o rebelii, głodzie i o mnie. Przecieliśmy ulicę, mineliśmy jeszcze kilka apartamentów. Jak tylko skręciliśmy za narożnik trzy tuziny uzbrojonych Strażników Pokoju przemknęło obok nas. Zeszliśmy im z drogi tak, jak to robili prawdziwi mieszkańcy. Czekaając aż tłum znów zaleje ulicę swym normalnym rytmem, ruszyliśmy dalej.

- Cressida. – wyszeptałam. – Znasz jakieś miejsce?

- Kombinuję. – odpowiedziała.

Zaszliśmy za kolejny budynek, gdy zawyły syreny. Przez okno pewnego mieszkania widziałam informacje o zagrożeniu i zdjęcia naszych twarzy na ekranie. Jeszcze nie zidentyfikowali, kto z naszej grupy zmarł, bo widzę pomiędzy innymi zdjęcia Castora i Winnicka. Już niedługo każdy przechodzień stanie się równie niebezpieczny co Strażnicy Pokoju.

- Cressida?

- Jest jedno miejsce. Nie jest idealne. Ale możemy spróbować. – mówi.

Podążamy za nią wzdłuż jeszcze kilku budynków i skręcamy w bramę, zdawało by się, przylegającą do prywatnej rezydencji. To jakiś skrót, bo zaraz po tym jak mineliśmy dekorowany ogród, przeszliśmy przez kolejną bramę na wąską uliczkę łączącą dwie główne ulice. Znajduje się tu kilka marnych sklepików – jeden, który zajmuje się skupem używanych przedmiotów, inny sprzedają sztucznej biżuterii. Zaledwie kilka osób kręci się w pobliżu, które nie zwracają na nas żadnej uwagi. Cressida zaczyna paplać swoim wysokim głosem o futrzanej bieliźnie, jak ważna jest podczas tych zimnych miesięcy.

- Zaczekaj aż zobaczysz ceny! Uwierz mi, tu zapłacisz połowę tego co na głównych alejach!

Zatrzymujemy się przed brudną witryną sklepu wypełnionego manekinami w futrzanej bieliźnie. Miejsce nie wygląda jakby było otwarte, ale Cressida napiera na frontowe drzwi, uwalniając trzaśnięcie. W środku słabo oświetlonego, wąskiego sklepu wypełnionego stojakami z towarami, zapach skór wypełnia mój nos. Biznes najwyraźniej się nie kręci, jako że jesteśmy jedynymi klientami. Cressida kieruje się prosto w stronę zgarbionej postaci siedzącej w głębi. Podążam za nią, przesuając jednocześnie palce po miękkich wyrobach.

Za ladą siedzi najdziwniejsza osoba jaką kiedykolwiek widziałam. Jest ekstremalnym przypadkiem spartaczenia chirurgicznych poprawek, na pewno nawet w Kapitolu nie można uznać jej twarzy za atrakcyjną. Skóra została ściągnięta do tyłu bardzo ciasno i wytatuowana czarnymi i złotymi paskami. Nos został spłaszczony na tyle, że niemal zniknął. Widziałam już kocie wąsy u ludzi z Kapitolu, ale nigdy tak długie. Efektem jest groteskowa, półkocia maska, która zerka na nas nieufnie.

Cressida zdejmuje perukę ujawniając swe loki.

- Tigris. – mówi. – Potrzebujemy pomocy.

Tigris. Głęboko w moim umyśle to imię uruchomiło dzwoneczek. Była kimś – jej młodsza, mniej niepokojąca wersja – we wcześniejszych Głodowych Igrzyskach. Zdaje się, że stylistą. Nie pamiętam, dla którego dystryktu. Nie Dwunastego. Musiała chyba przejść o jedną operację za dużo i zaczęła odstraszać.

Więc tak kończą styliści, kiedy wypalą się ich umiejętności. Smutny koniec w sklepie z bielizną, gdzie czekają na śmierć. Z dala od ludzi.

Wpatruję się w jej twarz zastanawiając się, czy jej rodzice rzeczywiście nazwali ją Tigris, inspirując ją tym samym do okaleczeń, czy sama wybrała swój styl i zmieniła swe imię, by pasowało do pasków.

- Plutarch powiedział, że można ci zaufać. – dodaje Cressida.

Super, jest jedną z ludzi Plutarcha. Więc jeśli jej pierwszym odruchem nie jest powiadomienie Kapitolu, to będzie nim powiadomienie Plutarcha i Coin o naszym położeniu. Racja, sklep Tigris nie jest idealny, ale to wszystko co mamy w tej chwili. Może nam jeszcze pomoże. Dzieli swą uwagę pomiędzy stary telewizor na ladzie a nas, próbując nas przejrzeć. Żeby jej pomóc, opuszczam swój szalik, zdejmuję perukę i podchodzę bliżej, żeby światło z ekranu padło na moją twarz.

Tigris wydała niskie warknięcie, nie tak niemiłe jakim witał mnie Jaskier. Ześliznęła się z taboretu i zniknęła za wieszakiem futrzanych legginsów. Usłyszeliśmy

dźwięk przesuwania a następnie pojawiły się jej ręce i machnęła na nas. Cressida spojrzała na mnie, jakby chciała się zapytać *Jesteś pewna?* Ale jaki mamy wybór? Powrót na ulice w takich warunkach gwarantuje nam pojmanie lub śmierć. Przepchnęłam futra na boki i zauważyłam Tigris, która odsunęła na bok panel w podstawie ściany. Za tym wydaje się znajdować szczyt stromych kamiennych schodów. Gestami nakłania mnie do wejścia do środka.

Wszystko w tej sytuacji zdaje się krzyczeć *pułapka*. Przez moment spanikowałam i odwróciłam się do Tigris, szukając jej brązowych oczu. Dlaczego to robi? Nie jest Cinna, kimś, kto chętnie poświęciłby się innym. Ta kobieta była ucieleśnieniem Kapitołińskiej powierzchowności. Była jedną z gwiazd Głodowych Igrzysk dopóki... dopóki przestała nią być. Więc to dlatego? Zgorzkniałość? Nienawiść? Zemsta? Ostatecznie ta idea mnie zadowala. Potrzeba zemsty może palić długo i intensywnie. Szczególnie kiedy każde spojrzenie w lustro przypomina o tym.

- Snow wyrzucił cię z Igrzysk? – zapytałam. Ona tylko wpatrywała się we mnie. Strzepnęła gdzieś swym ogonem z niezadowolaniem. – Wiedz, że zamierzam go zabić. – jej usta wykrzywiły się na kształt uśmiechu. Upewniając się, że to nie jest kompletne szaleństwo, wpelzłam przez otwór.

Gdzieś w połowie schodów, wpadłam twarzą na wiszący łańcuch, pociągnęłam go, kryjówkę wypełniło migotliwe światło. To mała komórka bez drzwi i okien. Płytki i szeroka. Prawdopodobnie jest to pas pomiędzy dwiema faktycznymi piwnicami. Miejsce, którego istnienie mogło pozostać niezauważone, chyba że ma się sprawne oko do oceniania wymiarów. Jest zimna i wilgotna, wypełniona stosami skór, które, zgaduję, nie widziały światła słonecznego od lat. Jeśli Tigris nas nie wyda, wątpię by ktoś nas tu znalazł. Gdy ja dotarłam do właściwej podłogi, mój kompani są już na stopniach. Panel wraca powrotem na swoje miejsce. Słyszę dopasowywanie wieszaka z bielizną na skrzypiących kółkach. Jak Tigris opada na swój taboret. Zostaliśmy pochłonięci przez jej sklep.

W samą porę, ponieważ Gale znajdował się na skraju wyczerpania. Zrobiliśmy posłanie ze skór, zdjęliśmy całą jego broń i pomogliśmy mu się położyć. Na końcu komórki, stopę nad podłogą, znajduje się kurek ze ściekiem. Przekręciłam zaczep i, po chwili parskania i masy rdzy, zaczęła płynąć z niego czysta woda. Przemyliśmy ranę na szyi Gale i zdałam sobie sprawę, że bandaż nie wystarczy. Będzie potrzebował założenia kilku szwów. W apteczce jest igła i sterylne nici, ale brak nam uzdrowiacza. Przeszło mi przez myśl ściągnąć to Tigris. Jako stylistka musi wiedzieć jak pracować igłą. Ale wtedy sklep zostałby pod niczyją opieką, a ona i tak robi już wystarczająco dużo. Zaakceptowałam fakt, że najprawdopodobniej najbardziej kwalifikuję się do tej roboty, zacisnęłam zęby i ułożyłam rząd nierównych szwów. Nie jest to ładne, ale przynajmniej

funkcjonalne. Przesmarowałam ranę lekarami i spakowałam je. Dałam mu środki przeciwbólowe.

- Możesz teraz odpocząć. Tu jest bezpiecznie. – powiedziałam mu. Odszedł niczym światło.

Podczas gdy Cressida i Pollux przygotowują futrzane gniazda dla każdego z nas, zajęłam się nadgarstkami Peety. Delikatnie splukując krew, przykładając środek antyseptyczny i bandażując je pod kajdankami.

- Musisz utrzymać je w czystości, w innym razie może rozprzestrzenić się infekcja i...

- Wiem, czym jest zakażenie krwi, Katniss. – mówi Peeta. – Mimo że moja mama nie jest lekarką.

Poraziło mnie wspomnienie z przeszłości, innej rany, innych bandaży.

- To samo powiedziałeś podczas pierwszych Głodowych Igrzysk. Prawda czy fałsz?

- Prawda. – mówi. – A ty ryzykowałeś życie, by zdobyć lekarstwo, które mnie uratuje?

- Prawda. – wzruszyłam ramionami. – Byłeś powodem, dla którego żyła, by to zrobić. (?)

- Naprawdę?

Odpowiedź mieszała go. Jakieś lśniące wspomnienie musi walczyć o jego uwagę, ponieważ jego ciało stężało a nowo zabandażowane nadgarstki wcisnęły w metal kajdanek. Cała jego energia odpłynęła z ciała.

- Jestem taki zmęczony, Katniss.

- Prześpij się. – zaproponowałam. Nie chciał zasnąć zanim nie przepięłam jego kajdanek i nie przykułam go do filaru podtrzymującego schody. Nie jest to wygodne, leżeć tam z rękami nad głową. Ale już po kilku minutach on także odpływa.

Cressida i Pollux zrobili dla nas posłania, rozmieścili nasze jedzenie i środki pierwszej pomocy, pytają czy zamierzam rozstawić straż. Spojrzałam na bladego Gale'a, skrupowanego Peetę. Pollux nie spał od dni, a ja i Cressida zdrzemnęłyśmy się tylko na kilka godzin. Jeśli grupa Strażników Pokoju weszłaby przez te drzwi, znajdziemy się w pułapce niczym szczury. Jesteśmy całkowicie zdani na łaskę wyniszczonej kobiety-tygrysa z, tylko mogę przypuszczać, kompletnie zajmującą ją chęcią śmierci Snowa.

- Szczerze wydaje mi się, że nie ma sensu w rozstawianiu straży. Postarajmy się odrobinę przespać. – mówię. Przytakują drętwą i wszyscy zanurzamy się w skóry. Ogień

wewnątrz mnie zamigotał po raz ostatni, a z nim moja siła. Podałam się miękkim i zbutwiałym futrom i odpłynęłam.

Tylko jeden sen zapamiętałam. Długa i bezbarwna rzecz, w której staram się dotrzeć do Dwunastego Dystryktu. Dom, którego szukam jest nietknięty, ludzie żyją. Effie Trinket, rzucająca się w oczy ze swoją jasno-różową peruką i dopasowanym strojem, podróżuje razem ze mną. Ciągłe próbuję porzucić ją w różnych miejscach, ale niewytłumaczalnie pojawia się przy moim boku, nalegając na to by trzymać się planu. Tylko tyle, że plan ciągle zmienia się przez brak oznak ze strony oficjeli lub przez złamany obcas w jednej ze szpilek Effie. Kimamy przez kilka dni na ławce w szarej strefie Dystryktu Siódmego czekając na pociąg, który nie przyjeżdża. Gry wstaję, czuję się nawet bardziej wykończona niż po normalnych koszmarach o krwi i terrorze.

Cressida, jedyna osoba, która nie śpi, uświadamia mnie, że jest późne popołudnie. Zjadam puszkę gulaszu wołowego i popijam mnóstwem wody. Opieram się o ścianę komórki, wspominając wydarzenia minionego dnia. Śmierć po śmierci. Licząc je na palcach. Raz, dwa – Mitchell i Bogus straceni między budynkami. Trzy – Messalla rozpuszczona przez promień. Cztery, pięć – Leg Jeden i Jackson poświęcające się w młynku do mięsa. Szczęść, siedem, osiem – Castor, Homes i Finnick pozbawieni głów przez jaszczurowate zmiechy o zapachu róż. Osiem śmierci w ciągu 24 godzin. Wiem, że to się stało, ale do tej pory nie wydaje mi się to prawdą. Na pewno Castor śpi pod tą stertą skór, Finnick niedługo wejdzie tutaj tętniąc życiem, Boggs przedstawi mi swój plan ucieczki.

Żeby uwierzyć w ich śmierć, muszę zaakceptować to, że to ja ich zabiłam. Okay, może nie Mitchella i Bogusa, oni zmarli z rzeczywistego powodu. Ale pozostali stracili życia broniąc mnie podczas misji, którą wymyśliłam. Mój plan zamordowania Snowa wydaje się głupi teraz. Tak głupi, że siedzę trzęsąc się w komórce, licząc straty, wytykając frędzle na srebrnych butach do kolan, które ukradłam z domu tamtej kobiety. O, właśnie – zapomniałabym. Ją też zabiłam. Teraz zabijam także nieuzbrojonych cywili.

Myślę, że to najwyższy czas poddać się.

Gdy wszyscy ostatecznie wstali, przyznałam do wszystkiego. Jak skłamałam o misji, jak narażałam wszystkich na niebezpieczeństwo w pościgu za zemstą. Gdy skończyłam nastąpiła długa cisza. Zaczyna Gale:

- Katniss, wszyscy wiedzieliśmy, że kłamiesz o tym, że Coin wysłała się, by zabić Snowa.

- Może ty wiedziałeś. Żołnierze z Trzynastki nie wiedzieli. – odpowiadam.

- Czy naprawdę uważasz, że Jackson uwierzyła w twoje rozkazy od Coin? – pyta Cressida. – Oczywiście, że nie. Ale zaufała Boggsowi, a on wyraźnie chciał, żebyś tego dokonała.

- Ja nigdy nie zdradziłam Boggsowi, co zamierzam zrobić. – stwierdzam.

- Powiedziałaś wszystkim w Centrum Dowodzenia! – przypomina mi Gale. – To był jeden z twoich warunków bycia Kosogłosem. *'Zabiję Snowa.'*

To brzmi jak dwie niezwiązane ze sobą sprawy. Negocjowanie z Coin o przywilej zabicia Snowa po zakończeniu wojny i ten nieautoryzowany rajd przez Kapitol.

- Ale nie w taki sposób. – mówię. – To jest kompletna porażka.

- Myślę, że powinno to się uznać, za wyjątkowo udaną misję. – stwierdza Gale. – Przeniknęliśmy do obozu wroga, pokazując, że obrona Kapitolu może zostać przełamana. Zostaliśmy pokazani we wszystkich kanałach informacyjnych w całym Kapitolu. Całe miasto wpadło w chaos próbując nas znaleźć.

- Uwierz mi, Plutarch jest podekscytowany. – dorzuca Cressida.

- Tylko dlatego, że Plutarch nie dba o to, kto umrze. – stwierdzam. – Dopóki jego Igrzyska odnoszą sukces.

Cressida i Gale starali się na wszystkie sposoby przekonać mnie. Sollux przytakiwał ich słowom, żeby ich wesprzeć. Tylko Peeta nic nie mówił.

- Co o tym myślisz, Peeta? – w końcu zadaję mu pytanie.

- Myślę... że ty ciągle nie masz pojęcia. Jakiego efektu możesz osiągnąć. – Przesuwa kajdanki w górę filara i stara się utrzymać w siedzącej pozycji. – Nikt z ludzi, których straciliśmy, nie był idiotą. Wiedzieli co robią. Podążali za tobą, bo naprawdę wierzyli, że możesz zabić Snowa.

Nie wiem dlaczego jego głos dotarł do mnie, kiedy innych nie mógł. Ale jeśli ma rację, a wydaje mi się, że ma, mam u wszystkich dług, który może być spłacony w jeden tylko sposób. Wyciągnęłam papierową mapę z kieszeni w moim uniformie i rozłożyłam ją na podłodze mając nowe rozwiązanie.

- Gdzie jesteście, Cressido?

Sklep Tigris znajduje się jakieś pięć budynków od Głównego Placu i rezydencji Snowa. Jesteśmy w odległości odpowiadającej, krótkiemu spacerowi przez strefę, w której dezaktywowano zasobniki dla bezpieczeństwa rezydencji. Możemy się przebrać, być może z kilkoma dodatkami z futrzanego zaplecza Tigris, i dostać tam. Ale co potem? Rezydencja jest zapewne pilnie strzeżona, pod czujnym nadzorem kamer dookoła, i pookładana zasobnikami, które mogą ożyć po przytknięciu przełącznika.

- Musimy go jakoś stamtąd wywabić. – mówi Gale. – Wtedy ktoś z nas będzie mógł go zdjąć.

- Czy on w ogóle pojawia się jeszcze publicznie? – pyta Peeta.

- Nie wydaje mi się. – twierdzi Cressida. – Na wszystkich nagraniach, które ostatnio widziałam, jest w rezydencji. Jeszcze przed rebelią znalazł się tam. Wyobrażam sobie jaki stał się czujny, gdy Finnick ujawnił jego zbrodnie.

Racja. Nie tylko Tigris i jej podobni z Kapitolu nienawidzą teraz Snowa, ale cała sieć ludzi, którzy wiedzą co zrobił ich przyjaciółom i rodzinom. To musi być coś graniczącego z cudem, co wywabiło by go na zewnątrz. Coś jak...

- Założę się, że wyszedłby po mnie. – mówię. – Gdyby mnie pojmano. Chciałby to upublicznić najbardziej jak się da. Życzyłby sobie mojej egzekucji na swoich schodach. – pozwoliłam towarzyszom to chłonać. – Wtedy Gale mógłby strzelić do niego z widowni.

- Nie. – Peeta potrząsnął głową. – Jest zbyt wiele alternatywnych zakończeń tego planu. Snow mógłby zatrzymać cię i torturować, by wydobyć z ciebie informacje. Albo straciłby cię bez swojej obecności. Albo zabił wewnątrz rezydencji a ciało wystawił na pokaz.

- Gale? – pytam.

- To bardzo ekstremalne rozwiązanie, by podjąć je tak szybko. – mówi. – Chyba żeby wszystko inne zawiodło. Myślmy dalej.

W ciszy, która nastąpiła, słyszymy ciche kroki Tigris nad głowami. Musi to być czas zamknięcia. Zamyka, prawdopodobnie zasłania rolety. Kilka minut później panel w szczycie schodów przesuwa się.

- Wychodźcie. – mówi grobowym głosem. – Mam dla was trochę jedzenia.

To pierwszy raz, kiedy się odzywa, od naszego przyjazdu. Czy to jest naturalne, czy od lat praktyki, nie wiem, ale w jej sposobie mówienia jest coś, co przypomina kocie pomruki.

Gdy wspinaliśmy się po schodach, Cressida zapytała:

- Kontaktowałaś się z Plutarchem, Tigris?

- Nie ma na to szans. – Tigris wzrusza ramionami. – Domyśli się, że jesteście bezpieczni. Nie martwcie się.

Martwić się? Czuję ogromną ulgę na wieść o tym, że nie będę musiała słuchać, i ignorować zarazem, żadnych rozkazów z Trzynastki. Albo wymyślać żadnego wiarygodnego wyjaśnienia decyzji, które podjęłam ostatnimi dniami.

W sklepie lada podtrzymuje czerstwe kawałki chleba, klin zapleśniałego sera i pół butelki musztardy. To mi przypomniało, że nie każdy mieszkaniec Kapitolu teraz ma pełny brzuch. Czuję się zobligowana powiedzieć Tigris o naszych zapasach żywności, ale odrzuciła moje sprzeciwy.

- Jem mniej niż nic. - mówi. - I tylko surowe mięso.

To zdaje się być zbyt wykreowane, ale nie zadaję więcej pytań. Zdrapuję pleśń z sera i dzielę jedzenie pomiędzy wszystkich.

Podczas gdy jemy, oglądamy ostatnie relacje z Kapitolu. Rząd ograniczył ocalałych rebeliantów do naszej piątki. Oferują wielkie nagrody za informacje prowadzące do naszego pojmania. Podkreślają, jak bardzo jesteśmy niebezpieczni. Pokazują nas podczas strzelaniny ze Strażnikami Pokoju, ale kończą, zanim zmiechy oderwały ich głowy. Składają tragiczny hołd kobiecie leżącej tam, gdzie ją zostawiliśmy, z moją strzałą wciąż sterczącą z jej piersi. Ktoś poprawił jej makijaż dla pożytku nagrania.

Rebelianci pozwolili Kapitolowi emitować bez przeszkód.

- Czy rebelianci ogłosili dzisiaj oświadczenie? - pytam Tigris. Potrząsa głową. - Wątpię, by Coin wiedziała co zrobić ze mną teraz, gdy ciągle żyję.

Tigris wydała z siebie gardłowy rechot.

- Nikt nie wie co z tobą zrobić, panienko.

Potem zmusiła mnie do przyjęcia od niej pary futrzanych legginsów, mimo że nie miałam jak jej zapłacić. To ten rodzaj podarunku, który trzeba przyjąć. A poza tym, w komórce jest zimno.

Pod schodami po kolacji, kontynuowaliśmy burzę mózgów w poszukiwaniu nowego planu. Nic nam nie przychodzi do głowy, ale zgodziliśmy się, że nie możemy dłużej pokazywać się jako pięcioosobowa grupa i że powinniśmy przeniknąć do rezydencji prezydenta zanim zamienię się w przynętę. Zgodziłam się na drugą myśl, by uniknąć późniejszej kłótni. Jeśli zdecyduję się wydać siebie nie będę prosiła nikogo o pozwolenie ani pomoc.

Zmieniliśmy bandaż, przykuliśmy Peetę z powrotem do filara i poszliśmy spać. Kilka godzin później przebudziłam się i posłyszałam cichą rozmowę. Peeta i Gale. Nie mogłam powstrzymać się od podsłuchiwania.

- Dzięki za wodę. - mówi Peeta.

- Żaden problem. - odpowiada Gale. - I tak budzę się z dziesięć razy w ciągu nocy.

- Żeby się upewnić, że Katniss ciągle tu jest? - pyta Peeta.

- Coś w tym rodzaju. – przyznaje Gale.

Zapada długa cisza zanim Peeta ponownie zaczyna mówić.

- To było śmieszne co powiedziała Tigris. Że nikt nie wie, co zrobić z nią zrobić.

- Coż, *my* nigdy nie wiedzieliśmy. – mówi Gale.

Obaj zaśmiali się. To dziwne słyszeć ich rozmawiających tak jak teraz. Prawie jak przyjaciele. Którymi nie są. Nigdy nie będą. Chociaż nie są też wrogami.

- Ona cię kocha, wiesz. – mówi Peeta. – Tak jakby powiedziała mi o tym po tym, jak cię wychłostali.

- Nie wierz temu. – odpowiada Gale. – Sposób w jaki całowała cię podczas Ćwierćwiecza Poskromienia... cóż, mnie nigdy tak nie całowała.

- To była tylko część show. – Peeta mówi mu, chociaż w jego głosie pojawia się nuta wątpliwości.

- Nie, wygrałeś ją. Poddając wszystko dla niej. Może to jedyna droga, żeby ją przekonać, że ją kochasz. – następuje długa przerwa. – Powinienem się zgłosić na ochotnika na pierwsze Igrzyska. Żeby ją chronić.

- Nie mogłeś. – mówi Peeta. – Nigdy by ci tego nie wybaczyła. Musiałeś zająć się jej rodziną. Znaczą dla niej więcej niż jej własne życie.

- Cóż, to nie będzie już miało znaczenia. Myślę, że to mało prawdopodobne, aby cała nasza trójka przeżyła do końca wojny. A jeśli nam się uda, to już będzie problem Katniss. Kogo wybrać. – Gale ziewnął. – Powinniśmy się przespać.

- Ta... - słyszę jak kajdanki Peety ześlizgnęły się wzdłuż filara, gdy zaczął się układać. – Zastanawiam się, w jaki sposób zadecyduje.

- Oh, tyle to ja wiem. – Mogłam złapać ostatnie słowo Gale przez grubą warstwę futra. – Katniss wybierze tego, o którym myśli, że bez niego nie przetrwa.

Chłodny dreszcz przebiega przez moje ciało. Czy naprawdę jestem tak nieczuła i wyrachowana? Gale nie powiedział: „Katniss wybierze tego, którego odejście złamałoby jej serce” ani nawet „tego, bez którego nie będzie mogła żyć.” Te słowa sugerowałyby, że powodują mną jakieś emocje. Ale mój najlepszy przyjaciel przewiduje, że wybiorę osobę, o której myślę, że „nie będę mogła bez niej przetrwać.” W tym nie ma nawet najmniejszej wzmianki o tym, że miłość, pożądanie czy choćby dopasowanie będą miały na mnie wpływ. Przeprowadzę jedynie bezduszną ocenę tego, co moi potencjalni partnerzy mogliby mi zaoferować. Jakbym wahała się między tym, czy to piekarz, czy myśliwy bardziej wydłuży moje życie. To straszne, że Gale to powiedział, a Peeta nie zaprzeczył. Szczególnie, że moje uczucia zostały mi odebrane przez Kapitol albo rebeliantów. W tej chwili wybór byłby prosty. Mogłabym równie dobrze poradzić sobie bez nich obu.

Rano nie mam ani czasu, ani energii, by leczyć zranione uczucia. Podczas wczesnego śniadania przed świtem złożonego z pasztetu z wątróbki i ciasteczek figowych, zbieramy się wokół telewizora Tigris, by obejrzeć transmisję, z którą udało się Beetee’emu wdrzeć do sieci kapitolinńskiej. Nastąpił pewien zwrot w wojnie. Najwyraźniej zainspirowany czarną falą jakiś energiczny dowódca rebelii wpadł na pomysł skonfiskowania porzuconych samochodów i wysłania ich bez załogi na ulice. Auta nie uruchamiają każdego zasobnika, ale na pewno większość z nich. Około czwartej nad ranem rebelianci zaczęli się przedzierać trzema różnymi drogami — nazwanymi po prostu liniami A, B i C — w stronę serca Kapitolu. W wyniku tego zajmowali przecnicę za przecnicą z bardzo niewielką ilością ofiar.

— To nie może trwać wiecznie — mówi Gale. — Jestem naprawdę zaskoczony, że tak długo im się to udawało. Kapitol odpowie dezaktywacją niektórych zasobników, a później ręcznie je uruchomi, kiedy cel pojawi się w ich zasięgu.

Zaledwie kilka minut po jego przepowiedni widzimy na ekranie jak właśnie to się dzieje. Oddział wysłał samochód w dół ulicy, a to uruchamia cztery zasobniki. Wszystko wydaje się być w porządku. Trzech ochotników przechodzi przez ulicę i dociera bezpiecznie do końca. Jednak kiedy podąża za nimi grupa dwudziestu żołnierzy rebeliantów, zostają wysadzeni w powietrze przy rzędzie doniczkowych róż przed kwiaciarnią.

— Założę się, że Plutarch bardzo chciałby być teraz w pomieszczeniu kontrolnym — mówi Peeta.

Beetee oddaje prawo transmisji z powrotem do Kapitolu, gdzie reporterka z ponurą miną wymienia przecnice, które cywile mają opuścić. Bazując na jej

uaktualnieniu i wcześniejszych wiadomościach, jestem w stanie zaznaczyć na mapie pozycje walczących armii.

Słyszę zamieszanie na ulicy, podchodzę do okna i wyglądam przez szczelinę w okiennicach. W świetle poranka dostrzegam dziwaczne widowisko. Uciekinierzy z zajętych teraz przecznic płyną w stronę centrum Kapitolu. Najbardziej spanikowani mają na sobie tylko koszule nocne i kapcie, podczas gdy bardziej przygotowani włożyli na siebie całe warstwy ubrań. Niosą ze sobą wszystko od psów przez pudełka biżuterii aż po rośliny doniczkowe. Mężczyzna w puszystym szlafroku trzyma jedynie przejrzałego banana. Zagubione, rozespane dzieci wloką się za swoimi rodzicami, większość z nich zbyt oszołomiona lub zdumiona, by płakać. Migają mi przed oczami różne części ich ciał. Para dużych brązowych oczu. Ręka trzymająca kurczowo ulubioną lalkę. Para gołych stóp, zsiniałych od chłodu, stąpających po nierównych kamieniach brukowych ulicy. Ich widok przypomina mi dzieci z Dwunastki, które zginęły uciekając od bomb. Odchodzę od okna.

Tigris proponuje, że zostanie tego dnia naszym szpiegiem, bo z nas wszystkich tylko za jej głowę nie wyznaczono nagrody. Po ukryciu nas na dole, wychodzi na ulice Kapitolu, by zebrać przydatne informacje.

Chodzę w tę i z powrotem po piwnicy, doprowadzając tym innych do szału. Coś mi mówi, że nieskorzystanie z tego potoku uciekinierów jest błędem. Czy moglibyśmy być lepiej ukryci? Z drugiej strony, każda wysiedlona osoba kręcąca się po ulicach to kolejna para oczu wypatrująca pięciorga zbiegłych rebeliantów. Ale co zyskujemy zostając tutaj? Uszczuplamy jedynie nasze skromne zapasy żywności i czekamy... na co? Aż rebelianci zajmą Kapitol? Mogą minąć tygodnie zanim to się stanie, a ja nie jestem pewna co bym wtedy zrobiła. Na pewno nie pobiegłabym ich powitać. Coin mogłaby się mnie pozbyć w Trzynastce zanim udałoby mi się powiedzieć „uścisk nocy, uścisk nocy, uścisk nocy”. Nie przebyłam całej tej drogi i nie straciłam wszystkich tych ludzi tylko po to, by oddać się w ręce tej kobiety. Zabiję Snowa. Poza tym, w ostatnich dniach zdarzyło się tyle okropnych rzeczy, których nie potrafiłabym łatwo wytłumaczyć. Niektóre z nich, jeśli ujrzą światło dzienne, prawdopodobnie spowodują zerwanie mojej umowy o nietykalności zwycięzców. I nie mówiąc już o mnie, mam wrażenie, że niektórzy będą jej potrzebować. Jak Peeta. Który, jak by na to nie patrzeć, został nagrany jak wpycha Mitchella na zasobnik z siecią. Już sobie wyobrażam co trybunał wojenny Coin zrobiłby mu za to.

Późnym popołudniem długa nieobecność Tigris zaczyna nas niepokoić. Zaczynamy rozważać różne możliwości: że została aresztowana, dobrowolnie nas wydała albo po prostu została zraniona w fali uciekinierów. Jednak około szóstej słyszymy, że wróciła. Szura nogami na górze, a później otwiera panel. W powietrzu rozchodzi się wspaniały zapach smażonego mięsa. Tigris przygotowała nam siekaną szynkę z ziemniakami. To pierwszy gorący posiłek od kilku dni i kiedy czekam aż napelni mi talerz, czuję, że mogę naprawdę zacząć się ślinić.

Kiedy żuję, próbuję się skupić na opowieści Tigris o tym, jak udało jej się to wszystko zdobyć, ale udaje mi się jedynie przyswoić, że w tej chwili futrzana bielizna jest cennym towarem wymiennym. Szczególnie dla ludzi, którzy opuścili swoje domy zbyt lekko ubrani. Wielu z nich wciąż jest na ulicy i próbują znaleźć schronienie na noc. Ci, którzy mieszkają w tej części miasta, nie otworzyli chętnie drzwi, by ugościć wysiedlonych. Przeciwnie, większość z nich zaryglowała drzwi i zamknęła okiennice, udając, że nie ma ich w środku. Teraz Główny Plac jest przepełniony uciekinierami i Strażnicy Pokoju chodzą od drzwi do drzwi, włamując się do mieszkań, jeśli jest taka potrzeba, i lokują w nich gości.

W telewizji oglądamy oschłego Głównego Strażnika Pokoju, który wyjaśnia zasady określające ilu ludzi na metr kwadratowy każdy mieszkaniec powinien przyjąć. Przypomina obywatelom Kapitolu, że temperatury spadną tej nocy poniżej zera i uprzedził ich, że prezydent oczekuje od nich nie tylko dobrych chęci, ale i entuzjazmu w roli gospodarzy w tym krytycznym czasie. Później pokazują kilka zapewne wyreżyserowanych ujęć przejętych obywateli zapraszających wdzięcznych uciekinierów do swoich domów. Główny Strażnik Pokoju mówi, że sam prezydent rozkazał przygotować część swojej rezydencji na przyjęcie gości następnego dnia. Dodaje, że właściciele sklepów również powinni być przygotowani do użyczenia przestrzeni, jeśli okaże się to konieczne.

— Tigris, od ciebie też mogą tego zażądać — mówi Peeta.

Ma rację. Nawet ten ciasny korytarz sklepu może zostać zawłaszczony, jeśli ludzi będzie przybywać. A wtedy naprawdę zostaniemy uwięzieni w piwnicy, nieustannie ryzykując wykryciem. Ile mamy czasu? Dzień? Może dwa?

Główny Strażnik Pokoju wraca na ekran z kolejnymi instrukcjami dla ludności. Wydaje się, że tej nocy zdarzył się nieszczęśliwy wypadek, kiedy tłum pobił na śmierć chłopaka przypominającego Peetę. Od tej pory jeśli ktoś zauważy rebelianta, ma to natychmiast zgłosić przełożonym, którzy zajmą się zidentyfikowaniem i aresztowaniem podejrzanego. Pokazują zdjęcie ofiary. Poza wyraźnie tlenionymi lokami, chłopak jest równie podobny do Peety co ja.

— Ludziom zaczyna odbijać — mruczy Cressida.

Oglądamy krótkie rebelianckie wiadomości, z których dowiadujemy się, że kilka kolejnych przecznic zostało dzisiaj zajętych. Zaznaczam wszystko na mapie i przyglądam jej się.

— Linia C jest jedynie cztery przecznice stąd — oznajmiam. Z jakiegoś powodu to wypełnia mnie jeszcze większym niepokojem niż myśl o Strażnikach Pokoju poszukujących gościny. Nagle staję się bardzo chętna do pomocy. — Pozmywam naczynia.

— Pomogę ci. — Gale zbiera talerze.

Czuję na nas wzrok Peety, kiedy wychodzimy z pomieszczenia. W ciasnej kuchni na zapleczu sklepu Tigris napełniam zlew gorącą wodą i mydlinami.

— Myślisz, że to prawda? — pytam. — Że Snow wpuści uciekinierów do rezydencji?

— Myślę, że teraz jest do tego zmuszony, przynajmniej na potrzeby kamer — mówi Gale.

— Zmywam się stąd jutro — mówię.

— Idę z tobą — oświadcza Gale. — Co zrobimy z resztą?

— Pollux i Cressida mogą być użyteczni. Są dobrymi przewodnikami — mówię. Pollux i Cressida nie stanowią problemu. — Ale Peeta jest zbyt...

— Nieprzewidywalny — kończy Gale. — Myślisz, że nadal pozwoliłby, byśmy go zostawili?

— Możemy użyć argumentu, że narazi nas na niebezpieczeństwo — mówię. — Mógłby tu zostać, gdybyśmy byli przekonujący.

Peeta całkiem rozsądnie przyjmuje naszą propozycję. Skwapliwie przyznaje nam rację, że jego towarzystwo mogłoby narazić pozostałą czwórkę na niebezpieczeństwo. Zaczynam myśleć, że to by się mogło udać, że mógłby przeczekać wojnę w piwnicy Tigris, kiedy ogłasza, że chce stąd odejść na własną rękę.

— I co zrobisz? — pyta Cressida.

— Nie jestem pewien. Być może mógłbym się jeszcze przydać, by odwrócić uwagę. Widzieliście co się stało z tym mężczyzną, który mnie przypominał — mówi.

— A jeśli... stracisz panowanie nad sobą? — pytam.

— Masz na myśli... jeśli zmienię się w zmiecha? Cóż, jeśli poczuję, że coś takiego się zbliża, spróbuję tu wrócić — zapewnia mnie.

— A jeśli Snow znowu cię dopadnie? — pyta Gale. — Nawet nie masz broni.

— Będę musiał zaryzykować — mówi Peeta. — Jak reszta z was.

Długo patrzę na siebie, aż w końcu Gale sięga do kieszeni na piersi. Podaje Peecie kapsułkę z uściskiem nocy. Peeta pozwala jej leżeć na swojej dłoni, ani jej nie odrzucając, ani nie przyjmując.

— A co z tobą?

— Nie martw się. Beetee pokazał mi jak ręcznie zdetonować moje wybuchowe strzały. Jeśli to zawiedzie, mam nóż. I Katniss — mówi z uśmiechem Gale. — Nie pozwoli im pojąć mnie żywego, nie da im tej satysfakcji.

Myśl o Strażnikach Pokoju ciągnących ze sobą Gale'ę sprawia, że znowu odtwarzam w myślach piosenkę.

Czy ty, czy ty

Przy drzewie się pojawisz...

— Weź to, Peeta — mówię napiętym głosem. Wyciągam rękę i zaciskam jego palce na pigułce. — Nie będzie nikogo, kto przyjdzie ci z pomocą.

Ta noc jest niespokojna, budzą nas koszmary innych, umysły mamy zajęte planami na następny dzień. Czuję ulgę, kiedy wybija piąta i cokolwiek ten dzień ma nam przynieść może się wreszcie rozpocząć. Zjadamy mieszaninę pozostałego nam jeszcze jedzenia — brzoskwinie z puszki, krakersy i ślimaki — pozostawiając puszkę łososa dla Tigris jako skromne podziękowanie za wszystko, co zrobiła. Wydaje się, że ten gest w jakiś sposób ją wzruszył. Jej twarz przyjmuje dziwny wyraz i bierze się do roboty. Spędza następną godzinę przerabiając naszą piątkę. Przebiera nas tak, że zwykłe ubrania przykrywają nasze mundury nawet zanim jeszcze zdążyliśmy założyć nasze płaszcze i peleryny. Ukrywa nasze wojskowe buty w pewnego rodzaju futrzanych kapciach. Przymocowuje nasze peruki szpilkami. Zmywa pozostałości po makijażu, który tak pośpiesznie nałożyliśmy na nasze twarze, i maluje nas na nowo. Układa nasze ubrania wierzchnie tak, by ukryć naszą broń. Później daje nam torebki i mnóstwo świecidełek do noszenia. Po tym wszystkim, wyglądamy dokładnie tak, jak wysiedleńcy uciekający przed rebeliantami.

— Nigdy nie lekceważ siły genialnego stylisty — mówi Peeta. Ciężko powiedzieć, ale wydaje mi się, że Tigris mogła się zarumienić pod swoimi prążkami.

W telewizji nie pojawiają się żadne przydatne wiadomości, ale ulica wydaje się równie przepełniona uciekinierami co poprzedniego ranka. Nasz plan polega na wmieszczeniu się w tłum w trzech grupach. Najpierw Cressida i Pollux, którzy będą robić za przewodników w bezpiecznej odległości od nas. Później Gale i ja postaramy się dołączyć do uciekinierów, którzy zostaną skierowani do rezydencji. Na końcu Peeta, który będzie szedł za nami, gotów odwrócić uwagę w razie potrzeby.

Tigris wygląda przez okiennice w oczekiwaniu na odpowiedni moment, otwiera drzwi i daje znak Cressidzie i Polluxowi.

— Trzymajcie się — mówi Cressida i znikają.

Pójdziemy za nimi już za moment. Wyjmuję klucz, zdejmuję Peecie kajdanki i wkładam je do kieszeni. Pociera nadgarstki. Rozciąga je. Czuję wzrastające we mnie uczucie rozpacz. Zupełnie jakbym znów była na Czwierćwieczu Poskromienia, a Beetee dawałby mnie i Johannie ten zwój drutu.

— Posłuchaj — mówię. — Nie rób nic głupiego.

— Nie. To tylko ostateczność. Absolutnie — odpowiada.

Zarzucam mu rękę na szyję i czuję jego wahanie zanim mnie obejmuje. Jego ramiona nie są tak stabilne jak kiedyś, ale wciąż pozostają ciepłe i silne. Tysiące chwil przepływają przeze mnie. Te ramiona zawsze były moim jedynym schronieniem przed światem. Być może wcześniej niedocenione, ale tak słodkie w moich wspomnieniach, teraz wydarte z mojego życia.

— W porządku więc. — Uwalniam go.

— Już czas — mówi Tigris.

Całuję ją w policzek zarzucam moją pelerynę z czerwonym kapturem, podciągam szalik na nos i wychodzę za Gale'em w lodowate powietrze.

Ostre, lodowe płatki śniegu szczypią moją odkrytą skórę. Wschodzące słońce bez powodzenia próbuje przebić się przez mrok. Światła wystarcza, by dostrzec niewiele więcej poza opatulone kształty tuż obok nas. Warunki są idealne, naprawdę, tylko że nie mogę zlokalizować Cressidy i Polluxa. Teraz mogę usłyszeć to, co umknęło mi wczoraj podczas wyglądania przez okiennice. Płacz, jęki, ciężkie oddechy. I, wcale nie tak daleko, strzelaninę.

— Dokąd idziemy, wujku? — pyta mały trzęsący się chłopiec mężczyzną dźwigającego mały sejf.

— Do rezydencji prezydenta. Przyznają nam nowe mieszkanie — sapie mężczyzna. Wychodzimy z ulicy i wysypujemy się na jedną z głównych dróg.

— Trzymać się prawej strony! — słychać rozkaz i dostrzegam Strażników Pokoju rozsianych w tłumie, kierujących przepływem ludzi. Przerażone twarze wyglądają zza szklanych witryn sklepów, które już zaczynają być przepełnione uciekinierami. Jak tak dalej pójdzie, Tigris może mieć nowych gości przed obiadem. Dla wszystkich dobrze, że już się stamtąd wydostaliśmy.

Robi się jaśniej, nawet pomimo padającego śniegu. Dostrzegam Cressidę i Polluxa jakieś trzydzieści metrów przed nami, z trudem idących wraz z tłumem. Obracam głowę, by zobaczyć czy uda mi się zlokalizować Peetę. Nie udaje się, ale napotkałam wzrok wyglądającej na ciekawską małej dziewczynki w cytrynowo żółtym płaszczu. Szturcham Gale'a i delikatnie zwalniam, pozwalając, by odgrodziła nas ściana ludzi.

— Być może będziemy musieli się rozdzielić — mówię pod nosem. — Tam jest dziewczyna...

Strzelanina przedziera się przez tłum i niektórzy ludzie blisko mnie padają na ziemię. Krzyki przeszywają powietrze kiedy druga seria wybija inną grupę za nami. Gale i ja rzucamy się na ulicę, uciekamy dziesięć metrów w kierunku sklepów i kryjemy się za wystawą butów na szpilkach na zewnątrz sklepu obuwniczego.

Rząd pierzastego obuwia zasłania Gale'owi widok.

— Kto to? Widzisz? — pyta mnie.

To, co ja widzę pomiędzy kolejnymi parami lawendowych i miętowo zielonych butów, to ulica pełna ciał. Mała dziewczynka, która mnie obserwowała, klęczy przy nieruchomej kobiecie, piszczy i próbuje ją podnieść. Kolejna fala kul dziurawi jej klatkę piersiową i jej żółty płaszcz pokrywa się czerwienią, a dziewczynka upada na plecy. Przez chwilę, patrząc na jej małe powyginane kształty, nie potrafię wypowiedzieć słowa. Gale dźga mnie łokciem.

— Katniss?

— Strzelają z dachu nad nami — mówię Gale'owi. Obserwuję kilka kolejnych rund, widzę białe mundury upadające na zaśnieżone ulice. — Próbują zdjąć Strażników Pokoju, ale nie są dobrymi strzelcami. To muszą być rebelianci.

Nie czuję przyływu radości, chociaż, teoretycznie, moim sojusznikom udało się przedrzeć przez miasto. Paraliżuje mnie widok tego żółtego płaszcza.

— Jeśli zaczniemy strzelać, będzie po wszystkim — mówi Gale. — Wszyscy dowiedzą się, że to my.

To prawda. Jesteśmy uzbrojeni jedynie w nasze cudowne łuki. Wypuszczenie strzały będzie równoznaczne z ujawnieniem się obu stronom.

— Nie — mówię stanowczo. — Musimy dotrzeć do Snowa.

— Więc lepiej ruszmy się zanim wysadzą całą przecnicę — mówi Gale.

Przylegając do ścian idziemy dalej wzdłuż ulicy. Tyle że ściana to głównie wystawy sklepowe. Spocone dłonie i rozdziawione usta napierają na szkło. Naciągam mój szalik jeszcze wyżej, przykrywając kości policzkowe, kiedy pędzimy pomiędzy zewnętrznymi wystawami. Za stojakiem z oprawionymi zdjęciami Snowa natykamy się na rannego Strażnika Pokoju, opartego o pas ceglanej ściany. Prosi nas o pomoc. Gale uderza go kolanem w głowę i zabiera mu broń. Na skrzyżowaniu zastrzela drugiego Strażnika Pokoju i teraz oboje mamy broń palną.

— Więc kim teraz jesteśmy? — pytam.

— Zdesperowanymi obywatelami Kapitolu — mówi Gale. — Strażnicy Pokoju będą myśleć, że jesteśmy po ich stronie i miejmy nadzieję, że rebelianci mają ciekawsze cele.

Myślę nad naszym najnowszym wcieleniem, kiedy przebiegamy przez skrzyżowanie, ale kiedy docieramy do następnej przecznicy, przestaje mieć znaczenie to, kim jesteśmy. Kim są inni. Bo nikt nie przygląda się twarzom. Rebelianci tu są. Wlewają się na ulicę, kryją się w drzwiach, za pojazdami, przygotowują broń, ochryple głosy wykrzykują rozkazy w oczekiwaniu na spotkanie z idącymi ku nam Strażnikami Pokoju. Uciekinierzy trafiają w krzyżowy ogień, bezbronni, zdezorientowani, zranieni.

Przed nami aktywowany zostaje zasobnik, który uwalnia potoki pary, parzące każdego na swojej drodze, pozostawiając po sobie wściekle różowe, bardzo martwe ofiary. Nagle znika nawet najmniejsze poczucie porządku. Kiedy resztki pary łączą się ze śniegiem, moja widoczność zostaje ograniczona do tego stopnia, że widzę tylko koniec mojej lufy. Strażnik Pokoju, rebeliant, obywatel, kto wie? Wszystko co się rusza staje się celem. Ludzie strzelają odruchowo, a ja nie jestem wyjątkiem. Serce mi wali, adrenalina buzuje we mnie, każdy jest moim wrogiem. Oprócz Gale'a. Mojego partnera polowań, jedynej osoby, która ubezpiecza moje tyły. Możemy tylko brnąć dalej, zabijając wszystkich, którzy pojawiają się na naszej drodze. Wszędzie krzyżący ludzie, krwawiący ludzie, martwi ludzie. Kiedy docieramy do następnego zakrętu, cała przecznica przed

nami rozjaśnia się głębokim purpurowym blaskiem. Cofamy się, kucamy na schodach i patrzymy na światło. Coś się dzieje z tymi, którzy są przez nie oświeceni. Są atakowani przez... co? Dźwięk? Falę? Laser? Broń wypada im z rąk, palce przyciskają się do twarzy, kiedy krew tryska z każdego widocznych otworów — oczu, nosa, ust, uszu. W niecałą minutę wszyscy są martwi, a blask znika. Zaciskam zęby i biegnę przeskakując nad ciałami, ślizgając się we krwi. Śnieg wiruje na wietrze, który nie zagłusza odgłosu kolejnej fali kroków zmierzającej w naszą stronę.

— Na ziemię! — syczę w stronę Gale’a.

Upadamy tam, gdzie stoimy. Moja twarz ląduje we wciąż jeszcze ciepłej kałuży czyjejś krwi, ale udaję martwą, pozostaję nieruchoma, kiedy buty przechodzą nad nami. Niektóre unikają ciała. Inne miażdżą moją rękę, moje plecy, kopią mnie w głowę. Kiedy się oddalają, otwieram oczy i daję znak Gale’owi.

W następnej przecznicy natykamy się na kolejnych przerażonych uciekinierów, ale niewielu żołnierzy. Kiedy tylko wydaje się, że mamy chwilę wytchnienia, rozlega się odgłos pęknięcia, jak jajka uderzającego o brzeg miski, ale zwielokrotniony tysiąc razy. Zatrzymujemy się i rozglądamy w poszukiwaniu zasobnika. Nic. Nagle czuję jak czubki moich butów zaczynają delikatnie się nachylać.

— Biegnij! — krzyczę do Gale’a.

Nie ma czasu na wyjaśnienia, ale w ciągu kilku sekund charakter zasobnika staje się oczywisty dla wszystkich. Utworzyła się szczelina na środku przecznicy. Dwie strony brukowanej ulicy zginają się ku środkowi jak kłapy, powoli zsuwając ludzi ku temu, co leży pod nią.

Nie mogę się zdecydować czy pomknąć najkrótszą drogą ku następnemu skrzyżowaniu, czy spróbować dotrzeć do których z drzwi i włamać się do budynku. W rezultacie zaczynam poruszać się po skosie. Im bardziej zapadają się kłapy, tym trudniej jest mi walczyć o przyczepność na śliskim bruku. To jak wbieganie na lodowe wzgórze, które z każdym krokiem staje się coraz bardziej strome. Zarówno skrzyżowanie jak i budynki znajdują się parę metrów ode mnie, kiedy czuję jak kłapa się obrywa. Wykorzystuję ostatnie sekundy kontaktu z kostką brukową i odpycham się w kierunku skrzyżowania; nic innego nie mogę zrobić. Kiedy moje ręce czepiają się jego krawędzi, orientuję się, że kłapy poszybowały prosto w dół. Moje stopy zawisły w powietrzu i nigdzie nie mogę znaleźć oparcia. Z piętnastu metrów pode mną dociera do mnie okropny smród, jak gnijące w letnim upale ciała. Czarne kształty pełzają w ciemnościach, ucisząc wszystkich, którzy przeżyli upadek.

Zduszony okrzyk wydostaje się z mojego gardła. Nikt nie przychodzi mi z pomocą. Ześlizguję się z lodowatej krawędzi, kiedy dostrzegam, że jestem zaledwie dwa metry od końca zasobnika. Przesuwam dłonie wzdłuż krawędzi, próbując nie słyszeć przerażających odgłosów z dołu. Kiedy moje ręce docierają do celu, robię zamach prawą

nogą i przerzucam ją przez krawędź. Zaczepiam o coś i z trudem wyciągam się na poziom ulicy. Zadyszana i drżąca, przeczołguję się dalej i otaczam ramieniem latarnię, by mieć oparcie, chociaż ziemia jest idealnie płaska.

— Gale? — wołam w przepaść, nie dbając o to, czy mnie rozpoznają. — Gale?

— Tutaj!

Spoglądam oszołomiona w lewo. Kłapa zmiotła wszystko aż do podstawy budynków. Jakiemuś tuzinowi ludzi udało się do nich dotrzeć i zwisają teraz z tego, czego się uczepili. Gałek przy drzwiach, kołatek, skrzynek pocztowych. Trzy drzwi ode mnie Gale uczepił się ozdobnej żelaznej kraty wokół drzwi mieszkania. Mógłby się łatwo dostać do środka, gdyby było otwarte. Ale pomimo wielokrotnych kopnięć w drzwi, nikt nie przychodzi mu z pomocą.

— Kryj się!

Unoszę broń. Odsuwa się, a ja strzelam do zamka dopóki drzwi nie otwierają się do środka. Gale wskakuje na próg. Przez moment cieszę się, że go uratowałam. A później ręka w białej rękawiczce zaciska się na nim.

Gale napotyka moje spojrzenie i mówi coś do mnie bezgłośnie, ale nie potrafię zrozumieć co. Nie mogę go zostawić, ale nie mogę go też dosięgnąć. Jego usta znowu się poruszają. Potrząsam głową, by wskazać mu moją niepewność. W każdej chwili mogą się zorientować kogo złapali. Strażnicy Pokoju wciągają go teraz do środka.

— Idź! — słyszę jak krzyczy.

Odwracam się i uciekam od zasobnika. Całkiem sama. Gale jest więźniem. Cressida i Pollux mogli już umrzeć z dziesięć razy. A Peeta? Nie widziałam go odkąd opuściliśmy sklep Tigris. Uczepiam się myśli, że być może do niego wrócił. Poczuł, że nadchodzi atak i wycofał się do piwnicy, kiedy wciąż jeszcze nad sobą panował. Zdał sobie sprawę, że nie ma potrzeby odwracania uwagi, skoro Kapitol i tak wprowadził tyle zamieszania. Nie ma potrzeby wystawiania się jako przynęty i zażywania uścisku nocy. Uścisk nocy! Gale go nie ma. Nie będzie miał też szansy zdetonować strzały. Pierwszą rzeczą, którą zrobią Strażnicy Pokoju, będzie odebranie mu broni.

Wpadam na drzwi, a łzy szczypią mnie w oczy. „Zastrzel mnie.” To właśnie mówił. Miałam go zastrzelić! To było moje zadanie. Nasza niewypowiedziana obietnica. A ja tego nie zrobiłam i teraz Kapitol go zabije albo będzie go torturował, albo nim zawładnie, albo... Zaczynam się kruszyć od środka, rozpadać się na części. Mam jeszcze nadzieję. Że Kapitol upadnie, złoży broń i wypuści więźniów zanim zdążą skrzywdzić Gale’a. Ale to się nie stanie, jeśli Snow będzie żył.

Dwóch Strażników Pokoju przebiega obok, prawie nie patrząc na skamlącą kapitolijną dziewczynę, skuloną w drzwiach. Przetykam łzy, wycieram je z mojej twarzy zanim zdążą zamarznąć i zbieram się w sobie. Dobrze, wciąż jestem anonimową uciekinierką. A może Strażnicy Pokoju, którzy złapali Gale’a, zdążyli mnie dostrzec zanim

uciekłam? Zdejmuję pelerynę i przewracam ją na drugą stronę i teraz na wierzchu jest czarna podszewka. Zarzucam kaptur tak, by ukrywał moją twarz. Przyciskam broń do piersi i badam przecznice. Jest w niej jedynie kilku oszołomionych maruderów. Zaczynam iść tuż za dwoma starymi mężczyznami, którzy w ogóle mnie nie zauważają. Nikt nie będzie mnie szukał w towarzystwie starych mężczyzn. Kiedy docieramy do końca kolejnego skrzyżowania, zatrzymują się i prawie na nich wpadam. To Główny Plac. Naprzeciw rozległej przestrzeni otoczonej wielkimi budynkami znajduje się rezydencja prezydenta.

Plac jest pełen ludzi kręcących się, zawodzących albo po prostu siedzących i pozwalających, by śnieg piętrzył się wokół nich. Przeciskam się przez tłum. Zaczynam torować sobie drogę do rezydencji, potykając się o porzucone skarby i przykryte śniegiem gałęzie. Mniej więcej w połowie drogi dostrzegam betonową barykadę. Jest wysoka na ponad metr i rozciągnięta w ogromny prostokąt przed rezydencją. Można by pomyśleć, że będzie pusta, ale jest przeładowana uciekinierami. Może to grupa wybrana do tego, by się schronić w rezydencji? Ale kiedy podchodzę bliżej, dostrzegam coś jeszcze. Wszyscy wewnątrz barykady to dzieci. Od brzdąców po nastolatki. Przeróżne i zmarznięte. Stłoczone w grupkach albo kołyszące się odrętwiale na ziemi. Nie pozwolono im wejść do rezydencji. Zostały zamknięte jak w zagrodzie, pilnowane ze wszystkich stron przez Strażników Pokoju. Gdyby Kapitol chciał je chronić, umieściłby je w jakimś bunkrze. To wszystko dla bezpieczeństwa Snowa. Dzieci tworzą jego ludzką tarczę.

Jest jakieś poruszenie i tłum przesuwają się na lewo. Porywa mnie ze sobą, rzuca na boki, znosi z obranego kursu. Słyszę krzyki „Rebelianci! Rebelianci!” i wiem, że musieli się przedrzeć. Z impetem wpadam na maszt flagowy i uczepiam się go kurczowo. Używam liny, która zwisa z góry, i wspinam się w górę, wydostając się z tłumy. Tak, widzę armię rebeliantów wpadającą na Plac, zmuszając uciekinierów do ponownego zagłębienia się w ulice. Wypatruję zasobników, które na pewno zaczną wybuchać. Nic takiego się nie dzieje. To się dzieje:

Poduszkowiec z pieczęcią Kapitolu materializuje się nad zabarykadowanymi dziećmi. Spada na nie deszcz srebrnych spadochronów. Nawet w tym zamieszaniu dzieci wiedzą co zawierają srebrne spadochrony. Jedzenie. Lekarstwa. Prezenty. Ochoczo je rozpakowują, zmarznięte palce walczą ze sznurkami. Poduszkowiec znika, mija pięć sekund i jakieś dwadzieścia spadochronów wybucha jednocześnie.

Tłum zaczyna głośno zawodzić. Śnieg jest czerwony i zasypany nierozwiniętymi jeszcze do końca częściami ciał. Wiele dzieci umiera natychmiast, ale inne leżą na ziemi w stanie agonii. Niektóre bezgłośnie chodzą w kółko, gapiąc się na pozostałe w ich rękach spadochrony, jakby wciąż mogły mieć w środku coś cennego. Wiem, że Strażnicy Pokoju się tego nie spodziewali, bo wyszarpują barykady, robiąc dzieciom przejście. Kolejna grupa białych mundurów przechodzi przez utworzone w ten sposób wejście. Ale to nie

Strażnicy Pokoju. To lekarze. Rebelianccy lekarze. Poznałabym te stroje wszędzie. Uwijają się wokół dzieci, niosąc ze sobą apteczki.

Najpierw miga mi przed oczami blond warkocz na jej plecach. Później, kiedy zdejmuję płaszcz, by przykryć płaczące dziecko, dostrzegam wystający kaczki ogon utworzony z podwiniętej koszuli. Reaguję tak samo jak w dzień, w którym Effie Trinket wywołała jej imię na dożynkach. A przynajmniej musiałam się ześlizgnąć, bo orientuję się, że jestem na dole masztu i nie potrafię powiedzieć co robiłam przez ostatnie kilka sekund. Później zaczynam się przeciskać przez tłum, jak wcześniej. Próbuję wykrzyczeć jej imię ponad rykiem tłumu. Już prawie tam jestem, przy barykadzie, kiedy chyba mnie usłyszała. Przez moment krzyżujemy spojrzenia, jej usta wypowiadają moje imię.

I wtedy reszta spadochronów wybucha.

25.

Prawda czy fałsz? Płonę. Kule płomieni, które wytrysnęły ze spadochronów przestrzeliły barykady, poprzez zaśnieżone powietrze, wylądowały w tłumie. Właśnie odwracałam się, gdy jedna z nich złapała mnie, przeciągnęła swym językiem po moich plecach i zmieniła mnie w coś zupełnie nowego. Stworzenie nieugaszone niczym słońce.

Ognisty zmiech (?) zna tylko jedno uczucie: agonię. Żadnego wzroku, słuchu czy czucia poza niesłabnącym spalaniem mięsa. Może zdarzały się epizody nieprzytomności, ale co one mogły znaczyć, jeśli nie znajdowałam w nich ucieczki? Jestem ptakiem Cinny, płonącym, latającym gorączkowo, by uniknąć nieuniknionego. Grzywa płomieni wyrasta z mojego ciała. Uderzenia moich skrzydeł tylko podsycają pożar. Trawię się sama, ale nie widać temu końca.

Ostatecznie moje skrzydła zaczynają słabnąć, tracę wysokość, grawitacja spycha mnie do spienionego morza w kolorze oczu Finnicka. Unoszę się na plecach, które ciągle płoną pod powierzchnią wody, agonie uspokaja się do bólu. Kiedy tak dryfuję, niezdolna do nawigowania, przychodzą oni. Zmarli.

Ci, których kochałam, fruują jako ptaki nade mną. Szybując, falując, przywołując mnie do siebie. Tak bardzo chcę do nich dołączyć, ale morską wodą nasyciła moje skrzydła, czyniąc je niezdolnymi do lotu. Ci, których nienawidziłam, dostali się do wody, okropne, łuszczące się stwory, które rozrywały moje słone ciało ostrymi kłami. Gryząc raz po raz. Wciągając mnie pod wodę.

Mały biały ptak zabarwiony na różowo zanurkował, zanurzając szpony w mojej klatce, próbując utrzymać mnie na powierzchni.

- Nie, Katniss! Nie! Nie możesz odejść!

Ale ci, których nienawidziłam, wygrywają, i jeśli się do mnie przyczepi, zniknie na wieki.

- Prim, pozwól mi odejść.

I w końcu pozwala.

Głęboko w wodzie, jestem opuszczona przez wszystkich. Istnieje tylko dźwięk moich oddechów, ogromny wysiłek, którego wymaga zasysanie wody i wypychanie jej z płuc. Chcę przestać, próbuję wstrzymać oddech, ale morze forsuje sobie drogę w tę i powrotem na przekór mnie.

- Pozwól mi odejść. Pozwól odejść z innymi. – Błagałam cokolwiek, co mnie tutaj trzymało. Brak odpowiedzi.

Uwięziona przez dni, lata, może wieki. Umierająca, ale nie umarła. Żywa, ale tak jakby martwa. Tak bardzo samotna, że ktokolwiek, cokolwiek, nie ważne jak bardzo odrażające, było by mile widziane. I gdy ostatecznie mam gościa, jest bardzo słodki. Morfalina. Przepływająca przez moje żyły, łagodząca ból, rozświetlająca moje ciało, które powraca przez powietrze i ponownie spoczywa na pianie.

Piana. Naprawdę unoszę się na pianie. Mogę ją poczuć pod koniuszkami palców, otulającą części mojego nagiego ciała. Jest mnóstwo bólu, ale jest w tym coś realnego. Gardło niczym papier ścierny. Zapach lekarstwa na poparzenia z pierwszej areny. Dźwięk głosu mojej matki. Te rzeczy przerażają mnie, więc staram się powrócić w głębiny, żeby wyciągnąć z nich sens. Ale nie ma odwrotu. Stopniowo jestem zmuszana do zaakceptowania tego kim jestem. Poparzoną dziewczyną bez skrzydeł. Bez ognia. I bez siostry.

W oślepiająco białym kapitołińskim szpitalu, lekarze wypróbowywali na mnie swoje sztuczki. Drapując na spalonym ciele kawałki nowej skóry. Nakłaniając komórki do uważania się za moje własne. Manipulując częściami mojego ciała, skręcając i rozciągając moje kończyny, by dopasować skórę. Słyszę w koło jaką jestem szczęściarą. Moje oczy były nienaruszone. Większość mojej twarzy została nienaruszona. Moje płuca odpowiadają na leczenie. Będę jak nowa.

Kiedy moja delikatna skóra stwardniała na tyle, by wytrzymać naciska nakrycia, więcej osób przychodziło. Morfalina otworzyła drzwi do śmierci, jak również pozwoliła przeżyć. Haymitch, żółty i ponury. Cinna, szyjący nową suknię ślubną. Delly, gaworząca o ludzkiej uprzejmości. Mój ojciec śpiewa wszystkie cztery zwrotki Wisielczego Drzewa i przypomina mi, że mama, która sypia na krześle pomiędzy zmianami, nie może się o tym dowiedzieć.

Jednego dnia obudziłam się z moich wyobrażeń i wiedziałam, że nie będzie mi wolno dalej żyć w moim świecie marzeń. Muszę przyjmować jedzenie doustnie. Poruszać własnymi mięśniami. Przebyć drogę do łazienki. Krótkie pojawienie się Prezydent Coin finalizuje wszystko.

- Nie martw się. – mówi. – Zachowałam go dla ciebie.

Lekarze ciągle zastanawiają się, dlaczego nie jestem zdolna mówić. Zrobiono wiele testów, i jeśli istnieje jakiś uraz mojego ośrodka mowy, to nic na to nie wskazuje. Ostatecznie, dr Aurelius, główny lekarz, proponuje teorię, że doznałam raczej psychicznego niż fizycznego urazu. Wtedy moje milczenie zostałoby spowodowane traumą emocjonalną. Pomimo że jest zasypywany wieloma środkami, którymi można mnie leczyć, rozkazuje zostawić mnie samą. Więc nie pytam o nikogo i o nic, ale ludzie przynoszą mi świeże informacje. O wojnie: Kapitol upadł w dniu, w którym wybuchły

spadochrony, Prezydent Coin przewodzi teraz Panem, a oddziały zostały rozesłane by stłumić małe pozostałości po oporze Kapitolu. O Prezydencie Snowie: Jest przetrzymywany w oczekiwaniu na proces i najprawdopodobniej na egzekucję. O moim oddziale strzelców wyborowych: Cressida i Pollux zostali wysłani do dystryktów, by nagrać pozostałości wojny. Gale, który oberwał dwie kule podczas próby ucieczki, oczyszcza Dystrykt Drugi ze Strażników Pokoju. Peeta ciągle znajduje się na oddziale oparzeniowym. Ostatecznie dotarł na Plac. O mojej rodzinie: Mama zagrzebuje żal w pracy.

Nie mając zajęcia, zżera mnie rozpacz. Wszystko co mnie tu trzyma to obietnica Coin. Mogę zabić Snowa. A kiedy to się stanie, nie pozostanie już nic.

Koniec końców, zostaję zwolniona ze szpitala i dostaję, razem z mamą, pokój w rezydencji prezydenta. Prawie jej tu nie ma, je i śpi w pracy. Na Heymitcha spadło opiekowanie się mną, sprawdzanie czy jem i zażywam lekarstwa. Nie jest to łatwe zadanie. Powróciłam do starego nawyku z Dystryktu Trzynastego. Spacerując bez nadzoru po rezydencji. Po sypialniach i gabinetach, salach balowych i łazienkach. Szukając dziwnych, małych miejsc na kryjówki. Szafa pełna futer. Szafka w bibliotece. Dawno zapomniana wanna w pokoju z wybrakowanymi meblami. Moje kryjówki są przyćmione, ciche i niemożliwe do wykrycia. Zwijam się, kurczę, staram zniknąć całkowicie. Zwinięta w ciszy, przesuwam moją bransoletę, na której pisze, że jestem mentalnie niezrównoważona, dookoła nadgarstka.

Nazywam się Katniss Everdeen. Mam siedemnaście lat. Moim domem jest Dystrykt Dwunasty. Nie istnieje już Dystrykt Dwunasty. Jestem Kosogłosem. Obaliłam Kapitol. Prezydent Snow nienawidzi mnie. Zabił moją siostrę. Teraz ja zabiję jego. I Głodowe Igrzyska skończą się...

Zdarza się, że znajduję się w swoim pokoju, niepewna czy przywiodła mnie tu potrzeba morfaliny czy to Haymitch mnie odnalazł. Jem, przyjmuję leki, rozkazują mi brać kąpiel. To nie woda mi przeszkadza, tylko lustro, które odbija moje nagie strawione płomieniami, ciało. Przeszczepy skóry ciągle utrzymują różowy kolor skóry niemowlaka. Część skóry jest nadal zniszczona, czerwona, gorąca i miejscami rozpuszczona. Fragmenty mojej własnej, dawnej skóry błyszczą białością i bladością. Jestem niczym jedna niejednolita, pocerowana kołdra ze skóry. Kępki włosów na mojej głowie zostały całkowicie wypalone, reszta została skrócona do różnych długości. Katniss Everdeen, dziewczyna w ogniu. Nie obchodziłoby mnie to, gdyby nie widok mojego ciała, który przywołuje z pamięci ból. Ale skąd ten ból. I co było przed tym, kiedy się zaczął. Jak patrzyłam, Kiedy moja mała siostrzyczka staje się ludzką pochodnią.

Zamykanie oczu nie pomaga. Ogień staje się jaśniejszy w ciemnościach.

Dr Aurelius pokazywał się czasami. Lubię go, bo nie zarzuca mnie głupotami jaka to ja jestem teraz bezpieczna, że mnie rozumie, że teraz tego nie widać, ale pewnego dnia będę znów szczęśliwa, albo że wszystko w Panem będzie od teraz lepsze. Pyta się tylko, czy czuję się na siłach odezwać, a kiedy nie odpowiadam, pada znużony na krzesło i zasypia. Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że jego wizyty są motywowane przez potrzebę drzemki. Umowa zadowala oboje z nas.

Czas płynie, ale ja nie jestem w stanie określić dokładnie upływających godzin i minut. Prezydent Snow był sądzony i uznany za winnego, skazany na śmierć. Haymitch powiedział mi o tym, słyszałam także rozmowę między strażnikami, gdy przechodziłam przez korytarz. Kostium Kosogłosa zjawił się w moim pokoju. Także mój luk, pasujący do ubrania, ale bez kołczanu ze strzałami. Przez to, że wszystkie zostały zniszczone albo bardziej prawdopodobne, że nie powinnam nosić broni. Niejasno zastanawiam się czy nie powinnam się jakoś przygotować do całego wydarzenia, ale nic konkretnego nie przychodzi mi do głowy.

Późnym popołudniem, po długich godzinach spędzonych przed oknem, na półce wyłożonej poduszkami, za kolorowym ekranem, nareszcie wyszłam i skręciłam w lewo zamiast w prawo. Znalazłam się w nieznanej części rezydencji i momentalnie straciłam rezon. W przeciwieństwie do miejsca, w którym zostałam zakwaterowana, tutaj nie ma nikogo, kogo mogłabym się zapytać. I to mi się podobało. Żałuję, że nie znalazłam tego miejsca wcześniej. Jest takie ciche, z grubymi dywanami i ciężkimi gobelinami pochłaniającymi dźwięk. Miętko wyściełany. Stonowanymi kolorami. Emanujący spokojem. Dopóki nie poczułam zapachu róż. Zanurzyłam się za zasłonami, zbyt roztrzęsiona, by uciec, w oczekiwaniu na zmiechy. W końcu zdałam sobie sprawę, że żadne się do mnie nie zbliżają. Więc co tak pachnie? Prawdziwe róże? Czy to możliwe, że jestem blisko ogrodu, gdzie rośnie to zło?

Kiedy zakradałam się w dół korytarza, odór przybierał na sile. Nie tak intensywny jak ten od zmiechów, ale czystszy, bo nie konkuruje ze smrodem ścieków i materiałów wybuchowych. Skręciłam za rogiem i stanęłam przed dwoma zaskoczonymi strażnikami. Nie Strażnikami Pokoju, oczywiście. Już nie ma Strażników Pokoju. Ale też nie przed schludnymi żołnierzami w szarych uniformach Trzynastego Dystryktu. Tyc dwoje, mężczyzna i kobieta, mieli na sobie wystrzępione, pozszywane ubrania rebeliantów. Ciągłe obandażowani i wymizerowani, utrzymywali wartę przed drzwiami do pokoju z różami. Kiedy poruszyłam się w stronę tych drzwi, skrzyżowali przede mną sojã broń.

- Nie możesz wejść, panienko. – mówi mężczyzna.

- Żołnierzu. – poprawia go kobieta. – Nie możesz wejść, żołnierzu Everdeen.
Rozkazy Prezydenta.

Tylko stała cierpliwie czekając, kiedy opuszczą broń, kiedy zrozumieją bez tłumaczeń, że za tymi drzwiami jest coś, czego potrzebuję. Tylko róża. Jedna roślina. Którą umieszczę w butonierce Snowa zanim go zastrzelę. Moja obecność zdaje się niepokoić strażników. Rozważają powiadomienie Haymitcha, kiedy odzywa się za mną kobiecy głos.

- Wpuścić ją.

Znałam ten głos, ale ni mogłam go nazwać w tej chwili. Nie ze Złożyska, nie z Trzynastki, na pewno nie z Kapitolu. Odwróciłam się i stanęłam twarzą w twarz z Paylor, przywódcą z Ósemki. Wyglądała na bardziej przybita niż była w szpitalu, ale kto taki nie był?

- Na moją odpowiedzialność. – mówi Paylor. – Ma prawo do tego, co jest za tymi drzwiami. – To są jej żołnierze, nie Coin. Opuścili broń bez słowa i przepuścili mnie. Na końcu krótkiego korytarza pchnęłam szklane drzwi i weszłam do środka. Do tej pory zapach wzmógł się tak bardzo, że wydaje mi się już jednostajny, tak jakby mój nos nie mógł absorbować nic więcej. Wilgotne, łagodne powietrze wpływa dobrze na moją rozgrzaną skórę. A róże są wspaniałe. Rząd za rzędem okazałych kwiatów, świeżo różowe, słoneczne pomarańczowe, a nawet bładoniebieskie. Przechadzam się pomiędzy grządkami ostrożnie przycinanych roślin, patrząc, ale nie dotykając, nauczyłam się jak bardzo te piękności mogą być śmiertelne. Od razu wiedziałam, taktyko zobaczyłam ją, koronującą szczyt niewielkiego krzewu. Wspaniałe pączek właśnie zaczynający się otwierać. Naciągnęłam lewy rękaw na dłoń tak, żeby moja skóra nie mogła jej dotknąć, wzięłam nożyce ogrodowe i zdążyłam ułożyć je na łodydze, kiedy się odezwał.

- Jest całkiem niezła.

Szarpnęłam ręką, sekator zatrzasnął swoje ostrza, ścinając łodygę.

- Kolory są śliczne, oczywiście, ale nic nie przebije perfekcji bieli.

Ciągle nie mogłam go zobaczyć, ale jego głos zdawał się wychodzić z przyległego poletka czerwonych róż. Delikatnie ujmując łodygę pąka przez materiał mojego rękawa, powoli wyjrzałam za róg i zobaczyłam go siedzącego na taborecie pod ścianą. Jest równie dobrze uczesany i elegancko ubrany jak zawsze, ale obciążony zarzutami, ze skutymi kostkami i urządzeniem namierzającym. W jasnym świetle jego skóra jest blada, chorowici zielona. Trzyma białą chusteczkę splamioną świeżymi plamami krwi. Nawet w ciągle pogarszającym się stanie, jego węzowe oczy błyszczą się jasno i zimno.

- Miałem nadzieję, że znajdziesz drogę do mojej siedziby.

Jego siedziby. Wtargnęłam do jego domu tak, jak on wtargnął do mojego zeszłego roku, sycząc groźbami swym krwawym, różanym oddechem. Szklarnia jest jednym z jego

pokoi, może jego ulubionym, może za dobrych czasów sam zajmował się kwiatami. Ale teraz to część jego więzienia. To dlatego strażnicy mnie zatrzymali. To dlatego Paylor mnie wpuściła.

Przypuszczałam, że będzie strzeżony gdzie w najgłębszych lochach Kapitolu, a nie otoczony swoimi dawnymi luksusami. Ale Coin go tutaj zostawiła. Żeby zapoczątkować proces, tak myślę. Jeśli kiedykolwiek ona wypadłaby z łask, byłoby ogólnie przyjętym, że prezydentowi, nawet najbardziej podłemu, należy się specjalne traktowanie. Kto wie, kiedy jej panowanie może się skończyć?

- Jest tyle rzeczy, które powinniśmy omówić, ale mniemam, że twoja wizyta będzie krótka. Więc, po kolei. – Zakasłał, a kiedy oderwał rękę od ust, była bardziej czerwona. – Chciałem powiedzieć, jak bardzo przykro mi jest z powodu twojej siostry.

Nawet znajdując się w sytuacji bez wyjścia, otumaniona lekami, to przeszywa mnie ukłucie bólu. Przypominając, że jego okrucieństwo nie ma granic. Że nawet zmierzając do swego końca próbuje mnie zniszczyć.

- Taka niepotrzebna, taka niekonieczna. Każdy mógł zauważyć, że walka już wtedy była skończona. Sam myślałem o oficjalnym poddaniu się, kiedy oni spuścili te spadochrony. – Jego oczy wpatrują się we mnie, bez mrugnięcia, żeby nie uniknąć ani sekundy mojej reakcji. Ale to o czym mówił nie miało żadnego sensu. Kiedy *oni* spuścili te spadochrony? – Cóż, chyba nie uważasz, że to ja wydałem rozkaz, co? Pomijając oczywisty fakt, że gdybym miał działający poduszkowiec do mojej dyspozycji, użył bym go, by stąd uciec. Ale w tym przypadku, jakiemu celowi to się przysłużyło? Oboje wiemy, że nie przeszkadza mi zabijanie dzieci, ale nie jestem marnotrawcą. W życiu kieruję się różnymi powodami. Ale nie było żadnego powodu, dla którego miałbym zabijać zagrodę pełną kapitolieńskich dzieci. Anie jednego.

Zastanawiam się czy następny wybuch kaszlu nie był inscenizacją, abym miała czas na przyswojenie sobie jego słów. Kłamie. Oczywiście, że kłamie. Ale jest coś co walczy o moją uwagę w tym kłamstwie.

- Jakkolwiek, muszę przyznać, że to było mistrzowskie posunięcie ze strony Coin. Myśl, że zbombardowałem nasze własne, bezbronne dzieci, natychmiast zniszczy delikatną lojalność, która moi ludzie ciągle do mnie czuli. Po tym wydarzeniu, nie stawiono już żadnego oporu. Wiedziałaś, że emitowali to na żywo? Zauważ tu działanie Plutarcha. I przy spadochronach. Takiego myślenia trzeba się spodziewać u Głównego Organizatora Igrzysk, czyż nie? – Snow przemył końce ust. – Jestem pewien, że nie celował do twojej siostry, ale takie rzeczy się zdarzają.

Nie jestem teraz ze Snowem. Jestem w Broni Specjalnej w Trzynastce z Galem i Beeteem. Patrzę na pułapki zaprojektowane na podstawie sideł Gale'a. Takie, które

wykorzystują ludzkie emocje. Pierwsza bomba zabija ofiary. Druga, ratowników.
Przypominam sobie słowa Gale'a:

- Beete i ja stosujemy ten sam podręcznik, z którego korzystał prezydent Snow, kiedy zawładnął Peetą.

- Moim błędem – mówi Snow. – było zbyt wolne odczytanie planu Coin.
Pozwolenie Kapitolowi i Dystryktom wykończyć się nawzajem, a następnie wkroczyć i przejąć władzę z ledwie draśniętą Trzynastką. Bezbłędnie dążyła do przejęcia mojego stanowiska od samego początku. Nie powinienem być zaskoczony. Koniec końców, to Trzynastka rozpoczęła rebelię, która doprowadziła do Mrocznych Dni, a potem odwróciła się od reszty Dystryktów, kiedy tylko zostały zaatakowane. Ale ja nie przyglądałem się Coin. Przyglądałem się Tobie, Kosogłosie. A ty przyglądałaś się mnie. Boję się, że z obojga z nas zrobiono głupców.

Nie uznałam tego za prawdę. Niektórych rzeczy nawet ja nie mogę przetrwać.
Wypowiedziałam swoje pierwsze słowa od śmierci siostry.

- Nie wierzę ci.

Snow potrząsnął głową w geście niezadowolenia.

- Oh, moja droga panno Everdeen. Wydawało mi się, że zgodziliśmy się nie kłamać sobie nawzajem.

Na korytarzu znajduję Paylor w dokładnie tym samym miejscu.

— Znalazłaś to, czego szukałaś? — pyta.

W odpowiedzi unoszę biały pęk i przechodzę obok niej. Musiałam jakoś dotrzeć z powrotem do pokoju, bo następną rzeczą, którą pamiętam, jest napełnienie szklanki wodą z kranu w łazience i wstawienie w nią róży. Klękam na zimnym kafelku i spoglądam na różę spod zmrużonych powiek, bo ciężko się skupić na jej bieli w ostrym fluorescencyjnym świetle. Chwytam palcem wewnątrz mojej bransoletki, zaciskając ją niczym opaskę uciskową, raniąc sobie nadgarstek. Mam nadzieję, że ból pozwoli mi ucześcić się rzeczywistości, jak pomógł w tym Peecie. Muszę się trzymać. Muszę poznać prawdę o tym, co się stało.

Są dwie możliwości, chociaż mogą się różnić w szczegółach. Pierwsza, w którą uwierzyłam, że to Kapitol wysłał tego poduszkowca, upuścił spadochrony i poświęcił życie dzieci, wiedząc, że przybyli właśnie rebelianci pospieszą im z pomocą. Są dowody na poparcie tej teorii. Pieczęć Kapitolu na poduszkowcu, brak jakiegokolwiek próby wysadzenia wroga w powietrze oraz długa historia wykorzystywania dzieci jako pionków w walce z dystryktami. Jest też opowieść Snowa. Że kapitoliński poduszkowiec sterowany przez rebeliantów zbombardował dzieci, by przynieść szybki koniec wojnie. Ale jeśli by tak było, to dlaczego Kapitol go nie ostrzelał? Czy zadziałał element zaskoczenia? A może nie mieli już czym się bronić? Dzieci są cenne dla Trzynastki, a przynajmniej tak to zawsze wyglądało. Coż, może nie ja. Kiedy skończył się mój okres przydatności, okazałam się zbyteczna. Myślę jednak, że już dawno przestano uważać mnie za dziecko w tej wojnie. I dlaczego mieliby robić coś takiego, wiedząc, że ich własni lekarze najprawdopodobniej przyjdą dzieciom z pomocą i zginą w wyniku drugiej eksplozji? Nie zrobiliby tego. Nie mogliby. Snow kłamie. Manipuluje mną jak zawsze. W nadziei, że uda mu się zwrócić mnie przeciwko rebeliantom i być może ich zniszczyć. Tak. Oczywiście.

Więc co nie daje mi spokoju? Te podwójnie wybuchające bomby, na ten przykład. To nie tak, że Kapitol nie mógłby mieć tej samej broni, jestem jednak pewna, że rebelianci ją mieli. To dziecko Gale'a i Beetee'ego. I jest też fakt, że Snow nie ratował się ucieczką, a przecież zawsze próbuje przetrwać za wszelką cenę. Ciężko uwierzyć, że nie miał gdzieś jakiegoś miejsca, w którym mógłby się zaszyć, jakiegoś bunkra zaopatrzonego w zapasy, w którym mógłby przeżyć resztę swojego małego, węzowatego życia. I, w końcu, jego ocena Coin. Nie można zaprzeczyć, że zrobiła dokładnie to, co powiedział. Pozwoliła Kapitolowi i dystryktom nawzajem się wykończyć, a później wkroczyła, by przejąć władzę. Nawet jeśli to był jej plan, nie znaczy to wcale, że zrzuciła te spadochrony. Zwycięstwo było już w zasięgu jej ręki. Wszystko miała w zasięgu ręki.

Oprócz mnie.

Przypominam sobie odpowiedź Boggsa, kiedy przyznałam, że nie myślałam zbyt wiele o następcy Snowa. „Jeśli twoją natychmiastową odpowiedzią nie jest Coin, to jesteś zagrożeniem. Jesteś twarzą rebelii. Możesz mieć więcej wpływów niż ktokolwiek inny. Otwarcie zaledwie ją tolerowałam.”

Nagle myślę o Prim, która nie skończyła jeszcze czternastu lat, była za młoda, by przyznano jej stopień żołnierza, ale jakimś cudem znalazła się na linii frontu. Jak to się mogło stać? To, że moja siostra chciała tu być, nie ulega wątpliwości. To, że potrafiła leczyć lepiej niż wielu starszych, też jest pewne. Ale by się tu dostała ktoś wysoko postawiony musiał zatwierdzić wysłanie trzynastolatki na wojnę. Czy Coin to zrobiła w nadziei, że utrata Prim zupełnie mnie załamie? Albo, przynajmniej, że stanowczo stanę po jej stronie? Nie musiałabym nawet widzieć tego na własne oczy. Na Głównym Placu znajduje się wiele kamer. A one uchwyciłyby tę chwilę na zawsze.

Nie, teraz zaczyna mi odbijać, ogarnia mnie paranoja. Zbyt wielu ludzi wiedziałoby o tej misji. Na pewno ktoś by się z tym zdradził. Czy nie? Kto musiałby wiedzieć poza Coin, Plutarchem i małą, lojalną lub łatwo rozporządzalną ekipą?

Rozpaczliwie potrzebuję pomocy przy rozwiązaniu tego wszystkiego, tyle że wszyscy, którym ufałam, są martwi. Cinna. Boggs. Finnick. Prim. Jest jeszcze Peeta, ale mógłby jedynie spekulować, a kto wie w jakim stanie znajduje się jego umysł? A to pozostawia tylko Gale’a. Jest daleko, ale nawet gdyby był obok mnie, czy mogłabym mu się z tego zwierzyć? Co bym powiedziała, jak bym to powiedziała, bez sugerowania, że to jego bomba zabiła Prim? Absurdalność tego pomysłu, bardziej niż cokolwiek innego, upewnia mnie, że Snow musi kłamać.

Ostatecznie pozostaje tylko jedna osoba, do której mogłabym się zwrócić, która mogłaby wiedzieć co się stało i mogłaby wciąż być po mojej stronie. Poruszenie tego tematu będzie ryzykowne. Ale mimo że Haymitch ryzykował moim życiem na arenie, nie sądzę, by wydał mnie Coin. Jakiegolwiek problemy moglibyśmy mieć ze sobą, wolimy rozwiązywać je sami.

Podnoszę się z kafelków i przechodzę przez korytarz do jego pokoju. Kiedy nie odpowiada na moje pukanie, popycham drzwi i wchodzę do środka. Faj. Zdziwiające jak szybko potrafi on sprofanować każde miejsce. W połowie zjedzone talerze jedzenia, roztrzaskane butelki alkoholu i kawałki połamanych w pijackim szale mebli, rozrzucone są po jego kwaterze. Leży, zaniedbany i nieumyty, w plątaninie pościeli na łóżku, nieprzytomny.

— Haymitch — mówię, potrząsając go za nogę.

To, oczywiście, nie wystarcza. Ale próbuję jeszcze kilka razy zanim wylewam mu na twarz dzbanek wody. Budzi się dysząc ciężko, na oślep wymachując nożem. Najwyraźniej koniec rządów Snowa nie zakończył jego strachu.

— Och. To ty — mówi. W jego głosie słychać, że wciąż jest pijany.

— Haymitch — zaczynam.

— Patrzcie tylko. Kosogłos odzyskał głos. — Śmieje się. — Cóż, Plutarch na pewno się ucieszy. — Pociąga łyk płynu z butelki. — Dlaczego jestem mokry?

Z wahaniem upuszczam dzbanek za siebie na stos brudnych ubrań.

— Potrzebuję twojej pomocy — mówię.

Haymitch beka, wypełniając powietrze białymi oparami alkoholu.

— O co chodzi, kochanie? Kolejny problem z chłopakiem? — Nie wiem dlaczego, ale zraniło mnie to, co Haymitchowi rzadko się udaje. Musi to dostrzegać na mojej twarzy, bo nawet teraz, pijany, próbuje to odwołać. — W porządku, to nie było śmieszne. — Już jestem przy drzwiach. — Nieśmieszne! Wracaj! — Z łomotu jego ciała uderzającego o podłogę wnioskuję, że próbował za mną podążyć, ale to nie ma sensu.

Biegnę zygzakiem przez rezydencję i znikam w garderobie pełnej jedwabnych rzeczy. Zrywam je z wieszaków aż obok mnie tworzy się mały stos i zakopuję się w nim. W podszewce mojej kieszeni znajduję zabłąkaną tabletkę morfaliny i połykam ją na sucho, zapobiegając narastającej we mnie histerii. Nie wystarcza to jednak, by cokolwiek naprawić. Słyszę jak Haymitch woła mnie z daleka, ale nie znajdzie mnie w stanie, w którym się znajduję. Na pewno nie w tym nowym miejscu. Owinięta jedwabiem czuję się jak gąsienica czekająca na przeobrażenie w swoim kokonie. Zawsze uważałam to za spokojny stan. Na początku tak jest. Ale podczas mojej podróży w noc, czuję się coraz bardziej uwięziona, duszona przez śliski materiał, niezdolna do wynurzenia się dopóki nie zmienię się w coś pięknego. Wiję się, próbując zrzucić moje zrujnowane ciało i odkryć sekret wyhodowania nieskazitelnych skrzydeł. Pomimo ogromnego wysiłku, pozostaję paskudnym stworem, spalonym przez wybuchające bomby.

Spotkanie ze Snowem toruje drogę mojemu staremu zestawowi koszmarów. To tak, jakbym znowu została użądlna przez gończe osy. Fala przerażających obrazów z krótką przerwą, którą myślę ze stanem obudzenia, po której następuje kolejna fala. Kiedy strażnicy w końcu mnie znajdują, siedzę na podłodze garderoby, zaplątana w jedwab, i krzyczę wniebogłosy. Początkowo z nimi walczę, dopóki nie przekonują mnie, że próbują mi pomóc, zdejmują duszące mnie części garderoby i eskortują do mojego pokoju. Po drodze przechodzimy obok okna i widzę jak szary, śnieżny świt roztacza się nad Kapitołem.

Czeka na mnie Haymitch z potężnym kaczem, garścią tabletek i tacą z jedzeniem, które nie przysłużyłoby się dobrze żadnemu z nas. Wykonuje słabą próbę nakłonienia mnie do ponownego mówienia, ale, widząc, że to bezcelowe, każe mi wziąć kąpiel. Wanna jest głęboka, z trzema stopniami prowadzącymi na dno. Rozluźniam się w ciepłej wodzie i zanurzam się po szyję w mydlinach z nadzieją, że leki szybko zadziałają. Skupiam wzrok na róży, która rozwinęła przez noc swoje płatki, wypełniając wilgotne powietrze swoim silnym zapachem. Podnoszę się i sięgam po ręcznik, by go złagodzić,

kiedy rozlega się niepewne pukanie i otwierają się drzwi łazienki, ukazując trzy znajome twarze. Próbują się do mnie uśmiechnąć, ale nawet Venia nie potrafi ukryć szoku na widok mojego zniszczonego ciała zmiecha.

— Niespodzianka! — piszczy Octavia i wybucha płaczem.

Próbuję rozgryźć powód ich pojawienia się, kiedy zdaję sobie sprawę, że to musi być to, dzień egzekucji. Przyszli przygotować mnie na potrzeby kamer. Przywrócić mnie do Zerowego Poziomu Piękności. Nic dziwnego, że Octavia płacze. To niewykonalne zadanie.

Prawie nie mogą dotknąć mojej skóry z obawy przed zranieniem mnie, więc sama płuczę się i osuszam. Mówię im, że teraz prawie nie czuję już bólu, ale Flavius wciąż wzdryga się, kiedy układa na mnie szlafrok. W sypialni znajduję kolejną niespodziankę. Siedzi wyprostowana na krześle. Wypolerowana od metalicznej złotej peruki aż po wymyślne skórzane buty na wysokich obcasach, trzymająca podkładkę. Nadzwyczajnie niezmienną poza nieprzytomnym spojrzeniem jej oczu.

— Effie — mówię.

— Cześć, Katniss. — Wstaje i całuje mnie w policzek, jakby nic się nie zdarzyło od naszego ostatniego spotkania w noc przed Ćwierćwieczem Poskromienia. — Cóż, wygląda na to, że mamy przed sobą kolejny wielki, wielki, wielki dzień. Więc może lepiej zacznij się przygotowywać, a ja pójdę sprawdzić jak sobie radzą z rozmieszczeniem.

— W porządku — mówię do jej pleców.

— Mówią, że Plutarch i Haymitch z trudem utrzymali ją przy życiu — mówi Venia pod nosem. — Była jednak uwięziona po twojej ucieczce, a to okazało się pomocne.

To ciekawy zwrot wypadków. Effie Trinket, rebeliantka. Ale nie chcę, by Coin ją zabiła, więc notuję sobie w myślach, by przedstawić ją w ten sposób, jeśli mnie o to zapytają. — Wydaje się, że jednak dobrze się stało, że Plutarch was porwał.

— Jesteśmy jedyną ekipą przygotowawczą pozostawioną przy życiu. Wszyscy styliści z Ćwierćwiecza Poskromienia są martwi — mówi Venia. Nie wyszczególnia kto ich zabił. Zaczynam się zastanawiać czy to ma jakiegokolwiek znaczenie. Ostrożnie chwytam jedną z moich upstrzonych bliznami rąk i oglądam ją. — Co powiesz o paznokciach? Czerwone czy może czarne jak smoła?

Flavius dokonuje cudów w układaniu moich włosów, udaje mu się wyrównać przód i przykryć dłuższymi skrętami łysa miejsca z tyłu. Moja twarz, jako że płomienie ją oszczędziły, stanowi to samo wyzwanie co zawsze. Kiedy jestem już w kostiumie Kosogłosa Cinny, blizny widać jedynie na mojej szyi, przedramionach i dłoniach. Octavia przyczepia mi broszkę z kosogłosem nad piersią i stajemy przed lustrem. Nie mogę uwierzyć, że sprawili, że wyglądam tak normalnie na zewnątrz, kiedy w środku jestem prawdziwą pustynią.

Rozlega się pukanie do drzwi i do pokoju wchodzi Gale.

— Mogę na chwilę? — pyta.

Obserwuję moją ekipę przygotowawczą w lustrze. Niepewni dokąd iść, wpadają na siebie kilkakrotnie i w końcu zamykają się w łazience. Gale podchodzi do mnie od tyłu i patrzymy na swoje odbicia. Szukam czegoś, czego mogłabym się ucześcić, jakiegoś śladu dziewczyny i chłopca, którzy spotkali się przypadkowo w lesie pięć lat temu i stali się nierozłączni. Zastanawiam się co by się z nimi stało, gdyby Głodowe Igrzyska nie zabrały dziewczyny. Gdyby zakochała się w chłopcu, może nawet go poślubiła. A w przyszłości, kiedy wychowaliby braci i siostry, uciekłyby z nim do lasu i na zawsze opuściła Dwunastkę. Czy byłiby szczęśliwi, w dziczy, czy mroczny, pokrętny smutek urósłby między nimi nawet bez pomocy Kapitolu?

— Przyniosłem ci to. — Gale unosi kołczan. Kiedy go odbieram, zauważam, że jest w nim tylko jedna, zwykła strzała. — To ma być symboliczne. Ty wystrzelisz ostatnią strzałę tej wojny.

— A co, jeśli spudłuję? — pytam. — Czy Coin zbierze ją i przyniesie mi ją z powrotem? Czy sama przestrzeli głowę Snowa?

— Nie spudłujesz. — Gale dopasowuje kołczan do mojego ramienia.

Stoimy tam, twarzą w twarz, unikając nawzajem swojego wzroku.

— Nie przyszedłeś odwiedzić mnie w szpitalu. — Nie odpowiada, więc w końcu mówię po prostu: — Czy to była twoja bomba?

— Nie wiem. Beetee też nie wie — odpowiada. — Czy to ważne? Zawsze już będziesz o tym myśleć.

Czeka aż zaprzeczę; chcę zaprzeczyć, ale to prawda. Nawet teraz widzę jak ona płonie, czuję gorąco płomieni. I nigdy nie będę w stanie oddzielić tego widoku od Gale'a. Moje milczenie jest odpowiedzią.

— To była jedyna rzecz, o którą miałem zadbać. Zająć się twoją rodziną — mówi. — Strzelaj celnie, dobrze?

Dotyka mojego policzka i wychodzi. Chcę go zawołać i powiedzieć mu, że się myliłam. Że wymyślę jakiś sposób, by się z tym pogodzić. Przypomnę sobie okoliczności, w których stworzył bombę. Wezmę pod uwagę moje niewybaczalne zbrodnie. Dokopię się do prawdy o tym, kto spuścił spadochrony. Udowodnię, że to nie rebelianci. Wybaczę mu. Ale jako że nie mogę, będę musiała po prostu poradzić sobie z bólem.

Effie przychodzi, by zaprowadzić mnie na jakieś spotkanie. Zabieram swój łuk i w ostatniej chwili przypominam sobie o róży lśniącej w szklance z wodą. Kiedy otwieram drzwi do łazienki, znajduję moją ekipę przygotowawczą siedzącą na brzegu wanny, zgarbioną i pokonaną. Przypominam sobie, że nie tylko mój świat się zawalił.

— Chodźcie — mówię do nich. — Publiczność na nas czeka.

Spodziewam się spotkania produkcyjnego, na którym Plutarch powie mi gdzie mam stanąć i da mi sygnał do zastrzelenia Snowa. Zamiast tego zostaję wysłana do sali,

w której sześcioro ludzi siedzi wokół stołu. Peeta, Johanna, Beetee, Haymitch, Annie i Enobaria. Wszyscy mają na sobie szare mundury Trzynastki. Nikt nie wygląda szczególnie dobrze.

— O co tu chodzi? — pytam.

— Nie jesteśmy pewni — odpowiada Haymitch. — Wygląda to na spotkanie pozostałych przy życiu zwycięzców.

— Tylko my zostaliśmy? — dziwię się.

— To cena sławy — mówi Beetee. — Obie strony obrały nas sobie za cel. Kapitol zabił zwycięzców, których podejrzewał o współpracę z rebeliantami. Rebelianci zabili tych, których podejrzewali o sojusz z Kapitołem.

Johanna patrzy gniewnie na Enobarię.

— Więc co ona tu robi?

— Jest chroniona tym, co nazywamy Ugodą Kosogłosa — mówi Coin, wchodząc za mną do sali. — W której Katniss Everdeen zgodziła się wesprzeć rebeliantów w zamian za nietykalność dla schwytanych zwycięzców. Katniss dotrzymała swojej części umowy, więc i my powinniśmy.

Enobaria uśmiecha się do Johanny.

— Nie ciesz się tak — mówi Johanna. — I tak cię zabijemy.

— Usiądź, proszę, Katniss — mówi Coin, zamykając drzwi. Zajmuję miejsce między Annie i Beetee'em, ostrożnie stawiając różę Snowa na stole. Coin jak zwykle przechodzi od razu do sedna. — Poprosiłam was tutaj na małą debatę. Dzisiaj zabijemy Snowa. W minionych tygodniach setki jego wspólników zostało osądzonych i czeka teraz na własne egzekucje. Jednakże ogrom cierpienia w dystryktach był tak wielki, że to wydaje się ofiarom niewystarczające. Właściwie, wiele z nich domaga się całkowitego unicestwienia tych, którzy mają kapitolieńskie obywatelstwo. Jednakże w związku z potrzebą utrzymania ciągłości gatunku, nie możemy sobie na to pozwolić.

Przez wodę w szklance dostrzegam zniekształcony obraz jednej z dłoni Peety. Ślady poparzeń. Oboje jesteśmy teraz ogniowymi zmiechami. Mój wzrok podąża w górę, gdzie płomienie liznęły jego czoło, spalając mu brwi, ale omijając oczy. Te same niebieskie oczy, które w szkolnych czasach napotykały moje, po czym zaraz kierowały się w inną stronę. Jak teraz.

— Więc wymyślono alternatywny plan. Jako że moi koledzy i ja nie możemy dojść w tej sprawie do porozumienia, zgodziliśmy się, że pozwolimy zdecydować zwycięzcom. Większość czteroosobowa akceptuje wniosek. Nie można się wstrzymać od głosu — mówi Coin. — Zaproponowano, by zamiast wyeliminowania całej populacji Kapitolu, urządzić ostatecznie, symboliczne Głodowe Igrzyska, w których będą uczestniczyć dzieci spokrewnione z tymi, którzy mieli największą władzę.

Cała nasza siódemka zwraca się w jej stronę.

— Co? — pyta Johanna.

— Urządzimy kolejne Głodowe Igrzyska z kapitołińskimi dziećmi — mówi Coin.

— Żartuje pani? — pyta Peeta.

— Nie. Powinnam też powiedzieć wam, że jeśli uda się urządzić Igrzyska, publicznie ogłosimy, że stało się to za waszą zgodą, chociaż indywidualne różnice zdań zostaną zatrzymane w tajemnicy dla waszego własnego bezpieczeństwa — mówi nam Coin.

— Czy to był pomysł Plutarcha? — pyta Haymitch.

— Nie, mój — mówi Coin. — Wydaje się, że to zaspokoi potrzebę zemsty przy jak najmniejszej utracie życia. Możecie zacząć głosować.

— Nie! — wybuchają Peeta. — Głosuję na nie, oczywiście! Nie możemy urządzić kolejnych Głodowych Igrzysk!

— Dlaczego nie? — odparowuje Johanna. — To wydaje mi się bardzo sprawiedliwe. Snow ma nawet wnuczkę. Głosuję na tak.

— Ja też — mówi Enobaria, niemal beznamiętnie. — Odpłaćmy im pięknym za nadobne.

— Dlatego walczyliśmy! Pamiętacie? — Peeta patrzy na resztę z nas. — Annie?

— Głosuję na nie razem z Peetą — mówi. — Finnick też by tak zrobił, gdyby tu był.

— Ale go tu nie ma, bo zabiły go zmiechy Snowa — przypomina jej Johanna.

— Nie — mówi Beetee. — To by się mogło źle skończyć. Musimy przestać patrzeć na siebie nawzajem jak na wrogów. W tej chwili jedność jest nam niezbędna do przetrwania. Nie.

— To zostali jeszcze Katniss i Haymitch — mówi Coin.

Czy wtedy też tak było? Siedemdziesiąt pięć lat temu? Czy grupa ludzi usiadła wokół stołu i zaczęła oddawać głosy w sprawie ustanowienia Głodowych Igrzysk? Czy ktoś się wyłamał? Czy ktoś próbował wzbudzić w innych litość, zagłuszony żądaniem śmierci dzieci z dystryktów? Zapach róży Snowa uderza mnie w nos, przedostaje się do gardła, ściskając je rozpaczą. Wszyscy ci ludzie, których kochałam, są martwi, a my dyskutujemy nad kolejnymi Głodowymi Igrzyskami, które mają zapobiec marnowaniu życia. Nic się nie zmieniło. Nic się nigdy nie zmieni.

Dokładnie rozważam moje opcje, staram się wszystko przemyśleć. Ze wzrokiem utkwionym w róży mówię:

— Głosuję na tak... dla Prim.

— Haymitch, teraz wszystko zależy od ciebie — mówi Coin.

Rozzłoszczony Peeta tłumaczy Haymitchowi jak wielkiego bestialstwa może stać się częścią, ale ja czuję, że Haymitch patrzy na mnie. To jest ten moment. Kiedy oboje zdajemy sobie sprawę jak bardzo jesteśmy do siebie podobni i jak dobrze on mnie rozumie.

— Jestem z Kosogłosem — mówi.

— Wspaniale. Wniosek przechodzi — mówi Coin. — A teraz naprawdę musimy iść egzekucję.

Kiedy przechodzi obok mnie, podnoszę szklankę z różą.

— Dopilnuje pani, by Snow miał ją na sobie? Tuż powyżej serca?

Coin uśmiecha się.

— Oczywiście. I dopilnuję, by dowiedział się o Igrzyskach.

— Dziękuję — mówię.

Ludzie wsypują się do pokoju, otaczają mnie. Ostatnie poprawki makijażu, instrukcje od Plutarcha, kiedy prowadzą mnie w stronę wejściowych drzwi do rezydencji. Główny Plac pęka w szwach, ludzie rozlewają się na otaczających go uliczkach. Inni zajmują miejsca na zewnątrz. Strażnicy. Oficjele. Przywódcy rebelii. Zwycięzcy. Słyszę okrzyki wskazujące, że Coin pojawiła się na balkonie. Effie poklepuje mnie po ramieniu i wychodzę na chłodne zimowe powietrze. Idę na swoje miejsce, prowadzona przez ogłuszający ryk tłumu. Jakby to było wyreżyserowane, obracam się tak, by było widać mój profil, i czekam. Kiedy wyprowadzają Snowa za drzwi, widownia zaczyna wariować. Przywiązują mu ręce do słupa, co nie jest potrzebne. Nigdzie się nie wybiera. Nie ma dokąd. To nie przestrzenna scena przed Centrum Szkolenia, a ciasny taras przed rezydencją prezydenta. Nic dziwnego, że nikt nie kazał mi poćwiczyć. Jest dziesięć metrów ode mnie.

Czuję jak łuk drży w moich rękach. Sięgam za siebie i wyciągam strzałę. Zakładam ją na cięciwę, celuję w różę, ale patrzę mu w twarz. Kaszle i krwawa ślina spływa mu po brodzie. Oblizuje językiem wydatne usta. Próbuje znaleźć w jego oczach najmniejszy ślad czegokolwiek, strachu, skruchy, złości. Ale wyrażają to samo rozbawienie, które zakończyło naszą ostatnią rozmowę. Tak jakby znowu wypowiadał te same słowa: „Och, moja droga panno Everdeen. Myślałem, że zgodziliśmy się nie okłamywać się nawzajem.”

Ma rację. Zgodziliśmy się.

Unoszę łuk i strzałę. Zwalniam cięciwę. I prezydent Coin spada z balkonu na ziemię. Martwa.

Nastąpiła głucha cisza, pośród której słyszałam tylko jeden dźwięk. Śmiech Snowa. Okropny bulgoczący rechot, któremu towarzyszyła erupcja spienionej krwi. Zauważyłam go związanego, uchodziło z niego życie, zanim strażnicy zablokowali go przed moim wzrokiem.

Gdy zaczęły dobiegać do mnie szare uniformy, zaczęłam zastanawiać się nad moją najbliższą przyszłością jako zabójcy nowego prezydenta Panem. Przesłuchanie, prawdopodobnie tortury, z pewnością publiczna egzekucja. Kolejne ostateczne pożegnanie garstki ludzi, którzy są mi bliscy. Perspektywa widoku mojej matki, która teraz zostanie całkowicie sama na świecie, przesądza sprawę.

- Dobranoc. – szepnęłam do łuku w mojej dłoni i poczułam jak tężeje. Podniosłam lewe ramię i skręciłam kark na tyle, by oderwać kapsułkę od mojego rękawa. Zamiast tego moje zęby zanurzyły się w mięsie. Odchyliłam głowę zmieszana i spojrzałam teraz w oczy Peety, tylko one przykuły moje spojrzenie. Krew płynęła ze śladów ugryzienia na jego dłoni, którą zasłonił mój *uścisk nocy*.

- Pozwól mi odejść. – warknęłam do niego, próbując wyrwać swoje ramię z jego uścisku.

- Nie mogę. – mówi.

Kiedy mnie od niego odciągają, czuję, że wyrwano mi kieszonkę z rękawa, widzę ciemno fioletową kapsułkę spadającą na ziemię, patrzę na ostatni prezent Cinny zdeptany butami strażników. Zmieniłam się w dzikie zwierzę, kopiąc, drapiąc, gryząc, robiąc wszystko, co pomogłoby mi się uwolnić z sieci rąk, kiedy nacierał na mnie tłum. Strażnicy wynieśli mnie ponad szamotaninę, gdzie kontynuowałam młócenie, podczas gdy konwojowano mnie ponad tłumem. Zaczęłam przywoływać Gale'a. Nie mogłam odnaleźć go w ścisku, ale on będzie wiedział czego chcę. Jeden czysty strzał, by zakończyć to wszystko. Tylko, że nie nadchodzi żadna strzała, żadna kula. Czy to możliwe, że mnie nie widzi? Nie. Nad nami, na wielkich ekranach umieszczonych dookoła Placu, każdy może oglądać całe zajście nagrywane na bieżąco. Widzi, wie, ale mnie nie posłucha. Jak ja tego nie zrobiłam, kiedy pojmano jego. Żałosne wymówki myśliwych i przyjaciół. Nas obojga.

Jestem sama.

W rezydencji zakuwają mnie w kajdany i zakrywają oczy. Jestem na wpół niesiona, na wpół ciągnięta przez korytarze, windami w górę i dół, nareszcie usadzona na podłodze pokrytej dywanem. Usuwają mi kajdany i zaraz za sobą zamykają drzwi. Gdy

zdejmuję osłonę z oczu, znajduję się w swoim starym pokoju w Ośrodku Treningowym. W tym, w którym mieszkałam przez te kilka cennych dni przed pierwszymi moimi Głodowymi Igrzyskami i Ćwierćwieczem Poskromienia. Na łóżku nie ma nic oprócz materaca, drzwi szafki są otwarte, ukazując pustkę wewnątrz, ale poznałabym ten pokój wszędzie.

Muszę się pomęczyć by wstać i zdjąć swój strój Kosogłosa. Jestem nieźle potłuczona i mogę mieć złamany palec albo dwa, ale to moja skóra zapłaciła najwięcej za szarpaninę ze strażnikami. Nowa różowa warstwa postrzępiła się jak kartka papieru i krew zaczęła przedzierać się przez laboratoryjnie wychowane komórki. Nie pojawia się żaden lekarz, a jeśli posunęłam się za daleko, by zasługiwać na opiekę, zwijam się na materacu i postanawiam wykrwawić się na śmierć.

Nic z tego. Do wieczora krew skrzepia się, a ja leżę sztywna, poodcierana i lepka, ale żywa. Utykam w drodze pod prysznic i wybieram najdelikatniejszy program jaki pamiętam, bez mydeł i szamponów do włosów, przykucnęłam pod ciepłym natryskiem, łokcie na kolanach, głowa między rękami.

Nazywam się Katniss Everdeen. Dlaczego jeszcze nie umarłam? Powinnam być martwa. Byłoby lepiej dla wszystkich, jeśli byłabym martwa...

Kiedy wyszłam na matę, nawiew ciepłego powietrza osuszył moją uszkodzoną skórę. Nie ma tu nic czystego do założenia. Nie ma nawet ręcznika którym mogłabym się owinać. W pokoju zauważam, że kostium Kosogłosa zniknął. W jego miejsce pojawiła się papierowa toga. Posiłek został przysłany z tajemniczej kuchni wraz z pojemnikiem moich leków na deser. Ruszyłam przed siebie i zjadłam posiłek, wzięłam tabletki, wtarłam maść w skórę. Musze się teraz skupić nad sposobem, jak popełnić samobójstwo.

Skuliłam się z powrotem na poplamionym krwią materacu, nie było mi zimo, ale czułam się taka naga mając tylko papier, który miał zasłonić moje wrażliwe ciało. Skok nie wchodzi w rachubę, szyba w oknie musi mieć ze stopę grubości. Mogę upleść sobie wspaniałą pętlę, ale nie ma tutaj nic, na czym mogła bym się powiesić. Mogłabym zbierać swoje tabletki a następnie zabić się śmiertelną dawką, gdyby nie fakt, że jestem pewna, że mnie obserwują przez cały czas. Z tego co wiem, jestem teraz obserwowana na żywo przez znawców, którzy próbują rozgryźć, co mnie skłoniło do zabójstwa Coin. Nadzór uniemożliwia niemal każdą próbę samobójstwa. Utrzymanie mnie przy życiu zdaje się być priorytetem Kapitolu. Znowu.

Jedyne co mogę zrobić to poddać się. Postanawiam położyć się na łóżku nie jedząc, nie pijąc, nie biorąc lekarstw. Mogę to zrobić. Po prostu umrzeć. Gdybym tylko nie odczuwała skutków odstawienia morfaliny. Nie tak jak w Trzynastce krok po kroku, ale z miejsca. Musiałam przyjmować duże dawki, ponieważ pragnienie kolejnej dawki,

wspomagane przez dreszcze, fale bólu, i chłód nie do zniesienia skruszyło moje postanowienia niczym skorupkę jajka. Klęczę, grabiąc dywan paznokciami w poszukiwaniu tych cennych tabletek, które rozrzuciłam w przypiływie siły. Skorygowałam swój plan samobójstwa do powolnej śmierci pod wpływem morfality. Stanę się żółtym, chudym workiem kości, z ogromnymi oczami. Już kilka dni podążam z planem, czyniąc postępy, kiedy staje się coś niespodziewanego.

Zaczynam śpiewać. W oknie, pod prysznicem, we śnie. Godzina za godziną ballad, piosenek o miłości, górskich melodii. Mój głos, na początku szorstki i załamujący się na wysokich dźwiękach, rozgrzał się do czegoś znakomitego. Głos, który sprawiłby, że kosogłasy by ucichły nasłuchując, a następnie zleciały się, chcąc uczestniczyć. Mijały dni, tygodnie. Patrzyłam jak śnieg spada na parapet za moim oknem. Przez cały ten czas, słyszałam tylko swój głos.

Co oni wszyscy tam robią? Co ich tak długo zatrzymuje? Jak bardzo skomplikowane może być zaplanowanie egzekucji jednej morderczej dziewczyny? Kontynuowałam swoje własne próby unicestwienia. Moje ciało jest chudsze niż kiedykolwiek, a walka z głodem stała się tak niebezpieczna, że czasem zwierzęca część mnie ustępowała pokusie chleba z masłem i pieczonego mięsa. Ale ciągle wygrywam. Przez kilka dni czułam się trochę źle i pomyślałam, że nareszcie zaczynam odpływać z tego świata, kiedy zdałam sobie sprawę, że moje dawki morfiny zaczynają się kurczyć. Próbują powoli odzwyczaić mnie od lekarstwa. Ale dlaczego? Z pewnością otumanionym Kosogłosem będzie łatwiej rozporządzać w obecności tłumu. I wtedy uderzyła mnie ta okropna myśl: Co jeśli nie zamierzają mnie zabić? Co jeśli mają co do mnie inne plany? Na nowo będą mnie trenować, bym im służyła?

Nie zrobię tego. Jeśli nie mogę zabić się w tym pokoju, zrobię to przy pierwszej nadarzającej się okazji na zewnątrz i skończę z tym. Mogą mnie tuczyć. Mogą wypastować całe moje ciało, ubrać i upiększyć ponownie. Mogą zaprojektować wspaniałą broń, która ożywa w moich dłoniach, ale nigdy więcej nie zrobią mi prania mózgu, żebym poczuła konieczność użycia jej. Nie czuję już ani krzty lojalności wobec tych potworów, których nazywa się ludźmi, niezależnie od tego, że jestem jednym z nich. Myślę teraz, że Peeta miał odrobinę racji mówiąc, że wykończymy się nawzajem i pozwolimy jakiemuś przyzwoitemu gatunkowi zająć ziemię. Ponieważ jest ewidentnie coś nie tak z istotą, która poświęca życia swoich dzieci, żeby rozsądzać ich różnice. Możesz odwracać to w każdą stronę. Snow myślał, że Głodowe Igrzyska są skutecznym organem kontroli. Coin uważała, że spadochrony przyspieszą wojnę. Ale ostatecznie, kto na tym skorzystał? Nikt. Prawda jest taka, że nie zyskuje nikt kto żyje w świecie, gdzie dzieją się takie rzeczy.

Po dwóch dniach leżenia na materacu bez chęci do jedzenia, picia, czy nawet brania tabletek morfoliny, drzwi do mojego pokoju otwierają się. Ktoś przeszedł przez pokój zatrzymując się przy materacu w polu mojego widzenia. Haymitch.

- Twój proces dobiegł końca. – mówi. – Wstawaj. Wracamy do domu.

Dom? O czym on mówi? Mój dom zniknął. A jeśli nawet jest możliwe przeniesienie się do tego wymarzonego miejsca, to jestem zbyt słaba, żeby się ruszyć. Pojawiają się nieznajomi. Nawadniają i dokarmiają mnie. Kapią i ubierają. Jeden podnosi mnie niczym szmacianą lalkę i zanoszą na sam dach, do samego poduszkowca, i przypina mnie do siedzenia. Haymitch i Plutarch siedzą naprzeciw mnie. Już po chwili unosimy się w powietrzu.

Jeszcze nigdy nie widziałam Plutarcha w tak dobrym nastroju. Cały aż się iskrzy.

- Musisz mieć z milion pytań. – I kiedy nie odpowiadam, on i tak mi wszystko opowiada.

Po postrzeleniu Coin nastąpiło pandemonium. Kiedy sprzeczka ucichła, odkryto ciało Snowa, ciągle przywiązane do pala. Opinie są podzielone, zmarł krztusząc się podczas śmiechu lub został zdeptany przez tłum. Nikt tak właściwie się tym nie interesuje. Przeprowadzono natychmiastową elekcję i na prezydenta wybrano Paylor. Plutarch został wybrany sekretarzem ds. komunikacji, co oznacza, że zajmuje się planowaniem programów telewizyjnych. Pierwszym wielkim filmowanym wydarzeniem był mój proces, w którym odgrywał rolę głównego świadka. W mojej obronie, oczywiście. Chociaż bardziej odpowiedzialnym za moje absolutorium jest dr Aureliusz, który najwyraźniej zasłużył na wszystkie swoje drzemki prezentując mnie jako beznadziejną, zatrzaśniętą w swojej skorupie, lunatyczką. Warunkiem mojego uwolnienia jest jego dalsze leczenie, które będzie się odbywało telefonicznie, ponieważ on nigdy nie żył w miejscu tak porzuconym, jak Dystrykt Dwunasty, a ja zostanę tam zamknięta, aż do zmiany decyzji. Prawdą jest, że nikt bardzo nie wie co ze mną zrobić teraz, gdy wojna się skończyła, ale gdyby wybuchła inna, Plutarch znalazłby dla mnie jakieś zadanie. Wtedy Plutarch wybuchł śmiechem. Wydaje się, że nigdy nie kłopotowało go, że nikt, oprócz niego, nie doceniał jego żartów.

- Szykujesz się do kolejnej wojny, Plutarchu? – pytam.

- Oh, nie teraz. Teraz jesteśmy jeszcze w tym słodkim okresie, w którym każdy zgadza się, że ostatnio przeżyty horror nie powinien się już nigdy powtórzyć. – mówi. – Ale świadomość zbiorowa zazwyczaj żyje krótko. Jesteśmy niestałymi, głupimi istotami ze słabą pamięcią i ogromnym darem do samozniszczenia. Chociaż kto wie? Może to jest to, Katniss.

- Co? – pytam.

- Upływający czas. Może jesteśmy świadkami ewolucji ludzkiej rasy. Pomyśl o tym.

I wtedy spytał mnie czy nie miałabym chęci wziąć udziału w nowym programie wokalnym, który startuje za kilka tygodni. Coś optymistycznego byłoby dobre. Przyśle ekipę do mojego domu.

Wylądowaliśmy na krótko w Dystrykcie Trzecim, by zostawić Plutarcha. Ma spotkanie z Beeteem w sprawie uaktualnienia technologii systemu emisyjnego. Dotarli do mnie jego słowa:

- Nie zdziczey.

Kiedy ponownie znaleźliśmy się w chmurach, spojrzałam na Haymitcha.

- Dlaczego wracasz do Dwunastki?

- Widocznie dla mnie też nie mogą znaleźć miejsca w Kapitolu. – mówi.

Z początku nie pytam o to. Ale zaczynam mieć wątpliwości. Haymitch nikogo nie zabił. Mógł pójść gdziekolwiek. Jeśli wraca do Dwunastki, to tylko dlatego, że dostał taki rozkaz.

- Masz się mną opiekować, prawda? Jako mój mentor? – Wzruszył ramionami. Zdałam sobie sprawę co to oznacza. – Moja mama nie wraca.

- Nie. – mówi.

Wyjął kopertę z kieszeni marynarki i wręczył mi. Studiuje delikatne, perfekcyjne pismo.

- Pomaga utworzyć szpital w Czwartym Dystrykcie. Chciała, żebyś zadzwoniła, jak tylko przybędziemy. – Mój palec podąża po wdzięcznych kształtach liter. - Wiesz, dlaczego nie może wrócić.

Tak, wiem dlaczego. Bo pomiędzy tymi popiołami znajduje się zbyt wiele bolesnych wspomnień o tacie i Prim, żeby mogła je znieść. Nawet dla mnie.

- Chcesz wiedzieć, kto jeszcze tam będzie?

- Nie. – mówię. – Chcę mieć niespodziankę.

Jak dobry mentor, Haymitch dał mi kanapkę, a następnie do końca podróży udawał, że wierzy, że śpię. Zajął się spacerem po wszystkich pomieszczeniach w poduszkowcu, znajdując likier i umieszczając go w swojej torbie. Była noc kiedy wylądowaliśmy na trawie w Wiosce Zwycięzców. Połowa z domów miała pozapalane światła wewnątrz, łącznie z domem Haymitcha i moim. Dom Peety nie. Ktoś zapalił ogień w mojej kuchni. Usiadłam w fotelu bujanym przed nim, ściskając list od mamy.

- Zobaczymy się jutro. – mówi Haymitch.

Gdy brzęczenie jego torby wypełnionej likierem wreszcie cichnie, szeptam:

- Wątpię.

Nie mogę ruszyć się z krzesła. Resztę domu ogarnia chłód, pustka i ciemność. Przyciskam do siebie stary szal i wpatruję się w płomienie. Zdaje się, że zasnęłam, bo następne co pamiętam jest rano i Śliska Sae krzątająca się koło kuchni. Robi mi jajka i tosty i siedzi przy mnie dopóki nie zjadłam wszystkiego. Nie rozmawiamy dużo. Jej mała wnuczka, ta, która żyje w swym własnym świecie, wzięła jasno niebieską kulkę włóczki z koszyka mojej mamy. Śliska Sae każe jej to odłożyć, ale ja pozwalam jej ją zatrzymać. Nikt w tym domu nie potrafi już robić na drutach. Po śniadaniu, Śliska Sae zmywa naczynia i wychodzi, ale wraca w porze obiadu, by ponownie przyrządzić mi jedzenie. Nie wiem czy jest po prostu dobrosąsiedzka czy raczej na usługach rządu, ale pojawia się każdego dnia. Ona gotuje, ja jem. Staram się wymyślić co zrobić dalej. Nie ma teraz żadnej przeszkody w moim życiu. Ale i tak wydaję się na coś czekać.

Czasem telefon dzwoni, dzwoni i dzwoni, ale nie odbieram. Haymitch mnie nie odwiedza. Może zmienił zdanie i wyjechał, chociaż podejrzewam, że się upił. Nie przychodzi nikt oprócz Śliskiej Sae i jej wnuczki. Po miesiącach samotności i odosobnienia, wyglądają niczym tłum.

- Wiosna wisi dzisiaj w powietrzu. Powinnaś wyjść. – mówi. – Zapolować.

Nie opuściłam domu. Nie opuściłam nawet kuchni poza wizytami w małej łazience, kilka kroków obok. Jestem ciągle w tych samych ubraniach, w których opuściłam Kapitol. Jedyne co robię to siedzę przy ogniu. Wpatruję się w nieotworzony list od mamy leżący na kominku.

- Nie mam łuku.

- Sprawdź na końcu korytarza. – odpowiada.

Po jej wyjściu rozważam wycieczkę w dół korytarza. Wykluczyłam ją. Ale po kilku godzinach, i tak poszłam, poruszając się po cichu w skarpetach, aby nie obudzić duchów. W gabinecie, gdzie piłam herbatę z Prezydentem Snowem, znalazłam pudełko z myśliwską kurtką mojego taty, naszą księgą roślin, zdjęcie ślubne moich rodziców, sącze, który przysłał Haymitch i perłę, którą dał mi Peeta na arenie w kształcie zegara. Dwa łuki i kołczan pełen strzał, które Gale uratował w noc bombardowania leżą na biurku. Założyłam kurtkę myśliwską zostawiając resztę nienaruszoną. Zasnęłam na sofie w salonie. Przyśnił mi się okropny koszmar, w którym leżę na dnie głębokiego grobu i każda zmarła osoba, którą znam z imienia przechodzi i sypie we mnie łopatą pełną popiołów. To całkiem długi sen, biorąc pod uwagę liczbę ludzi, i im bardziej jestem

pogrzebana, tym trudniej jest mi oddychać. Próbuję wołać, prosić ich by przestali, ale popioły wypełniają moje usta i nos tak, że nie mogę wydać żadnego dźwięku. Bez ustanku spadają na mnie kolejne porcje popiołów...

Obudziłam się wzdrygając. Jasne poranne światło wdziera się przez okiennice. Drapanie łopat nie ustało. Ciągłe w półśnie, pobiegłam w dół korytarza, przez frontowe drzwi, dookoła domu, bo jestem całkiem pewna, że mogłabym zakrzyczeć się na śmierć. Kiedy go zobaczyłam, zatrzymałam się. Ma zarumienioną twarz od wykopywania ziemi spod okna. W taczce znajduje się pięć kolczastych krzaków.

- Wróciłeś. – mówię.

- Dr Aurelius nie pozwolił mi opuścić Kapitolu do wczoraj. – odpowiada Peeta. – Przy okazji, kazał ci powiedzieć, że nie może wiecznie udawać, że cię leczy. Musisz odebrać wreszcie telefon.

Wygląda dobrze. Mizerny i pokryty bliznami po poparzeniu zupełnie jak ja, ale jego oczy straciły ten zachmurzony, storturowany wygląd. Marszczy delikatnie brwi, gdy się mi przygląda. Nieuważnie postarałam się przesunąć włosy znad oczu i zdałam sobie sprawę, że dotykam matowych kołtunów. Przybrałam postawę defensywną.

- Co robisz?

- Poszedłem do lasu tego ranka i wykopałem je. Dla niej. – mówi. – Pomyślałem, że możemy zasadzić je wzdłuż domu.

Spoglądałam na krzaki, grudki ziemi wiszące z ich korzeni, i tracę oddech, gdy rejestruję nazwę *róże*. Mam ochotę wykrzykiwać wściekłe słowa do Peety, kiedy nagle przypominam sobie ich pełną nazwę. Nie zwykła róża, tylko prymulka¹. Kwiat, na cześć którego została nazwana moja siostra. Przytaknęłam Peecie na znak zgody i pośpiesznie wróciłam do domu, zamykając za sobą drzwi. Ale zło czai się wewnątrz, nie na zewnątrz. Trzęsąc się ze słabości i strachu, wbiegłam po schodach. Moje stopy zahaczyły o ostatni stopień i przewróciłam się na podłogę. Zmusiłam się do wstania i wejścia do mojego pokoju. Zapach osłabł, ale nadal wypełniał powietrze. Jest tutaj. Biała róża wśród zasuszonych kwiatów w wazonie. Uschnięta i delikatna, ale nadal wyrażająca tę nienaturalną doskonałość kulturowaną w szklarni Snowa. Wzięłam wazę, zeszłam do kuchni i wrzuciłam jej zawartość w płomień. Gdy kwiaty zapłonęły, niebieski płomień zajął różę i pożarł ją. Ogień znów pokonał różę. Roztrzaskałam wazę na podłodze dla lepszego efektu.

¹ Org. zdanie brzmi: *Not plain rose but evening primrose*. Co jest trudno przetłumaczyć, bo nazwa kwiatu prymulka po angielsku zawiera w sobie słowo róża (*primrose*), których Katniss nienawidziła. Stąd jej wściekłość dopóki nie przypomniła sobie pełnej nazwy kwiatów. Notabene nazwa kwiatu *evening primrose* po polsku brzmi wiesiołek (łac. *Oenothera*) wg Infobota nr gg: 100

Z powrotem na górze, otworzyłam na oścież okna do sypialni, by pozbyć się reszty smrodu Snowa. Ale on ciągle się utrzymywał na moich ubraniach i w porach. Rozebrałam się, a płaty skóry wielkości kart do gry przykleiły się do odzieży. Unikając lustra, weszłam pod prysznic i wyczyściłam włosy, ciało i usta z róż. Jasno różowa, czując mrowienie, znalazłam coś czystego do założenia. Zajęło mi pół godziny rozczesanie włosów. Śliska Sae otworzyła frontowe drzwi. Gdy robiła śniadanie wrzuciłam ubrania, które niedawno zdjęłam do ognia. Za jej sugestią skróciłam paznokcie nożem.

Po jajkach zapytałam ją:

- Gdzie się podziewa Gale?

- W Dystrykcie Drugim. Dostał tam jakąś robótkę. Widuję go co jakiś czas w telewizji. – odpowiada.

Rozejrzałam się wewnątrz siebie, próbując znaleźć złość, nienawiść, tęsknotę. Znalazłam tylko ulgę.

- Idę dzisiaj na polowanie. – mówię.

- Cóż, nie zaszkodziło by trochę świeżej dziczyzny. – przyznaje.

Uzbroiłam się w łuk i strzały i wyruszyłam z zamiarem wyjścia z Dwunastki przez łąkę. Blisko placu znajdują się ekipy zamaskowanych ludzi w rękawiczkach z wózkami zaprzęgniętymi w konie. Badając co leżało pod śniegiem tej zimy. Zbierając szczątki. Jeden wóz został zaparkowany przed domem burmistrza. Poznałam Thoma, przyjaciela Gale'a z dawnej ekipy, przystającego na moment, by przetrzeć szmatką pot z czoła. Pamiętam go z Trzynastki, ale widocznie musiał powrócić. Swoim powitaniem zachęcił mnie do pytania:

- Znaleźli tam kogokolwiek?

- Całą rodzinę. I dwóch ludzi, którzy dla nich pracowali. – informuje mnie Thom.

Madge. Cicha, miła i odważna. Dziewczyna, która dała mi broszkę, która dała mi imię. Przełykam ciężko. Zastanawiam się czy dołączy do obsady moich koszmarów dzisiejszej nocy. Wsypując popiół do moich ust.

- Myślałam, że może dlatego, że był burmistrzem...

- Nie wydaje mi się, że bycie burmistrzem Dwunastki dawało mu jakieś szanse. – twierdzi Thom.

Przytaknęłam i ponownie ruszyłam, ostrożnie, starając się nie spoglądać na tył wozu. W całym mieście i Złożysku, wszędzie to samo. Żniwa śmierci. Gdy jestem już blisko ruin mojego dawnego domu, droga staje się pełna wozów. łąka zniknęła, albo może została dramatycznie zmieniona. Wykopano głęboki dół, który został wyłożony

kości, masowa mogiła dla moich ludzi. Obeszłam dół i weszłam do lasu w miejscu, gdzie zazwyczaj wchodziłam. To i tak nie ma znaczenia. Płot nie jest naładowany i został podparty długimi tyczkami, by odstraszać drapieżniki. Ale stare nawyki ciężko umierają. Myślę o pójściu nad jezioro, ale jestem taka słaba, że ledwo docieram do miejsca moich spotkań z Gale'm. Siadam na skale, gdzie filmowała nas Cressida, ale jest tu dużo więcej miejsca od kiedy nie ma go przy mnie. Kilka razy zamykałam oczy licząc do dziesięciu, z nadzieją, że gdy je otworzę, zakradnie się do mnie bezdźwięcznie, jak to często robił. Musiałam przypomnieć sobie, że Gale ma tą swoją robótkę w Dwójce, prawdopodobnie całując kolejną parę ust.

To jest ulubiony rodzaj dnia Katniss. Wczesna wiosna. Las budzi się po długiej zimie. Ale strumień energii, którego przysporzyły prymulki zniknął. Do czasu, jak wróciłam do ogrodu, byłam taka chora i skołowana, że Thom musiał podwieźć mnie do domu wózkiem ze zmarłymi. Pomógł mi dotrzeć do sofy w salonie, gdzie przyglądałam się pyłkom kurzu wirującym w grubym snopie światła popołudniowego słońca.

Moja głowa drgnęła na syczący dźwięk, ale zajęło mi chwilę, zanim uwierzyłam, że jest prawdziwy. Jak on się tu dostał? Zauważyłam ślady szponów jakiegoś dzikiego zwierza, tylną łapę trzymaną delikatnie nad ziemią, wydane kości. Przybył tu pieszo, przebyła całą drogę z Trzynastki. Być może go wykopali stamtąd albo zwyczajnie nie mógł wytrzymać tam bez niej, więc zaczął szukać.

- Niepotrzebnie wędrowałeś. Jej tu nie ma. - mówię mu. Jaskier zasyczał ponownie. - Nie ma jej tutaj. Możesz syczeć ile ci się podoba. Nie znajdziesz Prim. - Na dźwięk jej imienia ożywił się. Zastrzygł swoimi spuszczonej dotąd uszami. Zaczął miauczeć z nadzieją. - Wynoś się! - Uniknął poduszki, którą w niego rzuciłam. - Odejdź! Nic tu dla ciebie nie zostało! - Zaczęłam się trząść wściekła na niego. - Ona nie wróci! Ona już nigdy, przenigdy nie wróci tutaj! - Zgarnęłam kolejną poduszkę i wstałam, żeby poprawić widoczność celu. Z nikąd, po moich policzkach, zaczęły płynąć łzy. - Ona nie żyje. - Złapałam się za pierś, by stępić ból. Opadłam na pięty, kołyszając poduszkę, płacząc. - Ona nie żyje, ty głupi kocie. Nie żyje. - Nowy dźwięk, pół płacz, pół śpiew, wydarł się z mojego ciała, nadając głosu mojej rozpacz. Jaskier również zaczął zawodzić. Nie ważne co robiłam, nie chciał odejść. Krążył wokół, poza moim zasięgiem, gdy kolejne fale szlochu wstrząsały moim ciałem, do kiedy nie padłam nieprzytomna. Musi rozumieć. Musi wiedzieć, że stało się to, o czym nie pomyśleliśmy i żeby przeżyć, potrzebuje czegoś, o czym wcześniej byśmy nie pomyśleli. Ponieważ kilka godzin później, gdy wróciłam do łóżka, stałam w świetle księżyca. Skulony u mego boku, czujnymi żółtymi oczyma dawał znać, że broni mnie przed nocą.

Rankiem, gdy siedział ze stoickim spokojem, oczyściłam jego rany, ale wydłubując kolce z jego łap rozległy się jego kocie miauknięcia. Ponownie oboje wpadliśmy w płacz,

ale tym razem pocieszałyśmy się nawzajem. W przypiływie siły otworzyłam list od matki, który dał mi Haymitch, zadzwoniłam pod podany numer i zaczęłam kolejny raz płakać. Peeta, wnosząc ciepły bochenek chleba, pokazał się wraz ze Śliską Sae. Zrobiła nam śniadanie, a ja oddałam cały swój bekon Jaskrowi.

Powoli, po wielu straconych dniach, powracam do życia. Staram się podążać za radą dra Aureliusza, powoli przechodzić przez wszystkie wnioski, cieszyć się, gdy nabierają nareszcie znaczenia. Podzieliłam się z nim pomysłem stworzenia książki, a już następnego dnia wielkie pudło pergaminu przyjechało pociągiem z Kapitolu.

Pomysł wzięłam z naszej rodzinnej książki z roślinami. To takie miejsce, gdzie zapisujemy te rzeczy, które mogą ulotnić się z pamięci. Strona zaczyna się portretem osoby. Zdjęciem, jeśli możemy takie znaleźć. Jeśli nie szkicem lub rysunkiem Peety. Następnie, najostrożniej jak potrafię pisać, opisuję wszystkie detale, o których zapomnieć byłoby zbrodnią. Dama liżąca policzek Prim. Śmiech mojego ojca. Ojciec Peety z ciastkami. Kolor oczu Finnicka. Co Cinna potrafił zrobić z jedwabiu. Boggs, który przeprogramowuje Holo. Rue, na stopach, z rękami delikatnie rozchylonymi, gotowa do startu niczym ptak przed lotem. W tę i z powrotem. Przypieczętowaliśmy strony słoną wodą i obiecaliśmy żyć dobrze, by ich śmierć nabrała znaczenia. Haymitch nareszcie do nas dołączył, przekazując dwadzieścia trzy lata trybutów, dla których musiał być mentorem. Przypisy stawały się coraz krótsze. Dawne wspomnienia, które wychodzą na światło dzienne. Późna prymulka zasuszona pomiędzy stronami. Dziwne ukłucia szczęścia, między innymi na widok zdjęcia nowonarodzonego syna Finnicka i Annie.

Nauczyliśmy się czymś zajmować. Peeta piecze. Ja poluję. Haymitch pije aż skończy się jego likier, a następnie hoduje gęsi w oczekiwaniu na przyjazd następnego pociągu. Na szczęście, gęsi dobrze potrafią zadbać o siebie. Nie jesteśmy sami. Kilkaset innych również powróciło, bo cokolwiek się zdarzyło, to jest nasz dom. Przy zamkniętych kopalniach, przeorali popioły i zajęli się sadzeniem żywności. Kapitołińskie maszyny szykują ziemię pod nową fabrykę, gdzie będziemy sporządzać lekarstwa. I pomimo że nikt jej nie obsiewał, Łąka znowu się zazieleniła.

Peeta i ja bardzo się zżyliśmy. Ciągłe zdarzają się momenty kiedy chwyta się krzesła i trzyma dopóki przebłyśki jego zmodyfikowanej pamięci nie miną. Ja budzę się z koszmarów o zmiechach i zabitych dzieciach. Ale jego dłonie są przy mnie, by mnie pocieszyć. I ostatecznie jego usta również. W nocy poczułam to jeszcze raz, ten głód, który zawładnął mną na plaży, wiedziałam, że zdarzyłoby się to i tak. Tym czego potrzebuję do przetrwania nie jest ogień Gale'a, podsycany złością i nienawiścią. Mam mnóstwo ognia w sobie. Ja potrzebuję mniszka (mleczka) w wiosnę. Ta jasna żółć, która przywodzi na myśl odrodzenie zamiast zniszczenia. Obietnicę, że życie może trwać dalej

bez względu jakie ponosimy straty. Że może znowu być dobrze. I tylko Peeta może mi to zapewnić.

Więc zaraz po tym, jak zapytał:

- Kochasz mnie. Prawda czy fałsz?

Odpowiadam mu:

- Prawda.

Epilog

Bawiły się Łące. Tańcząca dziewczynka z ciemnymi włosami i niebieskimi oczyma. Chłopiec z blond loczkami i szarymi oczyma, próbujący dotrzymać jej kroku na swoich tłusciutkich nóżkach szkraba. Pięć, dziesięć, piętnaście lat zajęło mi, aby się zdecydować. Ale Peeta pragnął ich tak bardzo. Kiedy poczułam jej pierwszy ruch wewnątrz siebie, zawładnął mną strach tak stary jak całe życie. Tylko radość z trzymania jej w ramionach mogła to powstrzymać. Noszenie jego było prostsze, ale nie dużo bardziej.

Dopiero teraz pojawiają się pytania. Areny zostały doszczętnie wyburzone, pomniki wybudowane, nie ma już Głodowych Igrzysk. Ale uczą o nich w szkole, a dziewczynka wie, że odgrywaliśmy w nich rolę. Chłopiec dowie się za kilka lat. Jak mam im opowiedzieć o tym świecie bez wystraszenia ich na śmierć? Moje dzieci, które słowa piosenki uważają za oczywiste:

*Daleko na łące, pod wierzbą
Łóżko z trawy, miękka zielona poduszka
Połóż swoją głowę, zamknij śpiące oczy
A kiedy je znowu otworzysz, wszędzie słońce.*

*Tutaj jest bezpiecznie, tutaj jest ciepło
Tutaj stokrotki bronią cię przed krzywdą
Tutaj twoje sny są piękne i jutro się spełnią
Tutaj jest miejsce, w którym cię kocham.*

Moje dzieci, które nie wiedzą, że bawią się na cmentarzu.

Peeta mówi, że wszystko będzie dobrze. Mamy siebie. I książkę. Pomożemy im zrozumieć to wszystko tak, żeby stały się przez to odważniejsze. Ale pewnego dnia będę im musiała wyjaśnić moje koszmary. Skąd przychodzą. Dlaczego właściwie nigdy się nie kończą.

Opowiem im jak to przetrwałam. Powiem im dlaczego, gdy mam zły poranek, nie jestem w stanie czerpać radości z niczego, bo boję się, że to może zostać mi odebrane. Wtedy sporządzam sobie w głowie listę wszystkich aktów dobroci, których doświadczyłam. To jak gra. Monotonna. Nawet odrobinę nudna po ponad dwudziestu latach.

Ale istnieje wiele innych, dużo gorszych gier do rozegrania.

KONIEC